

Wciągająca intryga, stylowy policjant, skanclał obyczajowy i brudna polityka w tle.  
„Zginę bez ciebie” to po prostu porządna, klasyczna szkoła kryminału. — **MARIUSZ CZUBAJ**

# ZGINĘ BEZ CIEBIE

Sfrustrowany, cyniczny,  
piekielnie złośliwy  
PODKOMISARZ ROWICKI

**ROBERT  
OSTASZEWSKI**

**ROBERT  
OSTASZEWSKI**

**ZGINE  
BEZ  
CIEBIE**

**WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE  
MUZA SA**

Projekt okładki:

*Mariusz Banachowicz*

Redaktor prowadzący:

*Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja:

*Wydawnictwo FA-art*

Redakcja techniczna:

*Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej:

*Robert Fritzkowski*

Korekta:

*Zespół*

© by Robert Ostaszewski

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

ISBN 978-83-287-0346-9

Wydanie I

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

*Hannie Cygler – za wszystko*

*Dźwigom durch tyn ciynżki krzyż,  
jak mom pedzieć, wybocz mi?  
Dyć ciebie już niy ma,  
przykryła cie ziymia...*

Oberschlesien, *Krzyż*

## Prolog

Czuła, że musi to zrobić.

Promienie czerwcowego słońca dziurawiły witraże. Drobinki kurzu pojawiały się i znikwały w kolorowych smugach. Wczesnym popołudniem wewnątrz kościoła farnego było ciche i prawie puste, tylko w pierwszym rzędzie ławek siedziała dziewczyna patrząca przed siebie niewidzącym wzrokiem. Właściwie spała, śniła na jawie już od kilku dni. Ocknęła się na chwilę, gdy światło padające z witraży przesłonił cień.

– Dziecko, nic ci nie jest? – Staruszka z naręczem piwonii pochyliła się nad nią, próbując zajrzeć w oczy.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ale na pewno?

Zostaw mnie, daj mi spokój, zaklinała w myślach. Po chwili, zbyt długiej jak dla niej, usłyszała głębokie westchnienie i szuranie kroków. Przez chwilę patrzyła, jak kobieta krząta się wokół ołtarza, przestawia lichtarze, wyciera kurz przybrudzoną szmatką, wkłada kwiaty do wazonów, zmagając się z nadmiarem liści. Ale zaraz zapadła w płytki sen-nie-sen. Znowu widziała jego ni to wykrzywioną, ni to uśmiechniętą twarz, słyszała głęboki, lekko chrapliwy, choć wyraźny głos, który zawsze wzbudzał w niej trudny do zdefiniowania niepokój. Mówił wprost do ucha, obejmował ją ramieniem, drażniąc skórę oddechem. Nie słyszała, co mówił, bo słyszeć nie chciała, ale to i tak niewiele zmieniało, bo jego słowa już dawno temu odcisnęły się, wypaliły w jej pamięci. Tyle razy próbowała je usunąć, ale bez powodzenia, więc i tym razem, mimo że nie słyszała słów układających się w zdania, wiedziała, co mówił. Namawiał, kusił, monologował, zdawać się mogło, bez końca. Wiedziała, że aby przerwać dręczący słowotok, wyrwać się z uścisku, musi powiedzieć: „Tak”. I mówiła, choć właściwie jedynie kiwała głową, w tej samej chwili czując, jak zalewa ją fala nienawiści. Nienawidziła go za to, co jej robił, ale

bardziej siebie, że nie potrafiła się sprzeciwić, strząsnąć jego ręki z ramienia, odejść, zapomnieć. Że brakowało jej odwagi. Gdy już było po wszystkim, mówił: „Przecież sama tego chciałaś, prawda?”, i krzywił usta w grymasie, który miał być uśmiechem. Chciała wreszcie pozbyć się obrazów nawiedzających ją na jawie i we śnie, dręczących, odbierających spokój. Właśnie – spokój, wiedziała, że jest tylko jeden sposób, aby go odzyskać.

Dzisiaj, zdecydowała.

Poderwała się gwałtownie z ławki. Nie przyklękając przed ołtarzem, ruszyła szybkim krokiem do wyjścia. Stukot obcasów rozproszył ciszę w głównej nawie kościoła. Staruszka, mrużąc oczy, patrzyła na nią i kręciła powoli głową.

# Rozdział 1

## (Boże) Ciało

7 czerwca 2012, czwartek

Zwykle nie budziłem się w środku nocy, a jeżeli już, zawsze zwiastowało to kłopoty. Nie wierzyłem w prorocze sny, przepowiednie, wróżby szemranych wróżów Marcinów, którzy sprzedawali naiwnym ściemę za 4,99 plus VAT. Wierzyłem za to w złośliwą powtarzalność życia, bo nie jest prawdą, że nic dwa razy się nie zdarza. Przynajmniej nie mnie. Próbowałem rozewrzeć powieki, ale czułem, że coś mi je skleiło. Na zawsze? Umarłem? Jeszcze nie tym razem. Przetarłem oczy dłonią. Żadnego obola. Usiadłem na łóżku i rozejrzałem się wokoło. Powoli przyzwyczajałem wzrok do półmroku, przełamane trupim światłem pobliskiej latarni. Rozpadająca się szafa gdańska po dziadkach, jedyna rodzinna pamiątka przechodząca z pokolenia na pokolenie, tani fotel z równie niedrogiemu sklepu meblowego zawalony pomiętymi ubraniami, szafka, na której zwykle zostawiałem komórkę, wciśnięte w kąt niewielkie narożne biurko z martwym okiem ekranu laptopa.

„Sajgon, cholera, wciąż tylko Sajgon”, bezwiednie zacytowałem frazę z ulubionego filmu, a potem wstałem z łóżka, drapiąc się po brzuchu, na którym coraz wyraźniej zaznaczała się tłuszczowa oponka. Od dawna planowałem, że wreszcie zacznę ćwiczyć na poważnie, oczywiście od jutra, zawsze od jutra. Albo najlepiej od najbliższego poniedziałku. Taka gra z samym sobą, podobna do zabawy w „rzucam palenie”. Z bardzo nikłym prawdopodobieństwem wygranej.

Zakaszlałem, jak na długoletniego palacza przystało. Ponoć niedawno wynaleziono tabletki na kaszel palacza. Nie zamierzałem ich kupować. Było ledwie po trzeciej, ale nosiło mnie, więc ubrałem się, przekonując samego siebie, że papieros będzie lepiej smakował na



świeżym powietrzu. Czego jak czego, ale świeżego powietrza w tej miejscinie nie brakowało.

Ulica Sienkiewicza była martwa. Zawsze umierała tuż przed zmierzchem. Po kilku godzinach, bardzo wczesnym rankiem, budziła się do udawanego życia niczym zombie, bo niedaleko był dworzec kolejowy, z którego autochtoni przemieszczali się dzień w dzień do Warszawy, by zarobić na bułkę z masłem. Ewentualnie z szynką. Teraz wciąż jeszcze było pusto, cicho, zresztą później też tak będzie, w końcu zbliżał się świąteczny dzień, szczęśny czas chwalenia Pana i okadzania grillowymi kadzidłami bożka konsumpcji. Wyszedłem przed dom i zapaliłem. Po raz kolejny przyszło mi do głowy, że w takiej chwili mógłbym zrobić wszystko. Krzyczeć. Rozebrać się i stanąć nagi na środku Sienkiewicza. Położyć się na ulicy, by poczuć stary, pamiętający przedwojenne czasy, bruk. W gruncie rzeczy byłem sam, w każdym tego słowa znaczeniu, więc mogłem robić, co tylko przyszło mi do głowy. „Pozostaliśmy sami, bez taty, bez mamy”, zanuciłem. Właściwie czemu pamiętam tylko najbardziej bzdurne piosenki? I zaraz: „Na kłopoty i na troski pijcie browar ciechanowski”. Jasne. Teraz jest ciechan, a nie zamkowe – i jasny, i miodowy, i jaki kto tylko sobie zażyczy. Wróciłem do domu, zapakowałem się do łóżka. Śniła mi się wietnamska dżungla. Chyba...

Sajgon... Dobra, to już było. Przebudzenie sponiewierało mnie, w ostatnich miesiącach z coraz większym trudem i znojem zwlekałem się z łóżka. Tłumaczyłem to sobie brakiem witamin czy magnezu, tak było bezpieczniej. Miałem niczym niezmaconą pewność, że tego dnia nie stanie się nic. Chyba że Doda zjedzie do miasta, ściągając za sobą tabuny paparazzich, albo kibice, ćwiczący przed Euro podłany alkoholem doping, zrobią dym. Lub też zjawi się ze swą biznesową świtą doktor Kostrzewa, od jakiegoś czasu kreowana na zbawczynię Ciechanowa i okolic. Jednak szansa, że stanie się to akurat w dzień Bożego Ciała, była nikła. Poza tym co mnie to właściwie obchodziło? Przez chwilę myślałem, by darować sobie poranne rytuały. Jednak wszedłem pod prysznic i stałem chwilę pod strugami gorącej wody. Postanowiłem się ogolić, co robiłem z rzadka i niechętnie. Z lustra spoglądał na mnie z lekka wymięty facet, którego pociągłą twarz znaczyły głębokie bruzdy wokół ust i dwie poziome krechy na czole. To

ja, taki stary i złachany?, przemknęło mi przez myśl. Moje własne zdawały mi się tylko oczy, intensywnie zielone. Przeczesałem dłonią gęsto poprzetykane siwizną włosy, za długie, falujące we wszystkie strony. Przydałby się fryzjer. A co mi tam, przecież nie jestem żadnym metroseksualnym typem, żeby podziwiać samego siebie. Nie ma to jak drobny wkurw z rana. Dokończyłem, co zacząłem.

Nastawiłem wodę na kawę, zrobiłem sobie śniadanie, klasyka rocka, czyli jajecznica na boczku. Skończyłem jeść, zapaliłem. Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się ósma, nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, bo raz, wiedziałem, że koledzy przyzwyczaili się do moich spóźnień, dwa, przecież było święto. Po raz kolejny dałem się wrobić w nadprogramowy dyżur, przecież nie miałem żony, dzieci – tak mówili kumple – nikt mnie nie ograniczał, do nikogo nie było mi spieszo. Wkurzające argumenty, bo z jakiej racji miałem być karany za to, że jestem sam. Choć prawdę rzekłszy, nie do końca. Tak, miałem przecież babkę, niezniszczalną, która przeżyła wszystkich i wszystko, przeżyła swoją jedyną córkę oraz jedną wojnę prawdziwą, a jedną jaruzelską. Prawdopodobnie mnie też przeżyje. „Stary, dobry, przedwojenny materiał”, zwykła mawiać, odpalając jednego papierosa od drugiego i dyskretnie popluwając fusami z kawy nieodmiennie parzonej po turecku.

Wyszedłem przed blok, spojrzałem na czarne mitsubishi eclipse, jedyny luksus, na który jakiś czas temu sobie pozwoliłem, ale postanowiłem się przejść. Poranek był rzeński, niespecjalnie ciepły, lecz w miarę przyjemny. Sienkiewicza wciąż była niemal pusta, nim doszedłem do dworca autobusowego, minąłem ledwie kilka osób. Ani mnie to dziwiło, ani smuciło. Przeciąłem skrzyżowanie i poszedłem w stronę mostu nad Łydynią, który kiedyś nazywał się Pierwszego Maja, a teraz Trzeciego. Z lewej strony naciskało na mnie wzgórze, w które wieki temu wbito strzelistą bryłę kościoła farnego. Z prawej był miejski stadion, na murawie którego dokonywałem niegdyś czynów heroicznych, a dalej majaczył za drzewami niewielki kościół, zwany Klasztorkiem, przed którym krzątali się ludzie przygotowujący ołtarz przed procesją. Wzruszyłem ramionami. Jeszcze w podstawówce przestałem chodzić do kościoła, Felicja przyjęła to bez komentarza. Podejrzywałem, że ona też jest na bakier z wiarą, ale nigdy o tym nie

rozmawialiśmy, było przecież tyle ciekawszych tematów. W liceum miałem zresztą zabawne przejścia z facetem w czerni. Załapałem się na czas, kiedy nauka religii w wielkim stylu powróciła do szkół średnich i wręcz wypadało, w ramach manifestacji niechęci do schyłkowego PRL-u, zapisać się na lekcje religii. W całej szkole tylko ja i jeszcze jeden znajomek z humanistycznej nie zrobiliśmy tego. Biedny księżulo prawie rok chodził za nami, prosząc, żebyśmy jednak raczyli uczęszczać na religię, bo psujemy mu statystyki. Jako wredne szczeniaki odpowiadaliśmy mu nieodmiennie, że – ochrzczeni – jesteśmy statystycznymi katolikami i to musi wystarczyć.

Przecinając plac Kościuszki, natknąłem się na Czesia Kolesia, wiekowego menela, który odkąd pamiętam, pałętał się po mieście, choć na dobrą sprawę dawno już powinien pójść do piachu. Ot, biologiczna anomalia. Jak zwykle chciał wysepić fajkę.

– Nie palę – rzuciłem, choć przecież nie raz, nie dwa częstowałem go papierosami.

– No, władza nie pali, świat się, kurwa, kończy. – Czesia Kolesia, który zazwyczaj nie pamiętał, co działo się kilka godzin wcześniej, lekko zniosło w lewo.

Wyminąłem go i powlokłem się na komendę. Jej widok nieodmiennie wyciągał z mojej pamięci ten sam obrazek: jest początek stanu wojennego, mam dziewięć lat, niby jest tak samo jak zwykle, ale widzę czołgi niczym w filmie wojennym, idę jednak dalej, bo babka kazała mi spytać matkę, co zrobić na obiad, więc mijam ciężki sprzęt, wchodzę tam, gdzie jest władza, do urzędu, ale tam są jedynie żołnierze z kałachami. „Co tu robisz?”, pytają. A ja, dziewięcioletni chłopiec, wybucham płaczem, bełkoczę coś nieskładnie. Potem zjawia się matka i mówi: „Idź do domu”. Tak... Ale o co chodzi, nic nie wiadomo. Niby jest wojna, ale nikt nie strzela. Grzeczny, wracam, jak mi kazano. Mróz dotkliwie szczypie w twarz, wszędzie stoją czołgi, skoty, żołnierze grzejący dłonie nad koksownikami. Idę, czując, jak łyzy zamarzają mi na policzkach. Przewracam się na zlodowaciałej grudzie, moje sztuczne futerko całe utyłane jest w śniegu. Zaczynam biec, najszybciej jak mogę. Chcę wtulić się w spódnicę babki, poczuć, jak jej pachnące mocnym tytoniem palce mierzwią mi włosy.

Nie miałem pojęcia, czemu akurat to wspomnienie ostatnio wciąż do

mnie powracało. I nie brakło, w odróżnieniu od innych wspomnień z udziałem matki. Może akurat to wiązało się z miejscem, które teraz było moim miejscem pracy, a niegdyś, gdy mieściły się tu siedziby miejskich urzędów, miejscem pracy matki? A może zwyczajnie się starzałem i pamięć płatała mi nieoczekiwane figle? Staruszek lat czterdzieści, dobre sobie, prychnąłem. Stałem przed wejściem do komendy. Znowu zapaliłem, miałem gdzieś problemy z coraz krótszym oddechem. Przede mną ciągnęła się ulica 11 Pułku Ułanów Legionowych. Ta absurdalnie długa nazwa zawsze mnie śmieszyła. Tym bardziej że wcześniej była to ulica Generała Świerczewskiego, który ponoć kulom się nie kłaniał, ale w końcu klęknął przed nimi. Ot, rechet historii nieodmiennie popisującej się mrocznym poczuciem humoru. Patrzyłem na przemykające obok mnie, niezbyt często, samochody. Miałem nadzieję, że dziś spokojnie przesiedzę cały dyżur za biurkiem, grając w nieskomplikowane gry sieciowe, by później wrócić do domu i, popijając piwo, czytać książki ze stosu, który wciąż rósł przy łóżku. Na samej górze była nowa powieść Mariusza Czubaja. Czasami dobrze jest się pośmiać z pisarzy, którzy nie mają pojęcia o policyjnej robocie.

Zagałem do dyżurnego przy furtce, spytałem, jak tam żona i dzieciaki, choć właściwie nie wiedziałem, czemu to robię, bo jego familia nie interesowała mnie ani trochę. Zatrzymałem się na pogaduszki chyba tylko po to, aby opóźnić moment wejścia do fabryki. Nie spiesząc się, doszedłem do pokoju, który dzieliłem z dwoma kolegami. Odpaliłem kompa, a potem poszedłem do klitki socjalnej zrobić sobie kawę. Z kubkiem w ręku zatrzymałem się w drzwiach. Za moim biurkiem siedział Szybki Romek. Skrzywiłem się lekko na jego widok, nie lubiłem go. Z wzajemnością.

– Co jest grane? – spytałem, wyburczawszy wcześniej powitanie.

– O, podkomisarz Konrad Rowicki raczył się zjawić.

Wiedziałem, że Romek nie może znieść, że jest niższy stopniem.

– Złaz z mojego fotela i powiedz, o co chodzi. – Postawiłem kubek z kawą na zawalonym papierami biurku. – Bo chyba nie wpadłeś, żeby sobie ze mną pokonwersować z rana? – Wiedziałem, że nic tak nie irytuje Szybkiego Romka jak wyszukane słownictwo. Miał kompleksy chłoptasia, który z ledwością zmęczył maturę w liceum dla dorosłych,

kompleksy wielkie jak Chrystus w Świebodzinie.

– Młoda laska strzeliła samobója – rzucił. Powoli podniósł się z siedziska. – Głównodowodzący powie ci więcej.

Zatkało mnie. Po chwili poczułem, że tętno gwałtownie mi skacze. Spokój, tylko spokojnie, klarowałem sam sobie.

– Trochę szacunku dla zmarłej – jednak wybuchnąłem. Opanowałem się jako tako i już neutralnym tonem zapytałem: – To on jest dzisiaj w fabryce?

– Euro się zbliża, czuwamy.

To sobie czuwajcie, pomyślałem, ale zachowałem tę błyskotliwą ripostę dla siebie.

Szef, którego nazywaliśmy Głównodowodzącym, formalnie był drugi po komendancie. Po Bogu, jak zwykł mawiać Szybki Romek. Ale jaki to Bóg, ledwie bożek powiatowej jednostki. Głównodowodzący, czyli młodszy inspektor Krystian Gajowniczek. Włokąc się do gabinetu przełożonego, zastanawiałem się, czemu nie zmienił nazwiska. Mógłby wziąć po żonie – Stalmawskiej. Mimo wszystko lepiej by to brzmiało, poważniej, bardziej bojowo.

Bez pukania wszedłem do sekretariatu. Kinga zawzięcie piłowała paznokcie jednorazowym pilnikiem.

– Czołem. Wiesz, o co chodzi? – zapytałem.

Sekretarka spojrzała na mnie z lekka nieprzytomnym wzrokiem. Ciekawe, co robiła wczoraj wieczorem, myślałem. Coraz mniej orientowałem się w zwyczajach dwudziestokilkuletnich kobiet i, prawdę powiedziawszy, miałem z roku na rok mniejszą ochotę, by je poznawać. I zwyczaję, i dwudziestokilkuletnie kobiety.

– Hej. Ja tam nic nie wiem poza tym, że jest mocno wkurwiony – wyszeptała.

Z trudem tolerowałem przekleństwa w ustach kobiet. Szczególnie tych co bardziej dekoracyjnych. Tym razem jednak powstrzymałem się od komentarzy, nie chciałem wyjść na starego dziada moralistę.

Gajowniczek stał przy oknie. Nie zareagował na powitanie. Doskonale znałem jego zagrywki i humory, więc klapnąłem na krzesło i spokojnie czekałem na rozwój wypadków. Wreszcie

Głównodowodzący oderwał się od kontemplowania wątpliwej urody zaokiennych widoczków, zasiadł za biurkiem i splótł dłonie.

– Dobrze, że wreszcie jesteś – zaczął.

Taki spokojny, nieomal przyjacielski, początek rozmowy nie wróżył niczego dobrego. Byłem przyzwyczajony do wrzasków Krystiana, niewielkiego wzrostem, grubawego facecika, który w ten nieskomplikowany sposób próbował stać się większy. Na wszelki wypadek zacząłem przeglądać w pamięci katalog swoich licznych przewin.

– Mamy problem – wycedził.

Czy on nie potrafi normalnie rozmawiać, myślałem, powiedzieć w krótkich, żołnierskich słowach, o co chodzi, wydać prostych i jasnych rozkazów? Przecież raz do roku ponoć nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem. Wykonałem ręką gest, który mógł znaczyć cokolwiek. Czekałem. W czekaniu byłem przecież dobry. Lata praktyki.

Głównodowodzący skupił się na przeglądaniu papierów rozrzuconych na biurku. To jedno nas łączyło, specyficzne podejście do dbałości o porządek. Wreszcie westchnął, wbił we mnie wzrok i zaczął mówić:

– Mamy problem, bo mamy trupa. Te sprawy. – Frazy „te sprawy” używał jako przecinka. Cóż, lepsze to niż najpopularniejsze między Odrą a Bugiem słówko powszechnie uznawane za obelżywe.

– Trupa? – udałem zdziwienie. – A myślałem, że Smuda do nas jedzie. I Piszczek, i Lewy. A prezydent pewnie dostał spazmów...

– „Spazmy”... Skąd ty bierzesz takie słowa? – zirytował się Gajowniczek.

– Z książek. – Nie zamierzałem mu odpuszczać. – To takie coś, co w razie potrzeby świetnie przydaje się do podkładania pod nogi kolebiących się stołów.

– Pieprzony intelektualista się znalazł – wysyczał. – Nie przeginaj, żeby ktoś cię nie przegiął.

Uśmiechnąłem się szeroko. Od dawna przestałem reagować na zaczepki i komentarze dotyczące mojego sposobu życia i bycia, pogodziłem się z tym, że w robocie raczej za mną nie przepadają, zaakceptowałem wątpliwy dar zrażania do siebie ludzi. I nie zamierzałem w jakikolwiek sposób się zmieniać. Bo właściwie po co?!

Na karierze od dawna już mi nie zależało. Zresztą jakąż to karierę można zrobić w prowincjonalnej jednostce policji?!

– Więc nie, tym razem nie chodzi o piłkę nożną – ciągnął szef.

Przypomniawszy sobie bohatera kryminałów, policjanta, który nieustannie poprawiał błędy językowe kolegów, już chciałem rzucić, że nie zaczyna się zdania od „więc”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język.

– Mamy trupa – powtórzył, jakby nie był pewien, czy ta fatalna, jak niechybna klęska naszej reprezentacji na Euro, wiadomość dotarła do mnie z dostateczną mocą.

Poderwał się z fotela i znowu stanął przy oknie. Chyba naprawdę nie jest dobrze, przemknęło mi przez myśl. I dobrze nie było. Młodszy inspektor odwrócił się do mnie i zaczął mówić:

– Kojarzysz wiceprezydenta Stanisława Dudka, on ma córkę, której na imię... – Podeszedł do biurka i znowu zaczął nerwowo grzebać w papierach. – Gdzieś tu miałem zapisane.

– Mniejsza o imię. O co chodzi? – nie zdzierżyłem.

Zignorował moje pytanie. Mruczając pod nosem, metodycznie przerzucał papiery. Taki typ, zawzięty.

– Mam! – wrzasnął. – Jowita! Trzeba być naprawdę rąbnietym, żeby unieszczęśliwić dziecko takim imieniem. Jowita Dudek. Nieźle.

Westchnąłem, dogrzebując się do najgłębszych pokładów cierpliwości. Policzyłem w myślach od dziesięciu do jednego i spytałem znowu:

– I co z tą Jowitą Dudek?

– Dziś rano ojciec znalazł ją w łazience. Sztywną w wannie. Podcięte żyły. Te sprawy.

– Więc jak te sprawy, to nie ma sprawy – zrymowałem kulawo.

W sytuacjach stresowych zawsze reagowałem tak samo – bzdurnymi tekstami, żenującymi rymowankami, które mój profesor z polonistyki na UJ-ocie, Marian Stala, na pewno skwitowałby wszystkimówiącym skrzywieniem pulchnych ust. A to właśnie była sytuacja stresowa. Spokojnie znosiłem zmasakrowane ciała pijaczków, którzy w alkoholowym widzie rzucali się na siebie z czym popadnie, rozdęte, śmierdzące truchła topielców, rozkładające się ciała samotnych staruszków, o których wszyscy zapomnieli... Ale zwłoki samobójców

nieodmiennie wprawiały mnie w nieopanowany dygot, rozwalały psychicznie. Nie bez powodu.

– Wygląda to na oczywistą sprawę, ale na wszelki wypadek jedź i pogadaj z rodzicami – powiedział.

– Dlaczego ja? Czemu nie Szybki Romek? – Nie chciałem poddawać się bez walki, chociaż zdawałem sobie sprawę, że szanse na wygraną mam nikłe. Gajowniczek nie zwykł zmieniać raz podjętej decyzji.

Szef prychnął i zaczął gwałtownie machać ręką, jakby opędał się od natrętnego mola chcącego wgryźć się w materiał odprasowanego na sztywno munduru.

– Nie nazywaj go tak! Aspirant Roman Małochleb! Tak masz o nim mówić! Ile razy mam ci powtarzać, że nie chcę kwasów w drużynie, a ty ciągle wszystkich wkurwiasz. – Uspokoił się nieco. – Romek średnio się nadaje, tu trzeba delikatnie, bo to i sprawa... no, sam rozumiesz, i ojciec polityk.

Tu cię boli, pomyślałem. Jak w każdej pipidowie wszyscy trzęśli portkami przed byle lokalnym urzędasem, żeby tylko nie stracić ciepłych posadek.

– Dobra, będzie delikatnie jak w salonie tajskiego masażu – powiedziałem i wyszedłem, nim zdążył otworzyć usta.

Nie musiał mi tego robić, ale z właściwym sobie wyczuciem właśnie to zrobił. W gruncie rzeczy nie powinienem się spodziewać niczego innego. To ja tu robię za bystrzaka i intelektualistę, on jest tylko administratorem, sprawnym, co przyznaję z niejaką niechęcią. Przez myśl przeleciało mi, że być może Głównodowodzący stworzył jakiś chytry plan, którego miałem być częścią. Jednak myśl, jak to myśl, przeleciała i uleciała.

Zszedłem na dół i wziąłem nieoznakowany wóz. Wprawdzie wszyscy w Ciechanowie i okolicach wiedzieli, że to policyjna bryka, ale teraz i tak nie miało to znaczenia. W pierwszej chwili chciałem przejechać koło Krubina bez zatrzymywania się, ale nie dałem rady. Zaparkowałem koło niewielkiej plaży i patrzyłem na glinianki, ciechanowskie Lazurowe Wybrzeże... Maria je lubiła...

Kiedyś.



Ruszyłem z piskiem opon i o mało nie włądowałem się w bok busa. Kierowca pokazał mi faka. „Spiesz się, spiesz, bo na cmentarz nie zdążysz”, rzuciłem za nim zgryźliwie. Za laskiem krubińskim skręciłem w prawo, w nie najlepszą drogę. Kolebałem się wolno na wybojach i rozglądałem dokoła, nigdy w tym miejscu nie byłem, widywałem je tylko z daleka, z okien samochodu albo pociągu. Kiedyś były tu pola, a teraz powoli wyrastało kolejne chaotycznie rozplanowane podmiejskie osiedle domków. Kto miał trochę kasy, inwestował w działkę i wynosił się za miasto. Ludzie szukali spokoju albo zwyczajnie ciągnęło ich do grzebania się w ziemi, sadzenia kwiatków i krzewów, plewienia, doglądania rocznych przyrostów, wypatrywania jakże szczodrych darów natury, beznadziejnej walki ze szkodnikami i kretami. W końcu w całym tym, pożał się Boże, mieście prawie wszyscy pochodzili ze wsi.

Do domu Dudków nie było trudno trafić, stał przed nim radiowóz, van techników i samochód żuków gnojarzy. Szybcy są, pomyślałem. Zanim wysiadłem, przyjrzałem się rezydencji. Chałupa kiepsko udawała szlachecki dworek, otaczały ją solidne ogrodzenie z kamieni i drewnianych dech oraz wypielegnowany ogród. Niby prostota, trochę na pokaz, ale bez przesady. Widywałem w okolicy zdecydowanie większe kurioza architektoniczne.

Posterunkowy Tadeusz Nowak stał przy otwartej na oścież furtce i rzygał wprost na niedawno skoszony, świetnie utrzymany trawnik. Miał taki feler, że mimo kilku lat służby nie potrafił zaimpregnować się na koszmary, z którymi przychodziło mu się stykać. Wysyłali go raz po raz do psychologa, ale nieodmiennie okazywało się, że psychika posterunkowego Nowaka jest stabilna jak wartość złota w niespokojnych czasach kryzysu. Tyle tylko że nad odruchem trzewi nijak nie umiał zapanować. Wszyscy się już do tego przyzwyczaili, docinki spowszedniały, pozostała tylko niezbyt wyszukana ksywka – Żyguli.

– Aż tak źle? – Poklepałem go po plecach i wyciągnąłem w jego stronę paczkę chusteczek. – Poczęstowałbym cię jakąś wódeczką, ale zupełnie wyjątkowo nie wziąłem piersiówki.

– Konrad, daj spokój...

– Czyli źle?

– Ona jest goła.

Ciekawostka, gołej dziewczyny nie widział. Muszę się opanować, przestać wymyślać bzdurne teksty, okiełznać stres i po prostu skupić się na robocie. Rutynowe czynności śledcze, nuda procedur, tylko to mi może teraz pomóc.

Zostawiłem Nowaka z jego gastryczną karmą i poszedłem ścieżką, wykładaną precyzyjnie dopasowanymi kamieniami, w stronę domu. Na ganku stał szef techników, palił papierosa, strzepując popiół do pudełka po zapalkach. Co to jednak pracownicze nawyki robią z człowiekiem, zawsze dba, żeby nie zapaskudzić miejsca zbrodni, choć pewnie całkiem bezwiednie.

– Czołem. Nie ma to jak popracować przy święcie, co?

Leszek Koziej uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Eee, mnie to nawet pasuje, bo mieliśmy po procesji jechać na obiad do teściowej, więc znowu musiałbym słuchać przez pół dnia pierdoletów o tym, jak to źle wychowujemy dzieci i jak fatalnie moja praca wpływa na zdrowie psychiczne rodziny.

Proszę bardzo, jak miło spotkać choć jednego człowieka zadowolonego z życia i pozytywnie nastawionego do pracy w nielimitowanym wymiarze godzin.

– Znaleźliście coś ciekawego?

– Nie było specjalnie czego szukać. Ewidentny samobój, co potwierdził zimny. Podcięte żyły... Znaleźliśmy skalpel, którym się pochlastała. Wygląda na to, że zrobiła wszystko, żeby nikt jej przypadkiem nie odratował.

– Biernacki był? – upewniłem się, czy do sprawy skierowano mojego ulubionego łapiducha.

– Tak, ale już się zwinął.

– Mówił coś ciekawego?

– On nigdy za wiele nie mówi. – Koziej się zaśmiał. Zaczął pieczołowicie gasić papierosa, syknął, gdy poczuł żar przez tekturę.

– Fakt, nie pamiętam, by kiedykolwiek powiedział za jednym razem więcej niż trzy zdania.

– Jakbyś go dziś słyszał. Nasz doctore rzekł, cytując: „Najprawdopodobniej samobójstwo. Orientacyjny czas zgonu: między godziną trzecią a dziewiątą rano. Więcej po sekcji”.

Karol Biernacki do specjalnie rozmownych nie należał, ale w pracy był perfekcyjny. Właściwie to nawet lepiej, że nie gadał zbyt wiele, przynajmniej nie drażnił mnie absurdalnym poczuciem humoru, które uwielbiało wielu znanych mi lekarzy.

– Wychodzi na to, że jestem na miejscu ostatni – stwierdziłem. Nie był to specjalny powód do narzekań.

– O, nie. – Koziej odpalił następnego papierosa, miał gdzieś modę na niepalenie. Zresztą akurat w tej miejscinie wszyscy generalnie mieli wszystko albo prawie wszystko gdzieś, co, trzeba przyznać, czasami czyniło życie całkiem znośnym. – Szanowna prokuratura jeszcze nie raczyła nas nawiedzić.

Czemu mnie to nie zdziwiło? Szanowna prokuratura zapewne miała przy święcie dużo ciekawsze zajęcia niż oglądanie solidnie martwych nastolatek. Zastanawiałem się, co robić, czy zacząć przesłuchiwać rodziców, czy czekać na krawaciarza. Wyjątkowo postawiłem na działanie.

– Mogę już tam wejść? – Nie musiałem wyjaśniać technikowi gdzie.

– Marek jeszcze strzela foty, ale pewnie, idź.

Pchnąłem masywne drewniane drzwi z wmontowanym dziwacznym panelem z matowego szkła, który nijak się miał do dworkowej konwencji. Mogli sobie zafundować żeliwną kołatkę z łbem lwa, przemknęło mi przez głowę, ale zaraz przywołałem się do porządku, powtarzając mantrę: rutynowe czynności śledcze, rutynowe czynności śledcze...

– Gdzie to jest? – spytałem Kozieja.

– Korytarz w lewo, pierwsze drzwi.

Wszedłem. Obszerny hol zamykały kręcone schody prowadzące na poddasze. Wąskie korytarzyki odchodziły na prawo i lewo. Zanim jako tako zorientowałem się w przestrzeni, zobaczyłem przed sobą wiceprezydenta Dudka. Znałem jego fisis drobnego cwaniaczka ze zdjęć w „Tygodniku Ziemi Ciechanowskiej”. Wysoki, dość szczupły i lekko przygarbiony. Nie byłem pewien, czy już wcześniej nie nosił się zbyt prosto, czy też dzisiejszy poranek przygiął go do ziemi.

– Pan... – ni to spytał, ni zagaił.

– Podkomisarz Konrad Rowicki.

Chciałem tylko machnąć mu przed oczami legitymacją, jak to

zwykłem robić, ale przechwycił ją w locie. Cóż za refleks! Przez chwilę wpatrywał się uważnie w dokument, potem podał mi go, trzymając w dwóch palcach, niczym usyfioną smarkami chusteczkę jednorazową wielokrotnego użytku.

– Taaak...

Zacząłem się zastanawiać, czy Dudek jest w stanie wydusić z siebie cokolwiek poza monosylabami. Pewnie był w szoku. Najwyższy czas, żebym przejął inicjatywę.

– Chciałbym z panem porozmawiać. I z pana żoną. Tylko najpierw rzucę okiem na...

Zawiesiłem się, no zawiesiłem. Szukałem słowa, które całkiem się zagubiło.

– Oczywiście, ale z moją żoną to pan podkomisarz dzisiaj raczej nie rozmawia – powiedział wiceprezydent i odwrócił się na pięcie.

A jednak zapamiętał moją wątpliwego znaczenia szarżę. Chyba nie był w szoku. Kawał twardego sukinsyna? Kto wie, ludzie bardzo różnie reagują na sytuacje stresowe. Skręciłem w korytarz po lewej. W uchylonych drzwiach błyskało. Łazienka była wielka niczym pokój w moim mieszkaniu. Jasnozielona glazura od podłogi po sufit. Lustra, dużo lusterek. Umywalka i bidet. Podwieszany sufit z mikroskopijnymi oczkami lampek. Duża kabina prysznicowa, pewnie z biczami wodnymi, masażami i innymi bajerami...

– Cze. – Technik wreszcie mnie zauważył.

Nie odpowiedziałem. Skupiłem się, skoncentrowałem, by zmusić samego siebie do spojrzenia tam... Porażająca biel wanny i czerwień wody. Czarne, długie włosy, pływające niczym wodorosty, nienaturalnie białe kolana... Czemu, Ofelio, nie poszłaś do klasztoru...

– Ale syf – Marek jakby czytał w moich myślach.

Nie mogłem wydusić z siebie słowa. Odwróciłem się na pięcie, wróciłem do holu, oparłem czoło o ścianę. Była lekko chropowata, chłodna. Oddychać, oddychać, liczyć każdy wdech i wydech, tak jak mówił lata temu terapeuta. Oddychałem, liczyłem... Puściło.

W pierwszej chwili chciałem wyjść na zewnątrz i zapalić, ale wiedziałem, że to kiepski unik. No dobrze, wiedziałem, że jeśli wyjdę, to już nie wrócę do tego pseudodworku. Przez drugi korytarzyk dotarłem do salonu. Był tam Dudek, była jego ślubna, był skórzany

wypoczynek za wiele średnich krajowych i plazma wielka jak *Bitwa pod Grunwaldem*.

– Dzień dobry.

Nie ma to jak kretyński tekst na początek. Ale przynajmniej trzymałem się konwencji typu: gość w dom... W sensie – w dworek.

– Se pan daruje – powiedział Dudek.

„Se”? Wyszło szydło z worka, a słoma z butów. Szydło – bo już byłem stuprocentowo pewien, że pan wiceprezydent wcale nie jest nadmiernie wstrząśnięty śmiercią jedynaczki albo wstrząśnięty jest w stopniu znikomym, a słoma... „Kondzio, syp słomę pod krzaki porzeczek”, dźwięczał mi w uszach chrapliwy głos Felicji musztrującej mnie przy pracach w ogródku. Słomą postanowiłem zająć się później. O ile, oczywiście, będę zmuszony zająć się prześwietlaniem historii życia pana Dudka.

– Muszę zadać państwu kilka pytań – starałem się brzmieć zimno, a zarazem kojąco jak Kurt Wallander ze szwedzkiego serialu.

Spojrzałem na żonę Dudka, siedziała wbita w kąt rozległej kanapy, obejmowała ramionami kolana i kiwała się miarowo. Skądś to znałem, ale nie chciałem dopuścić do siebie myśli, w jakich okolicznościach nabyłem tę wiedzę. Stałem na środku salonu i czekałem, kiedy wróci do mnie to, co nieuniknione. Ale nim powróciło, Dudek wziął mnie pod ramię i pociągnął za sobą. Właściwie podpadało to pod naruszenie nietykalności fizycznej funkcjonariusza na służbie, ale metaforycznie machnąłem na to ręką.

– Chodźmy do mojego gabinetu – nie musiał tego mówić, ale tacy ludzie jak on lubili konkrety oraz tautologie pod wszelkimi postaciami.

W naszym mieszkaniu w Krakowie nie było gabinetu, a tym bardziej w chałupince Felicji. Może to i nawet lepiej. Coś, co Dudek nazwał gabinetem, było niewielkim pokojem, w którym stało masywne biurko z imponującym skórzanym siedziskiem do kompletu, dwa fotele obok niewielkiego stolika kawowego i regał ciasno wypchany książkami. Ciekawe, czy faktycznie czyta, czy to tylko na pokaz, przeleciało mi przez głowę. Miałem ochotę przeciągnąć palcem po grzbietach, aby przekonać się, czy nie jest to przypadkiem atrapa, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Nad biurkiem wisiało wielkie poroże jelenia. Myśliwy? W całej swojej mizernej karierze strzelałem raz, nie trafiłem,

ale ten, który mierzył do mnie, też chybił. Więc niestety wciąż żyję i muszę wymyślić jakieś sensowne pytanie. Jakikolwiek. Usiedliśmy w fotelach, bez zastanowienia wypaliłem:

– Co pan robił dziś wczesnym rankiem? – Zanim wybrzmiał mój głos, wiedziałem już, że jestem ciężkim kretyńcem. Dudek nie podobał mi się, pewnie dlatego nie mogłem się zdobyć na zalecaną przez Głównodowodzącego delikatność, a może w ten właśnie prymitywny sposób odreagowywałem stres. Nie ma co, pełen profesjonalizm...

Wiceprezydent spojrzał na mnie spode łba, przez jego twarz przebiegło kilka nerwowych grymasów, ale szybko się opanował.

– To bardzo nietaktowne pytanie – powiedział cicho.

W pierwszej chwili chciałem go przeprosić, ale uznałem, że nie ma sensu od razu przechodzić do defensywy, tym bardziej że, byłem tego pewien, specjalnie mocno go nie uraziłem.

– W takiej sytuacji jak ta nie ma taktownych pytań.

– Dobra, pytaj pan, miejmy już to z głowy. – Wiceprezydent zaczął pieczołowicie podwijać rękawy koszuli, jakby szykował się do pojedynku na pięści.

– To gdzie pan wtedy był?

– W łóżku, a gdzie miałem być? Dzisiaj święto, to nie musiałem się zrywać skoro świt. Żona potwierdzi, jakby to pana podkomisarza interesowało. To znaczy teraz raczej nie potwierdzi, ale pewnie potem. Kiedyś potem.

Czyżby pan wiceprezydent zaczął się plątać?

– Co było później? – zapytałem i zaraz w myślach skłamałem się grubym słowem. Już bardziej niekonkretnego pytania chyba nie mogłem zadać.

– Wstałem koło siódmej, żona jeszcze spała. Ona lubi gnić w łóżku do późna. – Wyczuwam niechęć do połowicy? Zastanowił mnie ton głosu Dudka. – Wypiłem kawę, przegryzłem tosta. A potem mnie coś tak jakby tknęło. Jowita wczoraj była na imprezie, chciałem sprawdzić, czy wróciła do domu.

– A zdarzało się, że nie wracała? – drążyłem.

– Panie, to dorosła kobieta jest... była. – Płynnie zmienił czas teraźniejszy na przeszły. Jak na mój gust, zbyt płynnie. – Po maturze. Na siłę w domu jej nie trzymałem.

Dorośla jak dorośla, chciałem mruknąć, ale się powstrzymałem.

– Sprawdził pan i...?

– W sypialni jej nie było, ale łóżko było rozgrzebane, a ciuchy śmierdzące petami wisiały na krześle. Pomyślałem, że jest w łazience. Stałem przy drzwiach i zapytałem, czy chce śniadanie. Nie odpowiedziała, pchnąłem drzwi i...

Wbił wzrok w regał, jego prawa noga nerwowo podrygiwała. Nie zamierzałem dręczyć go ponad miarę, nie chciałem, żeby opisywał to, co zobaczył. I co ja też widziałem. Choć lata temu mój terapeuta zapewniał, że słowa mają wielki dar leczenia, tonowania emocji. Gówna prawda.

Odwrócił twarz w moją stronę i spytał głuchym głosem:

– Dlaczego ona to zrobiła?

– Będziemy to wyjaśniać. Czy córka nie miała ostatnio jakichś problemów?

– Nie sądzę – odparł szybko. – Dostawała, co tylko chciała, dobrze się uczyła, na prawo miała pójść.

– A może z kimś się kłóciła? Zna pan jej kolegów, przyjaciół? Chłopaka?

– Nie bardzo. – Uciekł wzrokiem. – To raczej żona się w tych jej znajomościach rozeznawała. Ja nie mam za dużo czasu, wie pan, służba publiczna...

Aha, publiczna... Raczej ciężka, wytężona praca ku chwale i pożytkowi rodu Dudków.

– Porozmawiam z pana żoną... we właściwym czasie.

– Nie dzisiaj? – zdziwił się Dudek. – Myślałem, że sprawa zostanie szybko zamknięta.

– Śledztwo to nie skręcanie długopisów, trudno powiedzieć, ile potrwa – rzuciłem wątpliwej jakości bon motem.

Wiceprezydent zamruczał coś niewyraźnie pod nosem, już chciałem zapytać, w czym problem, kiedy w drzwiach stanął Żyguli, który najwyraźniej jako tako doszedł do siebie. Choć ciągnęła od niego kwaśna woń.

– Prokurator przyjechał.

Powiedziałem wiceprezydentowi, że jeszcze wrócimy do rozmowy, i wyszedłem na spotkanie prawnika, który, jak się okazało, wyjątkowo

nie występował w korporacyjnym mundurku. Prokurator Tadeusz Nowicki wyglądał tak, jakby ściągnięto go wprost z pola golfowego, miał na sobie krótkie lniane spodnie i beżową koszulkę polo z krokodylem na piersi. Pomyślałem, że ze względu na powagę urzędu mógłby przynajmniej zamienić gatki na długie. Rzucił niewyraźne „dobry”, nie raczył mi podać ręki. Nie zdziwiło mnie to wcale. Od razu przeszedł do konkretów, spiesząc się tak, jakby w samochodzie czekało na niego zaryczane dziecko. Nie czekało, Nowicki był notorycznym kawalerem i dzieci nie miał. A jeśli nawet, to się do nich nie przyznawał. Obejrzał łazienkę, pochylił się nad ciałem Jowity, porozmawiał chwilę z Dudkiem na osobności, a potem, już w drzwiach, rzucił, że koniecznie chce być informowany o wszelkich czynnościach podejmowa-nych w śledztwie. I już go nie było. Został po nim tylko wolno opadający tuman kurzu, który wznosiła mknąca ku szosie beemka. Zastanowiło mnie, że prokurator, który zwykle nie wnikał, co i jak robią policjanci, byle kwity jako tako się zgadzały, aż tak bardzo zainteresował się tym dochodzeniem. Nie wróżyło to niczego dobrego. Postanowiłem, że będę się tym martwił później.

Technicy powoli kończyli swoją robotę. Żuki gnojjarze niecierpliwie dreptali przed drzwiami. Nagle obok mnie zmaterializował się Dudek. Niczym duch zgnębionego ojca. Z tandetnej inscenizacji sztuki Szekspira w prowincjonalnym teatrze.

– Gdzie zabieracie... – głos mu się załamał. Nie był więc aż tak zimnym sukinsynem. – Gdzie zabieracie Jowitę? – dokończył nie bez trudu.

Nie cierpiałem przekazywać tego rodzaju informacji, ale cóż było robić, musiałem.

– Do zakładu medycyny sądowej. Zrobią tam sekcję zwłok.

– Będziecie kroić moją córkę? – Brwi Dudka podjechały nieomal na czubek pokrytej rzadkimi włosami głowy.

– Takie są procedury w tego rodzaju przypadkach.

– Nie pozwolę – wysyczał, zbliżając się do mnie z zaciśniętymi pięściami.

– Przykro mi. – Rozłożyłem ręce.

Wiceprezydent zastygł w bezruchu.

– Zaraz dzwonię do komendanta.



Westchnąłem. Wiedziałem, że to zaklęcie prędzej czy później padnie. Wprawdzie miałem jeszcze w planach przeszukanie pokoju nieszczęsnej dziewczyny, ale uznałem, że w tym momencie będzie zdecydowanie lepiej, jeśli zniknę panu wiceprezydentowi z oczu. Na odchodne poprosiłem tylko Kozieja, aby jego ludzie dokładnie obejrzeni, obfotografowali i zaplombowali pokój dziewczyny. Tak na wszelki wypadek.

Nie spieszyło mi się do komendy, jechałem poniżej przepisowej pięćdziesiątki. Najchętniej w ogóle nie wracałbym tego dnia do fabryki, tylko zaszyłbym się w mojej zagraconej dziupli. Rozdzwoniła się komórka. Felicja. Zjechałem na pobocze i odebrałem. Pytała, pokaszując jak dwusuw leciwej syrenki, czy może nie wpadnę do niej. Przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić, z jednej strony pogawędka z Felicją pewnie pomogłaby mi odegnąć złe myśli, z drugiej – jak najszybciej chciałem zostać sam. Wybrałem drugą opcję, wymówiłem się robotą, właściwie nawet zbyt nie nałgałem. Nie naciskała, nie jęczała, że ją zaniedbuję, nigdy tego nie robiła i za to, między innymi, ją uwielbiałem. Nie miałem wyrzutów sumienia, wiedziałem, że na pewno nie będzie tkwiła sama w domu, gapiąc się przez okno na ludzi przechodzących ulicą Płońską. Ciągłe ktoś ją odwiedzał, albo przyjaciółeczki, żeby poplotkować przy kawusi i ciasteczku, albo absztyfikanci w wieku poprodukcyjnym z klubu seniora, nazywanego przez babkę z właściwym jej poczuciem humoru Geriatrycznym Klubem Rozrywki. Umówiliśmy się, że pojedą do niej nazajutrz.

Zaparkowałem przed fabryką, ale zamiast pójść w stronę budynku, ruszyłem ku Warszawskiej. Z oddali dobiegało zawrosczenie kościelnych pieśni, szuranie stóp powoli przesuwanych po asfalcie. Nie wiem, co mnie tam pognało. Stałem na chodniku, oparty plecami o mur kamienicy, patrzyłem na przeciągającą procesję. Dziewczynki w białych sukienkach i takiego samego koloru stroikach, czy jak tam to się nazywa, sypały z koszyczków płatki kwiatów, wirujące powoli w podmuchach słabego wiatru. Były tak poważne – i niewinne. Pewnie Jowita Dudek też swego czasu paradowała po ulicy w podobnej sukieneczynie, wyglądała jak aniołek, była oczkiem w głowie rodzicieli

i miała szczęście prawie na stałe wymalowane na buźce. „Na głowie kwietny ma wianek” – te sprawy, jak rzekłby Głównodowodzący. Aż wreszcie kilka lat później dopadły ją demony. Niby historia, jakich wiele, nic specjalnego, nic dziwnego, ale... „Dlaczego to zrobiłaś?”, wyszeptałem, powtarzając pytanie Dudka. Przechodząca obok kobieta z dzieckiem na ręku przyjrzała mi się uważnie, ale pewnie pomyślała, że się modłę. „Dlaczego to zrobiłaś?” Pytanie powracało jak echo z przeszłości, którą, jak mi się zdawało, kiedyś skutecznie odkreśliłem bardzo grubą kreską.

W kieszeni spodni zawibrowała komórka, odebrałem, nie spoglądając na wyświetlacz.

– Gdzie ty się podziewasz? – Gajowniczek darował sobie wstępy.

– Zaraz będę. – Nie zamierzałem się tłumaczyć.

– Od razu wal do mnie.

„Wal do mnie”, uwielbiałem wyszukane zwroty Głównodowodzącego.

Szef wędrował równo odmierzonymi krokami od ściany do ściany, jakby jego gabinet był więzienną celą. Nie odbiegało to wiele od prawdy.

– Zadzwoił do mnie komendant, któremu przy obiedzie bardzo popsuł humor wiceprezydent Dudek.

– I przez to rosół już mu nie smakował? Szkoda jedzenia, bo na przykład w takiej Afryce... – udawałem głupiego, co czasami wychodziło mi całkiem znośnie.

– Zamknij się, debilu!

Też mi nowina! Byłem nazywany debilem raz w miesiącu. Może nawet częściej. Poza tym miałem też pewność, że średnio zboleły po stracie jedynaczki ojciec chwyci za telefon, nim zdążę zatrzaskać drzwi jego domu. W spokoju, nie odzywając się słowem, wysłuchałem dramatycznego monologu szefa, który opierniczał mnie za rzeczony debilizm, objawiający się brakiem delikatności w rozmowie z Dudkiem, i wyklinał swoich podwładnych w ogóle, a w szczególności mnie od matolów i nieudaczników, którzy nie są w stanie załatwić jak trzeba nawet najprostszej sprawy. Gdy, zasapany, przerwał, rzuciłem

krótkie:

– Tak.

Wbiło go w ziemię.

– Co znowu za „tak”?

– W zupełności zgadzam się z szefem.

– Ty mnie, Konrad, nie wkurwiał, bo wywalę cię z roboty z takimi kwitami, że w tym mieście nie znajdziesz zajęcia nawet jako śmieciarz.

– Jest jeszcze w okolicy kilka innych sympatycznych miasteczek.

Przasnysz?

– Się zdziwisz.

Wizja pójścia na zasiłek nie przeraziła mnie ani trochę, ale dla świętego spokoju zmilczałem i zrobiłem minę w rodzaju „taki mały, taki biedny”. Miałem nadzieję, że ma już dość połajanek. Nie byłem tego dnia w nastroju do wysłuchiwanie jego tekstów.

– W takim razie jakie są rozkazy wiceprezydenta... chciałem powiedzieć, komendanta?

Gajowniczek znowu podjął wędrówkę po gabinecie, ale zaraz opadł na fotel i wbił we mnie wzrok.

– Przypomnij mi, dlaczego ja cię tu jeszcze trzymam?

Byłem pewien, że jest to pytanie retoryczne, ale nie mogłem sobie odmówić odpowiedzi:

– Ze względu na mój urok osobisty i niezwykłą jak na psa erudycję.

– Zamknij się! – ryknął. Chwycił leżący na biurku długopis i zaczął nim pstrykać. Trochę mnie to irytowało. – Jutro przesłuchasz Dudkową... I jeszcze może ze dwie osoby, ja wiem... Jej wychowawczynię z ogólniaka, czy kogoś tam, żeby było parę kwitów na wszelki wypadek. Poczekasz na dokumenty od zimnego i jak najszybciej zamkniesz sprawę. Bo nie ma sprawy. Te sprawy.

Trochę z rzeczownikiem „sprawa” się zaplątał, ale cóż, nigdy nie był wybitnym mówcą. Nie zamierzałem jednak prostować zawilgoci jego stylu. Zmyłem się od razu. W pokoju nie zastałem nikogo, pewnie koledzy pozorowali działania w terenie. Poczulem głód, jednak szansa, że w Boże Ciało uda mi się znaleźć jakąkolwiek otwartą knajpę w okolicy komendy, była nikła, nie pozostawało mi więc nic innego jak ścisły post. To nawet lepiej, w końcu regularną aktywność fizyczną zarzuciłem już dawno, a czasy, kiedy mogłem objadać się bezkarnie,

odeszły w niepamięć lata temu. Zaparzyłem kolejną kawę, odpaliłem komputer i w nowym dokumencie wpisałem nagłówek: „Kejs Jowity Dudek”... A potem zapadłem w iście buddyjski bezruch, dosłownie i w przenośni, tkwiłem wbity w fotel, gapiąc się tępym wzrokiem w ekran monitora, bez choćby jednej myśli w głowie. Nie wiem, ile to trwało, chyba dosyć długo, bo gdy ocknąłem się z letargu, kawa była już zimna. „Kejs Jowity Dudek”, przeczytałem. Na pozór szykowała się krótka piłka, ale tylko na pozór. Przypomniałem sobie słowa Kozieja: „Ewidentny samobój”... Z drugiej jednak strony wypadało nieco podrażnić, przesłuchać kilka osób, a to wcale nie musiało być proste. Właśnie zaczął się długi weekend, jeden z wielu podobnych w tym roku, skwapliwie wykorzystywany przez rodaków, mających gdzieś szalejący dokoła kryzys, na wojaże po kraju i okolicach, więc szansa, że szybko dotrę do interesujących mnie ludzi, była niewielka. Właśnie, kogo powinienem odpytać? Psiapsiółki, znajomków, kolegów z klasy? Świętej pamięci Jowita była w klasie maturalnej, a matura już się skończyła, dzieciarnia mogła się gdzieś rozjechać. Po pierwsze, musiałem od matki wyciągnąć informacje o znajomościach córki, nie miałem jednak pewności, czy z wiceprezydentową da się w najbliższym czasie sensownie porozmawiać, wyglądała na całkiem rozbitą. Po drugie, powinienem rozejrzeć się w jakże dobrze znanym mi I Liceum Ogólnokształcącym im. Zygmunta Krasińskiego, co w czas cholernego długiego weekendu może być trudne do zrealizowania. Same wątpliwe punkty programu. Co masz zrobić dziś, spokojnie możesz zrobić jutro, przeleciała mi przez głowę jedna z moich ulubionych maksym. Maksyma Gorkiego.

Do końca szychty z umiarkowanym zapalem produkowałem kolejne dokumenty w zupełnie innej sprawie. Papierologia stosowana, na tym właśnie głównie opierała się policyjna robota, zresztą nie tylko policyjna. Przygotowywałem teczkę dla prokuratora. Innego niż ten, którego dzisiaj miałem wątpliwą przyjemność oglądać. Przypadek był banalny, typowy dla Ciechanowa, w ogóle dla tego zapyziałego kraju ze śmiesznie europejskimi ambicjami, choć też tragiczny – z zapłakanymi, zawodzącymi matkami, żonami i kochankami w tle. Niespełna dwa tygodnie wcześniej w podciechanowskiej wiosce odbywała się cotygodniowa zabawa w remizie. Atmosferę podkręcał

nieśmiertelny discopolowy band Weekend Boys, do spółki z przemycanym przez Ukraińców spirytusem. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie dwóch niespecjalnie przytomnych dżentelmenów chwyciło się za koszule, każdy z nich miał przyjaciół, kolegów i znajomków, którzy postanowili włączyć się do wymiany zdań i ciosów, zaczęła się bezładna bójka, podczas której każdy chwycił za to, co akurat miał pod ręką. Na nieszczęście strażacy ochotnicy spod znaku Waldemara „Tableta” Pawlaka byli właśnie w trakcie remontu swoich włości i przy remizie stały palety z kostką brukową. Jeden z kogucików złapał kostkę i trafił precyzyjnie w czerep drugiego. Zgon na miejscu, tyle dobrego, że gość się nie męczył. Na początku, jak zwykle w tego rodzaju przypadkach, sprawa posuwała się powoli, działała lokalna solidarność, nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał, a nawet gdyby, to niezbyt wyraźnie, bo przecież pan władza wie, jak to na zabawie, trochę się wypilo. Istna epidemia pomroczości jasnej. Ale do czasu... Na wioskową, mniej lub bardziej posuniętą w latach kawalerkę, żyjącą zazwyczaj nie wiadomo z czego, to znaczy głównie z rolniczych rent i emerytur rodziców, zawsze dawało się coś znaleźć w naszych bazach, tym razem też znaleźliśmy; niewesoła perspektywa odwieszenia wyroków w cudowny sposób przywróciła niektórym uczestnikom bójki pamięć. Wiadomo było, jak zginął dwudziestojednoletni mężczyzna, który na jesieni miał się żenić, wiedzieliśmy, kto rzucił kostką brukową, tylko motywu nie dało się ustalić, bo nikt nie był w stanie stwierdzić, o co właściwie poszło. Typowa zbrodnia po polsku, przypadkowa, bezsensowna przemoc z ponurym finałem.

Zorientowałem się, że jest już dobrze po czwartej. Nie zamierzałem siedzieć w robocie dłużej, niż ustawa przewiduje, wymknąłem się chyłkiem z komendy, aby przypadkiem nie trafić na Gajowniczkę. Miałem go już na dzisiaj serdecznie dosyć, podobnie jak ledwie zaczętej sprawy. Pomaszerowałem do domu, próbując stłumić wszystkie cisnące mi się do głowy myśli. Z nie najgorszym skutkiem.

Szwendałem się po mieszkaniu, starając się opóźnić nieuniknione. Odgrzałem resztkę bigosu z ostatniej dostawy Felicji. Smakował wybornie, gdyby spróbował go któryś z kulinarnych celebrytów w swoim telewizyjnym programie kulinarnym, na pewno miałby

malowniczy orgazm na wizji. Babka, której krew płynęła w moich żyłach, nigdy nie przepadała za gotowaniem, ale z dziwnym zapamiętaniem warzyła bigos, tłumacząc, że przygotowywanie akurat tej potrawy ją uspokaja. Zapaliłem papierosa, włączyłem telewizor i popstrykałem pilotem. Nie zaciekało mnie nic oprócz programu o waranach z Komodo, pomyślałem jednak, że to może przesada, że chyba mimo wszystko jestem za młody, żeby spędzać wieczór na oglądaniu kanałów przyrodniczych. Wyciągnąłem z szafki czerwone mołdawskie wino, tanie, ale niezłe, a do tego odpowiednio krwiste w kolorze, wręcz doskonałe jako dodatek do atrakcji nadchodzącego wieczoru. Wątpliwych atrakcji, oczywiście. W końcu zrobiłem to, o czym myślałem od momentu, gdy tylko zobaczyłem martwą Jowitę Dudek. Zza rzędu kryminałów Iana Rankina wydobyłem sporego formatu zeszyt w sfatygowanych czarnych okładkach. Po cholere kupiłem wtedy zeszyt w tym właśnie kolorze?! Przecież nigdy go nie lubiłem, nawet w głębokiej żałobie nie nosiłem się na czarno. Cóż, robiłem w tamte ponure dni różne dziwaczne, trudne do racjonalnego wyjaśnienia rzeczy.

## Rozdział 2

### Zapiski depresjoholika I

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Wahadło. Czasami odnosił wrażenie, że wahadłowy ruch to jedyna stała określająca jego życie. Od Ciechanowa do Krakowa, od Krakowa do Ciechanowa, w tę i we w tę. Zdawać się mogło – bez końca. Latami. Bez żalu, ale i bez przyjemności. Spadło to na niego niespodziewanie, przecierpiał, co miał przecierpieć, ale przetrwał. Oswoił sytuację. Tak przynajmniej myślał. Zarzucił kotwicę w grodzie Kraka, Felicja zdalnie sterowała nim z Ciechanowa. Taki układ, niezbyt, w gruncie rzeczy, uciążliwy. Babka w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że musi dać mu jak najwięcej swobody. Może dać mu swobodę, bo miała pewność, że nie zrobi żadnej głupoty. On wreszcie zresetował się, zapomniał o tym, co było, i kiedyś odbierało mu sen. O rodzicach, którzy zginęli w bezsensownym wypadku samochodowym. Na dobrej drodze, w słoneczny przepiękny dzień. O pustce i strachu, które zagarniały go co jakiś czas. Wreszcie był na prostej, właściwie robił, co chciał, może bez wyjątkowej przyjemności, ale też bez większego stresu. Wtedy, w 1999 roku, tak właśnie myślał o sobie, że wyszedł na prostą. Aż pojawiła się Maria.

Trzy lata wcześniej skończył polonistykę na UJ-ocie, dostał do ręki dyplom z piątkami od góry do dołu i niespecjalnie wiedział, co dalej. Po praktykach w szkołach pewny był tylko, że zakłęcie „Obyś cudze dzieci uczył” brzmiało zarazem złowroźnie i prawdziwie. Nie chciał być nauczycielem. I wtedy... Jak zwykle w jego życiu impuls przyszedł z zewnątrz. Jego eks... Właściwie jaka tam eks, byli ze sobą w sumie może ze trzy miesiące na czwartym roku studiów... No dobrze, jego nieoficjalna i krótkotrwała narzeczona rzuciła, że jej fater policmajster szuka kogoś kumatego na stanowisko cywilne w dziale prasowym Komendy Miejskiej Policji w Krakowie. Czemu nie?, pomyślał i złożył kwity. Nie liczył na wiele, ale dostał etat. Stabilny, a do tego niespecjalnie uciążliwy.

Siedział w miniaturowej kanciapie na komendzie, miał biurko, które pamiętało pałowanie studentów w latach osiemdziesiątych, przechylającą się w prawo szafkę pełną segregatorów i krzesło, które nie rozpadło się chyba tylko przez przypadek. I jeszcze obciążoną z emalii maszynę do pisania marki Łucznik. Początkowo dni mijały mu na przerabianiu koślawo spisanych przez gliniarzy notatek i protokołów na informacje dla mediów. Żmudne tłumaczenie z policyjnego na nasze, właściwie było nawet gorsze niż poprawianie uczniowskich wypracowań. Z czasem coraz więcej miał roboty z mediami elektronicznymi, radio takie, telewizja śmaka, coraz częściej zastępował mundurowych. Początkowo mikrofony i kamery trochę go peszyły, ale stopniowo przywykł i do tego. Zaliczył kilka szkoleń, sam potrafił przystosować się do sytuacji, czasami, co tu kryć, nieco stresowych. „Bez komentarza”. „Dla dobra śledztwa nie mogę powiedzieć więcej”. „Zapraszam na jutrzejszą konferencję prasową, na której podane zostaną wszelkie dostępne informacje na temat interesującej państwa sprawy”. Rzucał przeciwiczone frazy i odwracał się na pięcie, ignorując pismaków, którzy chcieli wyciągnąć z niego zdecydowanie więcej.

Babce nie spodobało się, że wybrał pracę w policji i nie trafiały do niej tłumaczenia, że właściwie pozostaje stuprocentowym cywilem. Raz po raz powtarzała: „Mężczyźni w mundurach dobrze wyglądają tylko w trumnach”. Felicję, kiedy już dosiadła ulubionego konika, trudno było z niego zsadzić. Właśnie – koń a ich sprawa rodzinna... Była nastoletnią panienką, kiedy w 1939 roku ułan jazłowiecki Roman, jej mąż, a jego dziadek, poszedł w bój. Zginął w szarzy pod Wólką Węglową. Jakimś dziwnym trafem była podobno na pogrzebie Romana. Przynajmniej tak twierdziła. Nie wnikał, ile w tym było prawdy, a ile rodzinnej legendy, postanowił przecież, że przeszłość będzie średnio go interesowała... Podobnie zresztą jak inne sprawy. W późnych latach dziewięćdziesiątych, powoli wychylających się ku czasom milenijnej niepewności, także kobiety nie wzbudzały w nim specjalnych emocji. Wyszumiał się na studiach, potem zaliczył kilka niespecjalnie długich i niezbyt namiętnych romansów, które kończył bez żalu. Czy nie żałowały jego partnerki, tego nie wiedział i wiedzieć nie chciał. Kiedy akurat miał kogoś, było przyjemnie, kiedy prowadził nieskomplikowane życie singla, nie narzekał. Nie przeszkadzała mu monotonia, powtarzalność dni, tygodni, miesięcy. Chodził do pracy, w której jedynie od wielkiego dzwonu wyrabiał nadgodziny, wieczory spędzał najczęściej w mieszkaniu, które zostało mu po rodzicach, na czytaniu książek i słuchaniu muzyki. W miasto, na spotkania z kolegami, do kina czy teatru, wyruszał niezbyt często. Z niejakim zdziwieniem zauważył, że nie ma ani specjalnych ambicji, ani skonkretyzowanych planów na bliższą czy dalszą przyszłość. Po prostu pozwalał nieść się życiu. Było mu z tym dobrze, wygodnie. Właśnie tak o sobie myślał, że wygodnie mościł sobie życie. Do czasu.

Wahadło znowu się wychyliło, odmieniając jego życie. Z jednej strony miał wprawdzie skłonności do – jak to nazywał – zapadania się w siebie, wchodzenia w rutynę tych samych zachowań i zajęć, ale z drugiej – bardzo szybko się nudził. Ot, taka sprzeczność. Wtedy na gwałt zaczynał poszukiwać nowych podniet. Zaczęło się z początkiem roku 1999, bez powodu, nagle, czyli jak zwykle. Z coraz większym trudem zwlekał się rankami z łóżka, z coraz mniejszą ochotą pokonywał drogę z mieszkania do komendy. Szarobure ściany pracowniczej kanciapy przyprawiły go o odruch wymiotny. I wtedy... Lata wcześniej, kiedy na wieczorze kawalerskim kolegi wozili się po akademiku w dziecięcej spacerówce, stwierdził, że nic już go nie zdziwi. Ale w roku 1999 wszystko się zmieniło... Sprawa zdawała się banalna. Dilerka w liceum. Grupa rozpuszczonych dzieciaków, którym wydawało się, że mogą robić wszystko, bo mają wysoko postawionych rodzicieli. Się mylili...

I pojawiła się Maria.



## Rozdział 3

### Do boju, Polsko!

8 czerwca 2012, piątek

Wydawało mi się, że śnię koszmar.

– Wyłaź z nory!

W końcu rozpoznałem ten głos. Niestety, to była jawa. Przez chwilę, w półprzytomny, skanowałem pamięć operacyjną, próbując przypomnieć sobie, o co może chodzić. Walenie do drzwi nie ustawało.

– Otwieraj, cienki gnoju!

Sąsiedzi wprawdzie zdawali sobie sprawę, że nie ma większego sensu zgłaszanie na komendę, iż w mieszkaniu policjanta dzieje się coś niepokojącego, ale jednak nie chciałem nazbyt mocno testować ich wytrzymałości. Powlokłem się do drzwi, otworzyłem zamki i ruszyłem do kuchni. Nim zdążyłem napełnić wodą elektryczny czajnik, Tamara już stała przede mną.

– Miałeś się ze mną wczoraj spotkać.

Zagadka się wyjaśniła, choć jasna była już wcześniej, a właściwie od samego początku. Tamara. Jedna z moich porażek, ani pierwszych, ani pewnie ostatnich. Od paru ładnych lat jej mąż siedział w krainie Elżbiety II i wykładał glazurę kolejne angolskie łazienki, rozślawiając umiejętności polskiego rzemiosła, a ona nudziła się w Ciechanowie. Też poza ściganiem drobnych złodziei nie miałem za wiele do roboty, więc wyszło, jak wyszło.

– Może jakieś przeprosiny?

Właściwie nawet mógłbym powiedzieć: „Przepraszam”, co mi tam, korona z głowy by mi nie spadła, nie raz, nie dwa mówiłem coś tylko dla świętego spokoju, bez krztyny wiary w wypowiedane słowa i bez wyrzutów sumienia z powodu kłamstwa, ale tym razem nie byłem przekonany, czy warto robić za skrzeszonego. Nie ma sensu

przejmować się Tamarami, tak szybko przychodzą... i odchodzą.

– Felicja mówiła, że jesteś.

To dopiero ciekawostka! Babka nigdy specjalnie nie przywiązywała się do moich kolejnych narzeczonych, utrzymując, że wszystkie będzie traktować z dystansem, póki któraś z nich nie zostanie moją żoną. Nie przyjmowała do wiadomości, że żonę miałem tylko jedną i następnej mieć nie będę. Czemu więc rozmawiała z Tamarą o mnie? To zupełnie nie w stylu babki. Ale cóż, pewnie nieubłagany czas robił swoje. Także z Felicją.

Postanowiłem zastosować wobec Tamary bardzo wredną strategię.

– Zrób śniadanie, pogadamy – powiedziałem.

Pomaszerowałem do pokoju, ubrałem się i cichaczem wymknąłem się z mieszkania. Wiedziałem, że to będzie koniec z Tamarą. Trudno.

Odpaliłem miśka, jak pieszczotliwie nazywałem moje mitsubishi. W pierwszej chwili chciałem od razu jechać do fabryki, ale uznałem, że z tym zawsze zdążę, zadzwoniłem tylko do moich dzielnych współpracowników. Na szczęście nie odebrał Szybki Romek, tylko Jan Kowol, komisarz Jan, jak zwykł się przedstawiać, człek wprawdzie zwyczajny i prosty jak jego imię, ale bezproblemowy, więc obyło się bez narzekań, że wysługuję się kolegami. Właściwie był moim bezpośrednim przełożonym, ale nigdy nie napinał się z tego powodu. Miał tylko jedną ambicję – w spokoju doczekać do emerytury. Zaiste, chwalebne podejście do pracy. Poprosiłem, żeby namierzył kogoś z liceum, z kim mógłbym porozmawiać o Jowicie Dudek, umówił go ze mną po południu na rozmowę, a potem puścił mi esemesem informację o spotkaniu. Z właściwą sobie flegmą komisarz Jan odpowiedział, że na esemesy to on ma za grube paluchy, ale jak coś działa, to dryndnie. Byłem pewien, że załatwi sprawę.

Po dziesięciu minutach zajechałem na Płońską przed posesję babki. Bramka nie była zamknięta, podobnie jak drzwi domu. Nie zdziwiło mnie to, Felicja żyła w błogim przeświadczeniu, że Ciechanów wciąż jest, jak za nieboszczki Ludowej, spokojną miściną, w której przestępczość praktycznie nie istnieje. Próbowałem ją przestrzegać, opowiadałem o złodziejach kręcących się po okolicy albo zwykłych

moczymordach rozglądających się non stop, co by tu zwędzić, aby mieć na flachę, ale moje uświadamiające pogadanki nieodmiennie zbywała wzruszeniem ramion i tekstami w rodzaju: „Złego nic nie ruszy”.

– Felicjo!!! – zawołałem.

Przeszedłem po pokojach, zajrzałem do łazienki. Pusto.

– Felicjo!!!

Zadrzałem. Oczyma wyobraźni widziałem już siebie nad grobem babki, spróbowałem jednak opanować nagły atak paniki. Komórka za ogrodem... Wyszedłem z domu i usłyszałem:

– Czemu się drzesz, chłopczyku? Może jestem stara, ale nie głucha.

Nigdy nie potrafiłem przekonać Felicji, żeby nie zwracała się do mnie w ten sposób. Stała przede mną, trzymając w ręce oskórowanego królika.

– Chłopczyku...

Wtuliłem się w nią. O ile oczywiście mający ponad metr osiemdziesiąt solidnie zbudowany mężczyzna może wtulić się w niewysoką drobną starowinkę. Do stojącej przy drzwiach wejściowych miski odłożyła królicze truchło, które pozbawione miękkiego futra wyglądało żałośnie krucho. Poszliśmy do domu, babka zrobiła kawę. Dwa lata temu kupiłem jej włoski ekspres, niezbyt drogi co prawda, z promocji, którą wypatrzyła moja ówczesna narzeczona Karolina, fanka okazyjnych zakupów, wyprzedaży i bonów zdrapek, ale Felicja i tak wolała parzyć plujki w szklance, które nazywała kawą z żużlem.

– Sabinka wczoraj przyniosła mi sernik, chcesz? – spytała.

– Ciasto Sabinki zawsze – odpowiedziałem bez zastanowienia, choć wiedziałem, że będę później żałował obżarstwa.

Rozprawiałem się z kawałkiem sernika w rozmiarze XXL, Felicja popijała drobnymi łyżkami szatańsko mocną parzuchę, zapaliła papierosa. Nie padały żadne słowa. Potrafiliśmy milczeć, umieliśmy rozmawiać, choć nie zawsze nasze pogawędki były przyjemne. Skończyłem ciasto, odmówiłem gestem dłoni dokładki, zapaliłem i wreszcie wyrzuciłem z siebie to, co leżało mi na wątrobie.

– Właściwie nie wiem, dlaczego mi to robisz – zacząłem bez wiary.

– Aaa, Tamara... – Nie zdziwiło mnie, że chwyciła w lot, o czym mówię.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W gruncie rzeczy nie miałem pojęcia, po co do niej przyjechałem, dlaczego zacząłem temat Tamary. Robienie awantury o byle co było absolutnie bez sensu. Felicja przejęła inicjatywę.

– Wiesz, mam już dobrze ponad osiemdziesiąt lat, niedługo umrę. – Już otwierałem usta, żeby opieprzyć ją za bzdurne gadanie, ale tylko machnęła ręką i ciągnęła: – Nie chcę, żebyś został na świecie sam jak palec.

– Tak, i koniecznie dodaj tekst o szklance wody, której na starość nikt mi nie poda... Ale to jeszcze nie powód, żeby knuć coś za moimi plecami i na siłę swatać mnie z Tamarą.

– A czyż ja cię, chłopczyku, swatam? Czyż ja coś knuję? – Felicja uosabiała alegorię zdziwienia.

– Poza tym chciałem ci przypomnieć, że ona już ma męża.

– Tak, tylko widuje go raz na ruski rok.

– Chyba raczej angielski.

– Nieodrodny wnuk swojej babki. – Uśmiechnęła się i poklepała mnie po policzku. Naprawdę nie wiedziałem, czemu pozwalam jej na takie gesty. Gdyby koledzy z fabryki mnie teraz widzieli, mieliby ubaw po kres mych policyjnych dni.

– Felicjo, nie podlizuj się i nie zmieniaj tematu.

– Jak śmiesz tak się zwracać do staruszki. – Pogroziła mi palcem. – A wracając do tematu... Tamara bez problemu może się rozwieść. Rozkład pożycia. A to przecież taka miła dziewczyna.

Felicja, zapewne, nie wierzyła w Boga, życie wieczne, małżeństwo, rodzinne więzi i inne rzewne duperele, w których zwykle pokładają wiarę osoby w jej wieku. Do szału doprowadzał ją Kościół i faceci w czerni. Czasami zastanawiam się, jak babka dogaduje się z tymi wszystkimi koleżaneczkami, które spowiadają się co drugi dzień, a Radia Maryja słuchają nawet przez sen. Choć z drugiej strony dawno już zauważyłem, że Felicja umie porozumieć się prawie z każdym. Nie mam pojęcia, jak jej się to udaje, próbowałem nawet podpytywać o to, ale konsekwentnie odpowiadała, że wystarczy jedynie ludzi uważnie słuchać. Nie kupowałem tej recepty tak do końca, bo, jak mi się zdawało, lepiej sprawdzała się w mojej pracy, gorzej w tak zwanym życiu prywatnym.

– Z Tamarą to już koniec. – Chciałem jak najszybciej uciąć temat.

Felicja westchnęła, zdusiła niedopałek w kryształowej popielnicy wielkiej jak talerz i zaraz odpaliła następnego papierosa. Opowieści o szkodliwości nikotyny, szczególnie w jej wieku, darowałem sobie dawno temu. Zresztą, przyganiał palacz palaczowi.

– Dobrze, zbieram się, bo robota stygnie – rzuciłem, wstając.

Babka wypuściła chmurę dymu i zapytała:

– To ty się zajmujesz sprawą Dudkówny?

Klapnąłem na krzesło z cichym westchnieniem.

– Skąd o tym wiesz?

Nie pomyślałem, nim zapytałem. Jasna sprawa, ciechanowski Geriatryczny Klub Rozrywki w pozyskiwaniu informacji był przecież skuteczniejszy niż CIA z Mosadem razem wzięte. Jeśli coś działo się poprzedniego dnia, to bez wątpienia całe towarzystwo było już doskonale wprowadzone w temat.

– A bo wiesz, Teresa ma znajomą, której córka sprząta u Dudka, i ona...

I to by było na tyle w temacie świętej tajemnicy śledztwa. Jeszcze tego tylko mi brakowało, żeby Głównodowodzący przyczepił się, że nie trzymam języka za zębami i rozpowiadam po mieście, co się zdarzyło w domu wiceprezydenta. A ja przecież niewinny jak początkująca dziewczica...

– Felicjo, to jest moja praca i moja sprawa, rozumiesz, tajna i poufna. Aha – zadziałałem automatycznie – podaj mi jej nazwisko.

Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni znoszonej lnianej marynarki notes w szkocką kratę, który Szybki Romek, zapewne znawca tematu, nazwał kiedyś pedalskim, i długopis.

– Kmiecik. Teresa Kmiecik.

– Nie twojej znajomej, tylko tej dziewczyny sprzątającej.

– Jakiej tam dziewczyny. – Felicja zaśmiała się chrapliwie. – Ona ma już dobrze po trzydziestce, dokładnie ile, to nie pamiętam. Marta Coja. Zresztą niczego sobie rozwódka, z jednym tylko mocno odchowanim bachorem...

– Felicjo, prosiłem cię, żebyś przestała – upomniałem ją łagodnie.

– Oj tam, oj tam.

Z czytanych namiętnie książek – jak na emerytowaną polonistkę

przystało – i od rozmaitych wnuczek, czasami przyprowadzanych do niej przez psiapsiółki, podłapywała zwroty z jak najbardziej współczesnej polszczyzny i wplatała je w nasze rozmowy, co dawało komiczny efekt. Nie mogłem się nie roześmiać.

– Ładnie to tak naigrywać się ze starszej, schorowanej, doświadczonej przez los i bezdusznego wnuka pani? – Felicja wykrzywiła usta w błazeńskim uśmiechu.

– Dobrze, starczy. – Wiedziałem, że jak zaczniemy przerzucać się żartami, to nie wyjdę stąd przed południem. – Dzięki za tę Martę Coję. Będę musiał z nią porozmawiać.

– Jak mogę, to pomogę. A właśnie, dzisiaj przychodzą na tysiąca Antoni, Sabinka i Maria, to mogę jeszcze popytać o to i owo.

– Zabraniam ci się tym zajmować.

– A czyż ja się, chłopczyku, kiedykolwiek bawiłam w jakieś śledztwa? Żadna ze mnie Miss Marple. Po prostu znam kilka osób, rozmawiam z nimi, bo lubię, więc czasami się czegoś dowiaduję. I mogę ci przecież o tym opowiedzieć, jak babka wnukowi.

Dobre sobie, kilka osób. Felicja знаła w Ciechanowie wszystkich. Nie miałem szans, by ją przegadać, więc postanowiłem uciąć rozmowę.

– Dobrze, to dowiedz się teraz, co z tym bestialsko pozbawionym życia królikiem, a ja lecę już do roboty.

Cmoknąłem ją w pomarszczony pachnący mocnymi papierosami i mydłem rumiankowym policzek.

Nim przekręciłem kluczyk w stacyjce, zmieniłem plan akcji i postanowiłem zacząć pracę od rozpytania. Nie umawiałem się wcześniej na rozmowę z Dudkową, ale może to i lepiej. Postanowiłem wziąć ją z zaskoczenia, oczywiście, o ile w ogóle będzie można wycisnąć z niej choćby kilka sensownych zdań.

Przed pseudodworkiem miejskiego notabla stała cała masa samochodów. Istny przegląd osiągnięć niemieckiej motoryzacji. Tłumiąc chęć sięgnięcia po papierosa, podszedłem do drzwi domu. Gong zabrzmiał złowieszczo. Otworzyła mi mocno posunięta w latach pańcia z przypaloną blond trwałą na głowie. A myślałem, że fryzura à la sklepowa z mięsnego już dawno odeszła w niepamięć. Moja

prezentacja, uwiarygodniona legitymacją, nie zrobiła na niej większego wrażenia. Wyglądało na to, że nie zamierzała wpuścić mnie do środka.

– Ale właściwie w jakiej pan tu sprawie? – Natura obdarzyła kobietę irytująco piskliwym głosem.

– Śledztwa, droga pani, śledztwa. – Dogrzebałem się chyba do najgłębszych pokładów swojej cierpliwości. – Chciałbym porozmawiać z panią Dudek.

– Bratowa nie czuje się dzisiaj najlepiej.

Nie skomentowałem, że wczoraj też była nie do życia i pewnie przez najbliższe kilka dni ten stan raczej nie ulegnie zmianie.

– To już ja ocenię – powiedziałem i lekko pchnąłem drzwi.

Wpuściła mnie do środka, acz niechętnie. Po domu kręciło się jeszcze kilka nieznanymi mi osób. Odzwierna zarejestrowała mój rozbiegany wzrok, bo zaraz pospieszyła z wyjaśnieniami:

– Brat poprosił rodzinę, aby była blisko w tych trudnych chwilach.

– A gdzie jest Du... pan wiceprezydent?

– W pracy.

Nie zdziwiło mnie to. Tragedia tragedią, ale przecież trzeba trzymać rękę na pulsie interesów. Przyczłapała do nas staruszka od stóp do głów odziana w czerń, w koronkowej chuście okrywającej plecy wyglądała jak wdowa z filmu o kruczowłosych chłopaczkach z sycylijskiej mafii. Solidnie już martwych.

– A ten tu czego? – W głosie seniorki nie czuć było ni krztyny sympatii.

– Mamo, to policjant – wyjaśniła pańcia, lekko popychając staruszkę w stronę kuchni.

– Milicjant, tego tu jeszcze tylko trzeba – burknęła kobieta w stroju zawodowej żałobnicy i zniknęła za drzwiami.

Moja błyskotliwa riposta, że milicjanci to teraz są, ale na Białorusi, zapewne pozostałaby bez odpowiedzi, więc zrezygnowałem z niej bez żalu.

– Mama... Wie pan... Bardzo to przeżywa. To pierwsze samobójstwo w naszej rodzinie – objaśniła siostra Dudka.

– Rozumiem. – Nie ma to jak rzucić bezsensownym tekstem. – Gdzie jest pani Dudek? – Dość już miałem pogaduszek z tlenioną blondyną.

– W ogrodzie.

Poprowadziła mnie przez taras na tyły domu. Poprzednim razem nie rozglądałem się zbyt po posesji, więc widok mnie zaskoczył. Ogromna przestrzeń, wycacane rabatki, alejki wysypane piaskiem drobnym jak z bałtyckiej plaży, zadbane drzewa i krzewy, w większości absolutnie nieznanymi mi odmianami i gatunków. Albo Dudek zainwestował w fachowca od aranżacji ogrodów, albo jego żona miała dużo wolnego czasu i chęci do pracy na świeżym powietrzu. Pewnie i jedno, i drugie. Pańcia wskazała na pergolę obrosniętą pnąciami czerwonymi różami o drobnych kwiatkach:

– Tam jest Maria.

– Maria? – Jeszcze i to.

– Żona brata.

Czułem każde ziarenko piasku pod stopami, każdą smugę zapachu. Kolory kwiatów były mi po oczach. Byłem wrażliwszy niż mimoza

Dudkowa siedziała w rattanowym fotelu, wbijając wzrok w rachityczną bugenwillę. Na powitanie zareagowała z opóźnieniem, powoli odwracając głowę. Bez wątpienia znowu była na prochach, pytanie tylko: jak mocnych? Moją prezentację przyjęła skinieniem głowy, nie powiedziała nic. Stałem obok, przez chwilę nie wiedząc, co robić, w końcu klapnąłem na drugi fotel, wyciągnąłem notes, długopis i zacząłem delikatnie:

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Bez odzewu.

– Zdaję sobie sprawę, że to trudny dla pani moment, ale... Jest pani w stanie udzielić mi odpowiedzi na kilka pytań?

Jedynie lekki ruch głowy, jakby skinienie, ale wciąż bez słowa.

– Wiem, co to znaczy, stracić... – Zamknij się!, skarciłem się w myślach. Jeszcze tylko tego brakowało, żebyśmy tu we dwójkę zaimprovizowali naprędce grupę wsparcia i wypłakiwali się sobie w mankiety.

– Może pani mówić? Bo jeśli nie, przyjdę później – wolałem postawić sprawę jasno niż tracić czas na celebrowanie wspólnego milczenia.

– Moogeeeę – głos Dudkowej brzmiał jak nagranie odtwarzane na popsutym kaseciaku.



Zdecydowałem, że jednak spróbuję coś z niej wyciągnąć. Jeśli nie, trudno, załatwię to później. Wprawdzie wedle zaleceń Głównodowodzącego miałem się spieszyć, ale przecież mogłem spieszyć się powoli.

– Zna pani przyjaciół, znajomych córki? Miała chłopaka?

Wiceprezydentowa powoli odwróciła się ku mnie, próbowała skupić wzrok na mojej twarzy albo mniej więcej w jej okolicach. Niespecjalnie jej się to udało.

– Kogoś, z kim najchętniej się spotykała, najczęściej w ostatnim czasie rozmawiała? – doprecyzowałem.

– Maaa dwiee przyjaaacióóki, chooodziiiiłyyy dooo jeeedneeej klaaasyyy. – Nagle głos Dudkowej jakby zaskoczył, pokonując chemiczną blokadę. Mówiła bardzo powoli, ale w miarę płynnie: –

Kasia Zawadzka i Paulina Nosalska. Często się spotykały, uczyły razem, chodziły na imprezy. A chłopak? Ostatnio chyba nikt na stałe. Przynajmniej Jowita nic mi konkretnego nie mówiła. Wcześniej była dłuższy czas z Patrykiem, ale jak wyjechał na studia, to ich związek się posypał. Szkoda, taki miły chłopak, studiuje medycynę w Gdańsku.

– Nazwisko?

– Stawarczyk.

Zapisałem dla porządku, ale nie przewidywałem, że to będzie jakikolwiek sensowny trop. Chociaż z drugiej strony ludzie z zazdrości robili rozmaite głupoty.

– Czy córka była z kimś w konflikcie? Jakies kłótnie?

Dudkowa powoli odgarnęła włosy opadające na czoło, znowu skierowała wzrok na bugenwillę.

– Raczej nie. Z tego, co wiem, była lubiana przez kolegów, w szkole nie miała problemów. Wie pan, to było takie idealne dziecko, nawet okres dojrzewania przeszła bez specjalnych buntów.

– A czy ostatnio nie zauważyła pani czegoś podejrzanego, nietypowego? Może były jakieś zmiany w zachowaniu albo nastroju córki?

– Może wydawała się trochę bardziej podenerwowana niż zwykle, ale przecież miała maturę, wiadomo, jaki to mimo wszystko stres, nawet dla kogoś, kto nigdy nie miał problemów z nauką. Może częściej wieczorami nie było jej w domu... Nie dopytywałam za bardzo, dokąd

chodzi, w końcu to już dorosła panna... – Zamilkła na dłuższą chwilę. – Nic nie zauważyłam, nic nie przeczulałam. Aaa przeeciieeież jaaakooo maaatkaa...

Nie dokończyła, jakby zapadła się w siebie, w wewnętrzny mrok, który na pewno czaił się gdzieś na granicy spacyfikowanej lekami świadomości. Byłem pewien, że już nic więcej tego dnia z niej nie wyciągnę. Poza tym, co tak naprawdę rodzice wiedzą o swoich gwałtownie dorastających dzieciach? W niejednym śledztwie okazywało się, że ludzie żyjący latami obok siebie wiedzieli o sobie zatrwając mało. Zostawiłem na stoliku wizytówkę, wyrecytowałem formułkę o kontaktowaniu się ze mną, w razie gdyby coś się jej przypomniało. Prawdopodobnie moje słowa nie dotarły do Dudkowej.

Nim doszedłem do pseudodworku, rozdzwoniła się moja komórka. Gajowniczek sprawdzał, co robię, i kolejny raz przypomniał, że jak coś znowu nawywijam i będą na mnie skargi, to on już się ze mną policzy. Tym razem nie wspominał o wyrzuceniu mnie z roboty z wilczym biletem. Dzięki Ci, Panie, i za te niezbyt hojne dary!

Tleniona blondyna chyba miała mnie cały czas na oku, bo gdy tylko wszedłem na taras, zmaterializowała się tuż obok.

– Zna pan drogę do wyjścia? – spytała. Ewidentnie było to pytanie retoryczne.

– Oczywiście, nie mam problemów z orientacją w przestrzeni – nie mogłem darować sobie drobnej złośliwości. – Ale chciałbym jeszcze zerknąć na pokój Jowity.

To był impuls, właściwie nie musiałem tego robić, bo techniczni poprzedniego dnia mieli przeszukać kwadrat i zabezpieczyć wszystko, co trzeba, ale chciałem jednak przyjrzeć się lokum dziewczyny, spróbować choć w ten sposób zbliżyć się do niej. Pewnie łudziłem się, że wpadnę na jakiś, jakikolwiek ślad. Grymas na twarzy mojej strażniczki wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że nie jest to po jej myśli, ale jednak poprosiła, bym poszedł za nią. Drewnianymi kręconymi schodami dotarliśmy na poddasze. Zerwałem plombę z drzwi. Blondyna pchnęła je, nim zdążyłem zareagować. Stała w progu. Odsunąłem ją lekko, z miną pod tytułem: „Prowadzę czynności śledcze, nie przeszkadzać”. Na pozór był to całkiem zwyczajny pokój, z częściowo skośnym, jak to na poddaszu, sufitem,

niezbyt zagracony, choć urządzony z wyraźną dbałością o funkcjonalność i wygodę. Rozglądałem się z przecuciem, że coś w przestrzeni, w której byłem, jest nie tak... I nie chodziło w tym przypadku o walające się wszędzie ciuchy. Pokój Jowity wydał mi się w niejasny sposób bezosobowy, jakby był hotelowym numerem albo stanowił scenografię serialowego tasiemca z życia dobrze sytuowanej młodzieży. Wszystkie przedmioty zdawały się mieć raz na zawsze ustalone miejsce. Brakowało mi tu, bo ja wiem czego?, jakiegoś od czapy misia przytulaka zachowanego z dziecięcych czasów, może plakatu zespołu czy filmowego fotosu na ścianie albo oprawionych w ramki zdjęć, czegoś, co nadawałoby wnętrzu bardziej osobisty charakter. Może to po prostu wynik starannej pracy tej całej Marty Coi, którą nadała mi Felicja.

– Wie pani, czy Jowita sama sprzątała w swoim pokoju? – spytałem blondynę, bez większej wiary, że otrzymam klarowną odpowiedź. Kobieta jedynie wzruszyła ramionami. Cóż, mógłbym robić za wróża, zawsze to jakiś pomysł na zarobek, jeśli Gajowniczek wywali mnie z hukiem z roboty.

Już miałem wychodzić z pokoju, gdy w jego rogu, niedaleko obszernego tapczanu, rozległ się wyraźny dźwięk dzwonka telefonu, przechodzący zaraz w skoczną piosenkę. Ki sęk, przecież techniczni iskakce mieli zabezpieczyć komórę i kompa dziewczyny, takie są procedury. Podeszedłem do niewielkiego stolika nocnego. Piosenka urwała się nagle. Wysunąłem szufladę, kłębiły się w niej kable, słuchawki, ładowarki, były też dwa aparaty telefoniczne. No ładnie, trzeba będzie opieprzyć od góry do dołu chłopaków Kozieja, przeszukali pokój po łebkach, pomyślałem. Zastanawiałem się, czy nie powinienem sam obejrzeć wszystkiego dokładnie, w końcu, jak mawiała Felicja, jeśli na innych liczysz, to się zawsze przeliczysz. Na to jednak będzie jeszcze czas, dzisiaj miałem w planach inne zajęcia.

– Ma może pani zbędną reklamówkę? – spytałem cerberkę.

Znowu nie odpowiedziała, zaczynało mnie to już irytować, ale przynajmniej ruszyła tyłek i zniknęła w głębi domu. Zaraz przyszła z torbą taniej sieci marketów w ręku. Zacząłem pakować do niej komórki znalezione w szufladzie.

– A pan tak może zabierać sobie te telefony? – raczyła się wreszcie

odezwać, choć akurat w tym momencie lepiej byłoby dla niej, gdyby konsekwentnie milczała.

– Oczywiście. Mogę również i panią zabrać ze sobą na komendę, choć niekoniecznie w reklamówce. – Uśmiechnąłem się szeroko.

Pożegnałem się bez zbędnych ceregieli. Jak sędzę, nie życzyła mi niczego przesadnie sympatycznego na ten dzień. Ani na kolejne.

W fabryce czuć było napięcie, panował tylko z lekka kontrolowany chaos. Nic dziwnego, to przecież na ten dzień przewidziano godzinę W, o osiemnastej meczem dzielnych chłopców Franka Smudy, cudami słynącego, z reprezentacją Grecji miało się zacząć Euro 2012. Czas próby, dla wszystkich. Cała jednostka postawiona została w stan gotowości, przewidywano, i słusznie, nastrój mocno imprezowy oraz spożycie dużego kalibru, co mogło skończyć się zadymami, szczególnie jeśli nasi nie odnieśliby zwycięstwa. Miałem spore obawy, czy godzina W tego pięknego upalnego dnia będzie kojarzyć się ze zwycięstwem, ale wolałem się nie ujawniać ze swoim defetyzmem.

Szybki Romek nie raczył oderwać wzroku od ekranu komputera, gdy wszedłem do pokoju. Zacząłem przekładać komórki Jowity z reklamówki do woreczków na dowody.

– Otwierasz komis ze sprzętem czy co? W sumie robota w sam raz dla ciebie – rzucił aspirant.

– Dowcip ci się wyostrzył przy piątku. Uważaj, żebyś się nie pociął – odparowałem bez namysłu.

Widać było, że Szybki Romek biedzi się nad błyskotliwą ripostą, ale nie dał rady, zaczął więc z zapalem klepać w klawiaturę.

– Komisarz Jan nie zostawił dla mnie wiadomości? – spytałem, bo złośliwości złośliwościami, ale trzeba było jednak ciągnąć wspólnie policyjny wózek. Mniej więcej w jedną stronę.

– Nic nie mówił.

– Gdzie on w ogóle jest?

– Jego niańka jestem czy jaki grzyb? – obruszył się aspirant.

– Może i jesteś grzybem, ale pośledniego sortu, więc racz grzecznie odpowiedzieć, kiedy starszy stopniem kolega pyta.

Roman wbił we mnie wzrok, w którym widać było chęć nie tyle

mordu, ile długotrwałych tortur wzorowanych na dokonaniach chińskich mistrzów tego fachu niezbyt szlachetnego, lecz czasem niezbędnego możliwym tego świata. Choć aspirant miał pewnie o Wschodzie i jego zwyczajach blade pojęcie.

– Był włam do spożywczaka na Śmiecinie, Janek skoczył obłukać sprawę.

– Wielcem ci wdzięczny za tak wyczerpującą informację.

Miałem nadzieję, że na ten dzień wyczerpałem limit konwersacji z matolem. Wybrałem numer do komisarza Jana, odebrał od razu, tłumaczył się, że miał do mnie dzwonić, ale wypadło mu z głowy, gdy musiał zająć się nową sprawą. Coraz częściej zdarzało mu się zapominać o różnych drobiazgach, może faktycznie powinien jak najszybciej udać się na emerytalny odpoczynek, by tam oddawać się ulubionemu hobby – wędkarstwu muchowemu. Nie był jednak całkiem nieużyteczny, umówił mnie z dyrektorem liceum na piętnastą w budynku szkoły. Z samym dyrektorem? Nie spodziewałem się, że ktoś taki będzie chciał się od razu ze mną spotykać, tym bardziej że przecież był długi weekend. Podziękowałem Janowi i już sięgałem po kubek, by zrobić sobie kawę, kiedy burczenie w brzuchu uświadomiło mi, że przez niezapowiedzianą poranną wizytę Tamary nie zjadłem śniadania. Kawał sernika od Sabinki się nie liczył, bo, jak mawiała Felicja, na słodkie jest drugi żołądek. Nie przepadałem za zapychaniem się śmieciowym żarciem, jeśli nie mogłem liczyć na zjedzenie czegoś porządnego, wołałem głodować, postanowiłem więc, że przed wizytą w liceum skoczę do knajpy w mieście i przy okazji napiję się porządnej kawy.

Zdzwoniłem się z Koziejem, był u siebie, więc zebrałem komórki i poszedłem do krainy technicznych. Leszek zdziwił się bardzo, gdy pokazałem mu, co znalazłem w pokoju nieszczęsnej Jowity.

– Ty to masz jednak nosa – powiedział z uznaniem.

– Przypadek. – Machnąłem ręką. – Ale właściwie dlaczego nikt z twoich chłopaków nie znalazł tego towaru?

– Wiesz. – Koziej zmierzwił nędzne resztki siwawej grzywki. – Komóra dziewczyny leżała na biurku, zgarnęliśmy ją, podobnie jak laptopa. Standard procedury. Kurde, nie pomyślałem, że może mieć inny aparat. Człowiek stary, a głupi, albo właściwie głupi, bo stary.

Dopiero teraz, jak o tym myślę... Moja córka też ma kilka aparatów i pewnie ze trzy karty różnych sieci przedpłaconych. Ciągłe w tych telefonach gmera, przegląda, powinienem na to wpaść...

– Daj spokój – uciałem. – Nic się nie stało. – Złość dawno mi przeszła, nie zamierzałem wywrzaskiwać swoich żalów. –

Posprawdzajcie mi tylko to, wyciągnijcie numery telefonów z listy połączeń, powiedzmy, z ostatniego miesiąca. Aha, a co z kompem?

– Zahasłowany jest, informatyk to teraz rozkminia.

– Hasło? – zdziwiłem się. – Kto aż tak chroni własnego kompa?

– Nic specjalnie dziwnego ani nietypowego, niektórzy tak mają. A jak już go otworzymy, to co byś chciał?

– Interesują mnie głównie mejle. Ale na wszelki wypadek sprawdź, jakie ona tam ma cuda-pliki, co oglądała w internecie. Zrób tak, jak zwykle, co ci będę tłumaczył.

– Dobra.

Tyle było o to krzyku, a jednak okazało się, że nawet w takiej dziurze jak Ciechanów czasami zmiany bywają na lepsze. Szedłem ulicą Warszawską zamienioną nie tak dawno w całkiem sympatyczny deptak. Ławeczki, kwietniki, młode drzewka, te sprawy, jakby skwitował Gajowniczek. I ledwie kilka wciąż straszących, opuszczonych ruder, jak choćby budynek dawnego hotelu o dumnej nazwie Polonia. Ponoć zabytkowy. Właściciele sklepów przy tej pryncypalnej ulicy długo stawali okoniem, twierdząc, że wyłączenie jej z ruchu spowoduje, iż ludziska, przyzwyczajone do wożenia tyłków samochodami, nie dotrą piechotą na zakupy. Wyszło na to, że włodarze miasteczka mieli rację, Warszawska rozkwitła i wszyscy na tym skorzystali.

Zasiadłem w ogródku pizzerii, zamówiłem średnią pepperoni i największą z możliwych kaw, czarną, bez cukru oczywiście. Przy stoliku obok trzech zagorzałych kibiców rozważało, ile goli Kuba i Lewy strzelą Grekom. Sądząc po liczbie kufli, mogli nie dotrzeć do meczu. Może to i dla nich lepiej. Lubiłem oglądać futbol, właściwie jedynie kibicowska pasja łączyła mnie z kolegami z fabryki. Swego czasu grałem w juniorach miejscowego klubu, ale gdy zacząłem mieć

problemy z kolanem, dałem sobie z tym spokój. Sport to zdrowie, ale nie zawsze, nie za wszelką cenę. Teraz pozostało mi tylko patrzenie w ekran telewizora i wyklinanie nieudolności naszych kopaczy. W końcu znałem się na tym. Trochę.

Miałem jeszcze pół godziny do spotkania z dyrektorem liceum, postanowiłem, że się przejdę, w końcu w tym mieście wszędzie było blisko, poza tym po obiedzie potrzebowałem trochę ruchu. Szedłem powoli 17 Stycznia, tradycyjną trasą moich powrotów ze szkoły do domu, mostem przedostałem się przez strugę, zwaną dumnie rzeką Łydynią, minąłem dawno temu zasypyany basen na świeżym powietrzu, który planistyczny geniusz PRL-u umiejscowił na podmokłym, zalewowym terenie, co nie mogło skończyć się dobrze, potem koszmarny pomnik Walki-Męczeństwa-Zwycięstwa w kształcie pokracznego, kolosalnego orła z metalu, który w młodości durnej obrzuciliśmy wraz z kumplami jajkami, przez co o mało nie skończyliśmy na dołku... Cóż, choć bronilem się, jak mogłem, przed stwierdzeniem, że Ciechanów jest moim miastem, to jednak prawda była taka, że znałem tu każdy kąt, nieomal każde miejsce było niczym Proustowska magdalenka, wyzwalająca ciągi wspomnień. Tak jak dosyć ponury, nijaki budynek I Liceum, za moich czasów jedyne w mieście, wtedy wciąż jeszcze wojewódzkim. Na zewnątrz trochę się tu zmieniło, zniknął rząd topoli, odgradzający gmaszysko od ulicy, elewacja została świeżo odnowiona, ale w środku było tak jak kiedyś. Bez trudu trafiłem do sekretariatu, przez który wchodziło się do gabinetu dyrektora. Bywałem tam częstym gościem, gdy toczyłem prywatną wojenkę z ówczesnym władcą szkoły, ponurawym, zasadniczym matematykiem z dyplomem moskiewskiej uczelni, o prawo noszenia długich włosów. Instynktownie przeczesalem rzednącą z każdym rokiem czuprynę. I tak, w sumie, miałem nieźle, nie świeciłem łysiną, a lekka siwizna tylko dodawała mi uroku. Przynajmniej tak twierdziły moje narzeczone, a właściwie niektóre z nich.

Sekretarka w trudnym do określenia wieku od razu skierowała mnie do dyrektora. Zażywny, niski grubasek, mimo upału wbity w szary garnitur i pod krawatem, podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

– Dyrektor Andrzej Rosolski. – Jego dłoń była nieprzyjemnie lepka.

– Podkomisarz Rowicki, jak sądzę.  
– Świetnie pan sądzi – rzuciłem.  
– Coś do picia? Kawy, a może coś z procentami? – Dyrektor mrugnął okiem.

– Dziękuję, na zmianie jestem.

– W sensie?

– Na służbie. Mineralną poproszę, gazowaną, jeśli łaska.

Rosolski nadusił przycisk na ustrojstwie stojącym na biurku i rzucił:

– Pani Lodziu, dwie mineralne gazowane.

Ludzie, którzy zamawiali to samo co ja, nie wzbudzali we mnie zaufania, choć za cholerę nie wiedziałem dlaczego. Po chwili sekretarka przyniosła szklanice z zimną, na szczęście, wodą, w których miło stukotały kostki lodu. Rosolski upił kilka łyków. Wbił we mnie wzrok. Milczałem. Miałem niejasne przeczucie, że za tym, iż sam pan i władca liceum pofatygował się w wolny dzień, by ze mną porozmawiać, coś się kryło. Byłem bardzo ciekaw co.

Mój rozmówca zaczął niecierpliwie wiercić się na skórzanym fotelu.

– Taka tragedia, takie nieszczęście... – zaczął niepewnie.

Tragedia... ciekawe dla kogo, pomyślałem. Dyrektor wydał mi się podejrzanie empatyczny. Mogłem go jeszcze podręczyć, ale koniec końców musiałem wreszcie zadać pytania, z którymi nawiedziłem ten przybytek wiedzy.

– Znał pan Jowitę Dudek?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Wiedziałem, z jakiej jest rodziny. Sam pan wie.

Podejrzewałem, że licealna kariera świętej pamięci Jowity nie była pasmem udręk. Niektórzy od samego początku mają raczej z górki niż pod. Do czasu.

– Po tym wszystkim... – Chrząknął. – Zajrzałem do dokumentów. Bo wiem pan, panie podkomisarzu, akurat ja jej nie uczyłem. Oceny miała bardzo dobre, maturę zdała koncertowo. Nie było z nią żadnych problemów.

Do czasu, znowu przeleciało mi przez łeb. Nie znamy dnia ani godziny. A potem są już tylko same problemy.

– Będę potrzebował kontaktu do wychowawcy Jowity, listy uczniów



jej klasy.

– Oczywiście, dostanie pan wszystko, czego potrzebuje. Zresztą, już kontaktowałem się z panią Halicką, w sensie wychowawczynią... Tylko że jest teraz u rodziny w Gdańsku, więc... – Rozłożył ręce.

– Może słyszał pan o tym, że Jowita miała z kimś na pieńku, o jakichś konfliktach?

– Jak już wspominałem, nic mi na ten temat nie wiadomo, przynajmniej na terenie szkoły czy też w związku z naszą placówką nie dochodziło do jakichkolwiek incydentów. A z pytaniem, co się działo poza liceum, to już nie do mnie.

Kiedy byłem nastolatkiem, oficjalna wersja mojego życiorysu, tego, co i jak robię na co dzień i od święta, skrojona na potrzeby rodziców i belfrów bardzo mocno różniła się od moich rzeczywistych działań, podobnie było zresztą w przypadku moich kumpli. Podejrzewałem, że mimo upływu kolejnych dziesięcioleci akurat ten schemat niespecjalnie uległ zmianie, że dzieciaki wciąż kiwają starych, jak mogą, a mogą więcej dzięki mnogości elektronicznych zabawek ułatwiających komunikację. Jak dotąd wszyscy, z którymi rozmawiałem o Jowicie, opisywali ją jako idealnego dzieciaka, który wcześniej nie sprawiał żadnych kłopotów, ale przecież wcale nie oznaczało to, że nie prowadziła równoległego, ukrytego w szarej strefie tajemnic życia, w którym mogła być bardzo niegrzeczną dziewczynką. Zdawałem sobie sprawę, że muszę szukać rysy, pęknięcia na jej oficjalnym portrecie, oczywiście bez gwarancji, że znajdę cokolwiek wartego uwagi.

Zamilkłem. Milczałem chyba zbyt długo, bo Rosolski znowu zaczął wykazywać oznaki zniecierpliwienia.

– Dobrze – czas było kończyć tę niezbyt owocną rozmowę – to na razie tyle, choć nie jest wykluczone, że będę miał jeszcze jakieś pytania do pana albo innych pracowników szkoły.

– Oczywiście, zawsze służymy pomocą, tylko... – Dyrektor splótł pulchne łapki i zaczął kręcić młynka kciukami. Ciekawe, co ci, robaczku, leży na otłuszczonej wątrobie, wykrztuś to wreszcie, pomyślałem. – Miałbym do pana podkomisarza wielką prośbę.

– Jaką?

– Żeby w miarę możliwości nie łączyć tego śledztwa z naszą

placówką. W końcu Jowita Dudek jest już... to znaczy była jedynie naszą absolwentką.

Zawrzało we mnie, kolejny gość chciał po swojemu ustawić moje dochodzenie, ale stłumiłem złość, musiałem najpierw pociągnąć go za język.

– Właściwie czemu panu dyrektorowi tak na tym zależy? Fakty są takie, a nie inne, nic i nikt tego nie zmieni.

– Wszystko rozumiem, z faktami się nie dyskutuje, ale można je na różne sposoby interpretować.

– Panie Rosolski, nie mam czasu ani ochoty na bzdurne gadki i przerzucanie się domysłami, więc proszę otwartym tekstem powiedzieć, o co panu właściwie chodzi.

– O wizerunek szkoły – wypluł słowa, jakby chciał się ich jak najszybciej pozbyć.

Zaczął robić się coraz ciekawiej. Gestem dłoni zachęciłem, by ciągnął dalej.

– Pod koniec zeszłego roku mieliśmy podobny – wyraźnie szukał słowa – incydent, próbę samobójczą uczennicy drugiej klasy, Anny Jurkowskiej. Nałykała się lekarstw, ale na szczęście ją odratowano.

– Wiadomo, dlaczego to zrobiła?

– Ponoć niezdiagnozowana na czas depresja.

Wszystko da się zwalić na tę cichą, trudną do pochwycenia i przyszpilenia zabójczynię. Ale swoją drogą zaintrygowało mnie to, być może spacer do pulchnego dyrektora nie okaże się jedną z wielu zbędnych czynności śledczych.

– Z tą dziewczyną też chciałbym zamienić kilka słów – powiedziałem.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, ponoć ciągle jest w trakcie leczenia.

– Proszę sobie darować tego rodzaju uwagi – syknąłem. – Wiem, co robić w takich sytuacjach.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Czy może jeszcze któryś z pana uczniów targnął się w ostatnim czasie na swoje życie?

– Nie. To były tylko te dwa przypadki, ale... wie pan podkomisarz, w tak krótkim odstępie, mogą się pojawić plotki, Bóg wie jakie

pomówienia, że my się tu znęcamy nad młodzieżą, niszczymy psychicznie. A teraz w szkolnictwie jest ciężko, szkół wiele, a uczniów coraz mniej, rodzice są przewrażliwieni, a media ciągle węszą afery, nawet takie, których nie ma...

Nie zamierzałem wysłuchiwać narzekań trzęsącego się o swoją posadę dyrektora szkoły będącej przecież na samorządowym garnuszku, przerwałem mu pytaniem:

– A przypadkiem nie niszczycie?

– No wie pan co! – zachnął się. – Teraz z uczniami obchodzimy się jak z jajkiem, nie to co kiedyś.

– Znam to „kiedyś”, jestem waszym absolwentem.

– O, to ciekawe.

– Jak dla kogo... Czyli nie było skarg na mobbing ze strony nauczycieli?

– Nic z tych rzeczy, czasami tylko dzieciaki albo ich rodzice narzekają na nadmiar pracy, ale to jest porządne liceum, które ma wyniki, tu się trzeba trochę postarać.

„Jakoś ci nie wierzę i jakoś cię nie lubię”, przyszła mi do głowy wariacja na temat klasycznego tekstu. Trudno żeby sam się podkładał, donosząc na podwładnych. Całe szczęście w odwodzie miałem Felicję, na pewno przynajmniej jedna z jej koleżaneczek ma wnuki w tej szkole i chętnie podzieli się nieoficjalnymi informacjami na temat tego, co dzieje się w murach tego szanowanego powszechnie liceum, którego uczennice ostatnio podejrzenie często mają dość życia.

Chciałem jak najszybciej pogrzebać w dokumentacji starych spraw, zrezygnowałem więc z powrotnego spaceru i zadzwoniłem po zaprzyjaźnionego taksówkarza, choć nie miałem co liczyć na zwrot kosztów.

– Dokąd, panie władzo? – zapytał Mirek, tęgawy jegomość z wąsem na pół twarzy, gdy tylko trzasnąłem drzwiami.

„Panie władzo”! Dobre i tyle, że nie: „władzunio”. Czasy się zmieniają, a niektóre frazy pozostają wiecznie żywe. Że też nie mógł powiedzieć zwyczajnie – panie Konradzie, przecież doskonale wiedział, jak mam na imię.

- Do jaskini lwa.
  - Eee, jaki tam lew. Kot to przecież nie pies. – Taksówkarz wiedział, że może pozwolić sobie przy mnie na ryzykowne żarty. – Się robi. No, to ile ogolimy tych bidoków z krainy nędzy?
  - Boję się, żeby biedni Grecy nie pokazali miejsca w szeregu naszej reprezentacji z krainy mlekiem i miodem płynącej.
  - Pan to jak coś powiesz... – zaśmiał się Mirek.
- Do końca jazdy rozmawialiśmy o meczu. Taki dzień.

Zanim włączył się komputer, który nie był demonem szybkości, porozmawiałem z komisarzem Janem, ponarzekaliśmy na gównianą robotę, sterty papierów do wypełnienia. Kowol lubił sobie pojęczeć, zawsze znalazł jakiś powód, taką miał naturę. Trudno powiedzieć, czy lubił pracę w policji, na pewno się do niej przyzwyczyił, miał na to sporo czasu.

Komisarz Jan stukał jednym palcem w klawiaturę, pisząc raport w sprawie włamu na Śmiecinie, a ja zacząłem przeglądać nasze bazy. Gapiałem się w ekran i zachodziłem w głowę, jak to wszystko mogło mi umknąć. Czemu nie sprawdziłem tego na samym początku? Dlaczego zachowywałem się tak, jakbym był totalnym nowicjuszem, który nie ma bladego pojęcia, od której strony trzeba ruszyć śledztwo? Odpowiedź była właściwie jedna: w odróżnieniu od kapitana Willarda z *Czasu Apokalipsy* nie chciałem tej misji. Ale tak jak on ją dostałem. Oczywiście za grzechy.

Oprócz Anny Jurkowskiej, którą odratowano, i Jowity Dudek, która zmarła, w ciągu ostatnich dwóch lat w Ciechanowie i okolicach jeszcze dwie dziewczyny popełniły samobójstwo. Wszystkie uczyły się w ciechanowskich liceach. Jak na niezbyt wielkie miasto, to chyba jednak za dużo. Wprawdzie ostatnio sporo mówiło się w mediach o rozchwianiu emocjonalnym młodzieży, o jej słabości, narkotykach, dopalaczach, zaplątaniu w wirtualne sztuczne raje, ale liczba samobójstw nastolatek w Ciechanowie znacznie przekraczała średnią krajową. Tak mi się zdawało, bo nie znałem statystyk, nie interesowałem się tym wcześniej, w ogóle nie chciałem się takimi przypadkami zajmować. A tu nagle okazuje się, że w zapyziałej

mazowieckiej mieścinie jest jak w Japonii, gdzie dzieciaki strzelają samobóje na potęgę! Dlaczego nikt nie zwrócił wcześniej na to uwagi? Czemu się czymś takim nie zajęto? Wstrząsnęło mną to dużo bardziej, niż się mogłem spodziewać. Po chwili, kiedy trochę ochłonąłem, doszedłem do wniosku, że rozwiązanie tej zagadki jest banalnie proste. Samobójstwa wciąż należały do tragedii wstydliwych, o których im mniej ludzi wiedziało, tym dla wszystkich było lepiej. A już szczególnie w takich miastach jak Ciechanów, gdzie księża trzymali swoje duszyczki mocno w garści. Rodzinom bez wątpienia bardzo zależało na tym, by jak najszybciej pochować samobójczynię. Po cichu, bez niepotrzebnego rozgłosu. Interesy policjantów były podobne, przynajmniej z dwóch powodów. Raz, grzebanie przy okazji tego rodzaju spraw w rodzinnych brudach nigdy nie należało do przyjemnych, dwa, szybko zamknięte śledztwo korzystnie wpływało na policyjne statystyki. Rzecz ujmując krótko, nikt nie miał interesu, by porządnie wyjaśnić przypadki samobójstw dziewcząt.

Spisałem dane nieszczęśnic, wynotowałem co ważniejsze informacje dotyczące dochodzeń. Ten nagły wysyp samobójstw nie mógł być dziełem przypadku. Przynajmniej tak podpowiadała mi intuicja. Co tu się działo? Na razie nie chciałem o tym myśleć, nie miałem na to siły, czułem się zmęczony jak grabarz, który przez cały dzień rył w twardej niczym skała ziemi bez solidnego wspomagacza. Czemu akurat takie porównanie przyszło mi do głowy? Łatwo zgadnąć.

Miałem dosyć tego dnia i samego siebie. Zrobiłem to, co zwykle świetnie mi wychodziło, uciekłem w udawane emocje. Po drodze do domu zajechałem do sklepu, kupiłem sześciopak piwa, świeży chleb, opakowanie smalcu ze skwarkami i kiszony ogórek. Przy oglądaniu piłki kopanej lubiłem niewymyślny alkohol i proste przegryzki. W mojej dziupli na poddaszu było gorąco jak w saunie, wietrzenie nie pomagało, za oknem upał jakby się nasilał. Właściwie powinienem najpierw wziąć prysznic, bo po całym dniu ganiań po mieście pachniałem jak piłkarz po solidnym treningu, ale nie miało to większego sensu. Za chwilę i tak ociekałbym potem. Włączyłem telewizor, trwało już przedmeczowe studio. Głównym tematem były rozważania dotyczące dachu Stadionu Narodowego, którego nie otworzono mimo nalegań zawodników. Oho, pomyślałem, nie tylko

mnie będzie duszno. Poszedłem do kuchni przygotować talerz kanapek. Ugryzłem jedną na spróbowanie. Smalec był paskudny. Widowisko, które zaraz się zaczęło, też należało do drugiego, jeśli nie trzeciego gatunku.

Po niespełna dwóch godzinach nie miałem już piwa i kanapek, które pochłonąłem nie wiedząc kiedy. Skończył mi się też zapas przekleństw. Gdyby ktoś mnie wtedy podsłuchiwał, musiałby przyznać, że gliniarze są zdecydowanie lepsi w bluzgach od szewców. To była istna grecka tragedia – i nic to, że od samego początku nie liczyłem na wiele! Zaczęło się świetnie, Lewy strzelił z głowy, Grek dostał czerwień, ale potem chłopaki zrobiły wszystko, co tylko można, żeby tego meczu nie wygrać.

Zajrzałem z nadzieją do szafki, ale nie znalazłem żadnej pełnej butelki wina. Mogłem się tego wieczoru dobić tylko w jeden, doskonale znany mi sposób.

## Rozdział 4

### Zapiski depresjoholika II

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Sprawę dilerki w liceum zamknięto szybko i bezboleśnie. W końcu nie był to żaden gang, tylko banda nastolatków, którzy chcieli poczuć adrenalinę i zarobić trochę kasy, ale nie zdawali sobie sprawy z konsekwencji. Po wszystkim dyrektorka szkoły poprosiła komendanta o przeprowadzenie cyklu pogadanek dla uczniów o szkodliwości narkotyków. Jak zwykle nikt się do takiej roboty nie palił, zwykli funkcjonariusze traktowali tego rodzaju zajęcia jako karę za niezawinione grzechy, więc padło na niego, najbardziej wygadanego. Nawet zbytnio nie protestował, zawsze była to jakaś odmiana, a poza tym nie musiał się do tych spotkań specjalnie przygotowywać. Znał całą „narkotykową” literaturę od Baudelaire’a przez bitników aż po Piątka, zapoznał się jeszcze tylko z policyjnymi broszurami i opracowaniami. Wystarczyło.

Przez miesiąc spędzał jeden dzień w tygodniu w liceum. Opowiadał dzieciakom, co narkotyki mogą zrobić z ich mózgami i życiem, rozmawiał z belframami w pokoju nauczycielskim, próbując uświadomić im, jak wygląda i zachowuje się człowiek na haju. Najczęściej rozmawiał z nią, z Marią, co było oczywiste, bo w klasie, w której miała wychowawstwo, aż trzech gości wplątanych było w aferę.

Maria... Była rok od niego młodsza, uczyła biologii. Początkowo nie zwrócił na nią zbytniej uwagi. Szczupła, może aż nazbyt, wysoka brunetka o długich prostych włosach, śniadej cerze, brązowych, niemal czarnych oczach i lekko asymetrycznej twarzy. Żadna piękność. Choć właściwie piękność nieoczywista, jak później o niej myślał. Nim się spostrzegł, ich rozmowy przeniosły się na neutralny grunt. Spotykali się w weekendy, przesiadywali w zadymionych, pachnących woskiem z palących się świec i meblami z pchłego targu knajpach na Kazimierzu, spacerowali bulwarami nad Wisłą, chodzili do kina. Rozmawiali. Od dawna tak dobrze z nikim mu się nie gadało. Maria o swojej przeszłości nie mówiła zbyt wiele, tylko najważniejsze fakty. Że pochodzi ze Skarżyska-Kamiennej i jest jedynaczką. Że wybrała biologię właściwie przez przypadek, ale w końcu ją polubiła, tak samo jak uczenie w szkole. Że był jakiś narzeczony w studenckich latach, ale rozpląnął się w sianej mgłę. Podobała mu się ta powściągliwość. O sobie też powiedział tylko tyle, ile było trzeba. Że też jest jedynakiem. Że stracił rodziców w wypadku samochodowym tak dawno, że już prawie ich nie pamięta. Że wychowywała go ekscentryczna babka Felicja. Że do policji też trafił przez przypadek.

Początkowo nie wiedział, czego właściwie chce od Marii. Byli singlami, którzy, gdy doskwierała im samotność albo zwykła nuda, spotykali się i spędzali miło czas. Powoli się zaprzyjaźniali, ale wciąż tylko do pewnego stopnia, bez wchodzenia sobie z butami w życie. Aż wreszcie ze zdziwieniem skonstatował, że prawie codzienne się z nią kontaktuje, rozmawiają przez telefon albo spotykają się na mieście, zawsze na mieście, bez zaglądania sobie w domowe pielesze. I że wcale mu się to nie nudzi, jak było w przypadku wszystkich innych kobiet, które poznawał w ostatnich latach. Co więcej, zaczął czuć, że dzień bez Marii

jest dniem straconym. Stan zawieszenia między przyjaźnią a czymś więcej trwał do pewnego piątkowego wieczoru, kiedy spontanicznie, nie zaplanowawszy tego wcześniej, zaprosił ją do siebie. Miał dobre czerwone wino i płytę Milesa Davisa, której jeszcze nie słuchał, chciał się z nią tym podzielić. Spojrzała na niego uważnie, jej oczy stały się ciemniejsze niż zwykle. W odpowiedzi tylko skinęła głową. Została u niego do niedzieli.

Ich ciała dopasowały się do siebie bez problemu, poranna bliskość nie drażniła, Maria zachowywała się w jego mieszkaniu tak swobodnie, jakby była tam już nieraz. I wtedy pomyślał, że chce, aby to trwało dalej, że to TA kobieta.



## Rozdział 5

### Ta ostatnia sobota

9 czerwca 2012, sobota

– Czy ja dobrze rozumiem? – wysyczałem.

– Ponoć jesteś inteligentny ponad normę, którą ustawa przewiduje, więc chyba czaisz, co się do ciebie mówi – powiedział Gajowniczek z dziwnym spokojem.

Prokurator Nowicki popatrzył na mnie jak na durnego kosmitę, który po raz pierwszy spotkał się z zaawansowaną cywilizacją i jej skomplikowanymi prawami.

Byłem wściekły jak rzadko kiedy. I to wcale nie dlatego, że w wolną sobotę skoro świt obudził mnie telefon Kingi, która przekazała mi rozkaz Głównodowodzącego, abym natychmiast stawił się na odprawę, wcześniej niezapowiedzianą. Nie przejąłem się także tym, że koledzy z drogowki nie rozpoznali mojego samochodu i machnęli mi lizakiem, gdy śmigalem osiemdziesiątką przez miasto. Do furii doprowadziło mnie dopiero to, co usłyszałem od przełożonego. Choć zdawałem sobie sprawę, że tak wysoki poziom – niech profesor Marian Stala mi wybaczy – wkurwienia miał też swoje źródło w kumulującym się przez ostatnie dwa dni stresie.

– Czyli sprawa ma być zamknięta? – chciałem się upewnić.

– Jak najbardziej – potwierdził krawaciarz. – Sekcja nie wykazała, żeby ktoś jej pomógł. Co więcej, udział osób trzecich jest wręcz wykluczony. – Wskazał palcem kwity od zimnego lekarza, jakbym nie miał pojęcia, gdzie taką informację mogę znaleźć.

– Jasne, ale nie znaleźliśmy listu pożegnalnego – chwytalem się, czego tylko mogłem. Rozpaczliwie.

– Przecież pan podkomisarz doskonale wie – skrzywił się wszyszkowiedzący prokurator – że tych listów najczęściej nie ma, więc

czy Jowita Dudek zostawiła list, czy też nie, o niczym to nie świadczy.

– Technicy nie zdążyli przejrzeć jej telefonów i laptopa. Poza tym jak dotąd rozmawiałem o Jowicie Dudek tylko z jej rodzicami i dyrektorem liceum... – upierałem się. W imię zasad.

– I czegoś się dowiedziałeś, co miałyby znaczenie dla sprawy? – przerwał mi Gajowniczek.

– Niczego konkretnego. Usłyszałem zwyczajną pośmiertną laurkę: świetna dziewczyna, która nie sprawiała choćby najmniejszych problemów, nikomu i nigdy.

– Niech tak zostanie. – Prokurator Nowicki strzepnął z kłapy marynarki nieistniejący paproch. Taki zamiennik umycia rąk. – Moim zdaniem odpytywanie kolejnych osób pozbawione jest sensu. Szkoda czasu i pieniędzy podatników.

Jakbyś oglądał każdą złotówkę podatnika trzy razy, nim ją wydasz, chciałem skomentować, ale zdołałem wydusić z siebie jedynie niezbyt konkretne pytanie:

– Jak to?

– Konrad, posłuchaj – młodszy inspektor zaczął tłumaczyć mi jak średnio rozgarniętemu dziecku – po pierwsze, nawet jakbyś dłużej pracował nad tą sprawą, to i tak do niczego się nie dogrzebiesz, bo nic w niej podejrzanego nie ma, po drugie, mamy za mało ludzi, a za dużo rzeczy na głowie, by tracić czas na ciągnięcie dochodzenia, którego finał jest łatwy do przewidzenia, po trzecie...

– To Dudek – prawie krzyknąłem.

Gajowniczek i Nowicki spojrzeli po sobie.

– To on wam kazał ukrećić łeb śledztwu.

Żaden z nich nie raczył skomentować. A mnie nagle olśniło, jak mogę wziąć ich pod włos. Czasami zdarza mi się myśleć błyskawicznie. Niestety, tylko czasami.

– A zastanowiliście się, dlaczego szanownemu panu wiceprezydentowi tak bardzo na tym zależy? Pomyśleliście, co próbuje ukryć? Przyszło wam może do głowy, że wmiesza was w aferę, przez którą i wy dostaniecie po tyłkach?

– Panie podkomisarzu... – Aha, zaraz otrzymam polecenie służbowe, pomyślałem, słysząc oficjalny wstęp prokuratora. – Zdaje mi się, że za dużo czyta pan tandetnych powieści sensacyjnych. Poza tym

doszukiwanie się wszędzie afer i spisków modne było za Czwartej RP, teraz czasy i realia są inne. Nie interesują mnie pana wątpliwości i przeczucia, a jedynie fakty, które są, jakie są. Wprawdzie rozumiem, że może pan podkomisarz nazbyt emocjonalnie podchodzi do tego przypadku, ale...

Urwał i wbił we mnie wzrok. Nie musiał mówić nic więcej. Nie byłem w stanie wydobyć z siebie choćby jednego słowa. Gajowniczek nie dał mi czasu na opanowanie się i odpyskowanie prokuratorowi:

– Koniec gadania. Skompletujesz wszystkie dokumenty, przygotujesz protokoły przesłuchań i wszystko jak najszybciej przekażesz do prokuratury. To znaczy panu prokuratorowi Nowickiemu do rąk własnych... Bierz się do roboty. Natychmiast.

Powoli podniosłem się z krzesła, podszedłem do drzwi. Nim je otworzyłem, odwróciłem się i rzuciłem przez zaciśnięte zęby:

– Zaraz to jadę do domu.

– Jak to? – Głównodowodzący był więcej niż zdziwiony.

– Jest sobota. Zapłaci mi szef nadgodziny? Nie sądzę – odpowiedziałem sam sobie.

Gajowniczek wołał za mną, ale wychodząc z gabinetu, udawałem, że nie słyszę. Tyle mojego.

Było mi w tym mieście za ciasno, nie po raz pierwszy. Odpaliłem miśka i ruszyłem przed siebie. Dotarłem do rynku, jakiś czas temu przemianowanego na plac imienia Papieża-Polaka-Męczennika. I już wiedziałem, dokąd dalej jechać. Do azylu.

Wlokąc się za jadącym spacerowym tempem autobusem komunikacji miejskiej, dojechałem wreszcie do wylotówki na Przasnysz. Po kilku kilometrach skręciłem w prawo, w wąską krętą drogę wijącą się po niezbyt wysokiej polodowcowej morenie czołowej. Do Opinogóry wiodła krótsza i prostsza trasa, ale jednak wolałem tę, okrężną i nieco niebezpieczną. Prawdopodobnie coś to znaczyło, ale nie byłem w nastroju do przeprowadzania domorośłych psychoanaliz.

Opinogórę lubiłem prawie od zawsze. Co tam było? Właściwie niewiele. Wioszczyzna z pałacykiem należącym niegdyś do zacnego, choć kontrowersyjnego rodu Krasińskich i ich podziemiami grobowymi w kościele, dosyć paskudnym. Park i taka sobie knajpa. Smród gnojówki i kolesie będący żywą ilustracją reportaży o wykluczeniu

społecznym. Jednak szwendanie się po parku, który czasy świetności miał dawno za sobą, choć ostatnio zrobiono wiele, by go przywrócić do stanu używalności, w niepojęty sposób zawsze mnie uspokajało. Tak też było i tym razem. Dobrze jest mieć stałe punkty we wszechświecie. I niekoniecznie muszą to być odległe galaktyki.

Przeszedłem się po zrewitalizowanym parku, przysiadłem na ławce. Rozlewający się upał oświadczał wszem i wobec, że i tego dnia jeńców brał nie będzie. Miałem to gdzieś, zapaliłem papierosa, żałując tylko, że nie zorganizowałem sobie wcześniej żadnego płynu. Niekoniecznie z procentami. Zacząłem się zastanawiać, ile właściwie mam szans. I na co. Z jednej strony wszelkie ambicje odpuściłem sobie dawno temu. Z drugiej – Gajowniczek z Nowickim wytrącili mnie z równowagi, którą łapałem przez lata. Właściwie w sprawie Jowity mogłem postąpić tak jak w przypadku innych dochodzeń: zasada trzy razy W. Wypełnić (kwity), wysłać (prokuratorowi), wypić (szukając niepamięci). Ale to była całkiem inna sprawa. Samobój. Jej. Dziewczyny czy młodej kobiety, jak kto woli. Choć nie znałem Dudkówny, jakoś ją rozumiałem. Albo tylko tak mi się wydawało. I w tym był problem.

Wreszcie dotarło do mnie, że jestem zwyczajnie głupi. Nie doceniłem Głównodowodzącego. Gajowniczek może nie był tytanem intelektu, ale – jak zwykł mawiać komisarz Jan – swój rozum miał. Nie przez przypadek przydzielił sprawę Jowity właśnie mnie. Od początku chciał jak najszybciej zamknąć dochodzenie i wiedział, że nie odważę się zbyt protestować, bo zawsze mógł mi zarzucić, że nie jestem w tym przypadku wystarczająco obiektywny. I wysłać mnie na konsultację do psychologa. Kolejną. Ale właściwie dlaczego tak mu zależało, żebym nie wnikał w tajemnice pana wiceprezydenta? Mogłem coś przypadkowo odkryć? Raczej nie. Z tego, co wiedziałem, Dudek nie miał nic na sumieniu, a przynajmniej nie więcej niż inni macherzy od lokalnej polityki. Więc co, ciągnące się śledztwo mogło mu zepsuć wizerunek? Może, ale czy na pewno?

Obok mnie przeszła para nastolatków. Bardzo ściśle objęta. Dotarli do sąsiedniej ławki i oddali się niespiesznym pieszczotom. Wgapiłem się w nich jak ostatni zbok. Właściwie czym ja się przejmowałem? Niech Gajowniczek kręci swoje lody. Nic mi do tego. Olać to! Olać wszystko!

Wracałem do Ciechanowa równie wolno, jak z niego wyjeżdżałem. Nigdzie, do nikogo i niczego mi się nie spieszyło. Nim zorientowałem się, co właściwie robię, już parkowałem przy cmentarzu na Gostkowie. Pomyślałem, że jeśli już tu z bliżej nieokreślonych, paranormalnych zapewne, choć w te rzeczy nigdy nie wierzyłem, powodów dotarłem, to powinienem odwiedzić grób rodziców. Dawno mnie przecież u nich nie było.

Wszedłem do starszej części nekropolii, sąsiadującej z sadami, ostatnio poszerzonej. I z miejsca się zgubiłem. Odkąd jakiś mądrała nakazał wycięcie prawie wszystkich starych drzew i krzewów, zawsze się gubiłem na cmentarzu. Ale w końcu, okrężną drogą, doszedłem do grobu. Niewielki, prosty granitowy nagrobek z płytą z nazwiskami. Bez krzyża. Tak zarządziła starowinka. Nie sądzę, żeby rodzicom to przeszkadzało. Dwa różne imiona, jedno nazwisko. Dwie różne daty narodzin, ta sama data śmierci. Jako nastolatek, często tu zachodziłem, rozmawiałem z matką i ojcem. To znaczy monologowałem, wyrzucałem z siebie wszystkie żale. Potem mi przeszło, nie odczuwałem potrzeby, aby zbyt często odwiedzać ich grób. O to, żebym raz w roku przyniósł kwiaty i zapalił znicz, dbała Felicja.

Przysiadłem na ławce ustawionej przed sąsiednim grobem. Zapaliłem papierosa. Całkiem niedawno uświadomiłem sobie, że wspomnienia rodziców prawie zatarły się w mojej pamięci. Bo co właściwie pamiętałem? Strzępy, pojedyncze obrazy bez ładu i składu. Jest śnieżna i mroźna zima, opatulony w futerko jadę na sankach ciągniętych przez ojca. Wokół jest las, który zdaje się nie mieć końca. W naszym krakowskim mieszkaniu przesiadują brodaci mężczyźni w powyciąganych swetrach. Palą tak dużo, że pod sufitem wisi siwy dym. Piją wódkę i gadają, gadają. I jeszcze to wspomnienie z wojny jaruzelskiej. Od czasu do czasu wyblęskuje z pamięci kolejny obrazek. A wszystkie nie składają się w żadną całość. Być może żadnej całości nie ma i być nie może.

Po tym, jak Felicja po raz pierwszy zabrała mnie do Ciechanowa jako jedenastolatka, którego świat zawalił się w jednej chwili, długo

dopytywałem się babki, dlaczego stało się to, co się stało, czemu nie ma moich rodziców. Szczególnie po wizytach brodatych mężczyzn w powyciąganych swetrach, którzy zjawiali się nie wiadomo skąd i oferowali pomoc. Aż wreszcie Felicja przegoniła ich raz na zawsze. Zadawałem starowince nieodmiennie te same pytania, a ona cierpliwie odpowiadała, że kiedyś mi o wszystkim opowie, na pewno wyjaśni, gdy już będę wystarczająco dorosły. Czekałem na ten moment przez jakiś czas, ale nagle przestałem. Właściwie bez żadnego określonego powodu. Zagarnęło mnie życie nastolatka, a potem młodego mężczyzny, w którym nie było zbyt wiele miejsca na rozważania na temat śmierci. Choćby nawet najbliższych osób.

Kiedy starowinka po raz drugi zabrała mnie do Ciechanowa, rozbitego jak pusta szklanka mężczyznę, który z trudem starał się poskładać w jako taką całość, kiedy porobiłem wszystkie kursy i stałem się prawie prawdziwym policjantem, przez jakiś czas zastanawiałem się nad sprawą wypadku rodziców. Jednak było w nim coś niejasnego. Świetna pogoda, pusta prosta droga i nagle mój ojciec siedzący za kółkiem łąduje się w drzewo. A przecież, to akurat pamiętałem, prowadził świetnie. Udało mi się nawet dogrzebać do akt tej sprawy, ale oczywiście milicja nic specjalnego nie ustaliła. Wypadek wynikający z nadmiernej prędkości. Fakt, ojciec lubił jeździć dużym fiatem, ile fabryka dała. Chciałem nawet pogrzebać w tym, odnaleźć funkcjonariuszy, którzy wypisali kwity, ale potem wciągnęło mnie życie. Czy właściwie to, co z niego mi zostało. Zagospodarowywanie ruin i zgliszczy, jak niegdyś myślałem. Prawdę powiedziawszy, wtedy był najlepszy czas, by odpytać Felicję, by dowiedzieć się od niej wszystkiego, co wie o rodzicach. Nie wiem, dlaczego nie zapytałem. Prawdopodobnie czekałem, aż sama zacznie rozmowę. Nie zaczęła.

- ...No i wiesz. – Felicja odpaliła kolejnego papierosa.
- Nie interesuje mnie to już wcale a wcale.
- Jeśli konstruujesz tak koślawe zdania, to znaczy, że nie jest dobrze, chłopczyku.

Babka znowu mnie przejrzała. Przyjechałem do niej, żeby zapomnieć o tym, co działo się po śmierci Dudkówny. Jednak nie było mi to dane.

– Antoni mówił, że jego wnusia miała problemy z nauczycielem biologii.

– No i?

– Może warto się tym zainteresować?

– Felicjo, nie ma już tej sprawy.

– Na pewno? Ten belfer nazywa się Zawadzki. Na twoim miejscu jednak bym mu się przyjrzała.

– A ja na twoim miejscu sprawdziłbym, czy królik już się odgrzał.

– Oj, chłopczyku – westchnęła i podreptała do kuchni. Wiedziała, kiedy mi odpuścić, choć byłam pewien, że jeszcze wróci do tematu, zapewne okrężną drogą.

Jedliśmy w milczeniu potrawkę z tłuczonymi ziemniakami, jak na kuchnię babki nawet całkiem niezłą. Trochę brakowało mi do tego surówki. Felicja nie była wielbicielką zielonego, jak *en bloc* określała warzywa, zaproponowała mi marynowane rydze własnego wyrobu, ale tym razem nie miałem ochoty na wściekle kwaśne grzyby. Felicji chyba trochę dokuczała cisza, bo włączyła radio. Nadawano właśnie wiadomości, przypominając niezbyt udaną inaugurację Euro.

– Meczyk oglądałeś?

– Taa – wymamrotałem z pełnymi ustami. Przełknąłem. – Dawno mnie tak nie zeźlili.

– Jak mawia Antoni: „Szkoda nerw, bo od tego tylko żyłka pęknąć może”.

– Pierdząca?

– Ta też.

Koleżka Felicji był istną kopalnią złotych myśli. Gdyby był kobietą, pewnie haftowałby te skrzydlate frazy na ścierkach i wieszał w kuchni.

Skończyliśmy obiad, babka zaproponowała ciasto Sabinki, którego resztkę jeszcze dla mnie zabezpieczyła. Nie odmówiłem. Chciałem skupić się na prostych czynnościach, zwyczajnych przyjemnościach. Skubałem ciasto małymi kawałkami, popijałem kawę. Wreszcie zapaliłem papierosa. Felicja też. A potem kontynuowała przesłuchanie. Wysoki sędzie, nie mam nic do ukrycia. Przez chwilę.

– A czy ty przypadkiem nie masz zamiaru mnie zostawić?

– Co też ci przyszło do głowy? – Nie udawałem zdziwienia.

– Znam cię jak zły szeląg, poskładałam jedno do drugiego i wyszło

mi, że znowu zaczynasz wariować. Nagle rzuciłeś w diabły Tamarę. Wiem, wiem – wyskandowała szybko, gdy tylko zauważyła, że chcę wtrącić swoje trzy grosze. – Zaraz mi powiesz, że ostatnio nie przywiązujesz się do kobiet. Wyklinasz na pracę, choć nie raz, nie dwa mówiłeś, że śledztwa przestały cię interesować i chcesz tylko spokojnie doczekać do emerytury. Wściekasz się na Gajowniczkę, chociaż doskonale zdajesz sobie sprawę, że to zwyczajny palant i karierowicz.

Nagły atak kaszlu przerwał monolog Felicji. Zdusiła niedopałek w kryształowej popielnicy, łyknęła kawy, potem odruchowo sięgnęła po paczkę papierosów, ale odłożyła ją, kręcąc głową.

– I co to twoim zdaniem oznacza? – zadałem proste pytanie, bo chciałem jak najszybciej mieć połajanki babki za sobą.

– Wiem, jak jest, widzę, choć nie zawsze mówię.

– Zwykle jednak nie możesz utrzymać języka za zębami.

– Wiem – zignorowała złośliwość – że co jakiś czas albo życie ci się rozwala, albo burzysz wszystko sam. Czy nadszedł ten moment?

Dobre pytanie, celny strzał. Nie myślałem o tym, co się ze mną ostatnio działo, w tych kategoriach, ale faktycznie mój prywatny demon poszeptywał, że najlepiej byłoby rzucić wszystko w cholerę i kolejny raz zacząć od nowa, niezależnie od tego, czy nowe miało oznaczać lepsze. Czyżby moje życiowe wahadło wychyliło się dostatecznie mocno?

– Rozumiem, że Dudkówna przypomniała ci o Marii – Felicja ledwie szeptała, co przy jej ochrypłym głosie dawało efekt niczym z horroru klasy B. – Ale nie uciekaj. Nie ma od czego.

– Chciałaś raczej powiedzieć, że nie ma dokąd.

– Nie chwytaj mnie za słowa, nie ma sensu bawić się w słowne rebusy.

Odetchnąłem ciężko. Nie miałem tego dnia ni siły, ni ochoty na rozmowy o kwestiach fundamentalnych. Mogłem jedynie spróbować uspokoić babkę na tyle, na ile było to możliwe.

– Nie zostawię cię samej. I nie mam zamiaru zwiewać. Słowo oficera.

– Zasalutowałem do nienakrytej głowy.

– Przed wojną twój gest uznano by za obraźliwy.

– Ale teraz jest po wojnie, a nawet po dwóch, wliczając jaruzelską.

Zaczęliśmy przerzucać się żartami, uznając, że powiedzieliśmy już



sobie tej soboty wystarczająco wiele. Dalej poszło z górki. Słuchaliśmy starych dobrych kawałków Dextera Gordona – to właśnie Felicja nauczyła mnie słuchać jazzu – rozmawialiśmy o książkach. Nieodmiennie zadziwiało mnie, że babka jest na bieżąco ze współczesną polską prozą, która wydawała mi się tak beznadziejna, że zwyczajnie szkoda było na nią czasu.

Po powrocie do domu sprawdziłem, co tego dnia będzie działo się na mistrzostwach. Ani zmagania wiecznie przegranych na dużych imprezach Holendrów z Duńczykami, ani pojedynki niemiecko-turecko-polskiego teamu pod flagą niemiecką z drużyną nażelowanego Ronaldo niezbyt mnie interesowały. Kręciłem się trochę po mieszkaniu, udając, że sprzątam, aż nagle poczułem się bardzo zmęczony. Położyłem się, tylko na chwilę.

Ze snu wyrwały mnie dziwne trzaski. Zerwałem się z barłogu, odruchowo sięgając po oporządzenie – karabin, ładownica, czako na łeb. Wybiegłem przed ganek dworku. Kamrat, który stał przede mną, jęknął i zwałił się bokiem w zaspę śniegu, znacząc ją krwawą plamą. Uskoczyłem i załadowałem broń. Wokoło panował chaos. Wrzaski, tętent końskich kopyt, palba. Znowu nas zaskoczyli, przemknęło mi przez głowę. Zawodzenie Kozaków dobiegało ze wszystkich stron. Podbiegłem do niewielkiej, drewnianej komórki i schowałem się za węglem. Zacinający w porannej szarówce śnieg ograniczał pole widzenia. Przede mną majaczyły cienie, biegały, padały, niektóre podnosiły się, inne nie. Chciałem zniknąć, przestać być. Dość, dość, nie trzeba, coś krzyczało we mnie. Nie bałem się tak nawet w czasie masakry nad Berezyną. I wtedy usłyszałem krzyk: „Konrad, Konrad!”. Wychyliłem głowę. Gdzieś obok świsnęła kula. „Konrad, Konrad!”, wołał Marcin. Zналиśmy się od dzieciaka, był ode mnie dwa lata młodszy i przez całą kampanię rosyjską miałem go na oku, bo tak przysięgałem jego matce na obraz Matuchny Częstochowskiej. Nie zwykł wpadać w panikę, więc musiało się coś stać. Jego wrzask dobiegał z podjazdu przed dworkiem. Ścisnąłem mocniej karabin,

schyliłem się i pobiegłem w zamieć. Ktoś wpadł na mnie, zachwiałem się, a potem potknąłem o coś miękkiego i rąbnąłem w zmarzniętą ziemię. Pomacałem dłońmi wokół siebie, odnalazłem karabin i coś, co kiedyś było ludzką twarzą, teraz zmasakrowaną pociskiem. To nie był Marcin, chyba. „Konrad, Konrad!” Głos dobiegał gdzieś z lewej. Zacząłem się czołgać, międląc w ustach modlitwę do Boga, w którego już dawno przestałem wierzyć. Nie chciałem zostać stratowany przez oszalałe konie, bo zaiste straszna to śmierć. Wreszcie go znalazłem. Leżał skulony, trzymając się za udo. „Jestem, Marcinek, jestem, rannyś?”, zapytałem. „Noga, nie czuję jej”, wyjęczał ciężko. Spojrzałem w dół, z rozoranej nogi krew tryskała w rytm jego oddechów. Nie było dobrze i już nie będzie. I na nic się zdała opieka Matuchny. Trzymałem go mocno i szeptałem, że wyjdziemy z tego, wrócimy do domu i będziemy grzać się w słońcu wiosny, która wreszcie kiedyś musi stopić lód wokół nas i w nas. Szeptałem do czasu, aż jego wzrok zamglił się, a krew przestała tryskać. Tyle tylko mogłem zrobić.

Zagarnął mnie strach, który kazał mi uciekać, bez oglądania się na nic i na nikogo. Poderwałem się z ziemi, chciałem biec. Wiedziałem, że mam tylko jedną możliwość: dotrzeć do ogrodzenia z drewnianych żerdzi, które było tuż za komórką, i próbować ukryć się w świerkowym młodniaku, który dawał jako taką osłonę. Chciałem biec, ale nie mogłem oderwać stóp od ziemi. Próbowałem, szarpałem się. Na nic się to zdało...

Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Było ciemno i cicho. Z trudem wyplątałem się z koca, który owinał się wokół moich nóg. „Sen, to tylko sen”, wypowiadałem te słowa na głos, niczym zaklęcie. Rzadko pamiętałem senne majaki, lecz akurat ten zawsze, może dlatego, że powracał do mnie od lat, w różnych wersjach. Tylko dwie rzeczy nigdy się nie zmieniały: zawsze umierał Marcin, nigdy nie udało mi się dobiec do płotu. Nie wiedziałem, co to znaczy, nie miałem pojęcia, dlaczego akurat takie rzeczy mi się śnią. Przecież nigdy specjalnie nie interesowałem się wojnami napoleońskimi. Kiedyś nawet chciałem skonsultować się ze specjalistą od senników, ale oczywiście nigdy do tego nie doszło.

A może to był sen proroczy? Może wreszcie powinienem spróbować ocalić Marcina? Wiedziałem już, co robić. A przynajmniej tak mi się wydawało. I z tą myślą znowu zasnąłem.

## Rozdział 6

### Niedziela będzie dla nas

10 czerwca 2012, niedziela

Spałem długo, ale po przebudzeniu czułem się skonany jak po przebiegnięciu maratonu. A właściwie jedynie wydawało mi się, że tak się czuję, bo nigdy nie zdarzyło mi się przebiec więcej niż dziesięć kilometrów ciągiem. Zresztą nie tylko ja miałem się źle, mimo że nie było jeszcze południa, upał zwarzył liście, które oklapły i smętnie zwisały. Ale cóż mnie w gruncie rzeczy obchodziła przyroda?! Daleki byłem od proekologicznej szajby. Zafundowałem sobie śniadanie mistrzów: dwa kubki kawy i dwa papierosy.

Nieustannie obracałem w myślach sobotnie wydarzenia i treść sennej mary. Nie byłem już tak pewny jak przed zaśnięciem, co chcę i co powinienem zrobić w sprawie Dudkówny. Opuścić – źle, zawalczyć – jeszcze gorzej. Że też od dawna nie trafiały mi się proste i jasne sytuacje, klarowne wybory między niebudzącym wątpliwości dobrem a bezwarunkowym złem, tylko wciąż tkwiłem w strefie szarości i półcieni, w przestrzeni „tak, ale...”, w której nic nie wydawało się takie, jakie być powinno. Czy jednak świat nie jest szary i przybrudzony niczym źle wyżęta ścierka do podłogi?, przeleciała mi przez głowę trywialna myśl. Tak, zdawałem sobie sprawę, że zwalanie winy na bezlitosne mechanizmy rządzące światem jest żalonym unikiem słabego człowieka, lecz przecież właściwie nigdy nie uważałem się za mocarza, który chce się brać ze światem za bary, a już na pewno nie w tym momencie. Co robić? Rzucić monetą?

Koniec końców nie rzuciłem monetą. Nie musiałem. Nie tym razem. Zawładnęła mną przekora. Jak oni mi tak, to ja im siak. Choćby nawet śledztwo miało mnie doprowadzić do oczywistych ustaleń, potwierdzenia wersji prawdy, którą założyli sobie Głównodowodzący

do spółki z wymuskanym krawaciarzem, nie odpuszczę. Sięgnąłem po notes. Marta Coja, nadana mi przez Felicję, mieszkała w blokach przy Asnyka. Kojarzyłem tę okolicę jeszcze z czasów wczesnoszkolnych, kiedy chodziłem do podstawówki numer pięć. To były mroczne i zimne czasy przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Przypominałem wtedy zapasionego skrzata i pomykałem do szkoły na siódmą rano, bo podstawówek w wojewódzkim mieście było za mało, więc „piątka” pracowała na trzy zmiany.

Dawno nie byłem w tej okolicy, ale od mojej ostatniej wizyty niewiele się tam zmieniło. Po jednej stronie ulicy stały zapyziałe bloczki, po drugiej domki przyozdobione gadżetami z budowlanowo-kończeniowej sieciówki. Gipsowe krasnale, oczka wodne i polbruk über alles. Coja mieszkała „na blokach”. Lawirując między puszczonej samopas dziećmi i zestresowanymi kundlami, które obszczekiwały wszystko, co się rusza, dotarłem do właściwej klatki. Nadusiłem przycisk dzwonka, rozległ się żalony wizg elektrycznego skowronka. Drzwi uchylły się jedynie na szerokość łańcucha.

– Nie potrzebuję ziemniaków – kobiecy głos nie brzmiał kategorycznie.

– Nie handluję pyrami.

W szparze między futryną a drzwiami najpierw zobaczyłem strąki włosów, dawno temu pofarbowanych na jajeczny blond, a potem jedno oko. Czaił się w nim strach.

– Policja – powiedziałem.

Zaraz zgańłem sam siebie: ciężki ze mnie kretyn.

– Tomek dawno już tu nie mieszka.

Aha, pracujesz w tym mieście od lat, jesteś psem, a węch masz do niczego. Zamiast uspokoić kobietę, tylko niepotrzebnie ją stresujesz. Postanowiłem, jak gdyby nigdy nic, zacząć nasze spotkanie od nowa.

– Przepraszam, nie chodzi mi o żadnego Tomka. Mam pani adres od mojej babki Felicji.

– Aaa, to zapraszam.

Brzęknął łańcuch, wszedłem do przedpokoju, dziwiąc się, nie pierwszy raz, że imię mojej kochanej staruszki otwiera w tym mieście niejedne drzwi.

– Możemy pójść do kuchni? – spytała Coja. – Obiad muszę

skończyć.

Faktycznie, nie wybrałem sobie najszcześniejszej pory na pogaduszki, ale trudno. Mieszkanie było niewielkie, a kuchenka wręcz mikroskopijna; ledwie udało mi się zmieścić na taborecie wciśniętym między lodówkę a stół. Coja wróciła, jakby machinalnie, do siekania cebuli, a ja wyjąłem notes w szkocką kratę. Patrzyłem na jej zmęczoną, poszarzałą twarz. Nieźle musiał ją ów Tomek przećwiczyć – postanowiłem sprawdzić, co to za gnojek, pewnie kolejny w okolicy damski bokser – skoro nawet we własnym mieszkaniu zdawała się czuć niepewnie w towarzystwie mężczyzny. Nie zamierzałem denerwować kobiety ponad miarę, więc zapytałem:

- Pracuje pani u Dudków?
- Sprzątam, ale nie tylko u nich.
- Ładny mają dom.
- Duży – westchnęła.
- Chciałbym porozmawiać o tej rodzinie. Wie pani, co się stało?

– Słyszałam, biedna dziewczucha. – Coja przestała masakrować warzywo, spojrzała na mnie niepewnie i nagle zaczęła wyrzucać z siebie zdania z szybkością karabinowej salwy: – Ale ja nie wiem, czy powinnam, bo jakby państwo się dowiedzieli, że o nich z kimś rozmawiam, no, że z policją gadam, to mogłabym stracić fuchę. Po rozwodzie mam syna na utrzymaniu, a teraz o robotę ciężko, sam pan wie, że...

Przerwałem jej słowotok, machając dłonią. Instynktownie odsunęła się ode mnie. Ewidentnie była ofiarą przemocy domowej.

– Przepraszam – nadałem głosowi jak najcieplejszą barwę – ze mną jak z księdzem. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

Uśmiechnąłem się szeroko. Nie wyglądała na przekonaną, ale rzuciła z wyraźną rezygnacją:

- Niech pan pyta.
- Dawno pani tam pracuje?
- Będą ze cztery lata.
- To chyba trochę już pani ich poznała?

Wrzuciła posiekaną cebulę do rondla, w którym pyrkotało jakieś mięso.

- A co ja tam, jestem zwykła kobita, która jeździ na szmacie.

To mi się trafiła rozmowna informatorka, westchnąłem w duchu.

– Jaka ta rodzina jest? Czy się kłócili? Jak rodzice traktowali Jowitę?  
– zarzuciłem Coję pytaniami, w nadziei, że któreś zaskoczy.

– Tak sobie myślę, że ta dziewczucha jeszcze z nich wszystkich najnormalniejsza. Była...

Pociągnęła nosem. Szybko otarła oczy ścierką nie pierwszej czystości. Wzruszenie czy cebula?

– To wiceprezydent i jego żona nie są normalni?

– Tego całego prezydenta to właściwie nigdy nie ma, a nawet jak jest, to tylko coś tam burczy pod nosem. Ale mówią, że to, za przeproszeniem, kawał chuja.

– Kto mówi?

– No, ludzie.

– A tak, ludzie... A jego żona?

– Niby taka bardziej grzeczna: dzień dobry, proszę zrobić to i tamto, dziękuję, do widzenia. Zwykle albo się byczy na kanapie z książką, albo grzebie w ogrodzie. No bo co innego? Nic do roboty nie ma. A Jowita normalniejsza była, zagadała czasem, pośmiała się ze mną.

– Kłóciła się z rodzicami?

– Nie, chociaż... Ostatnio coś tam było z matką, o jakiegoś chłopaka się rozchodziło, ale dokładnie nie słyszałam.

Coja zaczęła obierać ziemniaki. Coś tu się nie zgadzało, przecież Dudkowa mówiła, że córka nie miała nikogo, jedynie jakiegoś mocno nieświeżego eksa.

– A kiedy to było?

– Dokładnie to nie powiem, z miesiąc, półtora może. Wiem tylko, że na pewno w sobotę, bo sprzątam u nich zwykle w tygodniu, a w weekendy to tylko od wielkiego dzwonu, jak mają przyjęcie czy tam urodziny, więc zapamiętałam, że to sobota była. Jowitę podwiózł do domu jakiś facet taką lepszą bryką, a matka zaraz na nią naskoczyła, z kim to ona się nie szlaja i po co. Dalej to nie wiem, bo poszłam sprzątać łazienkę.

– A widziała pani tego gościa?

– Nie, tyle, co zobaczyłam tę brykę, jak podjeżdża pod bramę.

– Jaka to była marka?

– Nie znam się na samochodach.

– A może słyszała pani przypadkiem o problemach Jowity?

Kobieta wzruszyła ramionami. Kolejny obrany ziemniak zanurkował w garnku z wodą.

– Zwierzać, to mi się nie zwierzała.

Trzasnęły drzwi wejściowe, do kuchni wpadł jak burza kilkuletni chłopak, ale na mój widok stanął niczym wmurowany i popatrywał niepewnie. Coja podniosła się, wytarła ręce w powyciągany dres i objęła dzieciaka.

– Spokojnie, Krystianku, to pan... to kolega jest. Idź do siebie się pobaw.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, powiedziała:

– Więcej nic nie wiem, bo i skąd. A dziewczuchy szkoda.

Podziękowałem za rozmowę, zostawiłem wizytówkę, choć byłem więcej niż pewien, że do mnie nie zadzwoni, i poszedłem. Wiedziałem już, dla kogo pichciła obiad.

Przespacerowałem się po Kargoszynie, zwykle lepiej myślało mi się w marszu, takie perypatetyczne skrzywienie. Wreszcie pojawiła się niewielka rysa na wyidealizowanym portrecie trumiennym Jowity. Nie żeby mnie to przesadnie cieszyło, ale zawsze był to jakiś, jakikolwiek, punkt zaczepienia. Gość, który odwozi ją do domu, scysja z matką... Dudkowa nie powiedziała mi o tym, mogła kłamać, ale z drugiej strony była przecież spacyfikowana prochami. Nawet gdybym chciał ją przycisnąć, to wykręci się dziurami w pamięci. Zresztą i tak na razie nie miałem zamiaru jej męczyć, swoje kobieta przeżyła. Musiałem spróbować z innej strony.

Doszedłem do kolejnego osiedla, pamiętałem je dobrze z czasów licealnych, bo moja ówczesna miłość, pierwsza, chodziła tam na korepetycje z biologii, a ja wyczekiwałem na nią, siedząc na ławce pod blokiem. Ciekawe, czy jeszcze tam jest, pomyślałem. Ławka, a nie prądowa narzeczona. O dziwo, ławka stała w tym samym miejscu, chyba nawet ta sama, tyle że odmalowana na absurdalny seledynowy kolor. Usiadłem, zapaliłem. Z grupki mocno wczorajszych facetów, którzy stali przed klatką schodową, oderwał się jeden i pozegłował niepewnym halsem w moją stronę.



- Dobry, kierowniku.
- Witam prezesa – gładko wszedłem w konwencję.

Na twarzy styranego alkoholem, bo raczej nie nadludzkim wysiłkiem w niehumanitarnych warunkach męskiej odmalowała się intensywna praca myślowa. Chyba niewiele z tej roboty wyszło, bo ciągnął dobrze przeciwionoznaczną kwestię:

- Bo wie kierownik, jest taka sprawa...
- Jaka, prezesie?
- Zbieramy z chłopakami na flachę i złotówki nam brakło.

Wspomoże kierownik?

- Nie bardzo.
- Ale my będziemy pić w intencji naszej reprezentacji, coby im się powiodło lepiej niż z tymi, no, z tymi, co to ostatnio.

Trzeba przyznać, gość sepił pomysłowo, przez chwilę rozważałem, czy nie dać mu paru groszy, ale jednak zasady to zasady.

- W tej intencji to niech prezes pójdzie do Świętego Piotra dać na mszę. Choć to i tak niewiele pomoże.

Przestąpił z nogi na nogę, podrapał się po skołtunionym łbie.

- W sensie kierownik nie poratuje – po chwili wyciągnął jedynie słuszny wniosek.

- A czy ja wyglądam na akwizytora Kasy Stefczyka?

Podreptał do kumpli, poszeptali chwilę, a potem ruszyli ławą w moim kierunku, chcąc wypędzić nieużytecznego typu ze swojej blokierskiej małej ojczyzny. Odchyliłem połę marynarki, pokazując blachę. Zniknęli mi z oczu nadzwyczaj szybko.

Wyciągnąłem komórkę i kartkę z numerami przyjaciółek oraz byłego Jowity, które wcześniej z telefonu zmarłej wyciągnąłem dla mnie Koziej. Na wiele nie liczyłem, przecież wciąż trwał długi weekend, ale udało mi się porozmawiać z jedną z koleżaneczek, która była w mieście i miała czas, żeby się ze mną spotkać. Dobrze i to.

Zdziwiło mnie, że zaproponowała spotkanie w knajpie piwnej pod chmurką przy rynku, to znaczy placu – jakżeby inaczej – Papieża-Polaka-Męczennika. Mało kto lubi się pokazywać w miejscach publicznych z psem, a przecież, jak sądziłem, większość ludzi w tym mieście wiedziała, czym się zajmuję dla chleba. Ale to był jej wybór, więc nie protestowałem. Wróciłem do miśka i ruszyłem do centrum.

O ile Ciechanów w ogóle ma coś, co zasługuje na to miano. Szybko dotarłem na miejsce, w niedzielę ruch na ulicach był, a jakoby go nie było.

Upał wygonił ludzi z domów, więc w piwiarni było ciasnawo, znalazłem jednak wolne miejsce przy długiej ławie. U drugiego jej krańca której dwóch podstarzałych jegomościów obgadywało Kazka, który był ostatnim złamasem. Nie usłyszałem dlaczego – i niespecjalnie mnie to interesowało. Niezbyt komfortowe miejsce na rozmowę, ale mówi się trudno i przesłuchuje się dalej, jak mawiają doświadczeni policajcy. Zamówiłem miodowe, tłumacząc sobie, że słodkie piwo to żaden alkohol. Spojrzałem na zegarek. Dziewczyna miała zjawić się dopiero za dwadzieścia kilka minut. Patrzyłem na odnowiony rynek. Zniknęły stare drzewa, od dawna nie działająca fontanna, szutrowe alejki, zniknął klimat. A może to tylko ja byłem starym pierdzielem, który kręci nosem na wszelkie zmiany, nawet te w założeniu na lepsze. Nie zamierzałem w to wnikać.

Dostrzegłem ją, gdy pewnym, lekko rozkołysanym krokiem szła przez plac. Przez telefon opisała mi, jak wygląda, więc wiedziałem, kogo mam wypatrywać. A wyglądała zjawiskowo. Najpierw zobaczyłem wiotką sylwetkę w zwiewnej letniej sukience, która pod światło ukazywała więcej, niż powinna. Potem wgapiałem się w jej półdługie, kręcone włosy, które były tak ciemne, że niemal czarne, z granatowymi rozbłyskami. Stała w wejściu do ogródka, rozglądając się na prawo i lewo. Nie mogłem oderwać wzroku od jej obojczyków, odsłoniętych w sukience na ramiączka, wyrazistych, kruchych, po prostu... pięknych.

Minęła długa chwila, nim doszedłem do siebie. Pomachałem jej. Odmachała mi z uśmiechem nastoletniego łobuziaka. Wstałem, czekałem, aż podejdzie, nie mogłem sobie odmówić jej widoku – idącej ku mnie, balansującej na wysokich obcasach i nierównym podłożu. Stary zboczuch, zaszepotało mi w głowie coś, co pewnie było sumieniem. Kazałem głosowi się zamknąć. Usłyszał.

– Pan porucznik... – Zaśmiała się obezwładniająco. – Nie mam pamięci do nazwisk.

– Podkomisarz Konrad Rowicki.

Wyciągnąłem dłoń na powitanie, uścisk miała wyjątkowo solidny.

– Paulina, na nieszczęście, Nosalska. Co za faux pas, nie obrazi się pan za tego porucznika? – Spojrzała mi prosto w oczy.

– Cywile nie mają obowiązku znać się na policyjnych szarżach – wypaliłem bez zastanowienia.

– Całe szczęście. – Usiadła przy ławie. – Widzę, że pan – wyartykułowała wyraźnie, niczym uczennica, która solidnie odrobiła lekcję i jest z tego dumna – podkomisarz się nasącza, więc ja też mogę.

– Pewnie, w taki upał trzeba uzupełniać płyny. – Wygadywałem bzdury i niestety miałem tego świadomość. – Co przynieść?

– Nic, sama skoczę.

Miałem chwilę, aby wziąć się w garść. Zachowywałem się jak zauroczony gówniarz – i nie było to dobre ni mądre, godne ni sprawiedliwe. Po chwili wróciła, postawiła przed sobą kufel jasnego piwa. Miała już inny wyraz twarzy niż przy powitaniu.

– To chyba raczej nie będzie miła rozmowa? – spytała. – Mogę zapalić? – Wskazała na paczkę leżącą przede mną. – Właściwie nie palę, ale czasem, sam pan wie.

– Wiem – wymamrotałem ponuro.

Podąłem Paulinie papierosa i ogień, zaciągnęła się głęboko. Raczej nie należała do początkujących palaczy.

– Była pani przyjaciółką Jowity – zacząłem.

– To może głupie – przerwała mi. – Możemy mówić sobie na ty. Tak będzie mi łatwiej.

Znowu uścisnęliśmy sobie dłonie, wymieniając swoje imiona. Przeleciało mi przez myśl, że nie miałbym nic przeciwko temu, aby wypić z nią bruderszaft, tu i teraz, w tej niespecjalnie wykwintnej knajpie, stukając się tym, co mieliśmy, szklanicami z piwem. I całując się, niekoniecznie w policzki.

– Wiesz – całkiem naturalnie weszła w nową konwencję, jakbyśmy byli starymi znajomymi – byłam i nie byłam.

– To znaczy?

– Spotykałyśmy się często, uczyłyśmy się razem, jeździłyśmy na wycieczki. I właściwie tyle.

– Nie bardzo rozumiem.

Zdusiła wypalonego w połowie papierosa w popielnicy z luksfera.

– Jowita była... Jakby to powiedzieć? Pozamykana. Osobna. Tak,

chyba tak właśnie. Niby kumpłowała się z wieloma ludźmi, jak każda z nas, ale miała swój zamknięty świat, do którego nikogo nie dopuszczała. A przynajmniej nie mnie.

– Jakież mroczne tajemnice?

– Nie mam pojęcia. Ale chyba nic groźnego. Przynajmniej tak myślałam do...

Spuściła głowę, potem szybko sięgnęła po kufel i pociągnęła długi łyk. Zdaje się, że alkohol też nie był jej obcy. Takie czasy, taka młodzież. Zacząłem się obawiać, czy dla rozluźnienia nie zaproponuje mi zioła w urokliwych okolicznościach przyrody pod zamkiem. W końcu prawie już byliśmy ziomalami.

– Nie domyślasz się, co tak bardzo mogło ją zdołować? – zapytałem.

– Właściwie nie. Nic konkretnego nie było. Tylko takie jakieś...

Przypomniało mi się, że Dudkowa wspomniała, że jej córka ostatnimi czasy była bardziej poirytowana niż zwykle.

– Stresowała się maturą?

– E tam. To nie to. Teraz byle cymbał może zdać maturę.

– Więc o co chodziło?

– Pewnie o starych.

Znowu popiła.

– Jakież problemy?

– Ten cały prezio chciał ją pchać na prawo.

– Prezio?

– No jej ojciec. A Jowita marzyła o szkole aktorskiej. Chodziła nawet na jakieś zajęcia w domu kultury.

– I rodzice tego nie akceptowali?

– Nie bardzo. Uroczy papuś... – chyba trafiłem na następną osobę, która nie należała do fanklubu wiceprezydenta – zabronił Jowicie zajmować się głupotami, czyli teatrem, ale ona to olała i w tajemnicy dalej chodziła na próby.

Właściwie był w tym jakiś sens. Wiele nastolatek marzyło o sławie, więc czemu nie Jowita. Rodzicom pewnie to się nie podobało, ale czy to od razu powód, żeby strzelić samobójca? Młodzi często poddawali się presji rodziców, szli na wybrane przez starych studia, a potem po roku czy dwóch, gdy okrzepli w życiu poza domem, zasmakowali samodzielności, rzucali to, co im nie pasowało, albo zaczęli

studiować drugi kierunek. Możliwości wyplątania się z niewygodnej sytuacji było wiele.

– Jowita opowiadała ci o kłótniach ze starymi?

– Nie bardzo, czasami tylko mówiła, że coś brzęczą jej nad uchem, ale chyba się tym specjalnie nie przejmowała.

Właśnie, dobrze założyłem, że nie był to powód do czarnej, głębokiej depresji.

– A faceci? Jowita miała chłopaka?

– Od czasu Patryka chyba nikogo na stałe.

– Kiedy się rozstali? – drażyłem.

– Od głębokiej zimy temat był już nieaktualny. Zresztą nie zdziwiłam się, że dała sobie z Patrysiem spokój.

– A dlaczego?

Paulina odgarnęła kosmyk włosów, który opadł na czoło. Spodobał mi się ten naturalny gest, płynny ruch dłonią. Ta dziewczyna robiła na mnie podejrzenie duże wrażenie, a przecież nigdy wcześniej nie miałem ciągot do świeżynek, zdecydowanie wolałem kobiety mniej więcej w moim wieku albo nawet starsze. Potem znowu chwyciła kosmyk i zaczęła powoli nawijać go na palec. To było jeszcze lepsze.

– Wiesz – zaczęła niezdecydowanie – jak dla mnie, to oni byli z zupełnie innych bajek. Patryś jest miłym, szczerym, spokojnym chłopaczyną, a Jowita jest... – zmieszała się – była tajemniczą wariatką o silnej osobowości. To nie mogło się udać.

– To tak jak z nami – wypaliłem i chyba miał być to żart. Żeby nie dać dziewczynie czasu na przetrwanie tego, co usłyszała, od razu zacząłem dopytywać: – Co rozumiesz przez to, że Jowita miała silną osobowość?

– Dam ci taki przykład: wokoło niej kręciła się masa napalonych gostków, ale Jowita totalnie ich zlewała. Nie lubiła, kiedy faceci polowali na nią, to ona chciała być łowczynią. Namierzała gostka i go osaczała.

Zaczyna się robić coraz ciekawiej, pomyślałem.

– Ale – uśmiechnęła się smutno – nie myśl sobie, że była zdziwą, nie, nic takiego, nie przeginała, nie latała za facetami, a jak już miała tego, którego upolowała, to przedstawiała się na absolutną monogamię.

Zamilkła. Wypiłem łyk piwa, zapaliłem papierosa. Tym razem

Paulina nie poprosiła o dymka. Dziwiłem się, z jaką swobodą opowiadała o damsko-męskich perypetiach. Zdawało mi się, że za moich nastoletnich lat nawet z kumplami nie rozmawiało się o takich sprawach. Albo po prostu już o tym nie pamiętałem.

Paulina dopiła piwo, wbiła wzrok w ławę i zaczęła mówić zduszonym szeptem:

– Wiesz, to dziwne... – Nie przerywałem, czułem, że za chwilę usłyszę coś ważnego. – Nie wiem, jak to powiedzieć, bo... Bardzo mi jej szkoda... Jowity... Ciągle myślę o niej... Czuję, że jest obok mnie puste miejsce, taka dziura, która mnie przyciąga... Ale nie potrafię płakać... Nie pobeczałam się nawet wtedy, gdy Kaśka dryndnęła do mnie powiedzieć, że... Czy ja jestem normalna?

Wbiła we mnie wzrok. Widziałem zagubienie Pauliny, niemą rozpacz. Delikatnie chwyciłem jej dłoń, zacisnęła palce tak mocno, jakby bała się, że zsunie się w przepaść, o której mówiła.

– Jesteś jak najbardziej normalna. Każdy na swój sposób przeżywa żałobę.

Byłem pewien, że nie chcę, nie mogę ciągnąć tego tematu, że nie mam w sobie dość siły, aby w jakikolwiek sposób wesprzeć Paulinę. Zrobiłem więc to, co wychodziło mi najlepiej. Zwiąłem. A wcześniej zostawiłem dziewczynie wizytówkę, na odwrocie której nabazgrałem numer prywatnej komórki. Woląłem nie zastanawiać się, czemu to zrobiłem.

Ssanie w trzewiach uświadomiło mi, że tego dnia nic jeszcze nie jadłem. „Znów noc, papierosy i gin”, jak śpiewał jeden z moich ulubionych bardów. Ani to była noc, ani gin. Papierosy się jeno zgadzały. Nigdy nie należałem do fanów przesadnie zdrowego żywienia, często jadałem od przypadku do przypadku. Ale z drugiej strony nie potrafiłem skutecznie działać na deficycie. Gdy miałem za mało żarła, nikotyny albo alkoholu (to tylko czasami), zaczynałem robić się nerwowy. I nie myślałem logicznie. Ruszyłem do Felicji, która na pewno miała coś upichconego, cokolwiek. Przesadnie wybredny nigdy nie byłem.

Moja ukochana babuleńka siedziała w altance za domem z Antonim.

Panem Antonim. Na stole były ciasteczka, wielki dzbanek z kawą i popielnica, którą Felicja metodycznie wypełniała zwłokami kolejnych papierosów. Pan Antoni miał ponad siedemdziesiąt lat, był kimś ważnym w Geriatrycznym Klubie Rozrywki, prezesem klubu czy stowarzyszenia miejscowych emerytów. Nosił się z ostentacyjną, niedzisiejszą elegancją i od lat emablował Felicję. Z mizernym skutkiem. Co jakiś czas podpytywałem babkę, czemu dręczy staruszka, nie odpowiadając ani tak, ani nie na jego kolejne oświadczyzny. Nigdy nie udzieliła mi jasnej odpowiedzi. Jak to Felicja.

– Powitać pana Konrada.

Pan Antoni zerwał się na mój widok i zaczął oklepywać mi ramiona na powitanie. Miś, ale niezbyt wylewny. Wiedziałem, że moja wizyta w tym momencie nie była mu w smak.

– Jak zdrowie, panie Antoni? – zapytałem, choć wcale mnie to nie interesowało. Nawet nie chodziło o to, że byłem całkowicie nieczułym gnojem, miałem po prostu pewność, że senior ma duże szanse, by mnie przeżyć. Taki materiał genetyczny. Podobnie jak babki.

– A nawet dobrze, choć z nerkami ostatnio coś nie bardzo – szczerze odpowiedział. – Słabe wyniki, bardzo słabe. Mój lekarz wprawdzie mówi, że to nic takiego, ale ja tam nie wierzę, bo to oni nigdy pacjentowi prawdy nie powiedzą albo tyle, co na odczepnego, a poza tym, wie pan, ta nasza służba zdrowia...

– Antoś, Konrad nie jest nefrologiem, tylko policjantem – zgasiła go z miejsca Felicja.

Pan Antoni opadł ciężko na plastikowe krzesło.

– Chłopczyku, co cię sprowadza do starej babki przy niedzieli? Pewnie głód?

Babka miała zadziwiający dar odgadywania moich nastrojów i potrzeb. Zapewne była wiedźmą. Ja zaś bez wątpienia nie miałem nic z Wiedźmina.

– Coś bym przegryzł, cały dzień byłem w robocie.

– Służba nie druźba, jak ja w roku... – próbował zagaić pan Antoni.

– Daruj sobie wspominki. – Felicja nie zamierzała oddawać inicjatywy. – Konrad, w lodówce masz kotlety, a smażone ziemniaki na patelni. Odgrzej sobie.

Felicja uważała, że dzieciaków nie należy rozpieszczać. Musiałem

przyznać, że ta strategia, przynajmniej w odniesieniu do mnie, świetnie się sprawdziła. Najadłem się aż za bardzo, bo nie mogłem oprzeć się kolejnym mielonym z zacynym dodatkiem czosnku i cebuli. Wróciłem do altanki i chciałem w spokoju zapalić, ale babka miała inne plany. A jak już miała, to zawsze wprowadzała je w życie.

– Jak tam z wiceprezydentówną?

– Nieustannie solidnie martwa – odrzekłem, choć byłem pewien, że tylko nieudolnie odraczam dalszą część przesłuchania.

– Widzę, chłopczyku, że pięć lat studiów humanistycznych poszło na marne. Elementarny brak empatii i wrażliwości.

– Nie mów do mnie „chłopczyku” – warknąłem.

– Panie Konradzie, proszę tak nie zwracać się do swojej babki – zareagował błyskawicznie pan Antoni.

Mimo że znał nas od lat, wciąż nie wyczuwał specyfiki naszych relacji. Do tego należał do ludzi, dla których dowcip i ironia są równie odległe jak księżyc. Felicja pogładziła seniora po naznaczonej wątrobianymi plamami dłoni, mówiąc:

– Spokojnie, Antoś, bo ci ciśnienie skoczy. Opowiedz lepiej podkomisarzowi, czego się dowiedziałeś.

– Właśnie, panie Konradzie...

W pierwszej chwili chciałem uciąć tę konwersację, ale przypomniałem sobie, że Konrad Rowicki, niczym Bednarski, znowu jest na tropie, więc pozwoliłem panu Antoniemu mówić.

– Rozmawiałem z Haliną, zna pan Halinę? – Zupełnie nie kojarzyłem tej postaci, ale nie przyznałem się do tego, bo groziło to licznymi dygresjami, z których starający się Felicji sływał. – I ona ma wnuczkę, która chodzi do Krasiniaka. I tam podobno, w tej szkole niby, ale co to za liceum, za naszych młodych czasów – pan Antoni spojrział tęsknie na moją babkę, która właśnie odpalała papierosa, więc nie dostrzegła tego, co dostrzec miała – to pan sam wiesz, inna edukacja...

– I jaki to ma związek z moją sprawą? – chciałem, żeby jak najszybciej przeszedł do sedna.

– Wredny nauczyciel... Niejaki Tomasz Łowicki uczący matematyki, drobny, za przeproszeniem twych wrażliwych damskich uszu, Felicjo, chujek. Na lekcjach niczego nie uczy, a potem wymusza korepetycje. Dwa lata temu ktoś z jego klasy, bo on, taki zły człowiek i pedagog, był



wychowawcą klasy, wyobraź sobie pan...

Nic sobie nie wyobrażałem, ale nie chciałem mu przerywać, bo i tak nic by to nie dało.

– Więc dwa lata temu na jego domu, takiej ogromnej chałupie z ogrodem, oczkiem wodnym i krasnalami, wszystko za dużą kasę, wypisali mu: „Dar młodzieży”. I on...

– Zaraz, zaraz – przerwałem Antoniemu, który rozkręcał się z każdym zdaniem – ale ty przecież mówiłaś wczoraj o jakimś... – wyjąłem notes w szkocką kratę i przerzuciłem kilka kartek – nauczycielu biologii, Zawadzkiemu, który ponoć też dręczy uczniów.

– Niby taki niezainteresowany informacjami od starej babki, ale jednak sobie zapisał – Felicja nie mogła oszczędzić mi komentarza.

– Zboczenie zawodowe. Zapisuję wszystko.

– Swoją drogą ten biolog to też niezły numer – starający się babki nie pozwolił wykluczyć się z rozmowy. – Teraz ci nauczyciele to wszyscy po jednych pieniądzach. Tylko za kasą patrzą, a nauczanie i wychowywanie mają, za przeproszeniem, gdzieś.

– To w końcu o którego z nich chodzi? – byłem już nieco skołowany.

– No przecież, że o Łowickiego.

– Ale to bardziej temat dla kuratorium, nie dla mnie.

Pan Antoni najpierw spojrzał na Felicję, znacząco, a potem na mnie – jak na młodego leszcza, który nic nie rozumie.

– Depresja – prawie wysyczał. – Wnuczka Halinki wpadła w bardzo głęboką depresję.

– I co w związku z tym?

Felicja wypuściła chmurę dymu, patrząc na mnie wymownie.

– Nie kojarzysz faktów?

– Ale kto teraz zabija się przez problemy z matematyką? – zapytałem.

– Jowita Dudek. Łowicki ją uczył. – Pan Antoni spojrzał na mnie triumfalnie. Bez wątpienia sądził, że Holmes z Poirotem razem wzięci nie dorastają mu do pięt.

Rewelacje staruszka nie zrobiły na mnie większego wrażenia, jak świat światem byli w szkołach nielubiani nauczyciele, o których krążyły mroczne miejskie legendy. Z drugiej strony w ostatnich latach coraz częściej słyszało się, że to raczej belfrzy obawiają się uczniów, a nie na

odwrót. Postanowiłem, że sprawdzę Łowickiego, dla świętego spokoju, choć na wiele nie liczyłem.

Felicja próbowała zatrzymać mnie na kolację, ale byłem za bardzo zmęczony, chciałem już tylko wrócić do domu i zasnąć. Futbol tego dnia zupełnie mnie nie interesował. Odpłynąłem w sen niemal w tym samym momencie, w którym przyłożyłem głowę do poduszki.

## Rozdział 7

### Zapiski depresjoholika III

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Wszystko działo się błyskawicznie, ale przy tym spokojnie i planowo. Czasami myślał, że to, co ich spotkało, było niczym wybuch, ale z rodzaju eksplozji, po których wielki budynek składa się w kilka sekund niczym domek z kart. Choć to porównanie nie było do końca trafne, bo oni przecież nic nie burzyli, wręcz przeciwnie, systematycznie budowali wspólne życie.

W kilka miesięcy przebiegli drogę od przyjaźni do małżeństwa. Nie mieli wątpliwości, wiedzieli, czego chcą, przecież nie byli już rozedrganymi od emocji nastolatkami, choć z drugiej strony trzeźwa kalkulacja nie zastępowała im uczuć, a jedynie dawała pewność trafności dokonanych wyborów. Postanowili, że wezmą ślub cywilny. Felicji było absolutnie wszystko jedno, w trakcie jakiej uroczystości powiedzą sobie „tak”. Rodzice Marii, starsi ludzie wiodący nudnawe życie emerytów, trochę kręcili nosem na brak białej sukni i sakramentalnego błogosławieństwa. Mimo to byli zadowoleni, że ich wypieszczona jedynaczka wreszcie znalazła sobie męża, poza tym polubili go, szczególnie teść, były maszynista na kolei, który raz po raz powtarzał, poklepując go po ramionach, że facet w mundurze to gwarancja solidności. W takich chwilach czuł się niczym wysoko oprocentowana lokata w szwajcarskim banku, ale powstrzymywał się od komentarzy.

Koniec października tego roku udawał środek sierpnia. Felicja mówiła, że słońce w czasie ślubu to dobry omen. Dobry, niedobry, najważniejsze było dla niego, że Maria wyglądała na szczęśliwą. Ceremonia w urzędzie w Skarżysku-Kamiennej była krótka, formułki, podpisy, wzruszenie Felicji, zwykle niezbyt skorej do okazywania emocji, łzy w oczach matki Marii. Nie życzyli sobie tradycyjnych ślubnych szykan, obrzucania ryżem czy drobnymi monetami, odebrali życzenia, przez chwilę pozowali do obowiązkowej sesji zdjęciowej i zaraz pojechali do restauracji na weselny bankiet. Tak właśnie, bankiet, skromny, sama najbliższa rodzina, z jego strony tylko Felicja, bo przecież nie miał nikogo innego, kilka koleżanek z pracy Marii. Nie przewidzieli poprawin, bo rankiem następnego dnia ruszali w podróż poślubną. Jej rodzicom pomysł, że nowożeńcy spędzą tydzień w Sopocie, niezbyt się spodobał, chcieli im fundować wycieczki na ciepłe egzotyczne wyspy. Wszystko dla jedynaczki... Ale ani Maria, ani on nie znosili dalekich podróży. Lubili Bałtyk, kochali siebie... I to im wystarczało.

Pensjonat o nazbyt oczywistej jak na to miejsce nazwie Muszelka miał dwie zalety: apartament z widokiem na Zatokę Gdańską i niewielką odległość dzielącą go od plaży. Wystarczyło przeciąć deptak, ciągnący się od Sopotu do Gdańska, by poczuć pod stopami piasek. Oprócz nich mieszkali tam jedynie, jak to po sezonie, starzy Niemcy, trzęsące się cienie w płóciennych czapkach i wygodnych sportowych strojach, próbujący znaleźć w Sopocie ślady dawnej świetności kurortu Zoppot. Czuli się przez to trochę tak, jakby znaleźli się poza czasem albo przenieśli do alternatywnej rzeczywistości, która niewiele miała wspólnego z normalnym, zwykłym życiem. Przynajmniej tak właśnie czuł się on w trakcie tej, trwającej siedem dni, niedzieli. Było mu z tym świetnie.

Ten tydzień okazał się lepszy, niż mógł się tego spodziewać. Właściwie był to najszczęśliwszy tydzień w całym jego życiu, pełen prostych przyjemności. Wylegiwali się na plaży, wystawiając twarze do wciąż jeszcze mocno grzejącego słońca, a gdy znudził im się bezruch, łązili po Monciaku, smakując posezonowy smutek tropików. Chodzili po uliczkach, na które zwykle nie trafia turyści, jedli ryby w opustoszałych knajpach. Jeździli po okolicy. Na Mariackiej w Gdańsku kupił jej wisiorek z bursztynem, w którym zatopiony był owad. Powiedziała, że nigdy w życiu nie widziała nic piękniejszego. W Helu, do którego popłynęli statkiem udającym piracką łajbę, oglądali rozdokazywane foki i stare bunkry. A potem, po powrocie do pensjonatu, przyglądali się miastu, które zamierało, układało się do zimowego snu. Milczeli, bo nie musieli nic mówić. Wystarczało im, że czuli swoją obecność, bliskość. I było to dobre, jakby rzekła księża, gdyby cokolwiek rzecz mogła.

Lecz potem... potem tego, co dobre, było jeszcze więcej...

## Rozdział 8

### Polowanie na Karaczana

11 czerwca 2012, poniedziałek

Ledwie przekroczyłem próg fabryki, a już odebrałem telefon od Głównodowodzącego, który przypomniał mi, że absolutnym priorytetem jest przygotowanie kwitów w sprawie Dudkówny, i niezbyt subtelnie zagroził, że jeśli nie skompletuję dokumentów do piętnastej, to urwie mi, co tylko urwać się da, i na dodatek poleci mi po premii. Nie skomentowałem, że żadnych bonusów finansowych od dawna już nie widziałem na koncie, więc to żadna kara. Przytakiwałem mu, ze spokojem przyjąłem rozkazy, byłem wręcz idealnym podwładnym. Bo miałem plan. Tak czy siak, musiałem wyprodukować papiery, ale przy okazji mogłem ugrać coś dla siebie. Choćby pociągnąć za język szanowanego pana wiceprezydenta. Nie spodziewałem się, że wiele od niego usłyszę, ale satysfakcja z wkurzania nadętego urzędniczyny była dla mnie bezcenna.

Właściwie powinienem wezwać rodziców Jowity i dyrektora szkoły na formalne przesłuchanie w komendzie, ale nie było na to czasu, poza tym miałem pewność, że Gajowniczek nie będzie wnikał, czy ściśle trzymałem się procedur, jeśli tylko dostarczę kwity na czas. Co więcej, było dla mnie jasne jak słońce, że gdybym jednak wezwał nieszczęsnych rodziców do fabryki, dostałbym kolejny opieprz. A ileż można wysłuchiwać połajanek?! Spisałem z notatek wstępne wersje zeznań, pełne odmów i okrągłych, niewiele znaczących zdań, teraz wystarczyło tylko zebrać pod nimi autografy, skompletować teczkę, rzucić ją na biurko Głównodowodzącego i oficjalnie zamknąć śledztwo. A nieoficjalnie robić swoje. W to, czym zajmowałem się poprzedniego dnia, nie zamierzałem nikogo wtajemniczać. Do czasu.

Najpierw podjechałem po podpis dyrektora Krasiniaka, potem byłem w Krubinie. Dudkowa wciąż wyglądała jak po ciężkim nokaucie. Wiceprezydenta zostawiłem sobie na deser. Chciałem jak najszybciej załatwić sprawę, choćby dlatego, że Dudek drażnił mnie, choć nie powinien. Miałem przecież być spokojny niczym siedzący Budda. I wykrakałem z tym siedzeniem.

Sekretarka, nawet dosyć dekoracyjna, zrobiła Rejtana w drzwiach gabinetu szefa, który miał ponoć bardzo ważne, niezwykle wręcz ważne spotkanie. Co było robić, umościłem się w wygodnym fotelu i czekałem. Miałem czas, jednak po wypiciu dwóch herbat i wykasowaniu z komórki wszystkich starych esemesów powoli zaczynałem tracić cierpliwość. Rozważałem właśnie opcję sforsowania drzwi siłą, gdy te się otworzyły. Z gabinetu Dudka wyszła zdecydowanym krokiem kobieta. Choć właściwie nie tyle kobieta, ile raczej anioł, który zstąpił na ten padół nędzy i łez wprost z biznesowych wyżyn jakichś Londynów czy innych Nju Jorków. Anioł wyglądał tak, jakby wyszykowany był na sesję modową. Biła od niego aura władczości. Może więc był to sam archanioł. Asystowały mu dwa pośledniejsze byty, a na końcu kroczył wiceprezydent, który był jednym wielkim uśmiechem. Nie wiem, czy Dudek zarejestrował moją obecność. Orszak archanioła zniknął, pozostawiając mnie w osłupieniu.

Znałem archanioła, a właściwie wiedziałem, kto zacz. Doktor Kostrzewa, królowa specyfików poprawiających urodę i przynoszących ulgę kobietom strapionym bezlitosnym przemijaniem. Od jakiegoś czasu krążyły po Ciechanowie wieści, że doktor Kostrzewa zamierza tu inwestować. Nie brałem ich na serio. W niegdyś wojewódzkim Ciechanowie od dziesięcioleci z poważnym biznesem i nowymi miejscami pracy było krucho. Wprawdzie całkiem nieźle radziły sobie zakłady produkujące wędliny z drobiu, a od niedawna także browar, ale próby skuszenia jakiegoś nowego, większego inwestora kończyły się jedynie na pełnych nadziei zapowiedziach. Rozanielony wyraz twarzy wiceprezydenta sugerował jednak, że może coś w tej kwestii się niedługo zmienić.

Po kilku minutach Dudek wrócił. Nim zdążył zaprotestować, wparowałem do jego urzędniczej świątynki. Już się nie uśmiechał. Podałem mu kartki ze spisanim zeznaniem. Przystudiował uważnie jego treść, sięgnął do kieszeni marynarki po pióro, na moje oko – drogie, i złożył zamaszysty podpis. Ponieważ nie podnosiłem się z krzesła, zapytał:

– Coś jeszcze?

– Pozostał nam jeszcze do wyjaśnienia jeden drobiazg.

Dudek wykrzywił twarz w taki sposób, jakiego nie widziałem u nikogo innego. Pan wiceprezydent bez wątpienia należał do ludzi miniastych. Robił to bezwiednie, czy może ćwiczył wcześniej przed lustrem? Nie byłem pewien.

– Z tego, co tu widzę – puknął palcem w podpisany papier – wszystko jest wystarczająco jasne. Powiedziałem, co wiedziałem.

– Podobno w ostatnich miesiącach dochodziło do scysji między Jowitą a panem i pana żoną.

– Scysji?

– To znaczy kłótni.

– Wiem, co znaczy to słowo – warknął.

Wbił we mnie wzrok. Milczał zbyt długo jak na człowieka, który chciał mi powiedzieć szczerą prawdę i tylko prawdę. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Po pierwsze, nie rozumiem, dlaczego interesują pana tego rodzaju sprawy... – Chciałem się wtrącić, ale nie dał mi dojść do słowa. – Po drugie, nie wiem, kto panu nagadał takich bzdur, bo jeśli moja żona, to chyba zdaje sobie pan sprawę, że jest w głębokim szoku, a do tego pod wpływem silnych leków, więc nie zawsze mówi z sensem.

– Czyli nie kłócili się państwo z Jowitą?

– Nie. I nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia. – Tę frazę zapewne nieraz przećwiczył w rozmowach z nazbyt dociekliwymi dziennikarzami.

– Powiedzmy, że wierzę panu wiceprezydentowi.

Znowu utkwiał we mnie wzrok drapieznika, który namierzył ofiarę, za chwilę ją dopadnie i rozerwie na strzępy.

– Z tego, co wiem, sprawa niedługo zostanie zamknięta...

Nie zdziwiło mnie, że Dudek zna scenariusz najbliższych wydarzeń.

I to wcale nie dzięki darowi wieszczenia. Nie skomentowałem jego słów, choć miałem ochotę. Pozwoliłem, by mówił dalej:

– ...i jedyne, co bym chciał zrobić, to w spokoju pochować córkę. Nikt mi w tym nie przeszkodzi, a już na pewno nie ktoś taki jak pan. A dla jasności, bo widzę, że do pana trzeba mówić wyraźnie i dużymi literami...

Zrobiłem odpowiednią do sytuacji minę: nędznego podwładnego, który przed naczałstwem powinien wyglądać na durnowatego.

– ...nie życzę sobie, żeby pan węszył wokół mnie i mojej rodziny. To nikomu nie jest do niczego potrzebne. Córcie życia nie wróci, a narobić może jedynie zbędnego zamieszania. Rozumiemy się? – Z wzajemnym zrozumieniem raczej bym nie przesadzał, ale skinąłem głową. Dla świętego spokoju, ale też dlatego, że uznałem, iż dalsze odpytywanie było bez sensu. Zresztą miałem już pewność, choć nie stuprocentową, że coś jest na rzeczy, musiały istnieć w tej nieszczęsnej rodzinie napięcia, o których nikt nie będzie chciał z własnej woli mówić. I że Dudkowi podejrzenie mocno zależy na tym, by jak najszybciej wyciszyć sprawę. Prędzej czy później znajdę sposób na rozwiązanie zasznurowanych ust, bo jestem uparty i konsekwentny. Wprawdzie tylko czasami, wtedy gdy mi na czymś zależy. W tym przypadku bardzo mi zależało. Teraz jednak mogłem zrobić tylko jedno – pożegnać się i zostawić pana wiceprezydenta sam na sam z myślami. Na moje „do widzenia” wyburczał coś pod nosem, ale gdy już byłem przy drzwiach, powiedział mocnym głosem:

– Kiedy mogę odebrać ciało?

W pierwszej chwili myślałem, że słuch mi szwankuje, ale nie, przecież wyraźnie powiedział „ciało”, nie „córkę”, nie „Jowitę”, tylko właśnie „ciało”, jakby załatwiał kolejną sprawę w ramach obowiązków służbowych, jakby pracował w pieprzonym zakładzie pogrzebowym. Ruszyłem, napędzany wściekłością, ku niemu, ale na szczęście opanowałem się w ostatniej chwili. Nie mogłem znowu zarobić nagany z wpisem do akt, nie w tym momencie.

– Z tym pytaniem to już nie do mnie. Przecież ma pan – wskazałem leżący na biurku wizytownik – odpowiednie kontakty.



Niczym pies aportujący patyk, przyniosłem Gajowniczkowi w zębach teczkę z kwitami tego udawanego dochodzenia. Od strony formalnej wszystko było tip-top i na cito. Tak jak być miało wedle rozkazu miłościwie panującego nam szefa. Pochwalony, pomiziany za uchem, nawet zamerdałem ogonem z radości. Taki psi odruch.

– Widzisz, Konrad, jak chcesz, to potrafisz. – Niespiesznie kartkował papiery, choć właściwie nie było co przeglądać. Doskonale wiedział, co tam ma być, i nie rozczarował się zawartością. – Sprawa szczęśliwie zamknięta. Odhaczona, te sprawy. – Wymruczał coś, czego nie dosłyszałem.

– Co takiego? – spytałem, spodziewając się niezbyt przyjemnych dla mnie nowości.

– Bo wiesz – chrząknął, jakby słowa z trudem przeciskały się przez jego gardło – nie żeby mi się bardzo podobało takie załatwienie sprawy. Na szybko. Ale są pewnie priorytety i ja się muszę tego trzymać.

Kluczył, plątał się, nie mówił wprost. Właściwie nie musiał wypowiadać słów, które brzmiały jak usprawiedliwienie. Najwyraźniej jednak nie był aż tak wyrachowanym, cynicznym sukinkotem, na jakiego wyglądał. Do pewnego stopnia go rozumiałem. Miał szefa, który też miał szefa. I tak dalej. Służy się nie tyle komuś albo czemuś, ile przede wszystkim służy się pod kimś. Każdy w służbach mundurowych wiedział o tym aż za dobrze. Trudno powiedzieć, że było mi Głównodowodzącego żal, jednak udzieliłem mu chwilowego wsparcia. Jak funkcjonariusz funkcjonariuszowi.

– Doskonale cię rozumiem.

– Świetnie, to załatwiliśmy jedną sprawę, a teraz możesz spokojnie zająć się czymś innym. Pomożesz jutro w zabezpieczeniu strefy kibica.

– Czy ja jestem z prewencji? – zdziwiłem się jak pierwszy naiwny.

– Nie. I wiem, że takie zadanie jest poniżej, błędnie przez ciebie rozumianej, godności oficera policji. Ale zrobisz, co ci każę, bo zrobić musisz.

Chwila dobroci była ulotna. Gajowniczek jednak ukarał mnie za sobotnią niesubordynację, za zdania, których w jego mniemaniu wypowiadać nie powinienem, przynajmniej nie w obecności prokuratora. Trudno i darmo, podkuiliłem pod siebie ogon,

podziękowałem za nowe ważne zadanie. I na koniec zasalutowałem do pustego, w każdym tego słowa znaczeniu, łba. Chyba nie wyczuł ironii.

W poczuciu dobrze wykonanej, acz mało komu potrzebnej roboty wyszedłem z fabryki. Musiałem coś zjeść, a wiedziałem, że w lodówce znajdę jedynie szron i resztki, z których nie da się uwarzyć nawet zupy nic. Mogłem jechać do kochanej staruszki, ale postawiłem na knajpę. Wybrałem restaurację w Panorami, gdzie może nie karmili w sposób nazbyt wyrefinowany, ale jednak smaczny.

Już w drzwiach zauważyłem, że przy barze siedzi Ładny. On też mnie dostrzegł, ale udawaliśmy, że się nie znamy. Świetnie, pomyślałem, Ładny może mi się teraz przydać. I znowu zgañilem sam siebie, że wcześniej nie przyszło mi do głowy, aby go odpytać. Ale co się odwlecze... Zamówiłem schabowego z młodymi ziemniakami i podsmażaną kapustą. I piwo, jedno, choć byłem autem. Nie musiałem długo czekać na żarło, jadłem powoli, raz po raz popatrując na Ładnego. Nie chciałem, żeby mi zwiął. Niby ciągle kręcił się po mieście, ale gdy wyczuwał, że może mieć kłopoty, potrafił skutecznie zniknąć.

Ładny był... Właśnie, kim właściwie był? Ptakiem niebieskim, który nie sieje, nie zbiera, a żyje całkiem dobrze? Na pewno. Od lat kręcił się na obrzeżach miejscowego i warszawskiego półświatka, ale trudno było przypiąć mu jakikolwiek paragraf. Był jak piskorz, który zawsze się wymysknie. Jednak do czasu. Dopadłem go przez przypadek. Zupełny. To było prawie dwa lata temu, jeździłem wtedy do stolicy, gdzie miałem całkiem sympatyczną panią, w przypiływie czułości nazywaną narzeczoną. Jednak pani za bardzo naciskała, by legalizować nasz weekendowy związek, więc musiałem się wycofać, choć, co tu kryć, niechętnie. Po moim „nie”, wystawiła mnie za drzwi, przejmując tym samym moje mienie ruchome niewielkiej wartości w postaci szczoteczki do zębów, zestawu kosmetyków pośledniej marki i kilku sztuk garderoby, więc nie pozostawało mi nic innego jak się lekko poalkoholizować. W pubie przy rondzie Wiatraczna trafiłem na Ładnego, który w ubikacji szarpał średnio atrakcyjną panienkę. Nie znoszę damskich bokserów, więc spacyfikowałem go i przeszukałem. Znałem człowieka z widzenia, on znał mnie. Znalazłem w jego

kieszeniach sporo trawy i nielegalnych pigułek. Mogłem zatargać delikwenta na pierwszą lepszą komendę, ale pomyślałem, że skruszony Ładny może kiedyś mi się przydać. I tak został moim ucholem. Bardziej prywatnym niż na oficjalne potrzeby.

Skończyłem jeść, ruszyłem w stronę łazienki, dając dyskretny znak Ładnemu. Siadłem na kibelku i zapaliłem, miałem gdzieś, czy są tam czujniki dymu. Po chwili pojawił się, jak zwykle świetnie ubrany, nażelowany, pachnący, jak to Ładny. Istny chłopiec z plakatu.

– Kurwa, czemu mi strzelasz taki obciach? – zaczął konwersację w najgorszy z możliwych sposobów.

Roześmiałem się serdecznie.

– Po pierwsze, nie klnij, bo ci Bozia język odejmie. Po drugie, nikt nic nie widział.

– Ty to jednak ślepy pies jesteś...

– Może i tak, ale węch mi pozostał.

Lubiłem się z nim przekomarzać. Był inteligentny, co w światku zbójów nie zdarzało się często.

– Coś się urodziło? – spytał.

– Tak, a potem zdechło. Za piętnaście minut widzimy się przy działkach za szpitalem.

– Ale nie mam auta.

– To pójdziesz z buta. Dla zdrowotności.

Zasyczał zgaszony papieros. Wyszedłem, nie oglądając się na Ładnego.

Działki, które ciągnęły się za szpitalem i koszarami w stronę Chrzanówka, były tam od zawsze. Od mojego zawsze. Kiedyś zabierała mnie tam babka, abym plewił, kopał, wyrywał chwasty. Nienawidziłem tego, konieczność grzebania w ziemi była największą torturą mojego dzieciństwa. Paradoksalnie teraz też wyrywam chwasty, tak aby grządką zwana miastem prezentowała się w miarę estetycznie. Chwast Ładny przyszedł, bo nie mógł nie przyjść.

Siadł w moim samochodzie i zaczął bawić się smartfonem. Czekałem, co powie.

– I? – zagaił błyskotliwie.

Nie zamierzałem dręczyć uchola, więc spytałem:

– Kojarzysz córę pana wiceprezydenta?

– Taaa, efektowny samobój.

Nie zdziwiło mnie, że – jak to mawiają niektórzy politycy – ma wiedzę w tym temacie. Ładny wiedział wszystko, co trzeba i czego nie trzeba. Tak na wszelki wypadek, bo zdawał sobie sprawę, że informacja bywa skuteczniejszą bronią niż zatknięta za paskiem kłamka. Prawdopodobnie obok mojej starowinki był drugim najlepiej poinformowanym człowiekiem w mieście i okolicach. I kiedy było mu to potrzebne, bezwzględnie tę wiedzę wykorzystywał. Albo sprzedawał informacje, nie uwzględniając promocji i rabatów.

– Nie za bardzo interesuje mnie, jak to oceniasz – powiedziałem.

– Tak? To o co ci biega? Dawaj, bo obiad mi stygnie.

– Z tego, co widziałem, to tylko piłeś piwo.

– Obiad niejedno ma imię.

– Wiesz, z kim ostatnio Jowita się prowadziła?

To nie było pytanie od czapy. Ładny wiedział, kto w tym mieście z kim, dlaczego i czy z przyjemnością, czy bez. Schował do kieszeni spodni telefon i spojrzał na mnie.

– Po co ci to?

– Powiedzmy, że jestem ponad miarę ciekawy. Taka skaza, nie tylko zawodowa.

– Żadnemu z nas dobrze to nie zrobi.

– Nie pamiętam, żebym zatrudniał cię jako niańkę, więc daruj sobie.

– Konrad, szczerze, zwisa mi ciężkim kalafiolem, co się z tobą stanie. Nie chcę tylko dostać rykoszetem przez ten nasz pieprzony układ, który coraz mniej mi pasuje.

Zdenerwował mnie odrobinę, więc podniosłem głos:

– Jeśli chcesz mi przez to powiedzieć, że uważasz swoje błędy i wypaczenia za odpracowane, to grubo się mylisz. Pamiętaj, Ładny, że mam na ciebie haka, więc daruj sobie scenki rodem z kina moralnego niepokoju i opowiadaj panu podkomisarzowi wszystko jak na świętej spowiedzi, a być może kiedyś uzyskasz pełne odkupienie win.

– Amen. Dobra, jak chcesz. Ta cała Jowita pokazała się na mieście z Karaczanem. Szlajali się po knajpach, furą ją wozili.

– Karaczan?

– Zdziwko, nie? – Ładny zachichotał dosyć paskudnie. – To mogę się już odmeldować, panie władzo, do zajęć w podgrupach?

– Zaraz, zaraz. A jakieś szczegóły?

– Nie ma żadnych. Zobaczyłem ich, zadziwiłem się nad tym, jak to ludzie się bez sensu dobierają, i tyle. Ciechanowskie amory mnie nie interesują.

– Może gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że to prawda. Popytaj, co tam między nimi było. – Skinął głową, choć na jego twarzy malowała się niechęć. – Koniec widzenia.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać, zmył się błyskawicznie bez pożegnania.

Wysiadłem, oparłem się o miśka i zapaliłem. Karaczan... Swoją drogą, jaka bandyterka, takie ksywy, te wszystkie Dziady, Kiełbasy i Masy, jeden wielki obciach. Karaczan właściwie nie należał do mafii, tylko do, jak to określałem, zorganizowanej grupy przestępczej o charakterze wprawdzie niezbrojnym, ale wyjątkowo wrednym, na której czele stał Hans. To akurat było bardzo adekwatne pseudo, bo delikwent wyglądał jak z katalogu SS-manów poszukiwanych przez żydowskie organizacje, a do tego robił interesy z naszymi zachodnimi sąsiadami. Interesy... Grupa handlowała ludźmi, Hans i spółka obiecywali dziewczynom dobrą, stabilną pracę w Reichu, ale gdy te już znalazły się za granicą, trafiały do burdeli. Na północnym Mazowszu duże bezrobocie było, jest i zapewne będzie, więc nie mieli specjalnych problemów ze skaptowaniem zdesperowanych kobiet. Jakies pięć lat temu zaczęliśmy ich osaczać, co nie było łatwe, bo trudno jest nakłonić zastraszone ofiary do składania oficjalnych zeznań, sprawa się ślimaczyła, więc stało się, co stać się musiało, przejęły ją chłopaki z CBS, jak zwykle szybcy i wściekli. Nie byłem z tego powodu szczęśliwy, tym bardziej że pokpili sprawę, tak jak przewidywałem, pospieszyli się z zatrzymaniami, potem okazało się, że pewnych dowodów nie można wykorzystać w sądzie, ktoś wycofał się ze składania zeznań i koniec końców zapadły jedynie bardzo niskie wyroki. Wszyscy dawno już zakończyli wczasy na koszt podatników, część grupy się rozpiezchła, ale Hans i Karaczan zostali w Ciechanowie. Przyglądaliśmy się im dyskretnie, ale sprawowali się bez zarzutu, nawet wzięli się do ucziwej roboty. Ponoć. Były dwie

możliwości: albo w ich przypadku stał się cud i zadziałała resocjalizacja, albo zwyczajnie się przyczaili. Stawiałem raczej na to drugie. Tak czy siak, nawet jeśli Karaczan wstąpił na ścieżkę cnoty, prawa i sprawiedliwości, to i tak był kiepskim kandydatem na partnera dziewczyny z dobrego domu.

Mogłem wrócić do mojej uroczej hacjendy, żeby pooglądać piłkę kopaną, choć nawet nie wiedziałem, kto z kim tego dnia gra, ale postanowiłem jeszcze trochę zająć się robotą, już jak najbardziej prywatną, a nawet niespecjalnie legalną. Detektyw? Prywatny? Ciechanowski Marlowe, ostatni sprawiedliwy w powiecie.

Karaczan mieszkał na Aleksandrówce, osiedlu bloków z wielkiej płyty wybudowanych w mocno schyłkowych latach nieboszczki Ludowej. Niezbyt wykwintna lokalizacja jak na zbója, który swego czasu obracał sporą gotówką. Być może był to jedynie element maskowania. Zwykły biedny obywatel mieszka na zwykłym biednym blokowisku. Syf, nędza, brak prawa do zasiłku i zaszczane bary piwne. Z ogródków działkowych na ulicę Gwardii Ludowej było blisko, więc wybrałem się do delikwenta z niezapowiedzianą wizytą.

Dostępu do klatki schodowej bronił kiedyś domofon, ale ewidentnie komuś się on nie spodobał, bo pozostało po nim ledwie kilka kabelków i nadpalonych kawałków plastiku. Powłokłem się na czwarte piętro, przyglądając się po drodze ścianom, które niemo domagały się malowania. Świetnie sprawdzały się jako tablica informacyjna, z wpisów na niej mogłem się dowiedzieć, kto jest najlepszą cichodajką w okolicy, że Legia jest mistrzem Polski, kto donosi policji, której tradycyjnie CHWDP, i że Troję pomścimy. Troję pomścimy? Ciekawostka.

Karaczan sprawił sobie porządne drzwi antywłamaniowe. Jakoś mnie to nie dziwiło. Dzwoniłem, pukałem. Cisza. Wykręciłem do zbója, ale usłyszałem jedynie komunikat o czasowej niedostępności abonenta. Nim schowałem komórkę, usłyszałem za sobą:

– Czego tu?

W drzwiach mieszkania naprzeciwko stał solidny, łysy brzuchacz w siatkowym podkoszulku. Że też ktoś jeszcze nosi coś takiego, bieda

czy taki styl?, zastanawiałem się. Miał wygląd notorycznego pogromcy akwizytorów.

– Policja – zacząłem od konkretów.

Jak na posiadane gabaryty, bardzo sprawnie wykonał w tył zwrot i chciał zniknąć w swojej norze, ale podbiegłem i przytrzymałem zamykające się drzwi.

– Nazwisko? – rzuciłem, choć nie wiedziałem po co.

– Borówka Wincenty – odpowiedział automatycznie.

Nie mogłem się nie roześmiać.

– Weź się odpiardol, z łaski swojej – brzuchacz Wincenty nie wyglądał na zadowolonego.

– Spokojnie, bo to podpada pod obrazę policjanta na służbie – powiedziałem, z trudem tłumiąc kolejny napad śmiechu. – Szukam – przez chwilę przypominałem sobie, jak właściwie nazywa się Karaczan – Waldemara Bilskiego. Widział go pan ostatnio?

– Ja tam nic nie wiem.

– A może pojedziemy na komendę?

To zaklęcie zawsze działało. Prawie.

– Przez parę dni go nie było.

– A kiedy ostatnio się pojawił?

– A bo ja pamiętam...

Podejrzywałem, że doskonale wie, a do tego jest wielce prawdopodobne, że robi u Karaczana za kogoś w rodzaju nieoficjalnego ciciu.

– Rozmawiajmy jak dorośli... Kiedy?

– Jak wyszedł w środę, to już nie wrócił.

– Był sam?

– Tak. Mało kto do niego przychodzi. Czasem tylko jakieś dziunie z majtkami na wierzchu.

Nie zdziwiło mnie, że Karaczan nieodmiennie gustował w kobietach niecieężkich obyczajów. Darowałem sobie pożegnanie i zszedłem do samochodu.

Nagle zniknięcie Bilskiego mogło coś znaczyć, choć nie musiało. Długi weekend, te sprawy, jakby rzekł Gajowniczek. Podjechałem kilka ulic dalej do baru, w którym zwykle Karaczan przesiadywał z Hansem. Knajpa zwała się nieskomplikowanie – Pub Sportowy, słusznie, bo cały

czas na ogromnej plazmie puszczano tam Eurosport i inne podobne stacje monotematyczne. Wszedłem do niewielkiej ciasno zastawionej stolikami salki. Spoczęły na mnie ciężkie spojrzenia. Znałem stałych klientów tego przybytku, a oni znali mnie. Nie zauważyłem Hansa. Jeśli Karaczan gdzieś się zmył, to Hans z pewnością o tym wiedział. Dlatego go szukałem. Stałem przy barze, przez chwilę patrzyłem, jak Anglicy toczą odwieczny bój z Francuzami.

– I jak meczyk? – spytałem barmana, a zarazem właściciela lokalu.

– Jakoś chłopaki nie mogą się rozbujać.

– To już nie ta Anglia co parę lat temu.

– Ale i tak naszych ciągle leją i lać będą.

Aby to przewidzieć, nie trzeba było być profetą.

– Szukam Hansa.

– Każdy kogoś szuka – barman jak to barman lubił rzucić wątpliwą mądrością na tematy ogólnoludzkie i życiowe.

– Nie obchodzi mnie ktoś, tylko jak najbardziej konkretny Hans. To jak?

Barman zainteresował się czystością szkła, zaczął z zapalem wycierać pokal. Aha, musiałem się wkupić.

– Jedno tyskie proszę – zamówiłem, choć nie zamierzałem pić bez wątpienia chrzczonych sików.

Nalał sprawnie, nie zapomniał nawet o podstawce pod szkło. Po prostu knajpa z klasą.

– To co z tym Hansem? – przypomniałem pytanie dnia.

– Jak to on, pojawia się i znika. Wczoraj był, dzisiaj się jeszcze nie pokazał.

– A Karaczan?

– W sensie, że niby co?

Sam sobie byłem winien, bo niedokładnie sformułowałem pytanie. Nie mogłem liczyć na wylewność gościa z za baru, tym bardziej że klienci, bez wątpienia niezbyt pozytywnie nastawieni do tak zwanej władzy, przysłuchiwali się naszej konwersacji.

– Kiedy był tu ostatnio?

– Jakoś w zeszłym tygodniu, ale dokładnie to nie powiem.

Bo mówić nie chcesz i nie musisz, skomentowałem w myślach. Dobrze, czegoś się dowiedziałem, choć trudno to uznać za



wywiadowczy sukces tygodnia.

– Okej, muszę wreszcie trochę pomieszkać w domu. Napij się za zwycięstwo Angoli – powiedziałem, podsuwając w stronę barmana nietknięte przeze mnie piwo.

Popatrzył na mnie tak, jakbym miał u niego niespłaconą od kwartału kreskę.

Zmierzchało. Stałem oparty o miśka i paliłem papierosa. Nie namierzyłem Karaczana ani Hansa. Trudno. Zawsze mogłem jeszcze przycisnąć Ładnego, który pewnie wiedział, gdzie te dwa ptaki niebieskie obecnie fruują i czy nie nazbyt kalają gniazdo zwane państwem prawa. W pierwszej chwili pomyślałem, że faktycznie powinienem już wracać do domu, ale właściwie co bym miał tam robić? Gapić się w telewizor?

Postanowiłem, że odwiedzę nauczyciela, którego nadał mi pan Antoni. Pojechałem na Śmiecin i przez jakiś czas błądziłem po małych uliczkach, nim dotarłem do posiadłości Łowickiego. Posiadłość to za dużo powiedziane – jednorodzinny klocek bez stylu na niewielkiej, ale zadbanej działce. Bramka była zamknięta, nadusiłem dzwonek. Najpierw pojawił się rozszczekany york z ADHD, potem kobieta w powyciąganym dresie. Na moją legitymację zareagowała z podejrzaną obojętnością, zawołała męża. Pojawił się przede mną niski, drobny facecik ze śmiesznie sterczącymi wąsami i hiszpańską bródką. Zdaje się, że nie zamierzał zapraszać mnie do domu, wskazał ogrodową ławkę i nim wyjaśniłem, z czym przychodzę, zaczął nadawać:

– Musi pan wiedzieć, że mój sąsiad to pieniacz. Ciągłe się nas czepia, ostatnio miał pretensję, że palę w piecu byle czym i dym mu przeszkadza.

– Zdaje się, że pan nie dosłyszał, jestem z wydziału kryminalnego i niespecjalnie interesuje mnie, czy pali pan w piecu plastiki.

– To o co chodzi? – nauczyciel był zdziwiony, ale też wyraźnie zadowolony, że nie ciągnę tematu opału.

– O Jowitę Dudek. Uczył ją pan.

Łowicki poczochnął przydługie włosy.

– Tragedia, no, po prostu tragedia.

Czy nauczyciele w liceum przeszli szkolenia z oswojania samobójstw uczniów? Matematyk zareagował niemal tak samo jak dyrektor.

– Co pan o niej wie?

– Tyle co nic, dobra uczennica, miała u mnie solidną czwórkę, choć matematyka to nie był jej priorytet.

– Dawał jej pan korepetycje?

– Korepetycje? – matematyk zdawał się mocno zdziwiony. – Nie, nie było potrzeby.

– Ale była możliwość dorobienia kilku złotych.

– Co pan sugeruje? – Łowicki spojrział na mnie spoode łba.

– Nic specjalnego, ale z tego, co wiem, pana stosunki z uczniami bywały, hm, napięte i skomplikowane.

Niespodziewanie zerwał się z ławki, zrobił kilka szybkich kroków w tę i z powrotem, znowu klapnął na ławkę. Nerwowy facecik.

– Pan to chyba nie ma dzieci?

– Jakoś się nie przydarzyło. Ale co to ma do rzeczy?

– W szkołach teraz wszystko postawione jest na głowie. Rozwydrzone dzieciaki, roszczeniowi rodzice. W razie czego wszystkiemu winny jest nauczyciel. Nie mam nic na sumieniu. Kontrolowało mnie kuratorium, wystawili mi dobrą ocenę.

To jeszcze nic nie znaczy, pomyślałem. Posprawdzamy, zobaczymy.

– A czy może wie pan, w jakim środowisku obracała się Jowita, czy nie miała problemów z rówieśnikami?

– Nie byłem jej wychowawcą, to nie wiem. Robię swoje i nie wtrącam się do pracy innych.

– I nie słyszał pan, żeby w pokoju nauczycielskim coś się o niej mówiło, cokolwiek?

– Plotkami się nie zajmuję.

– Czyli jakieś plotki były?

– To pan powiedział.

Pewnie moglibyśmy uprawiać ping-pong słowny jeszcze długo, ale to do niczego konkretnego nie prowadziło. Łowicki sprawiał wrażenie śliskiego typu. Mógł mieć coś za uszami, ale nie musiał. Na razie nie miałem na niego żadnego haka.

Podziękowałem za rozmowę. Odprowadził mnie do bramki tylko poszczekujący york.

Ruszyłem w stronę domu. Przez chwilę białem się z myślami, czy nie zadzwonić do Pauliny. Miałem przecież powód – chciałem dowiedzieć się czegoś z pierwszej ręki o podejrzanym matematyku. Zdałem sobie jednak sprawę, że jedynie szukałem pretekstu do spotkania. A pomysł był z gatunku głupich. Więcej, beznadziejnie głupich. Ledwo wyplątałem się ze związku z Tamarą, przynajmniej tak mi się wydawało, a już korciło mnie, żeby rozkręcać kolejną aferę. „Czy jest ci to do czegokolwiek potrzebne?”, spytałem na głos sam siebie i wcisnąłem pedał gazu. Niespecjalnie wiedziałem, jak dotarłem na Sienkiewicza. Po Ciechanowie już od dawna jeździłem na autopilocie.

Przed snem postanowiłem odbyć pokutę.

## Rozdział 9

### Zapiski depresjoholika IV

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Tydzień miodowy skończył się szybciej, niż tego chcieli. Wrócili do Krakowa, zagarnęło ich zwyczajne życie. „Żyćko”, jak mawiała Maria. Nie lubił zdrobnień, spieszczeń, ale jej pozwalał nawet na te wszystkie, żenujące w gruncie rzeczy, „misie” i „kotki”. Maria przeprowadziła się do jego mieszkania w kamienicy przy Dietla, dużo większego, wygodniejszego niż jej klitka w bloku na Kurdwanowie, którą wynajęli studentom. Początkowo obawiał się, czy nie pojawią się między nimi zgrzyty, w końcu nigdy wcześniej nie mieszkał z kobietą, miał swoje kawalerskie, by nie rzec: starokawalerskie, nawyki, ale Maria nie zamierzała wywracać na nice jego stylu życia. Nie zarządziła na wejściu kapitalnego remontu i wymiany mebli, wprowadziła tylko kilka zmian, które, jak sam zauważył, sprawiły, że w nieco zaniedbanym mieszkaniu żyło się bardziej komfortowo. Tolerowała jego porzucane wszędzie ubrania i genetyczną niechęć do zmywania. Dopasowali się bez problemu, jak ręka do rękawiczki z dobrze wyprawionej skóry.

Po jakimś czasie zamknęli się w dwuosobowym uniwersum. Nie planowali tego, tak po prostu wyszło. Ale było im z tym dobrze. On przez kilka lat pracy w fabryce nie zaprzyjaźnił się z żadnym z psów. Trudno się dziwić, był tam obcym ciałem. Gadacz – tak go nazywali. Uważali go za człowieka z zupełnie innej bajki. A on nie zrobił nic, by wkupić się w światek twardzieli lubiących grube żarty, wódę pod każdą postacią i rozrywkowe kobiety. Maria miała koleżaneczki w szkole, jednak niezbyt bliskie. Spotykała się z nimi od wielkiego dzwonu na babskich imprezach. Potem zwykle narzekała na nieznośną powtarzalność tematów, odmieniane przez wszystkie przypadki opowieści o nędzy pracy w szkole, męczących dzieciach własnych i cudzych, mężach, których nigdy nie ma wtedy, gdy są potrzebni, kredytach na domy i remontach. Zdecydowanie woleli spędzać czas we dwoje, celebrować drobne codzienne przyjemności. Gotowali wspólnie późne obiady albo wczesne kolacje, oboje lubili pichcić, przekomarzając się przy tym, które z nich jest lepszym kucharzem. Potem wychodzili w miasto na długie spacerunki, a jeśli nie chciało im się ruszać z domu, zalegali przed telewizorem, urządzać maratony filmowe, albo słuchali muzyki. Przekonał Marię do jazzu, którego miękkie frazy dobrze się komponowały z zimową ciemnością i chłodem pustych ulic.

Na wiosnę kupili samochód, starawe mitsubishi, ale z niezbyt dużym przebiegiem. Odkryli przyjemności weekendowych wycieczek do małych miasteczek, jeździli po Małopolsce i Śląsku, zwiedzali pałace i zamki, chodzili po miniaturowych rynkach i uliczkach pełnych zaniedbanych kamienic. Podpatrywali życie zwykłych ludzi ze zwykłej Polski B. Testowali miejscowe restauracje, choć często po fatalnych obiadach zarzekali się, że to ostatni raz, że dosyć dalszych eksperymentów na udręczonych żołądkach. A potem wracali do śmierdzącego zgniłym powietrzem i zatęchłą wilgocią Krakowa, by przebrnąć jak najszybciej przez tydzień w robocie. Przeszedł mu wstręt do brudnej kanciapy na komendzie, ale też robił, co mógł, żeby jak najmniej czasu spędzać w pracy. Podpadł przez to raz czy drugi

szefowi, ale nie przejął się tym, zależało mu tylko na jednym, żeby jak najdłużej być z Marią, nawet tylko obok Marii, choćby w milczeniu, byle w zasięgu jej wzroku. Ona bardziej przykładała się do szkolnych obowiązków, mimo iż coraz częściej narzekała, że praca w liceum staje się męcząca i niewdzięczna, że drażnią ją nastolatki, którym wydaje się, że mogą robić, co tylko zechcą, i wiedzący wszystko lepiej rodzice, którzy za problemy i porażki latorośli obwiniali wredny klan belfrów.

Na urlop postanowili wybrać się do Sopotu, zarezerwowali pokój w Muszelce, by wrócić do miejsca, w którym było im dobrze i błogo. Po drodze zajechali do Ciechanowa, chciał pokazać Marii swoje miasto, choć prawdę powiedziawszy, dawno nie myślał o tej mazowieckiej miejscinie jako o swoim miejscu na ziemi. Felicja była wniebowzięta, ale robiła wszystko, aby nie dać po sobie poznać stanu wszechogarniającego szczęścia. Fukwała, że zaniedbują starowinkę, nie dzwonią, nie piszą, i z zapalem warzyła gargantuiczne ilości bigosu i próbowała piec sernik, który jak zwykle się nie udał. Na początku obawiał się, czy Maria zaakceptuje specyficzny styl bycia babki, jej poczucie humoru z gatunku trudnych, ale okazało się, że błyskawicznie zaczęły nadawać na tych samych falach. Przerzucały się historyjkami z pokojów nauczycielskich, chichotały z dowcipów, których nie łapał, zamykały się we dwie w pokoju, by pogadać o „naszych babskich sprawach”. Przez chwilę czuł lekką zazdrość. Oto Felicją, która przez tyle lat była tylko przy nim i tylko dla niego, musiał się z kimś podzielić. Tym kimś była Maria. Na szczęście.

Recepcjonistka w Muszelce rozpoznała ich od razu. Taka drobna przyjemność. Sopot w lipcu nie był tak przyjazny jak ten podczas ich tygodnia miodowego. Za dużo ludzi, za wiele zamieszania. Jeździli więc po okolicy, do Pucka, Wejherowa. Przedostatniego dnia urlopu pojechali do Helu. Przez cały dzień szwendali się po miasteczku w lepkiem upale, raz po raz przysiadając w kawiarnianych ogródkach na łyk czegoś zimnego. Niechętnie zapadał zmierzch, niedługo odjeżdżał ostatni pociąg do Gdańska. „Musimy wracać?”, spytała Maria. Spojrzał na nią i powiedział: „Niekoniecznie. Masz jakiś pomysł?”. Nie odpowiedziała, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą. Weszli w mroczny pas sosnowego lasu, mijali ludzi, którym dzień pomylił się z nocą, rozdokazywanych, zmęczonych słońcem i procentami. Słyszał narastający szum morza. Dotarli do szerokiej plaży na krańcu półwyspu. Maria zdjęła sandały. To był uroczy gest dziewczynki, która ma pełną świadomość tego, że od dawna jest już kobietą. Bezwiedna perwersja podnieciła go. Wiedział jednak, na tyle już znał Marię, że nie o to jej chodziło. Poszli w stronę wydm, daleko od plażowych imprezowiczów. Usiedli na lekko już wilgotnym piasku. Wtuliła się w niego. „Wiesz...”, zaczęła. „Co?” Milczała, długo. „Chcę mieć z tobą dziecko”.

Prosty, jasny komunikat.

„Dziecko”, ni to spytał, ni powtórzył.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy chce mieć potomka. Nie musiał. Nie rozważał takiej opcji. Opcja... Złapał się na tym, że zaczyna kalkulować, jak przy wyborze najlepszej z możliwych lokat. Czy powinien? Zanim rozważył wszystkie za i przeciw, powiedział: „Tak, ja też chcę”. Powiedział to absolutnie szczerze.

## Rozdział 10

### Wojna polsko-ruska na stadionie biało-czerwonym

12 czerwca 2012, wtorek

Do fabryki dotarłem wcześniej niż zwykle. Na piechotę, w ramach ćwiczeń fizycznych. I poniekąd psychicznych. W marszu lepiej mi się myślało. Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, nic więc dziwnego, że zostałem ukarany. W nagrodę za szybkie i po myśli naczelstwa zamknięcie sprawy Jowity Dudek – niechże nadal żyją w błogiej nieświadomości – miałem pomagać komisarzowi Janowi w namierzeniu sprawców włamania do sklepu spożywczo-monopolowego na Śmiecinie. Już samą konieczność przebywania dzień po dniu w tej brzydkiej dzielnicy można było uznać za nękanie, mobbing, czy jak to się tam teraz zgrabnie zwie. Mniejsza już nawet o ewentualne efekty naszych działań. Komisarz Jan narzekał ponad normę, nie dziwiłem mu się wcale a wcale. Bo co mogliśmy osiągnąć? Zginęło kilkanaście butelek wódki, kilka zgrzewek piwa i parę konserw na zagrychę. Właściwie żadna strata, czyn o znikomej szkodliwości społecznej, właściciele sklepu więcej zapłacą za naprawę rozwalonych drzwi od zaplecza niż za stracony towar. Gdybyśmy się postarali, pewnie namierzylibyśmy włamywaczy. Tylko po co? Delikwenci trafią na kilka miesięcy za kraty – i tyle. Potem wszystko zacznie się od nowa. Jednak się postaraliśmy wbrew defetystycznemu nastrojowi komisarza. Odwiedziny kilku okolicznych melin mogłyby posłużyć jako podstawa do napisania scenariusza filmu dokumentalnego o nędzy, wykluczeniu i wszelkich możliwych do wyobrażenia patologiach. Albo nawet całej serii filmów. Solidarność drobnych zbójów to był jedynie pradawny mit, więc już przed hejnałem z wieży mariackiej wiedzieliśmy, że nazbyt dobrze znani nam bracia Zarębscy w ostatnich

dniach podejrzenie chętnie stawiali alkohol. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, gdzie teraz są. Równie dobrze mogli zalegać gdzieś w krzakach nad Łydynią, jak wypuścić się na gościnne występy. Podróż za jeden szczybaty uśmiech i kilkadziesiąt złotych. Atrakcje bardzo drobnych zbójów z prowincji.

Ledwie wróciłem na komendę, już wydzwaniał do mnie Gajowniczek z przypomnieniem radosnej nowiny, że kopnął mnie zaszczyt bycia odpowiedzialnym za współpracę z ochroną strefy kibica, która tego dnia zawitała do Ciechanowa. Trudno i darmo, nie było co się opierać. Porozmawiałem przez telefon z ich szefem. Zarzekał się, że mają tylu ludzi, ilu potrzeba, i że nie będzie żadnych problemów. A poza tym, przecież robią to nie po raz pierwszy, więc ogólnie spoko, luz. Nie spodziewałem się, że usłyszę cokolwiek innego. Sprawdziłem, czy chłopki z prewencji mają ustalony grafik patroli uwzględniający dzisiejszą imprezę. Wszystko wydawało się w porządku, sporządziłem więc notatkę służbową. Wiadomo, papier to podstawa. Potem szybko wymknąłem się na miasto. Dla świętego spokoju podjechałem na rynek zobaczyć, co tam się dzieje. Strefę otwierano dopiero o piętnastej, ale już teraz kręciło się tam sporo ludzi z pomalowanymi na biało-czerwono facjatami, z obowiązkowymi szalikami i dracznymi czapkami. Niektórzy zaopatrzyli się w trąbki czy inne wuwuzele i nie wahali się ich użyć. Podejrzywałem, że kibicowanie kibicowaniem, ale sam mecz był jedynie pretekstem do zabawy. W końcu w Ciechanowie niezbyt często działo się coś, co przełamywało zwyczajową w tym mieście nudę.

Głównodowodzący nie określił jasno, co mam robić w ramach czuwania nad bezpieczeństwem tłumu kibiców, więc wymyśliłem, że zrobię sobie punkt dowodzenia w ogródku knajpy piwnej przy Rynku. I tak, to było to samo miejsce, w którym dwa dni temu spotkałem się z jakże świeżą, w każdym tego słowa znaczeniu, maturzystką. Oczywiście, usiadłem w tym samym miejscu co poprzednio. I zanim dotarło do mnie, co robię, wybrałem numer Pauliny. Głupi, głupi, głupi, powtarzałem w myślach, wsłuchując się w monotony sygnał w telefonie. Odebrała. Nie sprawiała wrażenia zdziwionej, że chcę się z nią spotkać. Przeprosiła, że teraz nie, ale o osiemnastej chętnie. Schowałem telefon i dopiero wtedy ochłonałem. Dobrze, że nie zjawiała

się od razu. Chciałem przecież odpytać ją o Karaczana, a nawet nie miałem przy sobie jego zdjęcia. Cóż, nie działałem jak gliniarz ze sporym doświadczeniem i jako takimi osiągnięciami. Rozchwianie emocjonalne nie tłumaczyło rozkojarzenia. Powinienem wziąć się w garść jak najszybciej. Dla własnego dobra. Również dla dobra sprawy Dudkówny.

Wypiłem jedno piwo, bo dłaczegóż miałbym nie wypić, i wróciłem do fabryki. W pokoju siedział tylko Szybki Romek ze znudzoną miną przeglądający pisemko motoryzacyjne.

– Widzę, że zarobiony jesteś – rzuciłem złośliwie.

– Pozostaję w odwodzie taktycznym – odpowiedział z powagą, nie odrywając wzroku od fotek samochodów, o których mógł sobie jedynie pomarzyć. Chyba że zaczęłyby brać w łapę. Że prędzej czy później tak się stanie, nie wykluczałem.

Trochę zdziwiło mnie sformułowanie „odwód taktyczny”, które padło z jego ust. Zapewne kolega ambitny podczytywał ostatnio regulamin służby albo inne okólniki produkowane masowo przez policyjną biurokrację. Dobre i to, poćwiczył trudną i żmudną sztukę czytania, choć zapewne bez zbytniego zrozumienia. Odpaliłem komputer.

Czas był najwyższy, żeby zabrać się do sprawy samobójstwa tak, jak trzeba. Rzekomego samobójstwa, napomniałem sam siebie. Rzekomego i coraz bardziej podejrzanego. Po mojemu, ale w sposób wielokroć sprawdzony, powoli, metodycznie, skrupulatnie. Wziąłem kartkę, wyciągnąłem z szuflady kilka kolorowych pisaków. Posprawdzałem raz jeszcze informacje w bazie danych. Na środku kartki napisałem nazwisko wiceprezydentówny, wyżej w jednej linii dane dwóch innych dziewczyn, które popełniły w ostatnich latach samobójstwo, poniżej – tej, która próbowała. Cztery nastolatki, dwie szkoły. Które z nich się znały, a może przyjaźniły? Czy było coś, co je łączyło? Potrzebowałem punktu zaczepienia, ale miałem za mało informacji, w końcu od kilku osób na krzyż, z którymi do tej pory rozmawiałem o sprawie, nie dowiedziałem się zbyt wiele. Postanowiłem zacząć od spotkania z dziewczyną, którą wyciągnięto z granicy mroku, choć zdawałem sobie sprawę, że może to być trudne. Bywa, że traumy nawet po latach całkowicie blokują człowieka. Niezła



mądrość, wprost z psychologicznego poradniczka z dobrymi radami na każdą okazję. Będzie jak będzie, musiałem spróbować choćby dla własnego spokoju. U dołu kartki wpisałem Karaczana i Łowickiego, połączyłem ich strzałkami z Dudkówną. Po chwili namysłu przy strzałkach postawiłem duże znaki zapytania. Na razie nie mam nic więcej poza domysłami, plotkami i informacjami z drugiej ręki. Rowicki, jesteś zajebiście skuteczny, pochwaliłem sam siebie. Zamyśliłem się i nie zauważyłem, że Szybki Romek stanął przy moim biurku.

– Widzę, że Hans Kloss znowu na tropie – zaśmiał się paskudnie.

– Chyba ci się, synku, seriale pomyliły.

– A co to w ogóle za sprawa, Głównodowodzący dał ci coś nowego? Mnie nic nie mówił.

– Tyle oglądasz bzdurnych zabijanek na DVD, to powinieneś już rozumieć, że ci, którzy wiedzą mniej, żyją dłużej – odpowiedziałem, złożyłem kartkę i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dopiero teraz zauważyłem, jak bardzo jest pognieciona. Uznałem jednak, że len musi się miąć. I tyle w temacie schludności i elegancji.

Małochleb wzruszył ramionami i wyszedł. Miałem nadzieję, że nie zdołał dostrzec, co namazałem. Byłem pewien, że gdyby tylko się zorientował, że dalej grzebię w kejsie wiceprezydentówny, od razu pobiegłby z uprzejmym donosem do Gajowniczka. Musiałem być ostrożniejszy, nie potrzebowałem dodatkowych problemów w fabryce.

Wydrukowałem jeszcze fotę Karaczana i ruszyłem na miasto. Do boju, Polsko!

To znaczy miałem ruszyć w miasto, ale przypomniałem sobie, że Koziej do tej pory nie poinformował mnie, co znalazł w kompie i komórkach Dudkówny. Czyżby znanego z solidności technika dopadła galopująca demencja? Zrobiłem w tył zwrot i pomaszerowałem do jego królestwa.

– Leszek, masz coś dla mnie? – rzuciłem od drzwi.

Odpowiedzią było szczere, zdziwione spojrzenie.

– Tylko mi nie mów, że w nawale czynności służbowych, który wymusza na tobie nadludzki wysiłek w niedoczasie, wypadło ci to

z głowy.

– O co ci właściwie chodzi? Mów po ludzku, bo w tym upale zwoje mi się przegrzeją od myślenia.

Westchnąłem ciężko, ale zachowałem nieziemską cierpliwość.

– Przyniosłem ci w piątek telefony Dudkówny? Przyniosłem. Obiecałeś sprawdzić, czy jest w nich coś ciekawego? Obiecałeś. Wystarczy? Czy mam powtórzyć jeszcze raz, wolniej?

– A, trzeba było tak od razu.

– To dawaj, co tam masz, bo muszę wracać na Rynek popilnować kiboli.

– Ale przecież nic nie mam.

I tym razem zdziwienie Kozieja wyglądało na krystalicznie czyste.

– Jak to?

– Nawet zabrałem się do tego sprzętu, ale przecież już w sobotę Głównodowodzący oznajmił, że sprawa jest praktycznie zamknięta, więc to robota głupiego. Więc rzuciłem wszystko w cholerę.

– On sam jest głupi – wymknęła mi się błyskotliwa, a do tego płynąca z głębi serca ocena przełożonego.

– Konrad, nie przy dzieciach – technik wskazał głową podwładnych.

– To chodź, strzelimy sobie w płuco.

Wyszliśmy przed komendę i zasiedliśmy na niewygodnej drewnianej ławce. Przez chwilę w milczeniu pracowaliśmy na raka płuc. I na zyski z akcyzy dla naszej umiłowanej, prawej i sprawiedliwej ojczyzny.

Z budynku dziarskim krokiem wymaszerował Szybki Romek. Zdaje się, że nas nie zauważył, co było dla mnie oczywiste, bo kwalifikacje na śledczego miał mniej więcej takie jak ja na baletmistrza. A tego gdzie niesie?, pomyślałem. Wszedł przed bramę i skręcił w lewo, w stronę Płońskiej. Kilkadziesiąt metrów dalej stał wysoki szczupły mężczyzna w szarej bluzie z kapturem. Nasuniętym na głowę. Wystawały spod niego kosmyki ciemnych włosów. W kapturze? W taki upał? Małochleb przybił z nim piątkę.

– A ten co wyczynia? – Koziej też obserwował Szybkiego Romka.

– Pewnie odbywa tajne spotkanie z informatorem.

Śmiech technika płynnie przeszedł w kaszel palacza. Na który na pewno nie pomagały żadne cudowne pastylki z reklam telewizyjnych.

– Jeśli ten uchol w kapturze jest tak rozgarnięty jak Małochleb, to

całkiem możliwe.

Śmiech to zdrowie, ale przecież nie spotkałem się z Koziejem, by fundować sobie chwilę relaksu.

– Oddałeś te szpeje do magazynu? – spytałem.

– No nie było kiedy.

– I słusznie, napis: „Spiesz się powoli”, powinien zostać wymalowany wielkimi literami nad wejściem do tego przybytku. – Machnąłem ręką przed siebie.

Technik, specjalista od nietypowych sposobów gaszenia niedopałków, zdusił papierosa na podeszwie buta, wstał i wrzucił peta do kosza. Zuchową sprawność „Dbały o czystość przestrzeni publicznej” miał opanowaną do perfekcji. Znowu klapnął obok mnie i zaczął bez przekonania:

– Chyba nie myślisz o tym, o czym ja myślę, że ty myślisz, prawda?

– Stary, teraz to mnie się zaraz zwoje stopią.

Koziej tylko sapnął.

– Sprawa jest zamknięta, krawaciarz przejął kwity, czy nie tak?

– Ależ jak najbardziej, jesteś świetnie poinformowany – odparłem, uśmiechając się szeroko.

– To po kiego gryzba chcesz w tym jeszcze grzebać?

– Bo mam za dużo wolnego czasu. Albo przez nocne koszmary, w których nawiedza mnie zjawa pewnej dziewczyny. A może przez to, że z trudem przyjmuję bzdurne polecenia. Wybierz sobie, co chcesz.

– Wiesz, Kondzio... – Jeśli zaczął zdrabniać, to chyba nie miał dla mnie radosnego przesłania. – Ty jesteś trochę despero, nawet to rozumiem...

– Dobrze, dobrze – przerwałem mu zawczasu – znam tę opowieść o ryzyku, kosztach, rodzinie i niespłaconych kredytach.

– I o teściowej. Nie zapominaj o niej.

Zaśmiałem się bez przekonania, tak na próbę. Koziej lekko wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu. Chyba nie byłem na straconej pozycji. Zacząłem ostrożnie:

– Krótka piłka: pomożesz? Jeśli nie, zrozumiem.

– Ale powiedz, czemu to robisz – upierał się.

Żeby zyskać trochę czasu, zapaliłem następnego papierosa. Czemu to robię? Właściwie cholernie trafne pytanie. Szkoda, że nie znałem na

nie jasnej odpowiedzi.

– Wiesz, na pewno będzie efektowny pogrzeb, spłakani rodzice i koledzy ze szkoły. Na bank. Ale wiesz, czego na pewno nie będzie?

– No?

– Prawdy.

– Jesteś pewien?

– Nie. I od razu powiem, że nie obchodzi mnie statystyka pewności.

Milczał, skubiąc niedogolone policzki. Długo milczał. Już niemal pogodziłem się, że tym razem mój wszeteczny czar nie zadziałał na technika, gdy ten powiedział cicho, jakby niepewnie:

– Zrobię to dla ciebie.

– Super!

– Ale nie chcę, żeby pozostał żaden ślad.

– No co ty! – Klepnąłem Kozieja w ramię. – Nie ma sprawy, nie ma śladu.

– Te sprawy.

Technik się zaśmiał. Przybiliśmy piątkę.

Było już po szesnastej. Przez ulice Ciechanowa przewalały się grupy kibiców w strojach organizacyjnych. Wiadomo, Moskał u bram, trzeba dać mu odpór. Jak w dwudziestym roku. Wtedy niezłe się w Ciechanowie i okolicach działo. Teraz pewnie też inaczej nie będzie. Choć bez bolszewików na wyciągnięcie szabli. „Nic się nie stało, Pola...”, zaintonował szybko zgaszony przez kolegów defetysta. Dla spokoju sumienia zadzwoniłem do ochrony strefy. Zabawa i spokój. O to nam chodziło. Odebrałem telefon od Gajownicza, który podniecał się zadymami z udziałem polskich i ruskich kibiców w stolicy, kazał wzmóc czujność. Nie wyglądało na to, aby miały tu zjechać tabuny żądnych ustawki Ruskich, więc z czystym sumieniem podreptałem do knajpy Władka.

Właściwie był to nocny klub, nazwany finezyjnie Nocnym Rajem, z atrakcjami w rodzaju gibania się przy rurze roznegliżowanych panien. Niezbyt dekoracyjnych, dodam, bo te z wyższej półki już dawno produkowały się w stolicy, Trójmieście albo na jakże gościnnej, mlekiem i euro płynącej, ziemi niemieckiej. Ciekawa była lokalizacja tego miejsca, w ciągu budynków przy ulicy Ściegiennego, u wylotu której znajdowała się strefa sacrum, z siedzibą lokalnego radia

katolickiego, plebanią, kościołem farnym. I oczywiście pomnikiem Papieża-Polaka-Męczennika. Podejrzewam, że proboszcz nie raz, nie dwa zgrzytał zębami na sąsiadów rodem z Sodomy i Gomory. Jednak klub istniał już dobrych pięć lat, nikomu jak dotąd nie udało się Władka stamtąd wykurzyć. Musiał mieć chłopina niezłe plecy. A do tego był ostrożny, bardzo.

Miałem nadzieję, że w dzień wojny polsko-ruskiej klub będzie otwarty wcześniej niż zwykle, by nabijać obroty. Nie pomyliłem się. Wprawdzie tłumu nie było, ale kilkunastu facetów siedziało przed ogromną plazmą, oglądając dziennikarską rozgrzewkę przed meczem Greków z Czechami i tego popijając. Przeszedłem powoli przez mroczne wnętrza i rozejrzałem się wokoło. Miałem nadzieję, że znajdę tu choćby Hansa, jeśli nie Karaczana. To by było dopiero trafienie. Okazało się po raz kolejny, że rzadko miewam szczęście. Nie tylko w grach losowych. Nie mówiąc już o miłości.

Ruszyłem w stronę biura tego przybytku uciech, w którym właściciel nieustannie przesiadywał. Wychodził z założenia, że pańskie oko konia tuczy. Słusznie. Nim dotknąłem klamki, wyrósł przede mną wielki jak góra, obowiązkowo łysy, dresiarz z krostami na twarzy, które świadczyły o nadużywaniu niespecjalnie legalnych suplementów diety. Nie kojarzyłem go, on mnie też, bo spytał, nawet grzecznie:

- Czego tu?
- Zaanonsuj pryncypałowi podkomisarza Rowickiego.
- Że co?

Nim paker przetworzył dane, wszedłem do środka. Właściciel Nocnego Raju powinien zatrudniać lepszych ochroniarzy. A przynajmniej myślących nieco szybciej. Zobaczywszy mnie, skrzywił się, zignorował powitanie i wrzasnął:

- Czesiek, miałeś nikogo nie wpuszczać!

Zza drzwi dobiegło niewyraźne burknięcie, dresiarz wolał nie pokazywać się szefowi. Przynajmniej miał instynkt samozachowawczy.

Usiadłem na krześle przy biurku i wbiłem wzrok we Władka. Nie wyglądał na biznesmena z dochodami zdecydowanie powyżej lokalnej średniej. A zapewne również krajowej. Raczej na steranego życiem hydraulika.

- Dobra – zaczął – o co biega, bo zarobiony jestem.

– Widzę. – Wskazałem pękatą szklaneczkę z brązowym płynem. Raczej nie była to cola zero procent. – Spotkałeś ostatnio Hansa albo Karaczana?

– No, bujali się tu jakoś tak w zeszłym tygodniu.

– A dokładniej?

– To nie mentownia, nie prowadzę księgi wejść i wyjść.

Dowcipniś się znalazł. Już chciałem rzucić zgryźliwy komentarz, ale uznałem, że mi się to nie kalkuluje.

– Władek, zdajesz sobie sprawę, że ze mną warto dobrze żyć.

– Powiedzmy.

W tej odpowiedzi nie było entuzjazmu. Raczej mnie to nie dziwiło.

– To krótka piłka i będziesz miał mnie z głowy. Widziałeś u siebie Karaczana z córką Dudka?

– Że niby z kim?

Westchnąłem. Naprawdę miałem czasami tego wszystkiego dosyć. Orki na ugorze przesłuchań, rozmów ze śliskimi typami. Ciągłego wysłuchiwanie kłamstw, półprawd i fantastycznych opowieści o siedmiu zbójach. Sięgnąłem po stojące na biurku szkło. Taka mała gierka psychologiczna, agresywne wejście w przestrzeń osobistą. Upiłem łyk. Całkiem zacny koniaczek.

– Nie rznij głupa, przecież znasz w Ciechanowie wszystkich.

Odebrał mi szklanekę, odstawił na bok z widocznym niesmakiem.

– Dobrze, ale potem pójdziesz w cholerę? I tak za długo gadamy, jeszcze ktoś obluka.

– „Ale potem pan podkomisarz raczy opuścić mój ekskluzywny lokal, zapominając o tym jakże miłym i owocnym spotkaniu” – doprecyzowałem.

Spojrzał na mnie spode łba i wycedził:

– Pan podkomisarz sobie pójdzie. Proszę.

– Świetnie. To jak było z tą uroczą parą?

Przełożył kilka papierów z jednej strony biurka na drugą. Chrząknął. Czemu, robaczku, czemu jest ci tak źle?

– Raz tu ich widziałem. Od razu powiem, że nie kojarzę kiedy dokładnie. Tak ze dwa tygodnie temu.

Tydzień... Dziesięciolecia temu, jeszcze za PRL-u ktoś wpadł na genialny pomysł, aby otworzyć w Ciechanowie zakład, który

produkował sprzęt na potrzeby górnictwa. Jakieś elementy tarcz wiertniczych czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, nie pamiętam. Byłem wtedy bajtlem. Pamiętam za to z tamtych czasów, że w Barbórkę pojawiali się na ulicach miasta pracownicy tej fabryczki ubrani w galowe stroje górnicze, bo podlegali resortowi górnictwu, czy jak to się wtedy nazywało. Wyglądali egzotycznie, jak Indianie w centrum Moskwy. No, może z tą Moskwą to jednak przesadziłem. Zjechało wtedy do miasta kilku Ślązaków, choć zwykle kierunek migracji był przeciwny – z okolicznych biednych gospodarstw rolnych do stojących górniczymi przywilejami Katowic. Władek wybrał odwrotną drogę. Nie wiem, czy był Ślązakiem, ale czasem rzucał słowa z godki.

– Co robili?

– A co tu można robić? Pili, tańczyli. Bawili się jak wszyscy.

– Wyglądało na to, że się dobrze znają? Może to był jednorazowy podryw?

– Nie wiem, nie przyglądam się zbyt klientom. Dopóki płacą.

Tak, zawodowa dyskrecja. W Nocnym Raju był monitoring, ale byłem pewny, że bez nakazu Władek nie pokaże mi nagrań. Zresztą po co one mi teraz były potrzebne? Żeby na własne oczy zobaczyć to, czego dowiedziałem się już z dwóch źródeł?

– Może przypadkiem Karaczan chwalił się nową laską? Przecież wiadomo, że lubi kłapać dziobem bez opamiętania.

– To żaden mój kolega – obruszył się Władek. – Z byle synkiem wódki nie piję i nie gadam.

– Wybredny jesteś – rzuciłem.

Wzruszył ramionami. W to, że unikał pogaduszek z Karaczanem, mogłem uwierzyć. Wiadomo było, że wszystkich, którzy mieli wyroki, traktował niczym trędowatych. Na wszelki wypadek. Jak na typa chorobliwie ostrożnego przystało. Chciałem jeszcze tylko dowiedzieć się jednego:

– A jak ich zobaczyłeś razem, zadzwoniłeś do Dudka?

– Nie jestem niczym ucholem – prychnął Władek.

Mówił prawdę? Pewnie i nie był. Tyle tylko, że wdzięczność wiceprezydenta mogła być dla Władka cenna.

Ciśnienie trochę mi skoczyło. Wcale nie przez to, że właśnie zaczynał się mecz naszych grupowych rywali. Paulina się spóźniała. Knajpa piwna opustoszała, większość ludzi przeniosła się na płytę rynku. Co jakiś czas słyhać było gromki doping albo jęki zawodu. Za kim była ciechanowska publika? Za specjalistami od zacnego piwa czy tymi od wakacji marzeń? Niespecjalnie mnie to interesowało. Wbiłem wzrok w kufel z browarem. Mogłem nie pić, ale piłem. Bo to przecież najłatwiejszy i najtańszy sposób zagłuszenia niepokoju. Co nie do końca się udało. Co ty tutaj robisz?, słyszałem szept w tyle głowy. O ile to w ogóle jest możliwe. Prowadzę czynności śledcze, rutynowe, bezgłośnie odpowiadałem jak klasyczny schizofrenik. Miałem ochotę na dłuższą pogawędkę z wewnętrznym głosem, ale nagle usłyszałem:

– Cześć.

Nie jestem czujny jak pies podwójny, na pewno nie.

Paulina usiadła obok mnie. Właśnie tak, obok, choć mogła zająć miejsce po przeciwnej stronie stołu. Czy to coś znaczyło? Daj spokój, głos nadawał audycję z wciąż tego samego cyklu o etycznych rozterkach. Musiałem wrócić do rzeczywistości, spojrzałem na nią. Miała na sobie powyciągany T-shirt i dżinsowe szorty. Stylizacja w typie dziewczyny z sąsiedztwa.

– Jakież problemy? – spytała z niepokojem w głosie.

– Nie, wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Wyglądasz jak Brudny Harry.

Zakrztusiłem się piwem. Pierwsza zasada spotkań ze słabo znaną niewiastą: „Nigdy nie pij płynów, podczas gdy ona zaczyna kwestię”. Jakoś udało mi się nie udusić.

– To ty wiesz, kto to taki?

Skrzywiła się lekko. Mam, czego chciałem, wyszedłem na pierdziela, który wszystkich młodszych od siebie uważa za ciężkich kretynów, którzy nic nie przeżyli, na niczym się nie znają i nic nie wiedzą.

– Teraz jest moda na różne kryminały i sensacje. Trochę wiem.

– Lubisz czytać kryminały?

– O tyle, o ile. Niektóre są fajne, te szwedzkie, a z naszych to Wrońskiego lubię.

– No proszę, ja też sporo tego czytam, choć to w większości są bajki.

– Czyli jednak Harry.



- W sensie?
- Wielbiciel brudnej rzeczywistości.

Była zdecydowanie błyskotliwsza od Tamary. Choć to akurat żadna sztuka. Może jednak penetrowanie dużo młodszych roczników ma sens? Penetrowanie, też coś. Rowicki, opamiętaj się, skarciłem się w duchu. Wolałem tego wszystkiego nie roztrząsać, położyłem więc przed nią zdjęcie Karaczana.

- Kojarzysz typa?

– A już myślałam, że będzie to zwykła, miła pogawędka – westchnęła.

- Jeśli masz z tym problem... – zacząłem niepewnie.

- Dobra, dajesz.

To chyba tyle w temacie pięknie zapowiadającej się przyjaźni.

- Widziałaś go?

Podniosła zdjęcie ze stołu i przyglądała mu się chwilę. Już otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy walnięcie w stół sprawiło, że zamarła. Podobnie jak ja.

- Tu jesteś, gnoju!

Podniosłem głowę. Tamara. Nawet niespecjalnie zdziwiłem się na jej widok. Miała wątpliwy dar zjawiania się w nieodpowiednich miejscach i niewłaściwym czasie.

- I co mi teraz powiesz, gnoju?

- Dzień dobry.

Tamara zaniósła się śmiechem tak bardzo, że dzwoneczki, zdobiące tkwiącą na jej głowie błazeńską czapkę w kolorach białym i czerwonym, zabrzęczały z cicha. Do kompletu miała kibicowski szalik. Mała czarna i szpile dopełniały brawurowej stylizacji.

– Masz szczęście, że zawsze umiałeś mnie rozbawić – powiedziała i czknęła. Zdaje się, że sporo już wypila. Zresztą jak co dnia. –

Właściwie to chciałam wydrzeć ci przeprosiny z gardła, ale jak tak tu patrzę teraz na ciebie i tę dziewczynkę... – wycelowała palec mniej więcej w kierunku Pauliny – to... Powiem ci jedno: Spadaj, gnoju!

Odwróciła się na pięcie i odeszła, podzwaniając. Jak mi się wydawało, była pewna, że właśnie mnie rzuciła. I niech tak zostanie.

– Nieźle – skomentowała Paulina i pociągnęła łyk piwa z mojego kufla. – A właściwie co to było?

– Demon przeszłości.  
– Powiesz coś więcej?  
– Nie ma o czym – odparłem, zaklinając w myślach, żeby odpuściła dalszą część przesłuchania.

Paulina westchnęła, a ja, by skierować jej uwagę w inną stronę, popukałem w odłożone przez nią zdjęcie Karaczana i spytałem:

– Natknęłaś się na niego?  
– Przyjemniaczek, nie ma co – skomentowała.  
– No, Czerwony Kapturek raczej nie powinien się z nim umawiać na spotkanie w środku lasu.

Paulina wybuchła śmiechem. W klasycznej literaturze coś takiego nazywa się „perlistym śmiechem”. Było to ze wszech miar urocze. Zaraz się jednak uspokoiła:

– Wszyscy gliniarze mają takie poczucie humoru?  
– Tylko ci, którzy skończyli polonistykę i pracują na głębokiej prowincji.

– To ty jesteś po polonistyce?  
– Tak wyszło.  
– Ale dlaczego?  
– To długa opowieść. I nie na tę chwilę. A ty co będziesz studiować?  
– Stomatologię.  
– Ale dlaczego?  
– Tak wyszło.

Jeden zero dla Pauliny.

– Pierwszy raz widzę typa. – Odłożyła zdjęcie. – A kto to?  
– Zły Wilk, a właściwie gnida, owad do rozdeptania. Karaczan.

Znowu się roześmiała, ale zaraz spytała niepewnie:

– To żart?  
– Nie do końca. Karaczan to jego ksywa.  
– I co z nim?  
– Ponoć ostatnio spotykał się z Jowitą.  
– Że niby z kim?

Paulina spuściła głowę. Chciałem ją objąć, pocieszyć. Ale czy naprawdę o to właśnie mi chodziło?

– Wszystko wskazuje, że ostatnio się widywali. Nie mam jednak pojęcia po co.

– Bardzo dziwne.

– Też tak myślę.

Wstała bez słowa. Wróciła z piwem i pociągnęła długi łyk.

– Dziwnie mi z tym – rzuciła, ocierając pianę z warg, których mogłaby pozazdrościć Angelina Jolie.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, że jesteśmy kumpelami, że znam, znałam Jowitę... Przynajmniej trochę.

– I?

– A teraz tak jakby nic do siebie nie pasuje.

– Też mam takie wrażenie, dlatego drążę sprawę.

Bez pytania sięgnęła po papierosa z mojej paczki. Nie rzuciłem błyskotliwej uwagi, że minister zdrowia ostrzega, iż palacze starzeją się szybciej. Paulina mogła sobie na to pozwolić.

Milczała. Na placu narastała wrzawa kibiców. Gol? Z niepojętych dla mnie powodów cisza zaczęła mi doskwierać, więc zapytałem:

– Może ktoś inny wie o Jowicie więcej?

To było głupie pytanie. Bardzo. Nim skończyłem zdanie, zdałem sobie sprawę, że ją uraziłem. Westchnęła. Dopiła piwo i wstała.

– Popytam.

Nawet nie powiedziała „do zobaczenia”.

Ciekawostka, Czesi wygrali z Grekami dwa do jednego. W grupie robiło się coraz ciekawiej, choć prawdę powiedziawszy, całkiem nieciekawie dla naszej drużyny. Właściwie, co mnie to obchodziło.

Za chwilę miał się rozpocząć mecz z Ruskimi. Nie miałem nic lepszego do roboty, więc szwendałem się po rynku, z trudem przeciskając się w tłumie ogarniętym przedmeczową gorączką. Śpiewy i krzyki nie milkły nawet na chwilę, piwo lało się strumieniami. Ludożerka kibicowska miała nadzieję, a ta, wiadomo, umiera ostatnia. Wreszcie kapitan Błaszczkowski z wielce zaciętą miną wyprowadził chłopaków na boisko. *Mazurek Dąbrowskiego* wywrzeszczany z setek gardeł odbijał się od niewysokich budynków okalających plac. Pierwszy gwizdek. Zaczęła się beładna kopanina, na którą nie mogłem patrzeć. Po co dodatkowo się męczyć? Wystarczy, że byłem na służbie.

Wypatrzyłem Ładnego. Stał obok piwopoju, pociągając złocisty płyn z plastikowego kubka i pałac. Zaszedłem go od tyłu i wrzasnąłem wprost do ucha, starając się przekrzyczeć śpiewy kibiców:

– Czekam za zamkiem.

Zaskoczony rzucił się do przodu, jak dźgnięty kosą w nerkę. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

– A weź ty się odpierdol. Daj...

Nim wyartykułował zdanie, którego na pewno potem by żałował, odwróciłem się i poszedłem w stronę renesansowego ratusza, jednego z nie tak licznych w mieście zabytków. Skręciłem w ulicę Wodną schodzącą w dół ku rzece. Po lewej, za budynkiem urzędu pracy, był browar, gdzie warzono ciechana, jedyny produkt, może oprócz wędlin z drobiu, którym to miasto naprawdę mogło się pochwalić. Zaraz za mostem zszedłem na ścieżkę wydeptaną w nadrzecznej łące, aby obejść masywną bryłę zamku, od lat pozostającego w stanie permanentnej renowacji. Albo renowacyjnej dewastacji. Jak kto woli. Na jego tyłach, w zacisznym, osłoniętym miejscu walało się pełno butelek po winach bardzo prostych, petów i zużytych prezerwatyw. Udało mi się znaleźć w miarę czysty kawałek trawy. Usiadłem i oparłem się o chłodny, chropawy mur z mocno powyszczerbianych cegieł. Zapaliłem i pozwoliłem, aby z zakamarków pamięci wypłynęły wspomnienia. W tym miejscu za szczenięcych czasów spędziłem z kumplami, i nie tylko, wiele upojnych, w różnych tego słowa znaczeniach, wieczorów. Na szczęście Felicja nie zdawała sobie sprawy, ile ich tak naprawdę było. Nim na dobre pograżyłem się we wspominkach, w gęstniejącym coraz bardziej mroku zamajaczyła sylwetka Ładnego. Chyba poradził sobie z nagłym atakiem wściekłości, bo gdy stanął przede mną, mówił już spokojnie:

– Chyba przestanę wychodzić z domu, bo mi żyć nie dajesz.

– W razie czego tam też cię znajdę.

Roześmiałem się i pstryknąłem żarzącym się niedopałkiem w ciemność. Ciekawy efekt wizualny. Poklepałem dłonią trawę obok siebie, ale uchol zignorował moje zaproszenie. Co było robić, wstałem, acz niechętnie.

– To co tym razem się urodziło? – Ładny nigdy nie grzeszył cierpliwością. – A w ogóle, to może bym się zatrudnił zamiast ciebie

w psiarni. Mniej by było z tym wszystkim zachodu.

– Nie polecam. Marna fucha.

– To czemu tym nie pierdolniesz?

Nie zamierzałem wdawać się w egzystencjalne pogawędki na temat mroków i uroków pracy na państwowej posiadzie, więc przeszedłem do konkretów:

– Od jakiegoś czasu szukam Karaczana z Hansem do spółki i jakoś nie mogę ich znaleźć.

– Może oni nie mają życzenia, cobyś ich znalazł.

– A może nie będziesz mówił zagadkami.

Prychnął i wykrzywił się paskudnie. Przez chwilę nie był ładnym chłopięciem z niewinną buźką, na którą złapała się niejedna panna z tak zwanego dobrego domu. Milczałem, czekałem. Wiedziałem, że nie wytrzyma ciszy zbyt długo.

– Mówią, że zmyli się z miasta, przyczaili.

– Kto mówi?

– No wiesz... – Urwał, by zapalić papierosa. Zdecydowanie przesadzał z tytoniem. – Ty nie rozpowiadasz, że masz info ode mnie. Przynajmniej mam taką nadzieję, nie?

Kiwnąłem głową.

– Więc ja nie będę kapował, kto mi nadaje różne rzeczy. Pasi?

– Pewnie. A przypadkiem nie mówi się na mieście, że ten wesoły duecik coś zbroił?

– I to jest w pytę dziwne. Od dawna nie słyszałem, żeby kręcili jakieś lewe lody.

– Ciekawostka. To dlaczego zniknęli z miasta?

– Sam chciałbym wiedzieć.

Jasne. Nic tak Ładnego nie irytowało jak niedoinformowanie.

– To by się zgadzało z tym, czego już się dowiedziałem – głośno myślałem.

– No nie mogę. – Zarechotał paskudnie. – Czyli jednak czasami wasze, jak to mówicie, działania operacyjne coś tam przynoszą.

– Nie bądź taki hop do przodu, bo ci tyłu zabraknie – rzuciłem jednym z powiedzonek mojej starowinki, choć nie do końca byłem pewien, czy jest adekwatne do sytuacji. – A czy twoja niezmierna wszechwiedza pozwala ci wskazać, gdzie Hans z Karaczanem mogą

teraz być?

– Ni hu, hu.

– Może zaszyli się na tej swojej wsiowej daczce, żeby chlać i grillować truchło z Biedrony.

– Daczce? – zdziwił się Ładny.

– W chałupie po dziadkach Hansa, tej pod Gołyminem. Nie wiedziałeś o niej? – zdziwiłem się trochę.

– A, tej. Chyba jednak gdzieś dalej prysnęli. – Chciałem zadać pytanie, ale mnie uprzedził: – Nie wiem gdzie.

Zza rzeki buchnęły wrzaski i śpiewy. Zdaje się, że doleciały do nas strzępy najpopularniejszego kibicowskiego szlagieru: „Nic się nie staaalo...”. Musiałem wracać.

– Odrobiłeś kilka punktów. Jakby obity ci się o uszy jakieś opowieści dziwnej treści o przygodach naszych miejskich bohaterów, to dzwoń.

Poszedłem w mrok, ale okrzyk Ładnego zatrzymał mnie w miejscu. Uchol zrównał się ze mną.

– Podobno Karaczan ma nową foczkę nad zatoką.

– Ładny, padnięty jestem po całym dniu, mów do mnie dużymi literami.

– Ma nową pannę w Gdańsku, na Brzeźnie. Mogę ci załatwić namiar.

– Będę wdzięczny.

Ładny był tego dnia wyjątkowo dla mnie łaskawy. Podejrzanie.

Mecz się kończył. Doping dogasał. Zanosilo się na kolejny remis, z którego nie wynikało nic dobrego. Franek Smuda czyni cuda? Być może, ale raczej nie w tym życiu.

Znalazłem szefa strefy kibiców. Zapewniał mnie, że wszystko jest pod kontrolą. Nie byłem tego do końca pewien, jednak nie chciałem wychodzić przed szereg. Obdzwoniłem chłopaków, którzy zabezpieczali imprezę. Nie działo się nic specjalnego: drobne rzyganie w miejscu publicznym, małe przepychanki, ktoś cisnął szkłem. Standard.

Jeden do jednego. I to by było właściwie tyle w temacie nadziei na wyjście naszej drużyny z grupy.

Powlokłem się do domu, przetwarzając dane. Jowita Dudek i jej niebezpieczne związki z Karaczanem. Może zrobił jej jakąś krzywdę.

Niewykluczone, znając jego skłonność do niebezpiecznych zabaw. Ale na razie miałem tylko news od Ładnego, nic więcej. Powinienem pokazać fotę bandziora tej całej Coi. Może rozpozna Karaczana. Wprawdzie mówiła, że nie widziała, kto pannę odwoził do domu, ale może coś zaświta jej w pamięci. Bo właściwie dlaczego Karaczan z Hansem nagle i niespodziewanie zniknęli z miasta? Co nawywijali? Cała sprawa zaczynała być coraz bardziej tajemnicza.

W sklepie przy dworcu autobusowym kupiłem tanie, ale dobre wino bułgarskie. Czerwone, żeby poczuć ciężar alkoholu w żołądku. Nim dotarłem do mojej uroczej hacjendy, prawie zdecydowałem się, że powinienem wziąć bezpłatny urlop, by na poważnie zająć się sprawą wiceprezydentówny. Pomysł był jednak z gatunku kiepskich. Raz, Głównodowodzący i tak nie pozwolilby mi teraz na labę, dwa, straciłbym możliwość dostępu do policyjnych baz danych.

Musiałem jeszcze trochę pomęczyć się w fabryce.

## Rozdział 11

### Zapiski depresjoholika V

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Zaczął się najdziwniejszy rok w jego życiu. Tak przynajmniej wtedy myślał. Kochali się w najdziwniejszych miejscach i o najdziwniejszych porach. Bo chcieli mieć dziecko. Małe, wrzeszczące zawiniątko, które, tak myśleli, połączyłoby ich jeszcze mocniej. Jeśli w ogóle było to możliwe. Na początku nie przejmowali się, że nic z tego nie wychodzi. Bywa. Jednak po trzech miesiącach bez odpowiednich kresiek na teście ciążowym Maria zrobiła się nerwowa. Konsultowała się z koleżankami, grzebała w internecie, w skomplikowany sposób wyznaczała dni najbardziej płodne. Początkowo starał się obrócić to w żart, nie dziś, to jutro, nie musimy się spinać, młodzi jesteśmy, a zegar biologiczny wcale nie tyka zbyt głośno. Ale z kolejnymi, nadchodzącymi nieregularnie, menstruacjami Marii czuł narastający stres. Seks, który wcześniej był jedną wielką radością, zamienił się w niezbyt przyjemny obowiązek. Bo zapłodnienie, bo dziecko... Nabrał lekkiego posmaku procedury medycznej, niekoniecznie refundowanej przez NFZ.

Minęło pół roku, Maria zaczęła przebąkiwać o badaniach. Wtedy poczuł lęk, po raz pierwszy. A co będzie, jeśli okaże się, że to z nim jest coś nie halo? Co będzie z nimi? Czy Maria to zaakceptuje? A może go z miejsca zostawi? Nie, odpukiwał w niemalowane, nie chciał od razu myśleć o najgorszym. Przez długie lata robił wszystko, żeby nie mieć dzieci. Więcej – nie wyobrażał sobie, że może mieć potomka. Dlaczego? Właściwie nigdy nie znalazł jasnej odpowiedzi na to pytanie. Może nie chciał znaleźć. Niektórzy koledzy już w liceum przebąkiwali coś o rodzinach i gromadce rozdokazywanych bachorząt. On, pytany o dzieci, konsekwentnie odpowiadał: nie. Może w pewien sposób wiązało się to ze śmiercią jego rodziców. Dobrze wiedział, co znaczy dla dziecka ich brak. Co znaczy osierocenie. Wiedział dobrze, mimo iż starał się nie przyjmować do wiadomości, że to naznacza do końca życia. Poza tym jego starowinka zawsze robiła wszystko, by ich jak najlepiej zastąpić. Właśnie, tylko i aż zastąpić. Może zwyczajnie bał się, że rodzinne fatum kiedyś osiągnie także jego i jakiś słodki brzdąc będzie przez niego nieszczęśliwy. A tego nie chciał. Bardzo.

Na początku stchórzył. Co go zdziwiło, bo był przekonany, że dla Marii jest gotowy na wszystko. Przekonywał ją, a poniekąd i siebie samego, że jeszcze powinni poczekać z ostatecznymi ruchami, w końcu wciąż są młodzi. Tik-tak. Tłumaczył, że to tylko niepotrzebne wydatki i zbędny stres. Tik-tak. Tyle że czas inaczej płynął dla nich obojga. Maria naciskała coraz mocniej. Zmienił więc taktykę i zaczął piętrzyć trudności. Obiektywne. Że nawał roboty, że trudno mu teraz umówić się na konkretny termin wizyty u lekarza. Maria nie ustępowała. Do tego stawiała się coraz cichsza, smutniejsza, zamykała się w sobie. Wreszcie dotarło do niego, że sam podświadomie robi wszystko, by jak najczęściej być poza domem i nie łapać pełnych wyrzutu spojrzeń żony. To było coś w rodzaju kłamstwa. Nie, to było zwyczajne kłamstwo napędzane przez lęki i tchórzostwo. A przecież kochał Marię, to się nie zmieniło. Kochał Marię i nie mógł jej tego robić.



Wybuchła wiosna. Kraków, najpiękniejszy, najradośniejszy w taki czas, zielenił się na potęgę. Bardzo kiepskie dekoracje. Najgorsze z możliwych. Na wizytę szedł jak na ścięcie, Maria była zdenerwowana, choć starała się tego nie okazywać. Lekarz był nawet miły, choć pewnie prezentował tylko i jedynie zawodową uprzejmość, nic więcej. Zrobili co trzeba. Zaczęło się jeszcze gorsze, czekanie na wyniki. Na wyrok, myślał, odpędzając, jak umiał, czające się po kątach demony. Maria chodziła po ścianach, próbował ją uspokajać, ale nie przynosiło to efektów. Odczuwał coraz większą irytację. Złościł się na siebie, ale przede wszystkim na Marię. Robił wszystko, żeby stłumić złe emocje w sobie, nie był jednak pewien, czy Maria ich nie wyczuwa. Poza słowami, poza gestami. Kobięcym radarem emocji. Teraz dla odmiany to on nie mógł się doczekać kolejnego spotkania z medykiem.

Dowiedzieli się najgorszego, a on odetchnął z ulgą. I z miejsca się za to znienawidził, zaczął wymyślać sobie od nieodpowiedzialnych gnojków. Egoistów i samolubnych kanalii. Maria nie mogła mieć dzieci. Nieodwołalnie. Bez szans na jakąkolwiek terapię. No, chyba że nastąpi coś w rodzaju cudu. Padały medyczne terminy. Nie zapamiętał ich, nie chciał pamiętać. Objął Marię, ale strząsnęła jego ramię. W tym geście było coś straszego, niemożliwego do naprawienia. Jakby nie dotarło do niej to, co powiedział lekarz, dopytywała się raz po raz, czy nie ma żadnej nadziei. Lekarz jeszcze raz powtórzył swoje, był coraz bardziej zirytowany. W końcu wykręcił się, że już czekają kolejni pacjenci, i poprowadził ich do drzwi. Nie skłamał, w poczekalni na brzeżkach krzesel tkwiła kolejna zestresowana para. Jak dotarli z Marią do domu, nie pamiętał.

Maria zapadła się w siebie. Zachowywała się jak autystyczne dziecko, dotykające świata przez zmatowiałą szybę. Albo inaczej – żyła na autopilocie. Całowała go na „dzień dobry” i „do widzenia”, chodziła do pracy, przygotowywała posiłki, pozwalała wyprowadzać się na spacer, do knajpy czy kina. Zwykle milczała, ale odpowiadała na pytania, choć nie zawsze z sensem. Pozwalała się przytulać. Tyle i tylko tyle. Żadnych zbliżeń. Po wyroku lekarza zupełnie przestała interesować się seksem. To był dla niego najmniejszy problem. Zależało mu przede wszystkim na tym, żeby przebić się przez mur, którym Maria odgradziła się od świata. Wierzył, że mu się to prędzej czy później uda, że żałoba po dziecku, którego nigdy nie było i nie będzie, kiedyś się skończy.

Na razie skończył się rok szkolny. I całe szczęście. W nieszczęściu, bo otwierał się teraz przed Marią bezmiar prawie dwóch miesięcy wakacji, wolnego czasu na rozpamiętywanie nieszczęścia. Musiał ją czymś zająć. Miał gdzieś wściekłość szefa i wybrał cały należny urlop. Nie chciał, aby tkwiła w domu sama, więc rozplanował wyjazdy na najbliższe tygodnie. Wyczyścił dokumentnie konto, aby wykupić hotelowe miejsca w kraju i na koniec wakacji wycieczkę do Chorwacji, na Korczulę, o której zawsze marzyła. Obwoził ją od morza do gór. Z nieustającym entuzjazmem, sam dziwił się sobie, że może go tyle z siebie wykrzesać, pokazywał Marii różne atrakcje. Ale wciąż miał wrażenie, że ma obok siebie lalkę. Z funkcją mowy i czynności fizjologicznych. „Tak, piękny widok”. „Nie jest mi zimno”. „Smakowało mi”. „Możemy tam iść, jeśli chcesz”. „Może później”. „Tak, piękny widok”.

„Jeśli chcesz”, refren bezwolności.

Aż wreszcie, kiedy prawie już stracił nadzieję, jakiś trybik w głowie Marii przeskoczył. To było czwartego dnia ich pobytu na Korczuli. Budził się tam bardzo wcześnie, zazwyczaj jeszcze przed szóstą, czyli jak dla niego w środku nocy. Miejscowi wyjaśniali, że to wpływ ciśnienia czy nadmorskiego klimatu, nie zapamiętał zbyt dokładnie. W poprzednie dni musiał zwlekać Marię z łóżka i prawie ciągnąć na śniadanie, które jedli na tarasie hotelowej restauracji, patrząc na smugi światła, które przesuwwały się po stromym zboczcu Góry Świętego Eliasza po drugiej stronie cieśniny. Zwykle milczeli albo on monologował, planując atrakcje na cały dzień. Wątpliwe, jak sądził, skoro Maria przyjmowała je z niezmienną obojętnością, mimo

iż nie protestowała, gdy ciągał ją po muzeach czy sąsiednich wysepkach. Jednak czwartego dnia to Maria obudziła go wcześniej rano. Popatrzył na nią najpierw nieprzytomnym, potem zdziwionym wzrokiem. Wyglądała uroczo, tak właśnie pomyślał: uroczo, w lekkiej, szarej sukience z nadrukowanymi makami. Wydała mu się tak młoda, tak... Nim, wciąż rozespany, złapał umykającą myśl, usłyszał: „Wstawaj, śpiochu, śniadanie czeka”. Radość od razu wyrwała go z sennego rozleniwienia. Wskoczył z łóżka. Tak, na to właśnie czekał, żeby Maria wreszcie odezwała się niepytana, żeby wykazała inicjatywę w jakiegokolwiek, choćby najdrobniejszej, sprawie. Szybko się obmył, wciągnął szorty i koszulkę, stanął przy drzwiach. Gotowy. Na nowy, wreszcie lepszy dzień z Marią. Przy Marii. Tej prawdziwej, a nie podróbce przypominającej mechaniczną lalkę z funkcją mowy. Szczątkową. Maria stanęła w drzwiach tarasu. „Gdzie się wybierasz?”, zapytała, śmiejąc się oczyma. „Na śniadanie”. Podeszła do niego, pogłaskała po policzku. Poczuł, jakby dotykała jego twarzy po raz pierwszy. „Chodź”, wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę niewielkiego tarasu, „śniadanie w restauracji jest przecież dopiero od siódmej”. Zerknął na zegarek, szósta pięć. Na stoliku stały dzbanek z kawą, filiżanki i talerze ze słodkimi bułkami i owocami. „Jak to zrobiłaś?” „Mam swoje sposoby. Kawy?” Usiadł. Pił małymi łyżkami bardzo gorącą kawę. Smakowała jak nigdy. Przepęłniało go szczęście. Wreszcie. Wreszcie! Nie mówili nic, ale tym razem milczenie nie uwierało, nie bolało. Nawet upiorny, mechaniczny zgrzyt cykad mu nie przeszkadzał. Odzyskał Marię.

Teraz miało już być tylko lepiej. Nie było.

## Rozdział 12

### Nocna podróż aż na koniec świata

13 czerwca 2012, środa

Rano, ze zdjęciem Karaczana w kieszeni lnianej marynarki i nadzieją w sercu, zjechałem na Kargoszyn pod blok Coi, licząc, że zastanę ją w domu. Nie pomyliłem się. Była równie wypłoszona jak przy poprzedniej wizycie, ale tym razem szybciej się pozbierała. Powtórzył się rytuał wysyłania syna do drugiego pokoju i zapraszania mnie do ciasnej kuchni. zaproponowała kawę, jakby wyczuła, że niczego tak mi nie potrzeba jak kofeinowego kopa.

Na stole, okrytym poszarpaną ceratą w różyczki, położyłem zdjęcie przyjemniaczka i zapytałem, czy przypadkiem już go kiedyś nie widziała.

– On jest jakby podobny...

Moja nadzieja, niczym entuzjazm polskich kibiców, rozbłysła. I szybko zgasła, gdy zobaczyłem łzy w jej oczach. Przez chwilę łkała bezgłośnie. Skarga notorycznych ofiar.

– Podobny jest do Tomka. Mojego byłego, w sensie.

Głośno wysiakała nos w ścierkę.

Mogłem się tego spodziewać. Karaczan nie był specjalnie charakterystycznym typem, na pierwszy rzut oka wyglądał jak setka albo i dwie innych karków z tego miasteczka i okolic.

– Tak, jasne, ale to na pewno nie Tomek. Niech się pani jeszcze raz spokojnie przyjrzy. – Podałem jej fotę. – Czy może widziała go pani pod domem Dudków?

Wbiła wzrok w podobiznę Karaczana. Widać było, że chce współpracować. Bardzo.

– Nie, tam się tacy nigdy nie kręcą. Wie pan, to lepsza okolica.

Lepsza jak lepsza, ale fakt, smętni młodziankowie w dresach, szukający bitki albo wypitki, raczej tam się nie zapędzają. No chyba że w pijanym widzie.

– Mówiła pani, że kiedyś jakiś mężczyzna podwiózł Jowitę drogiem samochodem. Może to ten? – Puknąłem palcem w zdjęcie, które Coja odłożyła na stół.

– Może. Ale ja tam nie wiem. Ten samochód to szyby miał takie bardziej przyciemniane. No i widziałam go z daleka, nie przyglądałam się zbyt. U Dudków nie ma czasu na wyglądanie przez okna. Tam trzeba zapieprzać z robotą.

Mogłem sobie to wyobrazić – państwo ma służbę, państwo płaci i państwo wymaga.

Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałem się, że Coja potwierdzi, że widziała Karaczana, ale dla spokoju sumienia wolałem to sprawdzić. W sumie biedna kobieta, zastraszona, zestresowana, zapracowana. A do tego pewnie miała przecucie graniczące z pewnością, że nic specjalnie przyjemnego już jej w życiu nie spotka. W tym mieście, co tam mieście, w tym kraju, bidna jak mysz kościelna rozwódka z dzieckiem raczej nie stanowiła atrakcyjnego materiału na partnerkę.

Też byłem biedny, choćby dlatego, że musiałem stawić się w fabryce. Zamiast jednak rozczulać się nad sobą, gracko minąłem komendę i pojechałem na Płońską. Myślałem, że w ten kolejny upalny dzień starowinka będzie siedziała w altanie, ale znalazłem ją w domu. Tkwiła na kanapie z książką na kolanach. Nie podniosła się, by uścisnąć mnie na powitanie. Zaniepokoiłem się trochę.

– Źle się czujesz?

Felicja tylko machnęła ręką, odłożyła książkę i poprosiła, żebym usiadł koło niej.

– Nie ma o czym mówić. Mam lepsze i gorsze dni. Wiek ma swoje prawa.

Felicja, w odróżnieniu od swoich koleżaneczek i kolegów, nie lubiła mówić o chorobach i dolegliwościach. Irytowały ją ciągnięte bez końca epopeje o perypetiach z wizytami u lekarzy specjalistów, o kolejkach, badaniach i zabiegach. Z nieodzownym refrenem wyklinania rodzimej

służby zdrowia. Pod tym względem była bardzo konkretna – gdy potrzebowała pomocy i wsparcia, prosiła. Jeśli nie było takiej potrzeby, nie rozwodziła się nad tym, co ją aktualnie boli. A od czasu do czasu bolało na pewno. Wiedziałem wszystko o jej chorobach.

Starowinka nie chciała kawy, więc zrobiłem tylko dla siebie, w ekspresie, żeby nie stał bezużyteczny niczym niemy wyrzut sumienia, przedmiot kupiony po to, abym nie czuł się jak wyrodny wnuk, który za rzadko odwiedza najbliższą osobę. Usiadłem obok niej i zapaliłem. Nie sięgnęła po swoje mocne, tanie fajki. Chyba faktycznie nie czuła się najlepiej. Nie zamierzałem jednak robić pseudolekarskiego wywiadu.

Milczeliśmy. Nie przyjechałem tu na pogaduszki, właściwie wpadłem do babki bez powodu. W końcu nie musiałem go mieć. Felicja westchnęła i jednak wydlubiła z paczki papierosa. Wypuściła wielką szarą chmurę, a potem, nie patrząc na mnie, spytała:

– Co ty tam kombinujesz z tą młodą laską?

Wbiłem w starowinkę wzrok, szczerze zdziwiony.

– Jaką znowu laską? Masz na myśli Tamarę? Można o niej wiele rzeczy powiedzieć, ale nie to, że jest pierwszej młodości – próbowałem obrócić sprawę w żart.

– To nie o nią mi chodzi.

– Chyba coś ci się przyśniło – prychnąłem. – Znowu bierzesz leki na sen i masz koszmary, które mieszają ci się z jawą?

– Chłopczyku, nie wykręcisz się sianem. Przecudnej urody nastolatka, bardzo zgrabna brunetka. Celinka widziała cię z nią dwa razy w piwiarni przy rynku.

Taaak, Geriatryczny Klub Rozrywki zawsze czujny, zwarty i gotowy. Choć może już nie na wszystko. Nie te lata. Gdybym chciał pogrześć w spokoju, dyskretnie, musiałbym pewnie pojechać do Warszawy. Co tam do stolicy! Ponad miarę mobilni emeryci i renciści z kręgu Felicji też by mnie tam wypatrzyli. Może w Szczecinie miałbym jako taki spokój. Choć nie było to wcale pewne.

– O, widzę, że Celinka wzięła knajpę pod stałą obserwację. Znowu ma antyalkoholową jazdę?

Celina była wdową po nałogowym pijaku, który był na tyle przyzwoity albo słabowity, że umarł w wieku niewiele ponad

czterdziestu lat, czym zafundował małżonce i sporemu stadku latorośli jakże upragniony spokój. Co jakiś czas przypominało się jej, że alkohol to wróg i zguba świata, zaczynała wtedy wszystkich pouczać i przestrzegać przed tragicznymi skutkami picia. Mniejsza o znajomych, którzy przyzwyczaili się do jej natchnionych monologów rodem ze spotkania świeżo nawróconych alkoholików. Celina potrafiła wejść do knajpy, żeby opieprzać podpitych gości, przypominać, że gdzieś w domach czekają na nich nieszczęśliwe kobiety i dzieci. W mieście uważana była za nieszkodliwą wariatkę.

– Nie podśmiewaj się z niej – Felicja była tego dnia niezwykle poważna. – Przecież wiesz, że mieszka przy rynku i wychodzi tam na spacer z sunią.

– Przy placu Jana Pawła II, Papieża-Polaka-Męczennika – spróbowałem rytualnego żartu.

– Rynku – starowinka konsekwentnie ignorowała zmiany w nazewnictwie ulic. A przy okazji i mój miernej jakości dowcip. – Nie zmieniaj tematu. Co to za laska?

Machnąłem ręką.

– Żadna laska, tylko świadek w sprawie. Przyjaciółka Dudkówny – powiedziałem prawdę. Jak na spowiedzi. Choć o spowiedniczych standardach miałem blade pojęcie.

– Ponoć to śledztwo jest już zakończone.

– Zakończony czy nie, kwity już zdałem krawaciarzowi.

– Trochę się płaczesz w zeznaniach, ale mnie wszystko jedno, czy grzebiesz jeszcze przy tym samobójstwie. Choć nie powinienes. – Wiedziałem to bez przypominania. – Twoja sprawa. Ale nie w mówisz mi, że włączysz się z atrakcyjną panną po knajpach tylko po to, żeby ją przesłuchiwać. Chyba nie tak to zwykle robicie.

– Robimy, jak robimy – zirytowałem się. – O co ci, Felicjo, właściwie chodzi?

– Wydaje mi się, że na własne życzenie znowu pakujesz się w kłopoty. Potrzebne ci to do szczęścia?

– Do szczęścia potrzeba mi tylko spokoju. I żeby nikt nie truł mi nad uchem.

Nie musiałem tego mówić. Starowinka chciała dobrze. Dla mnie. Jak zawsze. Powinienem to docenić, powinienem przeprosić za słowa,

które mogły ją zabołec.

Zdusiłem niedopałek. Felicja głosem, z którego wionęło syberyjskim chłodem, przypomniała, że jest już najwyższy czas, żebym pojechał do pracy. Podniosłem się z kanapy i zaraz mnie nie było. Grzeczny chłopak.

Zanim odpałem silnik, przez chwilę siedziałem z rękami opartymi o kierownicę miśka. Byłem zły na starowinkę. Wyprowadziła mnie z równowagi ta bezsensowna rozmowa. Choć w gruncie rzeczy bardziej wściekałem się na siebie. Zachowałem się jak kretyn. I nie tłumaczyło mnie wcale, że od czasu, gdy kilka dni temu zobaczyłem ciechanowską Ofelię, nie byłem do końca sobą. Albo inaczej – byłem tą wersją siebie, którą niegdyś wyegzorcyzmowałem, jak mi się wydawało, raz na zawsze.

„Przecudnej urody nastolatka”, przypomniałem sobie słowa starowinki. Przecież powiedziałem prawdę, Paulina była tylko świadkiem, osobą przepytowaną w sprawie. No dobrze, mogła to być jedynie część prawdy.

W fabryce zastałem istny krajobraz po bitwie. Raczej nie chodziło o Grunwald. Szybki Romek, solidnie skacowany, mazał coś na kartce poobgryzanym długopisem. Spodziewałem się złośliwych komentarzy na temat mojego spóźnienia, nawet przygotowałem błyskotliwą ripostę, że prowadziłem szeroko zakrojone działania operacyjne w terenie, ale aspirant skwitował powitanie jedynie machnięciem ręki. Komisarz Jan pukał w klawiaturę komputera grubym paluchem, pomagając sobie w znojnym procesie pisania wysuniętym czubkiem języka.

– Jak tam nastroje po zwycięskim remisie z kacapami? Bojowe?

– A weź mi nawet nie przypominaj – jęknął Małochleb i złapał się za głowę, zapewne bolącą. – Kawy se zrobię – oznajmił nie wiadomo komu i wyszedł.

– „Z powrotem” pisze się przez „s” czy „z”? – wymamrotał komisarz Jan, nie odrywając wzroku od ekranu.

– A jak kolega sobie winszuje. To nie dyktando, nikt pał z ortografii nie będzie stawiał.

– To się dowiedziałem – westchnął.

Nie byłem pewien, skąd mi się wziął taki humorek. Prawdopodobnie odreagowywałem pogawędkę ze starowinką. Mina zrzędała mi, kiedy zasiadłem za biurkiem i zerknąłem na leżącą na nim kartkę.

– Co to? – udałem głupiego.

Komisarz Jan wreszcie raczył zaszczyścić mnie spojrzeniem i powiedział:

– Robota na dziś. Sprawdź to.

Jeszcze raz szybko przebiegłem wzrokiem krótki tekst. Co mi szkodzi się upewnić, więc dopytałem:

– Skradzione w Gąsocinie jakieś elektroniczne szpeje Polskich Kolei Pospiesznych, tym mam się zająć?

– Nie szpeje, tylko sprzęt znacznej wartości, i nie Polskich Kolei Pospiesznych, tylko Polskich Kolei Państwowych – sprostował z absolutną powagą mój bezpośredni przełożony.

– A ktoś inny nie może tego zrobić?

– Nie. – Komisarz Jan najwyraźniej tracił cierpliwość. – Potraktuj to jako polecenie służbowe.

Zasalutowałem i odmeldowałem się do zadań w terenie. Oprócz mnie nikt dziś nie był w nastroju do żartów.

Gąsocin? Niech będzie Gąsocin. Zawsze to jakaś odmiana po topiącym się w upale Ciechanowie. Śmigąłem miśkiem pośród pól pełnych wzrastającego dobra, lasów nietkniętych stopą turysty, wiosek, po których widać było, że dopłaty unijne nie idą na marne. Choć chłopci nieodmiennie narzekali. Ale tacy już byli i będą. Podczas jazdy udzielił mi się nastrój sielski, bukoliczny. Choć nie śmigąłem zbyt długo.

Na miejscu trafiłem w sam środek rozpiżdzielu nazywanego dumnie „przebudową kluczowej magistrali kolejowej Warszawa – Gdańsk”. Stacja wyglądała jak po bombardowaniu Luftwaffe. Choć pewnie faszyści nie zadaliby sobie trudu niszczenia Gąsocina ze względu na jego nikłe znaczenie strategiczne. Wszędzie głębokie dziury w ziemi, pozostawione tu i ówdzie, bez wyraźnej logiki, fragmenty peronów, niektóre stare, niektóre nowe, sterty podkładów i innych materiałów, o których zastosowaniu nie miałem bladego pojęcia. Stary drewniany



budynek stacji ściśnięty był metalowymi taśmami. Zacząłem się zastanawiać – po co? Przypomniałem sobie, że czytałem w prasie bardzo lokalnej, że został uznany za zabytek i ma być przeniesiony w inne miejsce. Podejrzywałem, znając życie i realia kolei, że będzie tam stał tak długo, aż się rozpadnie. Albo ktoś go podpali. W końcu piromanów nigdy nie brakuje.

Udało mi się w tym zamieszaniu odnaleźć najważniejszego kolejarza oraz kierownika budowy, który był bardzo niezadowolony, że przeszkadzam mu w robocie, bo to, wicie, rozumiecie, terminy gonią, a praca wre, choć wyglądało to tak, jakby trwała tam permanentna przerwa obiadowa. Poziom jego niezadowolenia wzrósł jeszcze bardziej, gdy zacząłem serię standardowych pytań z rodzaju – co dokładnie przepadło i kiedy, czy są jacyś podejrzani i czy nie działo się coś nietypowego na terenie budowy w ostatnim czasie? Okazało się, co za niespodzianka!, że tak dokładnie to jeszcze nie wiadomo, co zginęło, to się dopiero zobaczy, trzeba by zrobić inwentaryzację, i że nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Czyli stara śpiewka – „ukradli, wynieśli, nie wiadomo jak, nie wiadomo gdzie”. Kazałem im zrobić dokładny spis strat i przesłać mi na mejla. Kierownik budowy przyjął to wzruszeniem ramion i zaraz odszedł dziarskim krokiem człowieka, który doskonale wie, dokąd zmierza. Za to kolejarz wydawał się zawiedziony, zaczął jęczeć, że co on właściwie ma powiedzieć przełożonym, bo to taka sprawa i taka strata, takiej sprawy i takiej straty to on jeszcze u siebie nie miał. Ludzie są jednak dziwni, chyba nie myślał, że mu z miejsca znajdę zbója, który skubnął trochę towaru ponieważjącego się wszędzie na stacji. Podpowiedziałem biedakowi, żeby oświadczył swojemu naczalstwu, że czynności policyjne są w toku, i tyle. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Wróciłem pod budynek dworca, przy którym zaparkowałem miśka. Trochę się zakurzył na tym placu permanentnej budowy, ale że wcześniej specjalnie czysty nie był, zbytnio to nie pogorszyło jego wyglądu. Nim wsiadłem, rozdzwoniła się komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się: „Przyjemniaczek”. Czyli Ładny.

- Co się urodziło? – zapytałem bez zbędnych wstępów.
- Sprawa jest.
- To mów.

Usłyszałem westchnięcie.

– To nie na telefon. Tam gdzie zwykle za pół godziny?

– Będę.

Do pewnego stopnia rozumiałem chorobliwą ostrożność mojego uchola. W końcu był tylko małą rybką pływającą w mętnej wodzie, w której tak do końca nie wiadomo, co się czai. Ale już jego niechęć do przekazywania informacji przez telefon przekraczała moje pojęcie. Najwidoczniej po rządach bliźniaków pół Polski nabawiło się podsłuchofobii.

„Tam gdzie zwykle” oznaczało park Konopnickiej, a dokładniej ławkę przy miniaturowym skwerze, otoczonym zaniedbanymi krzakami, niedaleko domu kultury. Trudno powiedzieć, dlaczego Ładny wybrał akurat to miejsce na nasze tajne spotkania, nie było specjalnie odludne, zawsze ktoś tam mógł się na nas napatoczyć. Może zwyczajnie dobrze mu się kojarzyło, z jakimiś nastoletnimi popijawami czy innymi inicjacjami. Kiedy się tam zjawiłem, Ładny już okupował obłąającą z farby ławeczkę, wystrojony, wypachniony i nażelowany. Jak to Ładny. Istny model. Wersja oszczędnościowa, małomiasteczkowa.

– Kwitnę tu już dwadzieścia minut, prawie korzenie zapuściłem. – Wymownie postukał w zegarek wielkości spodka od filizanki.

Fakt, trochę mi zeszło w sklepie, bo postanowiłem wreszcie zapełnić lodówkę i zabezpieczyć zapas wina na kolejne wieczory. Nie zamierzałem jednak tłumaczyć się przed ucholem.

– A ty, kolego, kartę w fabryce odbijasz, że tak czasu pilnujesz?

Ładny zarechotał. Przynajmniej jeden, który tego dnia śmieje się z moich dowcipów.

– Co dla mnie masz?

– A jak myślisz?

Przyjemniaczek postanowił w ramach zemsty trochę się ze mną podroczyć.

– Namierzyłeś Karaczana.

– A dlaczego miałbym nie namierzyć. Gdańsk, Nadmorski Dwór trzydzieści cztery mieszkania dziewięć. Melinuje się u Roxany Zarzeckiej.

- To Ukrainka?
- A co ja, wróż Marcin? Miałem tylko dać ci adres, resztę sobie znajdziesz. Chyba potrafisz, nie?
- Nie bądź bezczelny, bo stracisz punkty, które ostatnio odrobiłeś. Wstał z ławki, wbił ręce w kieszenie śnieżnobiałych szortów.
- Ale dasz mi już spokój?
- Na jakiś czas, Ładny, na jakiś czas.

Do fabryki poszedłem na piechotę. Musiałem pomyśleć. Wiedziałem już, gdzie jest Karaczan, może nie na sto procent, ale Ładny zwykle podawał mi sprawdzone informacje. Tylko co teraz miałem z tym zrobić? Prawdopodobnie wytropiłbym numer Roxany, o ile to nie jest pseudonim artystyczny z branży wysoce rozrywkowej. Tylko co by mi z tego przyszło? Nic. Oficjalnymi kanałami nie mogłem nadać, żeby koledzy z Gdańska zatrzymali i przesłuchali Karaczana, bo zaraz dowiedziałby się o tym Gajowniczek i zrobił mi dym, że dalej wężę przy sprawie Dudkówny. A przecież nie ma już tej sprawy, te sprawy. Gdybym miał kumpla w komendzie w Gdańsku albo gdzieś w okolicach, to mógłbym go poprosić o przysługę. Tyle tylko, że ja przecież nie miałem kumpli w policji. Nigdy i nigdzie. No, może poza Koziejem. Taka jest cena bycia wrednym typem. Albo samotnym wilkiem. Woląłem tę drugą wersję.

Zamiast do konkretnych wniosków doszedłem do komendy. Komisarz Jan nadal męczył się z klawiaturą komputera, Szybki Romek bujał się po mieście, zajmując się, ponoć, kibicowską zadymą. Mój bezpośredni przełożony zainteresował się, jak mi poszło w Gąsocinie.

- Rozpiżdziel i tona piachu.
- Konrad, nie mam dziś siły na twoje zagadki.

Spojrzał na mnie. Wyglądał na zmęczonego i wyraźnie czymś przybitego. Zrobiło mi się go żal. Już chciałem zapytać, co się stało, ale jednak się powstrzymałem. Komisarz Jan nigdy nie mówił o sobie, ewentualnie tylko o swoich osiągnięciach wędkarskich. W krótkich żołnierskich słowach opowiedziałem, co udało mi się ustalić na zbombardowanej stacji, czyli że nie ustaliłem nic.

- To tylko napisz raport, żeby podkładka była. A my poczekamy,

zobaczymy.

Bardzo podobało mi się takie podejście. Usiadłem do komputera, na autopilocie wystukiwałem drętwe frazy raportu, jednocześnie myśląc, co zrobić z Karaczanem. Wciąż nie przychodziło mi do głowy żadne sensowne rozwiązanie. Jednego byłem pewien: muszę się spotkać z bandziorem, muszę dowiedzieć się, co i dlaczego kombinował z Dudkówną. Tyle tylko, że on bawił na gościnnych występach w Gdańsku, a ja byłem w Ciechanowie. Wprawdzie liczyłem się z tym, że spotkanie dziewczyny z dobrego domu i zbója mogło być dziełem przypadku, po imprezie mogła wsiąść nie do tego samochodu, do którego powinna. Albo lubiła dreszczyk emocji, brzydkie zabawy z karkami. Kto wie. Tak czy siak, musiałem to sprawdzić.

Położyłem raport na biurku komisarza Jana, co przyjął skinieniem głowy, a ponieważ zbliżała się szesnasta, powiedziałem, że kończę robotę na dziś. Nie protestował, więc szybko się ewakuowałem. Poszedłem do stojącego koło domu kultury miśka i już po paru chwilach, złamawszy kilka niezbyt istotnych przepisów ruchu drogowego, byłem pod domem.

Nosiło mnie. Ewidentnie. Pochowałem zakupy, nastawiłem skromny starokawalerski obiad, czyli parówki, zapaliłem. Papieros dziwnie mi nie smakował, zdusiłem go w popielniczce, jakbym rozgniatł obrzydliwego robala. Doszedłem do wniosku, że nie jestem głodny, wyłączyłem gaz. Aby zająć czymś ręce, otworzyłem butelkę wina, dobrego, gruzińskiego, które chyba przez przypadek trafiło do sklepu w moim miasteczku. Odpaliłem laptopa, żeby sprawdzić, jakie futbolowe atrakcje tego wieczoru są w planie. Sięgnąłem po kieliszek. I wtedy mnie olśniło.

Jechałem na granicy ryzyka, nawet przekraczając ją, całkowicie skupiałem się na prowadzeniu miśka, żeby przypadkiem nie przyszło mi do głowy zawrócić. Zdjąłem nogę z gazu dopiero za Mławą, zjechałem na niewielki parking przed drewnianym zajazdem. Nie wiem, skąd się wzięła moda na stawianie wszędzie tego pseudogóralskiego paskudztwa. Zamknąłem oczy i wszedłem do środka. Potrzebowałem kawy i czegoś na ząb. Wypiłem jedną kawę,

zjadłem kielbasę z grilla, o dziwo nie najgorszą, zamówiłem kolejny czarny płyn. Tak czy inaczej, ruszyłem w drogę i nie musiałem się specjalnie utwierdzać w przekonaniu, że robię dobrze. W trzy, cztery godziny dojadę do Trójmiasta, miałem nadzieję, że uda mi się spotkać Karaczana, chyba że buja się gdzieś po okolicy. A jeśli nie, trudno, przynajmniej się trochę przewietrzę. Poza tym od czasu do czasu trzeba lekko rozhuścić auto, a nie tylko wlec się spacerowym tempem po mieście. Nie przepadałem za podrózkami, nie lubiłem turystycznego cyrku z bieganiem od jednego zabytku do drugiego albo wylegiwaniem się przy basenach z drinkiem w rękę w nazbyt ciepłych przereklamowanych zakątkach świata. Lubiałem tkwić w jednym miejscu. Jak ostaniec. Albo pojeździć autem. Jednak nie za często.

Wjechałem znowu na siódemkę, ruch był umiarkowany. Miałem nadzieję, że przed zmierzchem będę w Gdańsku.

I byłem. Choć zajęło mi trochę czasu, nim dojechałem do Brzeźna. Z zasady nie używałem nawigacji, nie znosiłem mechanicznych kobiecych głosów, które nakazywały mi, co mam robić. A tym bardziej wkurzał mnie irytujący głos Hołowczyca. Pewnie brało się to stąd, że w ogóle z trudem przyjmowałem jakiegokolwiek rozkazy. Odnalazłem osiedle Nadmorski Dwór. Osiedle strzeżone, jak najbardziej zamknięte. Kilka niewysokich, całkiem na oko znośnych apartamentowców rozrzuconych pośród powykręcanych sosen. Wypielegnowane trawniki, szpalery żywopłotów, połączenie dziwnie wyglądających, płożących się róż. Slumsy dla bogatych, jak zwykły mawiać mój kolega z czasów krakowskich, konsekwentnie i rozpaczliwie lewicujący. Jeśli Karaczan faktycznie tu pomieszkiwał, to nie ulegało wątpliwości, że stopa życiowa gwałtownie mu się podniosła.

Nie chciałem zadawać się z ochroniarzami, bo jeszcze wymyśliliby spisywanie moich danych, a nie zamierzałem pozostawiać jakichkolwiek śladów niezapowiedzianej wizyty. Wyczekałem moment, kiedy po wyjeździe wypasionej terenowej hondy brama była otwarta. W tym miejscu mój misiek na szczęście nie rzucał się specjalnie w oczy. Taki zysk z posiadania jedyne go luksusowego przedmiotu. Przeszedłem przez jedno podwórko, czy właściwie coś w rodzaju patio, otwarty korytarz, kolejne podwórko, odnalazłem wejście do klatki,

którego szukałem. Brama, domofon. Tradycyjna metoda naciskania wszystkich przycisków sprawdziła się i tym razem. Zawsze znajdzie się ktoś, kto automatycznie, bez sprawdzania, kto czyha u bram, otworzy. Zza drzwi z numerem dziewięć dobiegała dyskotekowa łupanka z podbitymi basami. Ktoś na pewno jest w środku, a to już coś. Nacisnąłem dzwonek, rozległy się przedziwne trele, obrzydliwie słodkie. Podobnie jak szczupła blondynka o urodzie lalki Barbie, wymalowana tak, jakby wybierała się na oficjalną kolację.

– Taaak – wymiauczało dziewczę, mamląc gumę w ustach.

– Dzień dobry. Karaczan jest?

– Pomyłka.

Chciała zatrzaskać mi drzwi przed nosem, ale przytrzymałem je i lekko pchnąłem.

– Co ty mi tu, koleś? – blondyna wykrzywiła usta w paskudnym grymasie i wrzasnęła niczym stara przekupa: – Waldi, cho no!

Waldi? Dopiero po chwili skojarzyłem, że zbój ma przecież na imię Waldemar. Tak, Waldemar Bilski. W przedpokoju pojawił się nie kto inny tylko Karaczan, odziany, choć to może za dużo powiedziane, w czerwone bokserki w białe słoniki. Zdziwiłem się, nie tyle na widok zbója, ile jego gatek.

– Kurwa!

– Też miło cię widzieć, Karaczan. Jak zdrowie? Widzę, że kacyk telepie...

Faktycznie, trochę biedakiem kolebało. Być może tak wstrząsnął nim mój widok. Blondyna patrzyła to na mnie, to na niego.

– Jaki znowu Karaczan? Waldi, co to za koleś?

– Spadaj do sypialni – syknął.

– Ale kto to?

– Kolega z wojska.

– Jakiego, kurwa, wojska?!

– Wypad! – wrzasnął.

Mrucząc pod nosem, Barbie wycofała się do pokoju i trzasnęła drzwiami. Tyle było jej buntu. Karaczan stanął tuż przede mną, jakby myślał, że mnie tym przestraszy.

– To chyba – niemal szeptał – coś w rodzaju nękania, nachodzenia, czy jak to tam papuga głędził.

Nachyliłem się nad nim, był o głowę ode mnie niższy. Prawie dotykaliśmy się czołami.

– Chcę tylko chwilę pogawędzić, jak to z kumplem z wojska, nic więcej. Zdaje mi się, że luba Roxanka – wyraźnie zdziwił się, że znam imię blondi – nie ma pojęcia o twoich ciechanowskich przygodach, więc lepiej, żebyś nie brykał, bo sprawa się rypnie i skończą ci się wczasy w miłych okolicznościach nadmorskiej przyrody.

Na jego twarzy odmalował się wysiłek myślowy. W końcu kilka trybików wskoczyło na właściwie miejsca, odwrócił się, rzucając przez ramię:

– Wlazł.

– Dziękuję za zaproszenie.

Opadł ciężko na wielką skórzaną kanapę. Usiadłem na fotelu naprzeciwko niego.

– Nawet piwa nie zaproponujesz? Chyba się nie cieszysz ze spotkania.

– Bo jakoś cię nie lubię.

Jednak powłókł się do lodówki po puszkę zimnego żywca, o szklance zapomniał, ale nie wybrzydzałem. Otworzyłem i pociągnąłem długi łyk. Nie spieszyłem się z zadawaniem pytań, chciałem, żeby się trochę podenerwował. Nigdy nie grzeszył cierpliwością, więc po chwili zapytał:

– No i o co właściwie się rozchodzi?

– Stęskniłem się za tobą. Tak nagle zniknąłeś z Ciechanowa. Podobnie jak twój wafel Hans.

– Dziewczynę zapoznałem.

– Zaprawdę słuszne to i zbawienne. Może wreszcie się ustatkujesz, założysz rodzinę, spłodzisz syna, zasadzisz drzewo.

Parsknął, klepiąc się po nagich udach.

– Śmieszny z ciebie pies.

– Ty mi tu, kotku, z psami nie wyjeżdżaj. Wiesz, co stało się z Jowitą Dudek? – postanowiłem przerwać niezobowiązującą paplaninę.

– Nooo – potwierdził odruchowo. – Ale jak mnie tu znalazłeś?

– Ja tu zadaję pytania – rzuciłem lodowatym tonem twardego gliny.

Wbił we mnie wzrok, lekko zmacony alkoholem albo prochami, które w siebie pakował. Nie zrobiło to na mnie najmniejszego

wrażenia.

– Po pierwsze – zacząłem – wyjechałeś z naszego miasteczka zaraz po tym, jak Dudkówna popełniła samobójstwo. Po drugie, wiem, że się z nią spotykałeś.

– Wkoło pierdoleni szpicle – skomentował.

– Musisz lepiej dobrać sobie przyjaciół. Ale my nie o tym... Dlaczego uciekłeś z Ciechanowa?

– Właściwie, nie muszę nic ci gadać.

– Właściwie, mogę cię skuć. Roxanka lubi ostre zabawy?

Zerwał się z kanapy. Obawiałem się, że zrobi coś głupiego, naprawdę nie miałem nastroju do bijatyki, ale tylko wyjął z lodówki piwo. Przyssał się do puszki, jakby nie pił cały dzień.

– Powiem wszystko, ale się ode mnie odwalisz, dobra? – próbował negocjować.

– To zależy, co mi wyśpiewasz.

– Kurwa, wiedziałem, że będzie z tego syf, wiedziałem, co mnie podkusiło...

– Karaczan, nie jęcz jak stara baba, tylko opowiadaj od początku do końca o niebezpiecznym związku z Jowitą.

– Chwila.

Poszedł do sypialni, słyszałem, jak wysyła lubą do sklepu po papierosy. Roxanka protestowała, burczała, ale wywlókł ją za ramię do przedpokoju. Ociągając się, włożyła niebotyczne szpiloty, wzięła różową torebkę i wyszła.

– Lepiej, żeby nie podsłuchiwała – wyjaśnił oczywiste.

– Nie wnikam w szczegóły waszego pożycia.

– Że co?

– Nic. Nadawaj. Jak się poznałeś z Jowitą? To przecież nie twoja liga.

Zapalił, ja też. Dwaj kumple przy piwku i papieroskach gadają o błędach przeszłości, złych kobietach i problemach, które nieodmiennie generują. Dobrze, bardzo.

– Tak jakoś ze dwa, trzy tygodnie temu melanzowaliśmy z Hansem, na koniec zniosło nas do Nocnego Raju. Driny, panny, zaczęły się lekkie pląsy. Ja tam nie miałem zabawowego nastroju, ale ta cała Jowita zaczęła na mnie napierać przy barze, zagadywać, driny stawiać.



– Ona tobie? – zdziwiłem się. – Masz, chłopie, branie. A wiedziałeś, kim ona jest?

– Nie, zresztą nie za bardzo byłem już tomny. Ale Hans mi nadał. W sensie kto to.

– I co było dalej?

– No, kurwa, podkusiło mnie. Tańce przytulańce, takie tam chuje muje dzikie węże. To ładna jest sarenka. Była, znaczy się. Myślałem, że jakaś akcja będzie, ale ona zaraz zwijała się na chatę. Pomyślałem, chuj, nie ta, to inna.

– Mnie, Karaczan, twoje głębokie przemyślenia egzystencjalne nie interesują – przerwałem rozkręcającemu się zbójowi. – Streszczaj się, bo zaraz ta twoja tępą dzida wróci.

– Nie tykaj Roxi – zaperzył się z miejsca.

– Dobra, dobra, nawijaj o Jowicie.

– Ona, ta cała Jowita, na koniec mówi, żebym się z nią spotkał jutro pod zamkiem. Mogłem odpuścić, Hans mi mówił, było go słuchać, ale tam polazłem.

– Co jej zrobiłeś?

– Ja, kurwa, ja?! – wrzasnął. – Nawet palcem nie tknąłem. Ale posłuchaj, jaki temat. Więc ona z mety się mnie pyta, czy bym jednego gościa nie stuknął.

– Stuknął?

– No też się zdziwiłem. Michę to nawet bym komuś sklepał, jak sarenka ładnie prosi, choć ja to za przemocą nie jestem.

Pewnie, pokój i miłość, Karaczan łagodny jak baranek, co nie przeszkadzało mu obijać dziewczyn, które swego czasu przerzucał do faszystów. Brzydzili mnie tacy faceci, lecz tym razem nie skomentowałem.

– Ale – ciągnął zbój – ona mówi, że nie, że chce, żebym stuknął gościa na amen, że zapłaci, ile będzie trzeba, bo on ją gnębi i prześladowa, bo ona już z nim życia nie ma.

Robiło się coraz ciekawiej. Zapaliłem następnego papierosa i zapytałem:

– Kto i co jej zrobił?

Gwałtownie zamachał rękami.

– A z tym to nie do mnie. Ten cały temat za bardzo śmierdział. Ja się

takich rzeczy nie tykam. Swoje paragrafy odpękałem i teraz trzymam się z dala od problemów. Pogoniłem ją w jasny chuj.

– I nie byłeś nawet ciekaw, o kogo chodzi?

– A co ja, Ładny jestem, żeby węszyć?

Czyżby Karaczan domyślał się, kto sprzedał jego metę? Chyba jednak był na to za głupi.

– Dobrze, śliczną mi opowiedziałeś bajeczkę. Żeby to jeszcze była prawda.

– Kurwa, nie ściemniam.

– To dlaczego zwiąłeś z miasta, jeśli jesteś niewinny jak dziewczę przed pierwszą komunią?

– Po tym, jak ona, no tego, walnęła samobója, Hans powiedział, że trzeba się przyczać, bo z tego mogą być kłopoty, że będziecie węszyć, bo to polityczna sprawa.

– A ty zawsze robisz, co ci Hans każe, tak?

– No. Tak jakby.

Zdusiłem niedopalek. Opowieść o nastolatce z dobrego domu, która zadaje się z drobnym bandytą i nadaje mu mokrą robotę, brzmiała fantastycznie. Niczym z kiepskiego kryminału, którego autor za wszelką cenę sili się na oryginalność. Jednak z drugiej strony Karaczan sam czegoś takiego by nie wymyślił. Chyba że to Hans wykombinował legendę. Właśnie, Hans.

– Dobra, to teraz grzecznie dzwonisz do swojego przyjaciela od serca...

– Ale...

– I gadasz tak, żeby on przypadkiem się nie rozłączył, jak mnie usłyszy.

Karaczan nie wyglądał na szczęśliwego, ale wybrał numer. Długo klarował kumplowi, o co chodzi, przekonywał. Z tego, co do mnie docierało, Hans nie był zadowolony. Trudno, żeby było inaczej. Zaczęło mnie to już nudzić, ale w końcu trzymałem w ręku komórkę zbója, mokrą od potu. Niechętnie, bo niechętnie, Hans jednak opowiedział, co wiedział, o przygodach Karaczana z Jowitą, mniej więcej potwierdzając jego wersję zdarzeń. Dziwnie. Robiło się coraz dziwniej.

Na klatce schodowej zastukały szpiloty, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Roxanka. Wściekła, nawet bardzo. Cisnęła w Karaczana paczką

papierosów i zniknęła w sypialni.

– Baby – mruknął.

Pożegnałem się z nim wylewnie. Jak to z kolegą z wojska. Na do widzenia szepnąłem mu, żeby przypadkiem nie próbował zniknąć, bo i tak go znajdę. Wszędzie.

Chciałem przemyśleć to, co usłyszałem od Karaczana, poukładać w głowie tę sprawę, która wciąż mi się wymykała. Miałem przed sobą kilka godzin powrotnej jazdy, miałem czas na myślenie. Ale zanim zdałem sobie sprawę, co robię, skręciłem na Sopot. Tym razem nie błądziłem, droga była prosta jak strzeł. Bez trudu znalazłem miejsce do parkowania niedaleko pensjonatu Muszelka.

Mimo że początek czerwca był ciepły, nawet upalny, Sopot nie do końca przebudził się jeszcze do wakacyjnego życia. Smutek tropików, tym razem przedsezonowy. Robiło się coraz ciemniej, niewielu ludzi kręciło się po Monciaku, knajpiane ogródki świeciły pustkami, z jednego z pubów dochodziły chóralne kibicowskie śpiewy. Czyżby Irlandczycy? Czytałem w internecie, że świetnie się bawili w Trójmieście. Ruszyłem w stronę zatoki, po ścieżce ciągnącej się wzdłuż plaży śmigali zapóźnieni rowerzyści i rolkarze. W pensjonacie, w naszym pensjonacie, przemknęło mi przez myśl, światło paliło się tylko w dwóch oknach. Odnalazłem wzrokiem te należące do apartamentu, w którym swego czasu pomieszkiwaliśmy z Marią. Na balkonie, na którym rankami piliśmy kawę, patrząc na migoczące w słońcu wody zatoki, stały dwa wiklinowe fotele i niewielki stolik. Te same co za naszych czasów? Naszych...

Na plaży było pustawo, para siedząca tuż przy ogrodzeniu i szepcząca do siebie, kilku niespiesznych spacerowiczów, mężczyzna z psem. Woda zdawała się granatowa, jakby gęsta. Doszedłem do pasa mokrego piasku, zdjąłem buty i skarpetki, pozwoliłem, by niewielkie fale obmywały mi stopy, moczyły nogawki. Przejmujące zimno pełzło w górę nóg. Umundurowany w markowe sportowe ciuchy dziarski staruszek przechodzący obok szybkim krokiem wbił we mnie czujny wzrok. Czyżbym wyglądał niczym kandydat na samobójcę?, pomyślałem. Zebrałem rzeczy i, grzęznąc w nieprzyjemnie wilgotnym

piasku, powlokłem się ku miniaturowym wydmom nazywanym, nie wiedzieć czemu, pasem technicznym. Usiadłem na wilgotnym piasku, oparłem się o drewniany słup ogrodzenia, zapaliłem. Morze pomrukiwało monotonnie, zagłuszając odgłosy zasypiającego zbyt wcześnie kurortu.

I wtedy się zaczęło.

W głowie wyblyskiwały obrazy, sceny z naszego życia. Mojego z Marią. Czas przeszły boleśnie dokonany. Pojawiały się na chwilę, znikwały, niektóre powracały. Bez ładu i składu, poza jakąkolwiek logiką. Bez przyczyny, choć być może ze skutkiem. Na razie nieodgadnionym.

Maria siedzi w pokoju nauczycielskim, zakłada za ucho kosmyk niesfornych włosów. Maria w knajpie na Kazimierzu, blask świecy odbija się w jej oczach, tak ciemnych w półmroku, że prawie czarnych. Maria, roześmiana, promieniejąca, biegnie skrajem plaży, rozchlapując wokół wodę, stateczne matrony rzucają jej oburzone spojrzenia. Maria na kanapie, zagrzebana w poduszkach, pod kocem, czyta powieść, marszcząc zabawnie nos, ja próbuję podejrzeć tytuł książki. Maria na plenerowej imprezie u znajomych bawi się z bandą dzieciaków w berka. Maria wysiada z samochodu, idzie do budynku szkoły, wbijam w nią wzrok, zastanawiając się, czy się obejrzy, ogląda się, zastyga w pół kroku, macha mi ręką, krótki, jakby urwany gest, półuśmiech. Maria... Maria... Maria...

Ocknąłem się nagle. Wstrząsały mną dreszcze, czułem bolesne mrowienie skrzyżowanych nóg. Wokół mnie wałały się pety. Wstałem z trudem i czekając, aż wróci mi czucie w stopach, patrzyłem na morze. Co mi się właściwie stało? Zasnąłem? Śniłem na jawie? Spojrzałem na wyświetlacz komórki, dochodziła północ. Powinienem już dawno być w drodze zamiast odprawiać dziwaczne wspominkowe rytuały. A może zwyczajnie było mi to potrzebne. Potem, wszystko potem, myślałem, potem zastanowię się nad tym, po co pojechałem do Sopotu, czy powinienem ciągnąć sprawę Dudkówny i o co w ogóle chodzi w moim pustym życiu.

Świtało, kiedy dojechałem do Ciechanowa. Właściwie nie było sensu kłaść się spać, ale czułem się potwornie znużony, bez sił. Nastawiłem budzik w komórce. I wpadłem w sen jak w głęboką studnię.



## Rozdział 13

### Za oknem mrok

14 czerwca 2012, czwartek

Z głębokiej studni wyłonił się nie kto inny jak Gajowniczek, w całej swej krasie. Faktycznie, był mocno zaróżowiony. I nie był to wcale sen. Wywrzaskiwał żale do mnie i do całego świata, oskarżał o wszystko, pewnie nawet uczyniłby mnie odpowiedzialnym za globalny kryzys, efekt cieplarniany i wymieranie waleni, ale akurat to nie przyszło mu do głowy. Kwestia kreatywności. A właściwie w tym przypadku – jej braku. Podobno nie należy tłumić emocji, wręcz przeciwnie, gwałtowne ich wyładowanie na dłuższą metę dobrze robi psychice, więc mu nie przeszkadzałem. Udając skruchę, lekko pochyliłem głowę. Zasnęłam. Do fabryki dotarłem dopiero tuż przed południem. Trudno, zdarza się lepszym ode mnie. Bywają jednak większe tragedie.

– ...sobie wyobrażasz! To nie jest twój prywatny folwark! Ty masz tu zaiwaniać jak dzika norka!

– Raczej dziki osioł! – nie zdzierżyłem.

– Cisza! Gdyby nie to całe zamieszanie z Euro, już bym dawno cię zawiesił!

Pomyślałem, że to nie jest nawet taki głupi pomysł. Miałbym wtedy mnóstwo czasu na zastanawianie się nad sobą samym. I przypadkiem wiceprezydentówny. Woląłem jednak nie utwierdzać Głównodowodzącego w słuszności jego pomysłów na usprawnienie pracy komendy. Na wszelki wypadek.

– A do tego masz najwięcej zaległości w papierach z całej jednostki! To niedopuszczalne!

Czyżby zadał sobie aż tyle trudu, aby posprawdzać moją radosną twórczość biurokratyczną z ostatniego czasu? Ciekawe, nawet bardzo. Może faktycznie byłem już na wylocie z roboty, tylko beztraska

i tumiwisizm sprawiły, że tego nie dostrzegalem. A właściwie co by się takiego stało, gdybym nagle przestał być psem? Nie zastanawiałem się nigdy wcześniej, a i teraz nie zamierzałem zawracać sobie tym głowy.

– Uporządkuj kwity. Natychmiast!

To akurat mogłem zrobić dla mojego wielce szanownego szefa. Bez większego problemu. Już się podnosiłem, zapewniając, że oczywiście, ekspresem nadrobię wszystko, co się da, a co się zrobić nie da, uczynię w trybie przyspieszonym, kiedy jego wrzask osadził mnie w miejscu:

– Siad! To jeszcze nie wszystko.

Mogłem się domyślić, że dotychczasowe połajanki były jedynie wstępem do wielkiego finału. I równie wielkich problemów.

– Czy ty masz mnie za idiotę? – zapytał, wbijając we mnie wzrok.

Człowiek nie zawsze musi mówić prawdę, a bywają momenty, że wręcz nie powinien.

– Nie. Skąd taki pomysł?

– Jeśli myślisz, że nie wiem, co się tutaj dzieje, i że można mnie kiwać jak pierwszego naiwnego, to się mylisz. I to bardzo.

Nie wiedziałem, do czego Gajowniczek zmierzał więc milczałem, czekając na ciąg dalszy. I się doczekałem:

– Doszły mnie słuchy, że nadal wężysz wokół samobójstwa córki Dudka.

Słowa o wężeniu wokół samobójstwa były wysoce niestosowne, nie uświadomiłem jednak tego Głównodowodzącemu. Patrzyłem prosto w jego oczy. Długo, może nawet za długo.

– Plotki – wycodziłem.

Wciąż mierzyliśmy się wzrokiem.

– Nie, to nie są plotki – Gajowniczek wypowiedział te słowa zadziwiająco spokojnym tonem, ale w końcu nie wytrzymał i znowu zaczął na mnie wrzeszczeć, pryskając kropelkami śliny na prawo i lewo: – Możesz się tutaj zaklinać, że to nieprawda. Ale wiem swoje. Masz się odpierdolić od tej sprawy. Masz się nawet nie zbliżać do Dudka i jego rodziny. Każdego, kto zamienił kiedyś choćby słowo z Jowitą, masz obchodzić szerokim łukiem. Potraktuj to jako ostateczne ostrzeżenie. A teraz wypad do roboty!

Tyle dobrego, że nie wspomniał o ostatecznym rozwiązaniu.

Subtelne samooszustwa, że Głównodowodzącego z przyległościami mam gdzieś, nie zdały się na nic. Byłem z lekka rozedrgany. Wrzaski szefa nie zrobiły na mnie większego wrażenia, ale już fakt, że tak szybko dowiedział się o mojej prywatnej krucjacie w imię prawdy, jak najbardziej. Z drugiej strony specjalnie się z tym nie tajniaczyłem.

Aby jako tako się uspokoić, wyszedłem przed budynek i zapaliłem papierosa. Kto mnie sprzedał? Dobre pytanie. Chyba nie Dudek, przecież ostatnim razem rozmawiałem z nim jak najbardziej oficjalnie, więc Gajowniczek nie mógł się tego czepić. Inna sprawa, że nie była to miła przyjacielska pogawędka. Może Szybki Romek zobaczył moje bazgroły na kartce? Mało prawdopodobne. Czyli kto, bo raczej nie Coja ani Paulina? I nagle mnie oświeciło, i gorzka to była wiedza. Kto mógł naciskać na Głównodowodzącego tak, że ten się wściekł? Tylko Dudek. A skąd wiceprezydent wiedział, że chodzę po mieście i wypytyję o jego córkę? Od Władka z Nocnego Raju.

Czekała mnie rozmowa z kłamliwym konfidentem. Cieszyłem się na nią.

Zanim zasiadłem za biurkiem, by sumiennie wykonać polecenie służbowe wyższego szarżą, zaszedłem jeszcze do archiwum. Bezwiednie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Poprosiłem o akta spraw dwóch nastolatek, które popełniły samobójstwo, i tej, którą odratowano. Archiwista był zdziwiony, że grzebię w makulaturze, ale wytłumaczyłem, że porządkuję dokumentację na polecenie Gajowniczka. Nie skłamać, ale prawdy nie powiedzieć. Świetna strategia. Moja ulubiona, która szczególnie dobrze sprawdzała mi się w relacjach z narzeczonymi.

W pokoju nie było ani komisarza Jana, ani Szybkiego Romka. Kto późno wstaje, temu Pan Bóg daje, na szybko przerobiłem przysłowie. Zanim wziąłem się do przeglądania starych kwitów, włączyłem komputer. Na wszelki wypadek. Gdyby ktoś tu nagle wszedł, będę udawał, że w pocie czoła przygotowuję zaległe raporty.

Rozłożyłem przed sobą przykurzone teczki. Nie spodziewałem się, że znajdę w nich wiele, a już na pewno, że znajdę odpowiedzi na dręczące



mnie od kilku dni pytania. Ale postanowiłem choć raz w tej sprawie, która oficjalnie sprawą już być przestała, zrobić coś zgodnie z zasadami. Podstawowymi. Teczkę z dokumentami dotyczącymi Anny Jurkowskiej odłożyłem na bok, co nieco już o niej wiedziałem od dyrektora Krasiniaka: druga klasa, nałykała się lekarstw, odratowana, ponoć depresja głęboka jak Rów Mariański. Otworzyłem drugą: Dagmara Sęktas, klasa maturalna innego liceum, dawnego ekonomika, załatwiła się dopalaczami podlanymi alkoholem, bez szans na odratowanie. Kolejna: Agnieszka Lewandowska, pierwsza klasa w tym samym liceum co poprzednio, podcięła sobie żyły. Na pozór jasne przypadki, kwitów tyle, ile trzeba, żeby prokurator się nie czepiał, niewiele konkretów, które mogłyby mnie zainteresować. Sprawdzone tylko, i to raczej pobieżnie, czy ktoś im przypadkiem nie pomógł. Nikt nie dociekał, dlaczego targnęły się na swoje życie. Bo nie musiał dociekać. Nikt, czyli komisarz Jan, bo to on prowadził te trzy sprawy. Ciekawy zbieg okoliczności. Choć po krótkim zastanowieniu, raczej nie zbieg okoliczności, tylko oczywistość. Wiadomo było, że komisarz Jan nie lubi wnikać, za to uwielbia błyskawicznie zamykać śledztwa. Zrobił, czego od niego oczekiwano. I finito. Wypytywanie go o przypadki samobójstw nie miało sensu. Po pierwsze, na pewno nic już nie pamiętał, bo w czyszczeniu pamięci operacyjnej ze zbędnych informacji był prawdziwym mistrzem. Po drugie, gdybym to zrobił, zaraz miałbym na głowie Gajowniczkę. I wtedy raczej nie skończyłoby się jedynie na wrzaskach i pryskaniu śliną. Zacząłem żałować, że swego czasu robiłem wszystko, żeby trzymać się z daleka od spraw samobójstw. Że z lęku przed prywatnymi demonami stosowałem strategię uników. Teraz byłbym mądrzejszy. O wiele.

Machinalnie przekładałem zawartość teczek, błędząc myślami bez ładu i składu. Nagle zamarłem w połowie ruchu. Przebłysk. Powyciągałem zdjęcia trzech dziewczyn z teczek, ułożyłem obok siebie na biurku, dołożyłem jeszcze zdjęcie wiceprezydentówny. Przenosiłem wzrok od jednej fotografii do drugiej. Raz, drugi, trzeci. Może był to jedynie przypadek. Z rodzaju dziwnych. Całkiem być może. Nie zmieniało to jednak faktu, że wszystkie cztery były do siebie podobne. Wcale nie jak dwie, a właściwie cztery, krople wody. Nic z tych rzeczy. Aż tak bardzo w głowie mi się nie pomieszało, żebym zaczął dostrzegać

coś, czego w rzeczywistości nie było. Jednak Jowita, Agnieszka, Dagmara i Anna miały ten sam typ urody, niezbyt nachalnej, lecz rzucającej się w oczy: długie, proste, ciemne włosy, pociągłe twarze z bardzo wyrazistymi oczami, jasna, o ile można to było wywnioskować ze zdjęć, cera. Tylko czy podobieństwo cokolwiek znaczyło? W końcu, jak mi się wydawało, ten typ wśród nastolatki był równie powszechny jak inny – blondwłosej panny o okrągłej buźce i niebieskich oczach. Z drugiej strony cztery incydenty samobójcze, cztery dziewczyny o ciemnych włosach. Czemu nie trafiła się wśród nich choćby jedna blondyna? Albo ruda. Czyżby brunetki były typami bardziej depresyjnymi? Bzdury. Tania psychologia z poradnika „Jak żyć?”.

Nie zdążyłem skupić się nad tą kwestią, bo dochodzące z korytarza szuranie buciorów ostrzegło mnie o przybyciu komisarza Jana. Szybko zgarnąłem dokumenty do szuflady i zastygłem z palcami nad klawiaturą komputera.

– Jesteś – komisarz Jan potwierdził oczywiste.

– Na posterunku i ku chwale.

Opadł ciężko na krzesło, sięgnął do stojącej na biurku teczki i wyjął kanapkę. Powoli, z namaszczeniem odwinął ją z zatłuszczonego papieru. Zapachniało porządnie naczosnkowaną kiełbasą. Bez wątpienia domowej roboty. Poza wędkowaniem muchowym komisarz Jan z równą pasją oddawał się pokątnemu masarstwu.

– Doigrasz się, Konrad, zobaczysz – zaczął, mamląc w ustach spory kęs. – Głównodowodzący już ma cię na widelcu, a jeszcze go drażnisz bez potrzeby.

– Chyba raczej na oku.

Komisarz Jan przełknął i sapnął. Nie skomentował mojej uwagi. Najprawdopodobniej wcześniej przygotował w szczegółach monolog i postanowił go wypowiedzieć do końca, choćby się waliło i paliło. Bez wątpienia coś z repertuaru dramatycznego.

– Tobie to pewnie zwisa. Robisz wszystko, żeby cię wylał na zbity pysk. Ale jeśli myślisz, że to tylko twoja sprawa, to się mylisz.

Już otwierałem usta, ale gwałtownie zamachał trzymaną w ręku kanapką. Kawalek kiszzonego ogórka z nieprzyjemnym mlaśnięciem wylądował na biurku.

– Co za bardak. – Wydawało się, że stracił wątek, ale nie.

Pstryknięciem palca posłał ogórek na podłogę i ciągnął: – A więc się mylisz, bo jestem jeszcze ja, twój przełożony. Mam przez ciebie coraz więcej stresów. A nie chcę mieć. Wiesz dlaczego?

Pewnie, doskonale wiedziałem, znałem ten nudny refren: komisarz Jan niczego tak nie pragnął, jak w spokoju doczekać jakże zasłużonej mundurowej emerytury. Uznałem pytanie za retoryczne. A mój kolega zrobił to, czego się spodziewałem, i kolejny raz przedstawił wyidealizowaną wizję swojej niedalekiej przyszłości. Niech świat mnie dzisiaj choć raz zaskoczy, jęknąłem w duchu.

– Dotarło? – Komisarz Jan wbił we mnie wzrok udęconego buldoga.

I co miałem odpowiedzieć? W pewnym stopniu świetnie go rozumiałem. Gdybym miał, tak jak komisarz Jan, jasno określone życiowe priorytety i plany na przyszłość, gdybym wiedział, że jedyne, na czym mi zależy, to bicie kolejnych prywatnych rekordów w wędkarstwie muchowym i wędzenie szynek, pewnie też chciałbym jedynie spokoju. Ale nie miałem planów i priorytetów, a tylko ośli upór, by doprowadzić sprawę Dudkówny do końca. Jakiegokolwiek. Przy tym naprawdę nie zamierzałem utrudniać życia komisarzowi Janowi. W tej sytuacji mogłem tyle, ile mogłem – czyli spowodować, by spłynął na niego, choćby chwilowo, błogi spokój.

– Pewnie, że dotarło. Obiecuję, że nie będzie już żadnych dymów.

– No – podsumował komisarz Jan i cisnął zmięty papier do stojącego w kącie pokoju kosza. Nie trafił.

Zapytał jeszcze, co robię. Zgodnie z prawdą zeznałem, że na polecenie Gajownicza uzupełniam i porządkuję zaległe kwity. Nawet pokazałem mu otwarty w komputerze plik dotyczący sprawy naruszenia nietykalności cielesnej pewnego młodzieńca, a mówiąc po ludzku, pijackiej bójki, która miała miejsce kilkanaście dni temu nocą w okolicach wiaduktu. O tym, że papierologia jest jedynie przykrywką, nie musiał wiedzieć. Dla własnego spokoju.

Mechanicznie przekładałem kwity, na autopilocie wklepywałem drętwe frazy do raportu, a jednocześnie miałem w głowie nieliczne dane w sprawie, tej jedynej, która mnie interesowała. Szkoda, że nie miałem nikogo, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Bo przecież nie z Felicją. Bez wątplenia chciałaby mi pomagać, a do tego nie mogłem

dopuścić. Mogłem za to zrobić burzę mózgu. Jednego. Poszedłem śladem Karaczana i dotarłem do krainy dziwów. O ile zbój nie łął. Dziewczyna z dobrego domu, która, ponoć, wiodła spokojne i bezproblemowe życie, chciała zlecić zabójstwo. Ponoć, bo w końcu coś mogło się Karaczanowi jedynie wydawać w alkoholowym albo narkotykowym widzie. Ale jeśli mówił prawdę, to, po pierwsze, kogo? Po drugie, dlaczego? Co przywiodło ją na skraj desperacji? I powiodło dalej. Paulina mówiła, że Jowita należała do osób skrytych, więc pewnie trudno mi będzie potwierdzić rewelacje Karaczana. Spytać Ładnego? Zwykle wiedział wiele, ale przecież nie wszystko. Na razie nie miałem bladego pojęcia, jak pociągnąć dalej ten wątek. A co mogłem? Mogłem zacząć od innej strony, od samobójstw dziewczyn. Pójść na jutrzejszy pogrzeb Dudkówny, przyjrzeć się uczestnikom ceremonii. Tyle mogłem. I tylko tyle.

Skompletowałem kwity dotyczące nocnej bójki. Jedna sprawa odhaczona, zawsze coś. Jak na zdyscyplinowanego podwładnego przystało, spytałem komisarza Jana o pozwolenie opuszczenia miejsca pracy w celu spożycia posiłku regeneracyjnego. Kiwnął głową, ale przypomniał, że mam jak najszybciej wrócić do fabryki, by dalej zajmować się papierami. Obiecałem, że uwinę się w trymiga.

Komisarz Jan zapewne nie zdawał sobie sprawy, że kategoria „w trymiga” jest wysoce nieostra. Wprawdzie szedłem w stronę znajdującej się przy Warszawskiej pizzerii, ale do niej nie dotarłem. Nawet nie miałem zamiaru. Wcześniej sprawdziłem, że Anna Jurkowska mieszka przy tejże ulicy w bloku, który w przypływie późnopeerelowskiego szaleństwa architektonicznego został wciśniętego między stare kamieniczki. Zbliżała się siedemnasta, zakładałem więc, że zastanę kogoś w mieszkaniu.

Głos dobiegający z głośnika domofonu emanował niechęcią. I pobrzmiwał paniką. Na pewno nie był to głos nastolatki. Wdrapałem się na drugie piętro. Otworzyła niewysoka wychudzona kobieta. Siwe odrosty, pomalowanych kiedyś na ciemny kasztan włosów zrobiły na mnie przygnębiające wrażenie. Podobnie jak paznokcie, z których płatami odłaził perłowy lakier. Smutek zapuszczenia. Znak rezygnacji.

– Co się stało? – Złapała mnie za rękaw marynarki, nim przestąpiłem próg mieszkania. – Był wypadek?!

– Jaki wypadek? – zdziwiłem się.

– Jaki?! Samochodowy! Mów, człowieku! – krzyczała.

Usłyszałem dobiegający zza pleców szcęk otwieranych zamków. Sąsiedzi czuwali. Internet, globalna wioska informacyjna, ale nie ma to jak solidna draka w sąsiedztwie.

– Nie przyszedłem w sprawie żadnego wypadku – mówiłem uspokajającym tonem. – Mogę wejść?

Nie czekając na pozwolenie, wbiłem się do środka, zamknąłem drzwi i pociągnąłem ją, wciąż wczepioną w moje ubranie, do pierwszego z brzegu pokoju. Usadziłem kobietę na fotelu i przyklęknąłem obok niej.

– To mąż żyje – wyszeptała.

– Spokojnie. – Wyplątałem się z uścisku i usiadłem po drugiej stronie niskiej ławy. – Dlaczego miałyby nie żyć?

– Mąż na tirach jeździ. Myślałam...

Ładnie. Ciągle straszę ludzi. Wy tłumaczyłem jej pokrótce, z czym przychodzę, powiedziałem o samobójstwie wiceprezydentówny i badaniu rozmaitych tropów. Na wszelki wypadek nie użyłem słowa „śledztwo”. Zareagowała agresją:

– Nie możecie dać jej... nam spokoju?! Mało się już nacierpiałam? I ona...

Najwyraźniej nie była stabilna emocjonalnie. Rozumiałem, nie dziwiłem się, w końcu próba samobójcza jedynaczki, sprawdziłem wcześniej, że nie miała więcej dzieci, to trauma, jakich mało. Musiałem jednak drażnić dalej. Po prostu musiałem. Choć bolało mnie to prawdopodobnie nie mniej niż ją.

– Proszę zrozumieć, chcę wyjaśnić... Chciałbym porozmawiać z pani córką.

– Nie ma mowy.

– Ania jest w domu? To naprawdę ważne.

Gdyby wzrok mógł zabijać, już bym konał. Długo i w mękach.

– Ania od miesiący jest w zakładzie. Nie wie pan?

A skąd miałbym wiedzieć?! W tej sytuacji mogłem tylko jedno – pytać.

– W jakim zakładzie?

– Bo wam to jest wszystko jedno, tak? Zamykacie sprawę i już, nie

ma problemu...

Właściwie miała rację, ale nie mogłem pozwolić się jej rozkręcić, rzuciłem więc ostrzejszym tonem:

– Gdzie jest Ania?

– W Białym Borze.

I wszystko stało się jasne. Mniej więcej.

– Mimo to chciałbym z nią porozmawiać.

Jurkowska zaczęła się śmiać. Jak opętana. Chciałem jak najszybciej uciec z tego domu złego, ale nie mogłem ruszyć się z fotela. Musiałem stoczyć ze sobą zaciętą wewnętrzną walkę, aby wreszcie podnieść się i wyjść. Co jej się stało? Co jej się do cholery stało?

Nim się jako tako opamiętałem, zadzwoniłem do Felicji, która wyczuła, że mam jakiś problem, oraz do Pauliny, która nie wyczuła nic. Z obiema umówiłem się na wieczór, choć nie wiedziałem po co. Ochłonąwszy nieco, pomyślałem, że komórki pewne rzeczy ułatwiają, lecz zdecydowanie więcej komplikują.

Siadłem w knajpie przy Warszawskiej, by napić się mocnej kawy. Dla rozjaśnienia umysłu. W tle kibice komentowali kolejne mecze. Średnio mnie to interesowało. Zajmował mnie za to Biały Bór. Zapytała wiocha pod Przasnyszem, w której lata temu na gruzach PGR-u powstała klinika psychiatryczna. Prywatna i ponoć nie najgorsza. Jak słyszałem, droga. Ciekawe, kto płacił za pobyt i leczenie dziewczyny. Jeśli ojciec, to musiał jeździć na tych tirach świątek-piątek i niedzielę. Ale w końcu to nie była moja sprawa. Skoro umieścili tam córkę, to musiało być z nią źle. Bardzo. Właściwie powinienem tam pojechać i spróbować z nią porozmawiać. Byłem jednak pewien, że prywatne konowały mnie do niej nie wpuszczą. Chyba że będę miał kwity.

Wróciłem do fabryki, koledzy byli na posterunku, ale udawałem, że zarobiony jestem. Szybki Romek jednak nie dawał za wygraną:

– Głównodowodzący pyta o Gąsocin.

– Raport ma komisarz Jan.

Komisarz Jan skinął głową. Sprawa załatwiona. Mniej więcej. Teraz tylko musiałem poczekać, aż skończy się dzień pracy. Bo kiedyś musiał się skończyć. Tym bardziej że zbliżała się już osiemnasta. Udając

przodownika pracy, przeczekałem, aż wszyscy wyjdą. A potem wydrukowałem wzór dokumentu od krawaciarza. Prokurator Tadeusz Nowicki zawsze pomocny. Przecież nie musiał wiedzieć, że go z lekka wykorzystuję. Fałszując podpis. Miałem tylko nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na brak właściwej pieczętki.

Długa grabowa aleja, pozostałość po parku zaprojektowanym dawno temu z rozmachem, doprowadziła mnie do bramy. Po prawej był parking, ale zignorowałem to. Zatrzymałem miśka i zatrąbiłem. Pojawił się ochroniarz, z gatunku starożytnych, siwy i kulejący, ale o bojowym wyrazie twarzy. Ewentualnie mógłby ochronić Felicję. Choć nie jest wcale wykluczone, że to moja starowinka lepiej by się sprawiła w sytuacji zagrożenia. Machnąłem blachą. Wytłumaczyłem, z czym przybywam.

– Wiele się pan nie spodziewaj – powiedział i otworzył bramę.

Solidarność mundurowych. Najprawdopodobniej.

Zajechałem pod spory piętrowy dworek, a właściwie niewielki pałacyk. Nawet ładny. Z nastoletnich czasów, kiedy trochę jeździłem na rowerze i interesowałem się okolicami Ciechanowa, pamiętałem, że postawiono go gdzieś na początku XIX wieku. Przez kogo został postawiony i do kogo potem należał, wypadło mi z pamięci. Po wojnie PGR powoli, acz skutecznie rujnował znacjonalizowany majątek. I pewnie zabytkowy budynek, jak wiele innych w okolicy, popadłby w totalną ruinę, gdyby nie znalazł się bogaty inwestor, który wymyślił, że to świetne miejsce na szpital, przytulisko znękanym psychicznie ludzi. Choć pałacyk wcale nie wyglądał jak szpital. Raczej jak średniej klasy hotel mający problemy z gośćmi.

Zanim wysiadłem z samochodu, podszedł do mnie człowiek w zielonym kitlu. Solidarność mundurowych solidarnością mundurowych, ale najprawdopodobniej ochroniarz uprzedził, kogo trzeba, o moim przybyciu.

– Mam przyjemność?

– Podkomisarz Konrad Rowicki.

– W sprawie?

Wbiłem w niego posepny wzrok. Tani chwyt rodem z filmów sensacyjnych klasy B, prawda. Do tego nieskuteczny, bo mężczyzna w kitlu nie sprawiał wrażenia zmieszanego ani przestraszonego. Wsiadłem, stanąłem naprzeciwko niego i spytałem:

– Zanim zajmimy się sprawą, może pan się też przedstawi?

Z miną rodzica tłumaczącego dziecku po raz enty tę samą kwestię spojrział na przypięty na wysokości piersi identyfikator, ale łaskawie odpowiedział:

– Doktor Henryk Gałązka. Lekarz dyżurny.

– Aha, świetnie. To jeśli już bawimy się w takie ceregiele, może łaskawie zaprosi mnie pan do środka. W sprawie sprawy.

Doktor Gałązka potarł w milczeniu kilkudniowy zarost, jakby rozważał ustalenie dawki specyfiku mającego definitywnie spacyfikować zbytnio pobudzonego werbalnie i ruchowo chorego. Zrobić z niego warzywo, czy nie zrobić?

– Staramy się ograniczać do minimum wizyty w naszej klinice. Szczególnie niezapowiedziane i o tak dziwnych porach. Wie pan, nasi pacjenci przede wszystkim potrzebują spokoju.

– Pora jak pora. – Pogawędka zaczęła mnie już irytować, wyjąłem więc prokuratorski kwit. Prawie prokuratorski. – Zbrodnia pory nie wybiera – dorzuciłem jedną z moich złotych myśli, która podobnie jak posepny wzrok nie zrobiła na konowale żadnego wrażenia.

Lekarz przestudiował pismo, potem skinął głową, co uznałem za pełne atencji zaproszenie, i ruszył w stronę drzwi, które otworzył kartą magnetyczną. Podreptałem za nim, weszliśmy do sporego holu, ładnie i funkcjonalnie urządzonego, odmalowanego w miłe dla oka i zapewne kojące nerwy kolory. Gabinet doktora Gałązki bardziej przypominał bibliotekę niż pokój lekarza. Mężczyzna zasiadł za dużym biurkiem i wskazał mi stojące po drugiej stronie krzesło. Nie zaproponował niczego do picia, więc zapowiadała się krótka pogawędka. I dobrze.

Spytał, co mnie sprowadza. Opowiedziałem pokrótce, już drugi raz w ciągu kilku ostatnich godzin, tę samą historię. Może powinienem nagrać ją na dyktafon i odtwarzać w razie potrzeby. Mniej bym się zmęczył gadaniem. Splótł dłonie i wbił we mnie wzrok, który jak dla mnie nie wyrażał absolutnie nic. Profesjonalna maska? Lodowate spojrzenie jadowitego węża szykującego się do ataku? Czy oni ćwiczą



tego rodzaju spojrzenia na zaliczenie w czasie studiów?

– Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jak ciężki jest stan Ani – w końcu przerwał milczenie.

– Mniej więcej – odpowiedziałem wymijająco.

– Tak – potwierdził, choć nie miałem bladego pojęcia co. – Powiedziałbym, że z zawodowej ciekawości chciałbym się dowiedzieć, czego pan komisarz spodziewa się po – chrząknął, a może zaśmiał się krótko, nie wiedziałem, czym był wydany przez niego dźwięk – przesłuchaniu osoby, która absolutnie nie komunikuje się ze światem.

Zamurowało mnie. Czułem, że się kurczę, zapadam w siebie, czułem, że rośnie mi w gardle gębla krzyku. Powoli przełykałem ją tak, aby się nie zadławić.

– Nie wiedział pan podkomisarz.

Dobrze, że się odezwał, bo inaczej wybiegłbym z gabinetu i nigdy nie wrócił do Białego Boru. Szukałem w głowie słowa. Jakiegokolwiek. Choćby nawet najbardziej banalnego, bzdurnego, pozbawionego sensu. Za pierwszym razem się nie udało.

– Źle się pan czuje, panie podkomisarzu?

Za drugim razem poszło mi nieco lepiej i wydukałem:

– Faktycznie.

– Mógłby pan jaśniej?

Odetchnąłem głęboko raz i drugi, jakbym wypływał na powierzchnię po zbyt długim nurkowaniu. Opanowałem się jako tako.

– Anna nie komunikuje się z innymi, bo nie chce czy nie może?

– Trudno powiedzieć. – I tyle, jeśli chodzi o solidne podstawy nauki zwanej psychiatrią. – Zdaje się rozumieć, co się do niej mówi. Wykonuje polecenia, przynajmniej niektóre. Ale nie mówi, nie odpowiada na pytania. Tak jest od pierwszego dnia jej pobytu tutaj.

– To co robi całymi dniami?

Właściwie mogłem się domyślić, co powie. Więcej, znałem aż za dobrze odpowiedź na pytanie, które zadałem. Absolutnie niepotrzebne. Doktor Gałązka machnął ręką. Było w tym geście wyraźne zniecierpliwienie.

– Śpi. Siedzi przy oknie i patrzy w przestrzeń.

Tak, znałem to. Szybko odgoniłem wspomnienia. Tylko nie myśleć o Marii, tylko nie myśleć. Musiałem skupić się na sprawie. Tej sprawie.

– Mimo wszystko chciałbym spróbować. – Choć, prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak to zrobić. – To ważne – powtórzyłem to zdanie nie wiadomo który raz w ciągu ostatnich kilku dni.

– Zgodzę się, ale niechętnie. Tym bardziej że...

Miałem nadzieję, że mi się nie wymknie i nie podryfuje w psychologiczny bełkot.

– W zeszłym tygodniu Ania przeżyła załamanie.

– To znaczy?

– Nie chcę pana podkomisarza męczyć medycznymi szczegółami. Dziwne było co innego. Zdaje się, że ktoś chyba próbował się włamać do jej pokoju.

– „Zdaje się”, „chyba”... A może jednak poda pan doktor konkrety?

Doktor Gałązka westchnął, wyciągnął z kieszeni kitla długopis i zaczął się nim bawić, przekładając między palcami jednej dłoni, szybko, coraz szybciej. Niezła sztuczka.

– To było dziwne. Ochroniarz zameldował, że ktoś kręcił się pod oknem pokoju Ani, który znajduje się na parterze. Chciał dopaść intruza, ale gość czmychnął do parku i zwiął. – „Czmychnął”, a myślałem, że tylko ja mam słabość do oldskulowego słownictwa. – Po tym incydencie Ania zapadła w coś w rodzaju stuporu. Dopiero po trzech dniach wróciła do normalnego stanu. To znaczy do poprzedniego stanu choroby.

– Zawiadomiliście policję?

– Właściwie nie za bardzo było o czym zawiadamiać. Zdarza się, że ktoś próbuje za wszelką cenę skontaktować się z naszym pacjentem, choć pod żadnym pozorem nie powinien. Zwykle tacy ludzie zatrzymują się na bramie. Ten, kto chciał zobaczyć Anię, był bardziej zdeterminowany.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna. Szczegóły zna ochroniarz.

– Ten, który ma teraz służbę?

– Nie, inny. Proszę pytać na bramie.

Przestał obracać w palcach długopis, pstryknął nim kilka razy, a potem z powrotem umieścił w kieszeni.

– Dobrze, przyjrę się temu. A teraz chciałbym się spotkać z Anną.  
– Zaprowadzę pana podkomisarza do jej pokoju. To strefa oswojona, bezpieczna dla niej. Tam powinna być najmniej zestresowana. Ale, jak już mówiłem, na nic bym nie liczył. – Podniósł się z fotela. – I jeszcze... Będę przy tej rozmowie, której nie będzie.

Chciałem zaprotestować, ale zanim otworzyłem usta, zastrzegł z pełną stanowczością:

– Muszę być. Nie ma innej opcji.

Mógłbym panu doktorowi wiele poopowiadać o różności opcji. Nie miałem jednak na to ani czasu, ani ochoty. Ani tym bardziej siły.

Jak hotel, właśnie tak. Pokój wyglądał jak numer dwugwiazdkowego hotelu, który wymazuje się z pamięci zaraz pod oddaniem klucza w recepcji. Starannie zasłany tapczan, niewielki stolik pod oknem, dwa krzesła, szafa ścienna. Żadnych obrazków na ścianach, żadnych osobistych drobiazgów na widoku. Jakby dziewczyna zaraz miała wstać, wziąć dawno spakowaną torbę, wyjść. I nigdy tu nie wrócić. Na stoliku stały talerz z nietkniętymi, przeschniętymi już kanapkami z serem i mała butelka wody mineralnej. W połowie pusta bądź w połowie pełna, jak kto woli. Dziewczyna siedziała na krześle, odwrócona plecami do drzwi. Nie zareagowała na nasze wejście, nie odpowiedziała na powitanie doktora Gałązki. Spojrzał na mnie, wzruszył ramionami. Nie powiedział: „A nie mówiłem!”, choć pewnie miał na to ochotę.

Podszedłem do stolika, usiadłem na drugim krześle. Lekarz stanął za mną, oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Anna Jurkowska wciąż wpatrywała się w okno, spoglądała gdzieś w czerwcową ciemność, która tego wieczoru wlewała się do szpitalnego parku pasmami, jak mgła. Widziałem jej profil, chorobliwie bladą cerę, jakby był sam środek mrocznej zimy, wyostrome rysy, głębokie, prawie czarne cienie pod oczami, sinawe usta, które sprawiały wrażenie powleczonych błoną. Lekko pochylila głowę, pozlepiane strąki długich prostych włosów przesłoniły jej twarz. Przesunąłem się bliżej okna, aby znaleźć się w polu widzenia dziewczyny. Doktor Gałązka syknął, zapewne ostrzegawczo, ale nie ruszył się z miejsca.

Siedziałem tuż obok Anny Jurkowskiej, która z Anną Jurkowską zapewne nie miała już wiele wspólnego, która była teraz kimś innym. Kim? Nie wiedziałem tego ani ja, ani, jak sądziłem, doktor Gałązka. Anna Jurkowska prawdopodobnie nie dbała o to, kim aktualnie jest. Manipulacje z krzeselkiem na niewiele się zdały, wciąż patrzyła obok mnie. A gdyby nawet zwróciła na mnie wzrok, to najpewniej patrzyłaby przeze mnie, nie widząc, nie dostrzegając. Skądś to znałem. Tak, to kolejny z moich dręczących refrenów.

Nie wiedziałem, jak zacząć, ale na szczęście wyręczył mnie konował.

– Aniu, to jest policjant. Chciałby z tobą porozmawiać. – Znowu ni to chrząknął, ni to zagulgotał w parodii tłumionego śmiechu.

Zero reakcji. Powoli traciłem cierpliwość. Do samego siebie. Czego się spodziewałem? Na co liczyłem? Spotkanie z dziewczyną to był zupełny bezsens. Najwyraźniej wciąż tkwiła we mnie drzazga, którą musiałem drażnić niczym bolący ząb. Z bezsenssem byłem oswojony od dawna, mogłem więc zrobić tylko jedno. Brnąć.

Wyjąłem z kieszeni marynarki zdjęcia, które były w teczkach spraw domniemanych samobójczyń.

– Anno, znasz te dziewczyny? Widziałaś je kiedyś? Proszę, spójrz, to ważne – powtarzałem spokojnym, choć coraz bardziej zrezygnowanym głosem.

Powtarzałem i podsuwałem fotografie, jedną po drugiej, pod twarz Anny, powoli, raz, drugi. Wpatrywałem się w oblicze dziewczyny, próbując dostrzec choćby nikły cień reakcji. Jakiegokolwiek. Nie umykała wzrokiem, ale czy cokolwiek widziała, rejestrowała? Nie drgnął choćby jeden mięsień w jej twarzy, w oczach odbijała się wciąż ta sama pustka.

Poczułem, że mam dość, że jeśli zaraz nie wyjdę z ciasnej klitki wypełnionej po ostatni kąt chorobą, sam popadnę w stupor. Przyrosnę do niewygodnego krzeselka i będę gapił się bez końca w coś, czego na pewno nie ma za oknem. Zebrałem zdjęcia i wyszedłem, rzucając bezwiednie „do widzenia”, mimo iż nie zamierzałem tu wracać. Szedłem szybko w stronę wyjścia, słysząc za sobą miarowe postukiwanie chodaków doktora Gałązki. Czemu oni wciąż łażą w tych potwornych drewniakach? Stałem przy drzwiach, wyciągnąłem rękę na pożegnanie.

– Zadowolony? – spytał z wyraźną ironią.

Straciłem ochotę na pielęgnowanie form towarzyskich, odwróciłem się na pięcie i zaraz wskoczyłem do miśka. Ruszyłem za szybko. Spod kół wytrysnęły fontanny żwiru. Natychmiast jednak puściłem pedał gazu. Spokój, tylko spokojnie, napominałem sam siebie.

Zatrzymałem się przy budce ochroniarza, który zaraz wyszedł do mnie. Spytałem go o domniemane usiłowanie włamania do pokoju Anny.

– A było coś na podobę. W zeszłym tygodniu, w poniedziałek, ale to na Ryśka zmianie. Jego trzeba pytać.

– Dlaczego nie zgłosiliście zajścia?

– Panie, a mało tu się kręci wariatów? Wariaty w środku, wariaty za murem. Ale najgorsze czuby, wiesz pan, to te doktory.

Średnio interesowały mnie ludowe mądrości na temat stabilności umysłowej psychiatrów. Poprosiłem o namiary na Ryśka, ochroniarz trochę się opierał, ale w końcu trafił do niego argument, że jego przełożeni najpewniej nie byłiby szczęśliwi, gdybym zaczął się oficjalnie interesować tym, co dzieje się na strzeżonym przez nich obiekcie.

Odjeżdżając, spojrzałem na tablicę informującą, że klinikę w Białym Borze chroni firma Piorun. Bez wątpienia pioruńsko skuteczna.

Ściemniało się już, gdy dotarłem do Felicji. Furtka była, jakżeby inaczej, otwarta na oścież. Ona się nigdy nie nauczy, pomyślałem z rezygnacją, tłumiąc niepokój, bo ileż razy można się nabrać na ten sam fałszywy alarm. Z okien chatynki babki biło światło. Czyżby właśnie odbywał się zlot Geriatrycznego Klubu Rozrywki? Tylko tego było mi teraz trzeba. Wścibskich pań i dociekliwych dziodków. Postanowiłem, że nie będę wdawał się w pogawędki, porozmawiam chwilę z Felicją, wrzucę coś na ząb i zniknę. Bez pukania otworzyłem drzwi. Było cicho. Podejrzenie. Czyżby staruszkowie oddawali się jakimś grom, które wymagały niezwykłego skupienia?

– Felicjo, to ja! – zawołałem.

Nic. Ciągłe cisza. Szarpnął mną strach. Zajrzałem do jednego pokoju,

pusto, przeszedłem przez kuchnię, w której unosił się jeszcze dym z wypalonego niedawno papierosa, zerknąłem do drugiego pokoju. Zero, nul.

– Felicjo, do kurwy nędzy! – zakląłem, choć nie powinienem.

Zapukałem do drzwi łazienki, chwyciłem za klamkę. Nikogo. Wypadłem zaraz przed dom, mając błyskawicznie w głowie, że starowinka może tylko wyszła do sklepu, który jest po sąsiedzku, zapomniała zgasić światło i pozamykać chałupę. I wtedy usłyszałem ledwie słyszalne pochlipywanie.

Za garażem, w którym od czasu do czasu stał tylko mój misiek, bo Felicja nigdy nie miała samochodu, znajdowała się spora stara komórka, wybudowana jeszcze przez ojca starowinki, a mojego pradziadka. Babka trzymała w niej narzędzia ogrodowe. Były tam też klatki z królikami, które hodowała, odkąd pamiętam. Czasami pytałem, po co wciąż to robi, skoro teraz w co drugim sklepie może bez problemu kupić królicze tuszki. Odpowiadała niezmiennie, że po prostu lubi te śmieszne puchate zwierzaki, co nie powstrzymywało jej przed przerabianiem ich na potrawki. To stamtąd dochodził płacz. Wpadłem do środka. Skulona Felicja siedziała z opuszczoną głową na drewnianym niskim zydlu. Płakała. Za nią stał pan Antoni, niezgrabnie głaszcząc ją po plecach i powtarzając, niczym zepsuta katarynka:

– Nie trzeba, Felicjo, spokojnie, nie trzeba, Felicjo, spokojnie, ależ nie trzeba...

Podskoczyłem do starowinki, ukląknęłam, objąłem i zacząłem delikatnie kołysać. Tak, jak uspokaja się dziecko. Albo tak, jak mi się wydawało, że powinno się uspokajać dziecko. Jeszcze raz, drugi zachłysnęła się płaczem, a potem nagle ucichła. Powoli wyswobodziła się z moich ramion, wyprostowała i spojrzała na mnie. W jej oczach skrzyły się łzy.

– Co się stało? Coś cię boli? – pytałem gorączkowo.

Milczała. Spojrzałem na pana Antoniego. Wyglądał na spłoszonego. Nie, wcale nie, wyglądał na przerażonego. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Co się stało, do cholery?! – całkiem niepotrzebnie podniosłem głos.

– Króle – wyszeptała Felicja, niemal nie otwierając ust.

– Jakie znowu króle? Dobrze się czujesz?

Pokazała na klatki, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi. Spojrzałem i zamarłem. Nie widziałem śmiesznie poruszających się nosków ani wbitych we mnie, zawsze zaczerwienionych oczu. Klatki były pootwierane. A w środku rzeźnia. Królicza. Wszystko, wyściółka, metalowe siatki, a nawet ściany, zbryzgane było juchą. Posklejane krwią futro. Ciała zabitych królików tkwiły w klatkach. Wyglądało to dziwnie.

– Masakra – wyrwało mi się niepotrzebnie.

– Co one komu winne?! Co?! – Felicja wreszcie wydobyła z siebie głos. Zbolały i przenikliwy.

Wziąłem starowinkę za rękę.

– No już, już dobrze – bredziłem. – Szkoda futrzaków, ale się zdarza. Pewnie kuna albo lis. Coraz więcej zwierzyny kręci się po miastach. Tak czasami bywa.

Felicja wyrwała się i podskoczyła do klatek. Chwyciła trupka za uszy i podstawiła mi pod sam nos. Poczulem smród zakrzepłej krwi.

– A od kiedy to lisy podrzynają swoim ofiarom gardła? – spytała.

Wsiadłem do miśka, uruchomiłem silnik, ale zaraz go wyłączyłem. Zapaliłem papierosa, stwierdzając z pewnym zaskoczeniem, że wciąż trzęsą mi się ręce. Próbowałem uspokoić starowinkę. Nie byłem pewien, czy mi się to udało, skoro nie uspokoiłem nawet siebie. Kto to zrobił? Rozejrzałem się wokoło komórki na tyle, na ile pozwalały ciemności. Nic nie znalazłem. Kto to zrobił? Złodziej? Tylko po co zarzynał króliki? I dlaczego je zostawił? Mógł zapakować je do worka i zniknąć. Łatwo i prosto. Nabuzowany dopalaczami małolat, któremu zamarzyła się ciechanowska masakra piłą mechaniczną? Możliwe, ale, jak mi się wydawało, mało prawdopodobne. Chociaż w tę właśnie stronę starałem się skierować myślenie Felicji. Że to okrutny wygłup zepsutych gówniarzy. A jeżeli nie? Nie mogłem sobie wyobrazić, aby starowinka, zawsze skłonna do pomocy każdemu, kto jej potrzebował, mogła komuś zająć za skórę. Jeśli czubek, który to zrobił, nie mścił się na niej, to w takim razie na kim? Czy to ja byłem pośrednim celem? Nie wiedziałem, na razie nie chciałem się nad tym zastanawiać.

Staralem się jako tako opanować sytuację kryzysową. Zarządziłem, żeby pan Antoni został na noc u Felicji, zadzwoniłem do Sabinki z prośbą, żeby też przyszła. Wiadomo, w grupie rażniej. Obiecałem, że następnego dnia przyjadę z Koziejem i zbadamy ślady, o ile jakiegokolwiek są. Tyle na razie mogłem zrobić. Nie wiedziałem, czy to coś da, jednego jednak byłem stuprocentowo pewien. Nie pozwolę skrzywdzić Felicji. Nikomu.

Spojrzałem na zegarek. Szlag! Już byłem spóźniony na spotkanie z Pauliną. Musiałem przecież ciągnąć sprawę Dudkówny, jeśli już zabrąłem tak daleko. Zdecydowanie za wiele wzięłem sobie na głowę. Jak na mnie jednego.

Z zabójczą konsekwencją umówiłem się z dziewczyną, którą wciąż chciałem traktować jedynie jako świadka w sprawie, w knajpie piwnej przy rynku. Pewnie zagrała we mnie przekora. A niech Celina, która z dużą dozą prawdopodobieństwa spacerowała właśnie po okolicy ze swą dychawiczną sunią, mnie zobaczy. Nas zobaczy, mnie i Paulinę. Parę, która parą nie jest i najprawdopodobniej nigdy nie będzie.

Mimo że było późnawo, po rynku wciąż jeszcze kręciło się sporo ludzi, w barze też prawie wszystkie stoliki były zajęte. Paulina siedziała zaraz przy wejściu. Zawzięcie stuknęła w ekran smartfona, czy jak tam ten elektroniczny wynalazek się zwie. Wyglądała zjawiskowo, choć na pierwszy rzut oka była to zjawiskowość z rodzaju chmurnych. Czyżby szykował się spektakularny foch? Nie przepadałem za humorzastymi kobietami, ale dla Pauliny byłem skłonny zrobić wyjątek. Tym bardziej że byłem ewidentnie winny, wysoki sędzie, poproszę o najniższy wymiar kary, choć poprawy obiecać nie mogę.

Na powitanie zareagowała skinieniem dłoni, komunikującym zapewne, że jest niezmiernie zajęta, i dalej pukała w ekran. Usiadłem i czekałem. Chyba już wspominałem kiedyś, że w czekaniu jestem dobry.

– Nie spieszył się pan podkomisarz – odezwała się wreszcie, odkładając smartfon na stolik.

– Służba nie drużba, trwanie na posterunku, czyli nie znasz dnia ani godziny – wyrzuciłem z siebie na jednym oddechu.



Zachichotała, tak właśnie, nie roześmiała się, ale zachichotała. Z wdziękiem.

– Jakoś nie potrafię się na ciebie gniewać – powiedziała, odgarniając opadający na oczy lok jednym z tych gestów, przez które z pozoru twardzi mężczyźni zaczynają fantazjować na temat płodzenia syna, budowania domu i sadzenia drzewa. Z naciskiem na płodzenie syna.

– Wiem, taki już mój urok wszeteczny. Ale przepraszam.

– Pan podkomisarz jest bardzo pewny siebie.

– To wynik miesięcy nieludzko ciężkich szkoleń w tajnych, odizolowanych od świata ośrodkach – chciałem powiedzieć z pełną powagą, ale zaraz się zaśmiałem. Tak, to była doskonała terapia na wszelkie strachy i stesy. Śmiech. Dołączyła. – Pijemy coś?

– Już się trochę nasączyłam. – Postukała w pokal z resztką piwa. – Ale mogę jeszcze.

Wróciłem z miodowym dla niej, lagerem dla mnie. Wypiliśmy po łyku bez toastu. Najchętniej przegadałbym z Pauliną resztę wieczoru, mówiąc o głupotach, przerzucając się żartami, potem odprowadziłbym ją do domu, wrócił sam do mojej mieszkalnej klitki i snuł dzikie fantazje, ale natrętny głos w tyle głowy przypominał o Jowicie Dudek. Która jutro wyruszy w ostatnią drogę na tym łożu padole. Rozłożyłem na stoliku zdjęcia dziewczyn. Tak jak kilka godzin temu przed Anną Jurkowską. Pomyślałem o niej, nieszczęsnej księżniczce zatrzaśniętej we własnym wnętrzu, bo nie mogłem nie pomyśleć.

– Znowu foty? – Brwi Pauliny uniosły się wysoko. – Czy ty przypadkiem nie pracujesz w zakładzie fotograficznym?

– Poniekąd. Znasz może którąś z nich?

Zgarnęła ze stolika płynnym ruchem wszystkie zdjęcia, a potem oglądała jedno po drugim. Milczała. Nie popędzałem jej, bo podejrzewałem, o co zapyta. Trafiłem.

– Coś się z nimi stało? – Jej głos nagle się załamał. – Czy wszystkie one...

Przez chwilę zastanawiałem się, ile mogę powiedzieć Paulinie. Tylko przez chwilę, bo w końcu mówiłem jej dotąd niemal wszystko. Po raz kolejny tego dnia opowiedziałem ponurą historię trzech dziewczyn.

Siedziała w milczeniu, oczy miała szkliste.

– Przepraszam, że cię tym obarczam – powiedziałem.

Nie odpowiedziała, rozłożyła fotografie na stoliku, obok siebie, w równym rzędzie.

– Trudno. W końcu na te rozmowy z tobą nikt mnie na siłę nie ciągnął. Podejrzywałam, że nie będzie przyjemnie.

– Ale jeśli to dla ciebie za trudne...

– Daj spokój. Róbmy, co mamy zrobić. Tę kojarzę. – Wskazała palcem zdjęcie Dagmary Sęktas.

– Znasz ją?

– O tyle, o ile, może ze trzy razy widziałam ją z Jowitą.

Z Dudkówną? To już było coś, jakiś punkt wspólny.

– Przyjaźniły się?

– Tego bym nie powiedziała. Jowita mówiła, że chodzą razem na warsztaty teatralne w domu kultury.

– Może coś więcej?

– Chyba nie, a przynajmniej nie pamiętam.

Dwie dziewczyny zabawiające się amatorsko w teatr popełniają samobójstwo. Będę musiał zbadać, co to za teatrzyk grozy tam się wystawia.

– A dwie pozostałe?

Myślała przez chwilę, popijając piwo.

– Chyba tę – wskazała podobiznę Jurkowskiej – gdzieś kiedyś widziałam.

– Kojarzysz gdzie?

– Nie mam bladego pojęcia. A może tylko na ulicy. W końcu Ciechanów to mała wioska – roześmiała się.

Trudno było zaprzeczyć, w tym mieście znało się z widzenia prawie wszystkich, nawet jeśli nie było się psem zmuszonym do wzmożonej obserwacji świata.

– Chodziła do Krasiniaka, tylko niżej.

– Aha, to pewnie tam mi gdzieś mignęła. Czy ci w czymś pomogłam?

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Bo też nie za bardzo wciąż wiem, czego szukam – zdobyłem się na absolutną szczerłość, co mnie nieco zdziwiło. Ale w końcu niewiele ryzykowałem. Najwyżej mnie wyśmiej.

– Dla mnie ważne jest, że próbujesz.

Poczułem się doceniony. Dobre i to. Wyciągnąłem w jej stronę

papierosy, ale odmówiła, kręcąc głową. Ja sobie nie odmówiłem. Paliłem, popijałem złocisty płyn i czułem, jak schodzi ze mnie napięcie ostatnich godzin. Czy to był efekt działania używek, czy jednak obecności Pauliny? Nie wiedziałem, nie wnikałem. Jednak jeszcze jedna rzecz nie dawała mi spokoju.

– Czy był ktoś, kogo Jowita nienawidziła? – zapytałem.

– No, za starym to na pewno nie przepadała. Ale żeby od razu nienawiść... Grube słowo.

Zduśliłem niedopałek w popielniczce. Zastanawiałem się, jak zadać następne pytanie.

– A czy nie wymyśliła jej się przypadkiem, że chciałaby zrobić komuś krzywdę?

Paulina zeszywniała, wbiła we mnie wzrok.

– O co ci chodzi? Czy Jowita coś zrobiła? Coś nielegalnego?

Już miałem powiedzieć o zleceniu dla Karaczana, ale rozdzwoniła się moja komórka. Koziej. Jeśli on, wierny piastun domowego ogniska, który nie zwykł kontaktować się ze mną o tak późnej porze, dzwonił, to musiało chodzić o coś naprawdę ważnego. Rzekłbym, gdybym lubował się w czarnym humorze, śmiertelnie ważnego i poważnego. Przeprosiłem Paulinę, wstałem i odszedłem kilka kroków.

– Co się urodziło?

– Musimy pogadać, będę u ciebie za pół godziny.

– Ale o co biega?

– To nie na telefon.

– Co ty taki tajnos agentos jesteś?

Rozłączył się. Nieładnie z jego strony.

Wróciłem do stolika. Paulina wciąż wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Muszę jechać. Robota – powiedziałem.

Walnęła pięścią w stolik, aż zabrzęczały szklanki. Kilka osób odwróciło w naszą stronę głowy. Byłem pewien, że szpiedzy Geriatrycznego Klubu Rozrywki na pewno doniosą o tym incydencie starowince.

– No nie, nie zostawisz mnie tak. Powiedz o Jowicie!

– Ona nie zrobiła nic nielegalnego – chciałem ją uspokoić. – Niedługo opowiem ci wszystko. Jak tylko poskładam to w jako taką

całość. Obiecuję. A teraz chodź, odwiozę cię do domu.

Bez słowa zebrała się i wsiadła do miśka. Potem też milczała. Na moje „cześć” odpowiedziała trzaśnięciem drzwiami.

Gdy dojeżdżałem do domu, uświadomiłem sobie, że ostatnimi czasy traktuję mieszkanie głównie jako noclegownię, fakt, wystrój nawet by się mniej więcej zgadzał, więc podjechałem jeszcze do Biedronki za stacją kolejową, żeby zabezpieczyć płyny, jak najbardziej alkoholowe. Ten czwartek był jak do tej pory paskudny i nic nie wskazywało, że w cudowny sposób stanie się lepszy. Ale nie chciałem przesadzać, przestałem na czteropaku piwa. Choć miałem chwilę wahania. Najpiękniejszy jest Konrad, który się waha, przypomniła mi się jedna z fraz Marii.

Ledwie zaparkowałem pod blokiem i wyłączyłem silnik miśka, a Koziej stał już przy drzwiach samochodu. Technik nie należał do szybkich i gwałtownych w myślach oraz uczynkach, był raczej flegmatykiem, co doskonale sprawdzało się w jego robocie, musiało się więc stać naprawdę coś poważnego, skoro tak szybko przygnał do mnie. Byłem pewien, że zaraz zmaterializuje się kolejny problem, ale na razie chciałem go od siebie odsunąć.

– Człowieku – zacząłem jęczeć, wygramoliwszy się z auta – rujnujesz mi życie uczuciowe.

– To ty masz coś takiego? – zdziwił się Leszek, nawet zdaje się, że szczerze.

– Bardzo śmieszne.

– Nie przyjechałem, żeby gadać o twoich narzeczonych. Chodź na górę.

Koziej odmówił piwa, odmówił herbaty, odmówił czegokolwiek. Nawet nie sięgnął po papierosa. Ja natomiast, udając wyluzowanego, otworzyłem piwo, zapaliłem i czekałem, aż technik wygrzebie z torby to, z czym przybył. Raczej nie były to dary trzech króli. Wyjął kartkę, chrząknął i wreszcie zaczął mówić.

– Pogrzebałem trochę, jak prosiłeś, w tym szmelcu po Dudkównie. No i okazało się... – Pomachał mi przed oczami kartką, jakbym był niedowidzący i wcześniej jej nie zauważył. – Że miałeś nosa. Kojarzysz

Patryka Stawarczyka?

Zacząłem skanować pamięć operacyjną. Trochę to trwało. Na tyle długo, że Leszek się zirytował.

– Weź przestań chlać to piwsko, bo ci mózg zamula. Moja teściowa mówi...

Nie dowiedziałem się, jakie wzniosłe przesłania dla mężczyzn ma teściowa technika, bo mu przerwałem:

– Chłopak Jowity. Były. Studiuje i mieszka w Gdańsku. Ponoć zerwali ze sobą ładnych kilka miesięcy temu.

– Może ona z nim zerwała, ale on z nią chyba nie do końca. Czytaj, takiego mejla posłał dziewczynie na pięć dni przed jej samobójstwem. To na pewno wyszło z jego skrzynki mejlowej. Sprawdziłem.

Wziąłem wydruk.

„Jesteś suką. Zawsze byłaś. Życie jest sceną i przedstawieniem, naucz się więc swojej roli. Zginiesz jak suka!!!”

Mocne, krótkie przesłanie.

– Tylko co to znaczy? – zapytał.

– Że jej nienawidził? – głośno myślałem. – Ale to przecież nie trzyma się kupy. Groził Jowicie, jasne, ale przecież nie zakradł się tamtej nocy do domu Dudków, nie zaniósł jej do łazienki i nie potraktował skalpelem. Nie ma takiej opcji. Przynajmniej tak twierdzi zimny lekarz. A i ty żadnych podejrzanych śladów tam nie znalazłeś.

– Nie musiał – Koziej prawie wyszeptał, a potem wyciągnął z torby komórkę. – To jedna z tych, które znalazłeś u niej w pokoju.

Postukał kilka razy w spory ekran dotykowy i podał mi aparat.

– Włącz sobie film. Tylko to mocne jest... Nie mam siły drugi raz tego oglądać ani słuchać – powiedział i, zgarnąwszy moje papierosy z szafki, wyszedł do kuchni.

Przełknąłem ślinę. Nacisnąłem „play”. Przez kilka sekund nie działało się nic, ekran był szary, właściwie szarozielony. Coś na nim drgało, ale trudno było określić co. Już miałem wołać Kozieja, bo pomyślałem, że coś zrobiłem nie tak, nie żyłem w przesadnej przyjaźni z elektroniką, gdy usłyszałem przeciągły, płaczliwy głos dziewczyny: „Nieeee, nieee chcęęę”. Obraz mignął, jakby ktoś zmieniał pozycję kamery, i pokazało się duże łóżko, zasłane jaskrawoczerwoną pościelą. Siedziała na nim po turecku naga dziewczyna z długimi, ciemnymi włosami zakrywającymi

twarz. „Nieeee”. Po chwili odezwał się przytłumiony, bez wątpienia męski głos: „Przecież sama tego chciałaś, prawda?”. „Nieeee”, odpowiedziała cicho dziewczyna, wciąż nie podnosząc głowy. „Rozmawialiśmy o tym, prawda?” „Tak, ale...” „Kochasz mnie?” „Kochaaaam”. „To zrób to, żeby było mi przyjemnie, chyba chcesz, żeby było mi przyjemnie, prawda?” „Chcę”. Dziewczyna podniosła głowę, włosy rozsypały się na boki. To była Jowita Dudek. „Tobie też będzie przyjemnie. Przecież zawsze jest ci przyjemnie”. Zza kadru wyłoniła się dłoń trzymająca duże, cieliste dildo. Obraz się poruszył tak, jakby mężczyzna z telefonem przemieszczał się po pokoju. Jowita wzięła erotyczną zabawkę do ręki. „Aleee możeee niee...”, próbowała protestować. „Po prostu zrób to”, zabrzmiało niczym rozkaz. Opadła powoli na łóżko, rozsuwając szeroko nogi... Nie, nie mogłem już na to patrzeć... Jowita powoli zaczęła wkładać... Szybko nacisnąłem „stop” i cisnąłem komórkę na łóżko.

Przez chwilę siedziałem jak skamieniały. Starszy przyrodni brat Anny Jurkowskiej. Ocknąłem się, sięgnąłem po puszkę z resztą piwa i opróżniłem jednym długim łykiem. Musiałem zapalić, rozejrzałem się za papierosami. Nie było. A przecież miałem, na pewno miałem ledwie zaczęta paczkę. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że papierosy zabrał Koziej.

Stał przy oknie, odwrócony do mnie plecami. Niedopałek z długim stożkiem popiołu tkwił między jego palcami. Wygrzebałem papierosa z leżącej na stole paczki, zapaliłem i zaciągnąłem się mocno. Raz i drugi. Stanąłem obok niego. Za oknem była ulica Sienkiewicza. Chociaż nie, wcale jej nie było. Za oknem był mrok.

Koziej syknął, gdy zar dotarł do skóry. Zdusił niedopałek w doniczce, w której tkwiły zwłoki paprotki. W tym momencie miał gdzieś zuchową sprawność „Dbały o czystość przestrzeni publicznej”. A i prywatnej. Mnie też na niej specjalnie nie zależało. Odwrócił się, ciężko opadł na krzesło i oparł łokcie na stole. Dopaliłem papierosa, zgasilem w suchej ziemi i usiadłem naprzeciwko niego.

- I co z tym zrobisz? – spytał.
- Kiedy dostała ten film?
- W przeddzień samobójstwa, wieczorem o 22.37.
- Można ustalić, kto jej to wysłał?

– Chciałbyś. To raczej nie wygląda na szczeniacki, okrutny wygłup wrednego kolegi z klasy, który ma blade pojęcie, jak działają sieci komórkowe. Wysłany z aparatu na kartę, nie do namierzenia.

Z pokoju przyniosłem kolejne piwo i otworzyłem z sykiem.

– No weź nie pij!

– Co ty, moja teściowa jesteś?!

– Nachlasz się i jeszcze zrobisz coś głupiego. A to jest poważna sprawa.

Pociągnąłem długi łyk.

– Spokojnie.

– I co zrobisz, ja się ciebie pytam.

Koziej najwyraźniej tracił cierpliwość. Właściwie nie dziwiłem mu się wcale a wcale. Dziwiłem się za to sobie, że mimo tego, co zobaczyłem i czego się dowiedziałem, zachowywałem spokój. I jednocześnie bałem się, że coś może nagle we mnie pęknąć z hukiem.

– Poskładajmy to, co mamy – zacząłem, zaklinając w myślach: analiza faktów, analiza faktów, rutynowe czynności śledcze, rutynowe czynności śledcze. – Odrzucony chłopak wysłał Jowicie list z pogrózkami. Na oko bardzo poważnymi. To na pewno był on?

– Na bank. Jego IP.

– Kilka dni później dziewczyna dostaje pornograficzny film ze sobą w roli głównej. Ale nie wiemy, kto jej go posłał.

– Jak dla mnie to się składa.

– Ale może to był ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto też jej nienawidził.

– I co? W ciągu kilku dni nastąpiła taka kumulacja nienawiści? To nie totalotek. Nie było w tym przypadku, mówię ci.

– Tego nie wiemy. Powyciągałeś coś jeszcze z jej sprzętów?

Technik poszedł po swoją torbę i wyciągnął kilkanaście gęsto zadrukowanych kartek.

– Sprawdziłem laptopa, nic tam podejrzanego nie było. Pogrzebałem w mejlu, głównie pitu-pitu z koleżankami, standard. Tylko robiłem wszystko po łebkach, bo czasu nie było.

– Pewnie. Dzięki.

– Masz tu podrukowane mejle i listy numerów, z którymi się łączyła. To twoja robota, żeby posprawdzać, co się da.

Wskazałem na puszkę. Pokręcił głową. Nie odmówiłem sobie

kolejnego piwa. Zapaliliśmy i milczeliśmy. Koziej westchnął.

– Konrad, muszę mieć jasność, więc po raz trzeci i ostatni pytam: co teraz zrobisz? Jeśli mi nie odpowiesz, pakuję to wszystko z powrotem do torby i cześć pieśni. Pamiętasz, o czym ostatnio rozmawialiśmy?

Oczywiście, jakżebym mógł zapomnieć. Tak jak komisarz Jan mówił do zanudzenia o spokojnej emeryturze i wędkarstwie muchowym, tak Koziej o rodzinie i niespłaconych kredytach. Zapewne we frankach, choć o tym akurat nie wspominał. Skinąłem głową.

– Obiecywałem przecież, że nie będzie śladu, to nie będzie. U mnie jak u przedwojennego złodzieja, słowo droższe od pieniędzy.

Nie sprawiał wrażenia uspokojonego.

– Zostawisz to tak, jak jest? – spytał.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale na pewno nie pójdę z tym do Głównodowodzącego. O to bądź spokojny. Przecież nie ma już tej sprawy. Jakbym mu to pokazał, najpierw zabiłby mnie śmiechem, potem kazał wszystko oddać do magazynu i trzymać gębę na kłódkę. A na koniec i tak by mnie pewnie zawiesił.

– Nas, Kondzio, nas. Do tego jeszcze jakby ten film gdzieś wyciekł, wiesz, jaki dym byłby na mieście.

– Nie wątpię, że szanowny pan wiceprezydent Dudek postawiłby wszystkich w trzy sekundy na baczność.

– Czyli nie zrobisz tego na legalu? – wołał się upewnić.

– Nie męcz mnie. Mam ci dać oficierskie słowo honoru albo przysiąc na obraz Częstochowskiej? Mówię wyraźnie, cokolwiek będę robił, nie będzie to na legalu. Chyba że dorwę skurwiela i będę miał mocne dowody. Wtedy to zgłoszę. I reszta będzie nam odpuszczona.

– Jakoś ci wierzę, chociaż nie mam pojęcia czemu.

– Może z tej drobnej przyczyny, że nigdy nie zламаłem słowa.

Westchnął, nerwowo pocierał dłonie. Najwyraźniej wciąż męczyły go wątpliwości. Jednak z drugiej strony był ojcem dwóch córek i na pewno tak samo mocno jak ja chciał dopaść tego, który osaczył Jowitę Dudek.

– Masz jakiś plan? – drążył.

– Powinienem jak najszybciej wziąć w obroty tego całego Patryka.

– Jak? Przecież mówiłeś, że on w Gdańsku mieszka.

– A wiesz, nawet byłem wczoraj w Gdańsku. – Uśmiechnąłem się



szeroko. – Mniej więcej w związku z tą sprawą.

Koziej tylko pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ty to jednak jesteś kliniczny przypadek świra. Nie chcę nic więcej wiedzieć. Rób, co uważasz, tylko mnie w to nie mieszaj.

– Ale w razie czego pomożesz mi?

– Już ci pomogłem. Na razie starczy.

Nie było nic więcej do dodania.

– Chciałbym zostać sam – rzuciłem, zapalając papierosa.

– Tylko nie szalej.

Całą moją odpowiedzią było wzruszenie ramion. Nie odprowadzałem go, tkwiłem w kuchni, gapiąc się w mrok za oknem, który jakby stęzał. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i dudnienie kroków na schodach. I wtedy nagle przypomniałem sobie o tym, co przesłonił mi filmik z komórki Dudkówny. Otworzyłem okno, a gdy zobaczyłem Kozieja przed blokiem, zawołałem, by poczekał jeszcze chwilę, i zbiegłem na dół.

– Boję się pytać, o co chodzi – zaczął z entuzjazmem Leszek.

– Zapomniałem ci powiedzieć, bo, wiesz, taka sprawa się urodziła...

– Wykrztuś to siebie, gorzej już nie będzie.

– Dzisiaj ktoś zarznął wszystkie króliki Felicji.

Technik spojrzał na mnie jak na obłąkanego.

– Jak to zarznął? Na mięso czy co?

– Normalnie. To znaczy całkowicie nienormalnie – plątałem się tak, jakbym ledwie wczoraj posiadał umiejętność komunikowania myśli. – Jakiś palant przeskoczył przez siatkę, zakradł się do komórki i podciął gardła królikom. Dla jasności, nie zabrał ich ze sobą.

– Ty to mówisz poważnie – Koziej bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jak najbardziej.

– To wszystko się robi coraz dziwniejsze.

Rozłożyłem ręce. Czy to była moja wina?

– Pojedziesz tam jutro ze mną w wolnej chwili, żeby przyjrzeć się śladom? – zapytałem.

– Dla Felicji, zawsze. Ale... – zawiesił głos. – Mimo to nie nadużywaj mojego czasu i dobrej woli, co?

Nie odpowiedziałem „Jasne”. Nie musiałem.

Tkwiałem w fotelu, gapiąc się na ścianę, którą dawno temu miałem pomalować. Nie zrobiłem tego i pewnie w najbliższym czasie nie zrobię. Wiedziałem, że powinienem skupić się na planowaniu. Na razie miałem w głowie tylko to, że jutro jest pogrzeb Jowity, na którym najprawdopodobniej pojawi się jej były chłopak. Chyba że nie. I to będzie jak przyznanie się do winy. A wtedy ja zjawię się u niego. I zrobię mu obłężenie Westerplatte. Ale co dalej?

Nie mogłem się skoncentrować, uspokoić gonitwy myśli. W mroku, jak na kinowym ekranie, wyświetlały się obrazy. Siedząca w czerwonej pościeli naga Jowita Dudek podnosi głowę, a jej włosy osypują się na ramiona. Zamieniona w żywą statwę Anna Jurkowska wpatruje się przed siebie, nic nie widząc. Maria Rowicka, niczym schorowana staruszka, z trudem zwleka się z łóżka. Króliki... Totalna schiza.

## Rozdział 14

### Zapiski depresjoholika VI

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Rozpoczął się rok szkolny. Na szczęście. Przynajmniej tak myślał. Naiwny z lekka. Naładowany energią z końca lata, z Chorwacji. Maria zajmie się pracą, nie będzie myślała o tym, czego nie ma i nigdy nie będzie. Nie: czego, poprawiał sam siebie raz po raz, tylko dziecka. Nie będzie dziecka. Ich. Krwi z krwi. DNA z DNA. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaproponować adopcji. Uznał, że jest stanowczo za wcześnie na tego rodzaju ruchy. Że nie powinien zaburzać nietrwalej równowagi. O której myślał, że jest. I że jako tako stabilizuje ich układ. Zwany małżeństwem. Podżyrowany bliskością, która, był tego pewien, jest najlepszym gwarantem. Podżyrowany miłością, która na pewno była. Choć akurat tutaj nie miał do końca pewności. To znaczy był pewien, że wciąż, mimo wszystko, kocha Marię, jednak nie był pewien, czy Maria nadal czuje do niego to samo co jeszcze kilka miesięcy wcześniej.

Pierwszych symptomów nie wychwycił. Zupełnie. Wydawało mu się, że wszystko wróciło do normy. Jako takiej. Oboje chodzili do pracy i spędzali w niej nie więcej czasu, niż było trzeba. W weekendy spotykali się z nielicznymi znajomymi albo włączyli się po mieście. Aż przyszła zgniła krakowska jesień. Zrobiło się zimno, wilgotno i ciemno. Nie widzieli słońca od kilkunastu dni. Którejś niedzieli Maria, gdy zawołał ją na śniadanie, wyjęczała, że nie ma siły wstać z łóżka. „Zwlec się”. Tak powiedziała. Nie zdziwił się. Sam też nie miał ochoty wstawać z ciepłego legowiska. Chciał jednak przygotować dla niej jedzenie. Maria cały ten dzień przeleżała w pościeli, oglądając telewizję. „Co oglądasz?”, spytał późnym popołudniem. „A nie pamiętam, wszystko i nic”, odpowiedziała słabym głosem. To też go nie zastanowiło. Przecież zdarzało się, że uprawiała zapping, skacząc bez sensu i celu po kanałach. Po obiedzie, który zjadł sam, bo Maria nie miała na nic ochoty, położył się przy niej, wtulił w jej plecy i zasnął. Przebudził się, gdy było ciemno. To znaczy ciemniej niż w ciągu dnia. Ledwie przytomny spytał: „Która jest?”. „Późno”. „Ale która?” „Sam zobacz”. Próbował ją przesunąć, ale była bezwładna. „Co ci jest?”, spytał. „Nic. Zmęczona jestem. Która godzina?” Zgramolił się z łóżka. Sięgnął po komórkę. „Prawie za piętnaście dziesiąta”. Spojrzała na niego. „To pora spać”. Nie zaprotestował, nie powiedział nic. Właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Poszedł do drugiego pokoju, włączył komputer i przez pół godziny gadał z kumplem, który od lat siedział po drugiej stronie oceanu. Rozmawiali o kolegach z dawnych lat, którzy gdzieś się zapodziali. Rozpłynęli we mgle. O zwyczajnych, codziennych sprawach, pracy, która daje pieniądze, ale niekoniecznie satysfakcję. O życiu.

A potem go tknęło.

Wrócił do sypialni. Spojrzał na Marię, która zdawała się spać. Głęboko. Ale gdy dotknął jej ramienia, uniosła powieki. „Tak?” Brzmiała, jakby wydobył ją z samego środka dręczącego koszmaru. „Ty w ogóle wstawiałaś dzisiaj z łóżka?” Cisza. „Tak, na siku”.

Siku.

W poniedziałek rano jednak podniosła się z łóżka i poszła do pracy. Uspokoiło go to, przynajmniej trochę. W dni trwającej bez końca zgniłej krakowskiej jesieni większość ludzi zachowuje się jak zombie.

Przez jakiś czas powtarzał się ten sam schemat. W tygodniu Maria funkcjonowała w miarę normalnie. Chodziła do szkoły, po powrocie do domu opowiadała, co jej się przytrafiło w ciągu dnia, jadła, przytulała się nawet do niego. Choć nieodmiennie unikała seksu. Co zaczynało mu już doskwierać, irytować. Nigdy nie był specjalnie zafiksowany na punkcie seksu, nie gadał o nim w kółko jak niektórzy znajomkowie, mógł się długo bez niego obejść. Ale uwielbiał kochać się z Marią. Wcześniej, w odległym kiedyś, gdy łóżko nie kojarzyło mu się jeszcze z procedurami medycznymi. I to bolało. Szczególnie, kiedy Maria odwracała się do niego plecami, szepcząc: „Zostaw mnie”. Zaciskał wtedy wargi, połykał słowa, które mogły zaboлеć. Marię i jego, w równym albo porównywalnym stopniu.

W weekendy Maria zamieniała się w ledwie żywą lalkę. Polegiwała na kanapie przed telewizorem, odmawiała posiłków, tłumacząc, że nie chce jej się jeść, że musi się odchudzać, bo jest za gruba. Była sucha jak szczapa. Zaszuszone, tak myślał. Jak stojący na parapecie wrzos, osypujący się bezszelestnie w przeciagu ciągnącym od otwartego okna. Czasami udawało mu się wmusić w nią trochę gotowanych warzyw. Gdy próbował, z największą cierpliwością, na jaką było go stać, namówić ją na jakąkolwiek aktywność, odwracała się do niego plecami i mówiła, że jest bardzo zmęczona, prosiła, żeby już więcej jej nie dręczył. Ciskał się wtedy po mieszkaniu, ciskał czystymi naczyniami, których Maria nie chciała brudzić resztkami posiłków, do szafek. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, wylewał do sedesu zupy, których Maria nie chciała jeść, wyrzucał do kosza kotlety, na które nawet nie spojrziała. Złorzeczył, najpierw tylko sobie, potem także Marii. Ale czuł przy niej, ile mógł. Coraz częściej nie dawał jednak rady. Zamykał się w drugim pokoju i bez celu serfował po necie. Albo wychodził na długie spacery. Wieczorami powtarzał się ten sam rytuał. Pytał: „Ty w ogóle wstawiałaś dzisiaj?”. Cisza. „Tak, na siku”.

Siku.

A potem przychodził poniedziałek i Maria wracała do świata żywych. Jako tako żywych.

Postanowił czekać. Jeszcze nie wiedział, że w czekaniu jest bardzo dobry. Dopiero ćwiczył się w tej trudnej sztuce. Łudził się, że gdy wreszcie przyjdą zima, śnieg i słoneczne mroźne wyże, Maria ocknie się z życia w półśnie, że nabierze sił. I że on ją odzyska. Po raz kolejny, ale tym razem na dobre. Jego Marię. Kobiętę, która nadała jego życiu sens. Dzięki której był szczęśliwy. Był. Coraz częściej tak myślał. W czasie przeszłym. Dokonanym.

Zima przyszła, choć nie musiała. W coraz bardziej rozregulowanej pogodzie pory roku stawały się umowne. Cienka warstwa śniegu zakryła krakowską zgniliznę. Maria zachowywała się wciąż tak samo jak przez ostatnie miesiące. On czekał. Na zmianę. Choćby na jej cień. Czekał aż do pewnego piątku.

Wrócił do domu później niż zwykle, miał dużo roboty, bo w okolicach Krakowa grasowała banda brutalnych zbójów napadających na kantory. Głośna sprawa, medialna, tabuny dziennikarzy żądnych informacji. Już, teraz, zaraz. Na cito. Maria siedziała przy stole w kuchni. Przed nią pełny kubek herbaty. Pocałował ją na powitanie. Wzdrygnęła się, jakby ją zaskoczył, jakby wcześniej nie zarejestrowała, że wrócił. Dotknął kubka. Był zimny. „Nie pijesz?”, spytał. „Odechciało mi się”. „Dobrze się czujesz?”, dociekał. Wzruszyła ramionami. „Ciężki miałam dzień. Zmęczona jestem, chyba się już położę”. Pomyślał, że to było do przewidzenia, bo Maria wchodziła w weekendowy tryb półżycia. Nie umyła się, rozebrała tylko i umościła w łóżku. A on zdał sobie sprawę, że kiedy pytał, jak Maria się czuje, to właściwie nie oczekiwał odpowiedzi, że bez przekonania odbywał rytuał tych samych pytań, identycznych odpowiedzi. I że prawdę powiedziawszy, było mu już obojętne, co Maria

odpowie i czy w ogóle cokolwiek odpowie.

Siku. Siku oczywiście było.

Koło dziewiątej na domowy zadzwoniła Dorota, wicedyrektorka ze szkoły Marii. Zaczął tłumaczyć, że późno, że Maria już śpi, ale Dorota chciała rozmawiać z nim. Powiedziała: „To nawet lepiej, że ona śpi”. Spiał się w sobie, stał się czujny. Najpierw podpytywała delikatnie, czy z nimi i u nich wszystko w porządku, czy nie mają jakichś problemów, ale szybko przerwał jej, pytając, może nazbyt agresywnie, z czym właściwie dzwoni o tak późnej porze. Zaczęła opowiadać. A on zaczął drżeć. Wibrowała jego dłoń trzymająca słuchawkę, prawa noga stepowała w nierównym, nerwowym rytmie. Dorota mówiła, że Maria od dłuższego czasu zachowuje się dziwnie, niepokojąco, unika kontaktów z koleżankami i kolegami z pracy, prawie już z nikim nie rozmawia, co na początku jej, Dorocie, nie dawało do myślenia, bo Maria nigdy nie należała do osób nazbyt towarzyskich i gadatliwych, raczej trzymała się na uboczu, nie opowiadała o sobie, nie zwierzała się, zero ploteczek, od których zwykle aż huczy w pokoju nauczycielskim, więc na początku ona, Dorota, wcale się nie niepokoiła, ale teraz już zaczęła, tak i to bardzo, bo Maria, zawsze solidna w pracy, akuratna, zawała robotę, coraz częściej, nie uzupełnia na bieżąco dziennika, robi kartkówki, a potem ich nie sprawdza, a nawet zdarza jej się po kilka razy przeprowadzać w jednej klasie tę samą lekcję, i że ona, Dorota, próbowała do Marii jakoś trafić, przemówić, zdyscyplinować ją, a Maria nieodmiennie odpowiadała, że tak, jutro uzupełni, że tak, nadrobi i wyprostuje, najpóźniej w przyszłym tygodniu, Dorota nawet w to wierzyła, ale już przestała, tym bardziej że ma coraz mniejsze pole manewru, bo rodzice zaczęli dociekać, skarżyć się na Marię, pytać, czy przypadkiem nauczycielka nie ma problemu z ćpaniem, a jak wiadomo, temat narkotyków w ich szkole jest bardziej niż drażliwy, i ona, Dorota, wreszcie musi coś z tym zrobić, dalej się tak nie da. „Proszę, porozmawiaj z nią, bo mnie, zdaje się, nie słucha”. „Oczywiście, porozmawiam”, powiedział i odłożył słuchawkę. Zgodziłby się na wszystko, byleby skończyć tę rozmowę. Dygot nie ustawał. Opadł na stojący w przedpokoju stół i objął się ramionami. Tak, oczywiście, wiedział, że musi porozmawiać z Marią. Jak najszybciej. Ale też miał pewność, że nie będzie to łatwe.

Próbował już następnego dnia. I w niedzielę też. Nie dawała mu nawet skończyć pytania, mówiła, że jest skonana, że musi odpocząć. Wciąż ten sam, niezmienny refren. Odwracała się plecami. Spała. Albo tylko udawała. Doszedł do wniosku, że w weekend nic nie osiągnie. Postanowił poczekać na jej lepszy czas. W tygodniu. Choć z tego, co mówiła Dorota, nie był to czas tak dobry, jak mu się wydawało. Jak się łudził. „Łudzę się”, powiedział głośno sam do siebie. Mógł to powiedzieć Marii, bez pewności, czy go słyszy. Czy chce go słyszeć.

W poniedziałek Maria poszła do szkoły. Jak zwykle. Niby normalnie. Starał się z nią porozmawiać, wypytać, co dzieje się w pracy. Ale go zbywała. „Później”. „Wieczorem”. „Jutro”. Wreszcie nie wytrzymał, wrzasnął: „Kurwa, w końcu musimy kiedyś porozmawiać!”. Skuliła się, wbiła w niego wzrok kopniętego psa. Nie zniósł tego, odpuścił. Nie miał w sobie dość stanowczości. A jeszcze w fabryce było urwanie głowy. Stan nieustającego alarmu. Wszyscy podkurwieni. Z coraz większym trudem panował nad wszystkim. A właściwie nie panował. Wcale. Co okazało się w czwartek.

Włączył komórkę po spotkaniu z szefem grupy operacyjnej ścigającej kantorowców. Kilka nieodebranych połączeń i esemesów od Doroty. Alarm. Ewidentny. Oddzwonił od razu. Dorota była zdenerwowana i wściekła. Maria zniknęła ze szkoły w środku dnia, choć miała do poprowadzenia jeszcze trzy lekcje. Nikomu nic nie mówiła, nikt nie widział, kiedy wychodziła. Tak, dzwoniła wielokrotnie do Marii. Posłała nawet sekretarkę do ich domu, ale pocałowała klamkę. Podziękował, choć nie było za co, i zaczął wydzwaniać do Marii. Długie sygnały, włączająca się poczta. I jej głos, spokojny, z innego świata, a nawet z zaświatów, przeleciało

mu przez głowę. Na nagraniu: „Wiesz, co robić po sygnale”. On nie wiedział. Oprócz tego, że musi działać. Wybiegł z komendy i popędził do domu. Łamiąc przepisy. Liczne. Z trudem poradził sobie z zamkami. Tak trzęsły mu się ręce.

Maria leżała w ubraniu na kanapie w salonie. Telewizor nie był włączony. Podbiegł do niej, dopytywał, co się dzieje, czemu wyszła bez słowa z pracy. Choć nigdy wcześniej tego nie robił, zaczął nią potrząsać. Mówił, jak bardzo go przestraszyła, jak się bał, że coś mogło jej się stać. I wciąż nią potrząsał. Jej głowa i ręce poruszały się bezwładnie, jakby miała zwiotczone mięśnie. Ledwie otworzyła oczy. Wydusiła z siebie: „Jestem zmęczona”. Nic więcej. Na kolejne pytania nie reagowała. W żaden sposób. Usiadł na podłodze przy kanapie i zaczął dzwonić. Do Doroty: „Tak, jest w domu, nie wiem, co się dzieje”, do ich lekarza rodzinnego, który jak na złość był nieosiągalny, w końcu zdesperowany wydzwonił pogotowie. Nim przyjechali, kilka razy próbował skontaktować się z nim ktoś z fabryki. Spoglądał tylko na wyświetlacz i odsuwał aparat od siebie, choć wiedział, że to kiepska strategia.

Starszawy niechlujny lekarz, który wyglądał tak, jakby pił ciągiem przez kilka poprzednich dni, wypytał go, o co chodzi. Nie mógł powiedzieć wiele więcej niż to, że żona od dawna narzeka na zmęczenie, że nic jej się nie chce. Od Marii lekarz nie dowiedział się nic poza zwyczajnym dla niej: „Jestem skonana”. Zbadał ją. Pokręcił głową. Na nerwowe dopytywania, co się dzieje, tylko wzruszył ramionami, powiedział, że fizycznie nic jej nie jest, okaz zdrowia można rzec. Powinna jeść i wypoczywać. Jakby nie wypoczywała przez ostatnie miesiące! Już w drzwiach rzucił, że właściwie niepotrzebnie został tu wezwany, bo żonie przydałby się inny specjalista. Palcem wskazującym zakręcił kółka przy skroni. O mało nie spuścił faceta ze schodów, wycedził tylko: „Spierdalaj”. Na lekarzu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Widocznie był przyzwyczajony.

Siedząc na kanapie i głaszcząc Marię, a właściwie fantom Marii, po włosach, myślał gorączkowo, co robić, popędzany kolejnymi dzwonekami telefonu. Odetchnął głęboko i wybrał numer szefa. Zanim wydukał nieskładne usprawiedliwienie, dostał solidny opieprz. I zapewnienie, że nie ma co liczyć na urlop w najbliższych dniach. Chyba że chce szukać nowej roboty. Przykrył Marię kocem. Krążył po mieszkaniu. Nie wiedział, czy Maria jutro wstanie z łóżka, czy zacznie funkcjonować, choćby na autopilocie. Nie mógł teraz pieprznąć roboty, mimo że najchętniej właśnie to by zrobił. Musiał poszukać pomocy. Był pewien, że sam sobie nie poradzi. Nie ma najmniejszych szans. Przypomniał sobie kumpla z fabryki, śledczego, który zawsze na początku dochodzenia siadał przed pustą kartką i spisywał, co trzeba zrobić. Co zrobić należy i co zrobić się da. Przy określonych danych wyjściowych. Przy takich, a nie innych siłach i środkach. Usiadł przy biurku. Punkt pierwszy zapisał od razu.

Skonsultować się z Felicją.

Równie szybko przekreślił go grubą krechę. Nie chciał na razie niepokoić starowinki. Dopóki nie był pewien, co właściwie dolega Marii. Wystarczyło, że Felicja wiedziała o dziecku, którego nie będzie. Zaczął od nowa.

2. Poprosić matkę Marii, żeby przyjechała.

Będzie spazmować i gderać, ale przecież ktoś musiał się Marią zająć, gdy jego oderwie od niej praca. W tym momencie skończyły mu się pomysły. Zapadł się w siebie. Siedział nieruchomo. Nie wiadomo jak długo. I nagle go olśniło.

Policyjny psycholog!!!

## Rozdział 15

### Ceremonie i procedury

15 czerwca 2012, piątek

Nie przespałem nocy. Przeczekałem, przeczewałem, wpatrując się w mrok za oknem, który z godziny na godzinę rozrzedzał się, blakł. Nie mogłem doczekać się świtu, chciałem działać. Wreszcie zrobiło się jasno. I przejaśniło się w mojej głowie. Jako tako. Nie miałem precyzyjnego planu, ale przynajmniej jego szczątki. Gdzie tam szczątki, podwaliny. To było dobre słowo, bardziej budujące. Takie drobne samooszustwo.

Podjeżdżałem, że piątek będzie dla mnie długim i intensywnym dniem, więc postanowiłem zrobić wszystko tak, jak trzeba. Wziąłem długi, chłodny prysznic, splukałem z siebie resztki senności. Chociaż nie zmyłem brudu, który oblepił mnie wczorajszego wieczoru. Stałem przed lustrem. Spoglądał na mnie facet, którego, wydawało mi się, znałem, tyle tylko że bardziej zmięty i zmęczony niż zwykle. Głębokie bruzdy wokół ust, dwie poziome zmarszczki znaczące czoło, potargane grube brwi z kilkoma dłuższymi niesfornymi włoskami, zielone oczy wpadnięte w głąb czaszki. Opuchnięte powieki. Nie wyglądasz najlepiej, kolego, zagadałem do niego. Wyszczrzył się w ironicznym uśmiechu. Potraktowałem twarz pianką, ogoliłem się starannie. Nie sprawiło to, że wyglądałem lepiej.

Zrobiłem furę jajecznicy na boczku, miałem gdzieś kwestię cholesterolu, którego i tak dawno nie badałem. „Na coś trzeba umrzeć”, zwykła mawiać Felicja, odpalając papierosa od papierosa. Może więc być podwyższony cholesterol. Dobrze, w sensie złe, jak wszystko inne. Wypiłem jedną kawę, zapaliłem, wypięłem kolejną kawę. I wtedy zaświergotał telefon, oznajmiając nadejście esemesa:

„Widziales kroliki? Odpierdol sie od dudek”.

Ekran wygasł, nadusiłem klawisz, przeczytałem wiadomość, ekran znowu wygasł, nadusiłem. I tak kilka razy. Nie musiałem, krótki i jasny przekaz wrył mi się w pamięć za pierwszym razem. Powtarzałem proste czynności, próbując się uspokoić. Czyli jednak. Zaklinanie rzeczywistości, wypychanie ze świadomości natrętnej myśli na nic się zdało. Masakra królików miała związek ze mną, choć najmocniej uderzyła w Felicję. Była ostrzeżeniem. Ktoś, kto wysłał mi tę wiadomość, przegiął. I zapłaci za to. Byłem spokojny. A właściwie buzowała we mnie zimna wściekłość. Wiedziałem, że da mi napęd potrzebny do działania.

Spakowałem do torby papiery, które dostałem od Kozieja. Zbliżała się ósma. Powinienem ruszyć do fabryki. Miałem plan, który teraz, na szybko, musiałem zmodyfikować. Uda się, nie uda, nie wiedziałem. Jednego byłem jednak pewien. Nie odpuszczę. Za Chiny Ludowe, jak się mawiało w moich szkolnych czasach.

Do fabryki jednak nie dojechałem. Mimo że miałem szczerzy zamiar. Przynajmniej przez chwilę. Zatrzymałem się na parkingu przed blokiem na placu Kościuszki, wyjąłem komórkę. Odszukałem numer Katarzyny, która przed laty była moją narzeczoną. Błąd, żadną narzeczoną, skoro miała męża i udane dziatki, była moją kochanką. W odróżnieniu od rozstania z Tamarą, rozstanie z Katarzyną odbyło się bez żalu i scen, z uznaniem faktu, że przez kilka miesięcy wspólnego ukradkowego bycia daliśmy sobie tyle, ile dać mogliśmy. Katarzyna pracowała w szpitalu, była cenionym kardiologiem. Czasami, coraz rzadziej, spotykaliśmy się na kawie, czasami korzystałem z jej uprzejmości i bloczku druków zwolnień. Nie nadużywałem tego przywileju, więc zadzwoniłem do niej bez lęku. Poprzekomarzaaliśmy się przez chwilę, potem wyłuszczyłem, o co mi chodzi. Dla zasady powydziwiała trochę, że namawiam ją do złego, że NFZ w upadku, a ona w rozterce moralnej, ale kazała mi przyjechać do siebie do Niestumia, bo tego dnia miała wolne.

Dawno nie byłem w tej okolicy. Na krzyżówce w Niestumiu nie skręciłem w lewo, do tej wsi, która właściwie już dawno przeistoczyła się w podmiejską sypialnię, lecz w prawo, w pola. To znaczy łąny zbóż, rzepaku oraz zagony buraków były w tym miejscu kiedyś. Teraz wyrosło tam po jednej stronie nie najlepszej drogi spore osiedle



domków. Podjechałem pod dużą, ale całkiem gustowną chałupę stojącą na działce na oko dwa razy większej niż sąsiednie. Lekarska solidność.

Zaprosiła mnie do środka, usadziła w salonie na skórzanej kanapie, która kosztowała pewnie tyle co wszystkie moje meble razem wzięte. Krzątała się, przygotowując kawę, rozstawiając talerzyki z ciasteczkami. Z przyjemnością patrzyłem na tę niespecjalnie szczupłą kobietę, z którą czas obchodził się łagodnie. Być może dlatego, że nie walczyła z nieuniknionym. Co nie znaczy, że się całkowicie poddała przemijaniu. Gadaliśmy przez chwilę o wszystkim i o niczym. Całkiem przyjemny small talk znajomych, którzy nie muszą się spinać.

– Nie żeby to była moja sprawa, ale po co ci zwolnienie? – w końcu przeszła do konkretów.

– Praca mnie męczy, a szczególnie jeden z osobników notorycznie grasujących w fabryce.

– W fabryce. – Zaśmiała się głośno. – Zawsze bawił mnie ten wasz gliniarski slang.

– Mnie akurat nie za bardzo. Rani mą wrażliwą duszę dyplomowanego polonisty.

Katarzyna napiła się kawy.

– Żarty żartami, ale... – Wbiła we mnie wzrok i na chwilę zamilkła. – Dobrze cię znam i widzę, że coś jest nie tak. Wyjątkowo kiepsko wyglądasz, nawet jak na ciebie.

– Dziękuję bardzo. Ty za to kwitniesz.

– Raczej przekwitam, ale nie o mnie mówimy. Co się dzieje?

Miałem ochotę komuś opowiedzieć o sprawie Dudkówny, o Annie zamkniętej w samej sobie i w Białym Borze. O moich rozterkach i śledztwie, które przypominało bezładną szamotaninę. Więcej, potrzebowałem wygadać się komuś. Wiedziałem jednak, że nie powinienem obarczać tym Katarzyny. Na pewno nie ją. Wzruszyłem ramionami.

– Prowadzę wyjątkowo paskudne śledztwo. Trochę mam już tego dość. Może to kwestia wypalenia zawodowego.

– Paskudne śledztwo tutaj? Chyba życie pomyliło ci się z serialami kryminalnymi. Ciechanów to nie Sandomierz.

Pośmialiśmy się ze średnio wyrafinowanego żartu.

– Może już niedługo dowiesz się, o co chodzi.

– Wiesz, jakoś te kryminalne historie mnie nie biorą. Wystarczy mi to, co mam w szpitalu. Szkoda tylko, że mi ściemniasz.

Zdziwiłem się. I to bardzo.

– Tak, tak, nie gap się na mnie wzrokiem skrzywdzonego chłopca. Od dawna już to na mnie nie robi wrażenia. Jakoś to, co mówisz, nie trzyma się kupy, wielki panie śledczy. Tu śledztwo, a ty chcesz lewe zwolnienie.

– Lepiej, żebyś nic nie wiedziała.

– Dobra, duzi chłopcy i ich tajemnicze sprawy – prychnęła. – To na ile chcesz?

– Właściwie tylko na dzisiaj.

– Weź przestań, to niepoważne. Dam ci na tydzień. I jeszcze wypiszę ci skierowania na badania. Ale pewnie i tak ich nie zrobisz. Spróbuj może jednak kiedyś poważnie zająć się swoim zdrowiem.

Nie protestowałem, podziękowałem, schowałem zwolnienie do kieszeni marynarki. Na odchodne spytałem jeszcze, czy w razie czego nie będzie u niej na oddziale wolnego etatu salowego. Zmierzwiała mi włosy, tak dobrze znanym mi gestem, i spytała:

– Co ty znowu nawywijałeś?

Nie odpowiedziałem. Rzuciłem tylko, że niedługo się do niej odezwę. Przez moment nawet w to wierzyłem. Powoli ruszyłem do furtki. Wsiadając do samochodu, spojrzałem w stronę Katarzyny. Stała na ganku i kręciła głową.

Próbował się ze mną skontaktować komisarz Jan, próbował także Głównodowodzący. Niedobrze. Jadąc powoli krętą i byle jak połataną drogą do Ciechanowa, zastanawiałem się, co zrobić. Musiałem dostarczyć do firmy zwolnienie, a nie powinienem się tam pokazywać. Ryzyko, że natknę się na kogoś, kogo dzisiaj bardzo nie chciałem spotkać, było zbyt duże. Musiałem też pogadać z Koziejem. Nie miałem innej możliwości.

Po raz drugi tego przedpołudnia zaparkowałem na placu Kościuszki. Wybrałem numer Leszka. Jęczał i wił się jak piskorz, ale gdy zapowiedziałem, że to będzie ostatnia przysługa, prawdę powiedziawszy, dwie ostatnie, o jakie go proszę, w końcu zgodził się do

mnie podejść. Nie dodałem, że chodziło mi o przysługi oddawane jedynie w najbliższym czasie. Uznajmy, że zapomniałem.

Daleko nie miał. Kiedy pokazał się na rogu koło poczty, zamrugałem światłami. Sapiąc, władował się na siedzenie obok mnie.

– Konspira jak w 07 zgłoś się. I ty myślisz, że nikt nas tu nie zauważy? – marudził.

– A niech zauważa. Nie mam nic do ukrycia.

– Ty może nie. Co tam?

Podąłem mu druczek zwolnienia. Wziął go delikatnie w dwa palce, jakby to był kluczowy dowód w sprawie. Bardzo ważnej.

– Czyli jednak nie będziesz działał na legalu. – Zdaje się, że odetchnął głęboko.

– Przecież wczoraj obiecywałem. Zapomniałeś już? Zaniesiesz do kadr? – spytałem.

– I co ja im powiem?

– Leszek, dziecko jesteś czy co?! Nie będą cię o nic pytać. Robisz przysługę poważnie choremu koledze. I tyle.

– Ale jakby Głównodowodzący drążył, wiesz, jaki on jest, trzeba by uzgodnić legendę w razie czego.

– To opowiesz wstrząsającą historię, jak to zestresowanemu i zawałonemu robotą koledze serce szwankuje, że czuje się słabo, może nawet ma stan przedzawałowy, i musi natychmiast zrobić badania. –

Pokazałem mu kolejne druczki. – Możesz też dodać, że jestem błądy jak śmierć i ledwo trzymam się na nogach.

– Z tą błądzą to nawet prawda. Dobra, załatwię.

Zbierał się do wyjścia, ale chwyciłem go za rękaw.

– Jest jeszcze coś.

Pokazałem mu esemesa.

– Ktoś ci ewidentnie grozi.

– No co ty nie powiesz!

Koziej zapatrzył się przed siebie, jakby było tam coś przykuwającego uwagę, a nie zapyziały skwer na środku placu Kościuszki.

– Ta sprawa ewidentnie kogoś uwiera. – Technik spojrział na mnie. – Tylko kogo i dlaczego?

– Jestem prawie pewien kogo.

– Masz na myśli...

- Mam.
- Przecież nie wparujesz do jego gabinetu i nie wydusisz prawdy.
  - Sekretarka na pewno mnie nie wpuści. – Uśmiechnąłem się krzywo.
  - Konrad, to już nie są żarty.
  - Nie zamierzam żartować. Wszyscy się o tym niedługo przekonają. Koziej prychnął. Chyba chciał rzucić jakiś komentarz, ale zmilczał.
  - Wiem, że ciągle cię o coś proszę... – zacząłem niepewnie.
  - Dobra, wal.
  - Podjedziesz ze mną do Felicji? Obejrzelibyśmy komórkę i ogród. Może palant zostawił jakieś ślady. I sprawdź mi ten numer, z którego wyszedł ten esemes. Choć to pewnie będzie jednorazówka.
- Usłyszałem głębokie westchnienie. Wiedziałem, że Leszek ma mnie serdecznie dosyć. Nie dziwiłem się. Tym razem jednak nie jęczał, nie narzekał.
  - Dam znać, kiedy będę wolny.
- Wyciągnąłem rękę. Przybiliśmy piątkę. Wygramolił się z samochodu, ale nim zatrzasnął drzwi miśka, włożył jeszcze głowę do środka.
  - I co teraz będziesz robił?
  - Improwizował.

Ceremonia pogrzebowa Jowity Dudek zaczynała się w samo południe. Najpierw zaplanowana była msza w farze, potem pogrzeb na gostkowskim cmentarzu. Postanowiłem odpuścić sobie kościół. W naszym ponoć ultrakatolickim kraju coraz mniej ludzi chodziło do kościoła. Ciekawe dlaczego? Postawiłem na to, że zdecydowanie więcej osób będzie towarzyszyć Jowicie w ostatniej drodze na cmentarzu. Liczyłem, że dopadnę tam byłego dziewczyny, specjalistę od paskudnych mejli. Właściwie jednego.

Miałem jeszcze niemal dwie godziny do zagospodarowania. W sam raz, by porozmawiać z ochroniarzem Ryśkiem, który powinien być w domu i odsypiać nocną zmianę. Nie byłem pewien, czy ma jakiegokolwiek ciekawe informacje, więcej nawet, byłem przekonany, że nie ma żadnych. Chciałem jednak sprawdzić. Dla świętego spokoju. W końcu wcześniej zbyt wiele wątków w tej sprawie traktowałem po

łebkach.

Rysiek mieszkał na Płońskiej, niedaleko placu targowego. I całkiem blisko Felicji. Może nawet się znali, kto wie. Z placu Kościuszki był tam rzut beretem, nawet bez antenki, ale wolałem nie spacerować po centrum, żeby niepotrzebnie nie rzucać się w oczy. W końcu byłem chory, niemal umierający. Po kilku minutach jazdy miśkiem zaparkowałem przed małym parterowym domkiem, który lata świetności przeżywał przed wojną. I to nie tą jaruzelską. Drewniany wiatrołap był mocno przechylony, co potwierdzało, że z poświęceniem spełniał swoją funkcję, tynk łuszczył się jak makijaż podstarzałej kobiety niecieężkich obyczajów, z ciągnącej się wzdłuż krawędzi dachu rynny wybijała ku słońcu młoda brzoźka. Wesoły krajobraz miejski. Przy drzwiach nie znalazłem dzwonka, więc po prostu załomotałem. Trochę trwało, nim się uchyliły. Zdążyłem przypomnieć sobie frazę: „I nocą, kolbami w drzwi załomocą”. Nie przez przypadek chodziłem do podstawówki imienia Władysława Broniewskiego.

Zachrobotwały zamki i stanęła przede mną tęga niewysoka kobiecina o okrągłej twarzy i małych świdrujących oczkach. Właściwie wszystko w jej sylwetce dążyło ku idealnej figurze koła.

– Czego? Nic nie kupuję – zaczęła przyjaźnie.

– A ja nic nie sprzedaję. Przyszedłem do Ryśka.

– Synaczek po robocie śpi. Budzić go nie będę, bo wścieklunku dostanie.

Już wiedziałem, z kim mam do czynienia. Baba z targowiska, jedyny w swoim rodzaju typ, nie do przegadania. Sporo takich poznałem, gdy chodziłem ze starowinką na targ po warzywa, uwalane odchodami jaja prosto od kury i podejrzaną rąbanekę trzymającą pierwszą świeżość przez wiele dni. Nawet dla przyjemności chciałem się z nią trochę poprzekomarzać, ale nie miałem na to czasu. Pokazałem blachę i zrobiłem krok do przodu. Nie ruszyła się z miejsca.

– Co on nawywijał?

Podejrzewałem, że po moim wyjściu zrobi synczkowi dużo gruntowniejsze przesłuchanie niż ja. Ale przecież wszystkie Ryśki to fajne chłopaki, więc powinien sobie poradzić. Pewnie radził sobie już nie raz, nie dwa.

– Nic a nic, proszę pani. Rysiek może mieć informacje w sprawie,

którą prowadzę. Bardzo ważnej.

– Ryyyysieeeeek! – ryknęła mocnym głosem, wyćwiczonym przez lata handlu tym, czym tam akurat handlowała. Nawet jeśli Rysiek spał, to właśnie zrywał się na równe nogi.

Kobiecina zaprowadziła mnie do małego, zagraconego pokoju, w którym na poczesnym miejscu królowała spora plazma. Na zasłanym tapczanie siedział Rysiek czochrający resztki spoconych włosów. Synaczek w wieku mocno średnim, solidnie sterany życiem, który zapewne zostanie z mamusią aż do śmierci. Nie byłem pewien, które z nich pierwsze opuści nasz padół łez. Twarz miał czerwona i obrzmiała. Pewnie koniec zmiany uczcił piwem. Albo i kilkoma.

Siadłem na rozchybotanym krześle i wyłuszczyłem, z czym przychodzi. Trochę potrwało, nim synapsy w mózgu Ryśka zaczęły przewodzić, jak powinny.

– Ale o co właściwie się rozchodzi?

– O co chodzi, to ja wiem. I wystarczy. Interesuje mnie, co się działo w Białym Borze w poprzedni poniedziałek. Wszystko, co pan wie.

– Co ja tam wiem...

Pewnie! Tradycyjna strategia ochroniarzy. Nic nie wiem, nic nie widziałem, w innym miejscu byłem. Podobnie jak jego kolegę, postraszyłem Ryśka załatwianiem sprawy drogą służbową, prowadzącą prosto do kierownictwa dumnej z nazwy firmy Piorun. Poskutkowało.

– Tam takie rzeczy się zdarzają. Nie za często, ale zdarzają. – Odchrząknął. – Matka, daj mineralnej! – wrzasnął. Dała. Jak na jej tuszę, błyskawicznie. Nie raczyła mnie spytać, czy też chcę. Trudno. – Gnój musiał przeleźć przez bramę od strony parku.

– Widział go pan z bliska?

– Nie bardzo. Ale coś tam widziałem. Stałem akurat za naszą kanciapą przy bramie i paliłem fajkę. Patrzę, a tam ktoś kuka w okno.

– Kuka?

– No, zagląda. Dziwne, nie? Poszłem do niego. Musiał mnie usłyszeć, bo luknął i zaraz dał w długą. Nawet chciałem dopaść gnoja, ale szybko spierniczał.

Może i, Ryśku, chciałeś, ale na pewno nie chciało ci się biegać. Podstawowa zasada zachowania energii. Na później.

– Czyli nie złapał go pan?

– No nie bardzo. Jebnął przez ogrodzenie. I tyle.

– Twarz pan widział?

– Tak jakby. Ale nie do końca. Kaptur miał na łeb nasadzony.

Dlaczego w rzeczywistości nie może być tak jak w amerykańskich serialach kryminalnych, w których zawsze prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto widział twarz przestępcy? Albo przynajmniej znajdzie się bardzo wyraźne nagranie z monitoringu.

– Niech pan go opisz.

– Z wyglądu to taki bardziej jak każdy. Ani wysoki, ani niski. Ale chyba raczej szczupły.

Chciałem skomentować, że gruby nie spierniczałby szybko, ale się powstrzymałem.

– W co był ubrany?

– No, bluzę miał z kapturem, mówiłem. Taką jakąś szarą. Jak to gnoje teraz noszą. Niebieskie dżinsy i adidas.

Szara bluza z kapturem? Miałem niejasne wrażenie, że widziałem w ostatnich dniach tak ubranego mężczyznę. A może tylko czytałem o kimś takim w aktach jakiejś sprawy? Nie mogłem sobie przypomnieć. Ta informacja tkwiła gdzieś na obrzeżach mojej pamięci, jednak zdecydowanie za daleko od centrum.

Rysiek, jak na pracownika firmy ochroniarskiej zatrudniającej sprawnych inaczej, i tak zapamiętał sporo. Szkoda tylko, że opis pasował do kilku setek chłopaczków z Ciechanowa.

Wstałem, zbierałem się do wyjścia, ale niepewny wyraz twarzy Ryśka sprawił, że zatrzymałem się w drzwiach.

– Coś jeszcze pan sobie przypomniał?

Rysiek podniósł się z tapczanu. Na jego fizis malował się trud skomplikowanego procesu myślowego. Pomagał sobie, gmerając w okolicach kroku. Miałem nadzieję, że nie będzie chciał żegnać się ze mną uściskiem dłoni.

– Bo ja nie wiem, czy to nie jest ta, jak to mówią, tajemnica lekarska... – wahał się.

Nastawiłem uszu. Może jednak Rysiek sprzeda mi nowinkę wartą czasu, który u niego zmitrężyłem.

– Pan mówi, nikt się nie dowie.

– No jak nikt... To dobra jest fucha. Nie chcę stracić...

Machnąłem dłonią, zachęcając go do mówienia. Chrząknął.

– Poszedłem do okna, sprawdzić, czy tam ten gnój czego nie zniszczył. Żeby obciachu nie było. I aż się przeląknęłam. Podchodzę ci do okna... – Przerwał i znowu sięgnął po szklankę z mineralną. Zanosił się chyba na dłuższą, niezborną historię, ale nie chciałem popędzać Ryśka. Niech wyduka, co tam ma do powiedzenia, tak jak potrafi. – Podchodzę i słyszę wrzask. Ale taki jakby ledwie co. Patrzę, a ta niemota stoi przy oknie i drze japę. Przeląknęłam się. Ale gnój przynajmniej nic nie zniszczył.

– Jaka znowu niemota? – Z opóźnieniem dotarło do mnie, że Rysiek skończył swoje story i że najwyższy czas na pytania dodatkowe. Pomocnicze.

– No ta, co to strzeliła samobója, znaczy się, próbowała, i co to nic nie mówi.

– Anna Jurkowska? – wolałem się upewnić.

– Po nazwiskach to tych czubów nie znam. Pamięci nie mam. Ale ta, co to gęby od miesiący nie otworzyła do nikogo.

– I wrzeszczała? Na pewno?

– No inaczej bym się nie przeląknęłam – po raz kolejny przypomniałam o swojej ostatniej traumie, wykazując się żelazną logiką.

– Dziwne. A wcześniej bywało, że krzyczała?

– Ja tam nie wiem. Ale piguły mówiły, że nawet nie pisała nigdy.

Nie wątpiłem, że Rysiek często rozmawiał z pielęgniarkami, by zapełnić jakąkolwiek aktywnością długie godziny nudnych dyżurów. Na pewno też siostrzyczki były wiarygodnym źródłem informacji.

Wychodząc, usłyszałem wrzask starej handlary. To był jednak problem Ryśka, nie mój. Nurtowało mnie co innego. Czy Anna krzyczała na widok intruza w kapturze, czy czerwonej facjaty Ryśka?

Zignorowałem kilka kolejnych nieodebranych połączeń z fabryki. Do esemesów nawet nie zaglądałem. Na pewno nie znalazłbym w nich żadnego budującego przesłania. Zresztą jedna niepokojąca wiadomość dziennie wystarczała mi w zupełności. Było jeszcze sporo czasu do pogrzebu, podjechałem więc kilkaset metrów do mojej starowinki, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się u niej coś podejrzanego.



Pocałowałem klamkę furtki. Dobre i to, że wreszcie zaczęła zamykać posesję. Najpewniej odwiedzała kogoś z Geriatrycznego Klubu Rozrywki, ale na wszelki wypadek zadzwoniłem na komórkę. Okazało się, że jest w spożywczaku po drugiej stronie ulicy. Podszedłem tam, przerwałem pogaduszki Felicji z królującą za ladą panią Terenią, weteranką ciechanowskiego handlu, której blond tapir był jednym z nielicznych stałych elementów w naszym jakże zmiennym, ponowoczesnym świecie. Chwyciłem torbę z zakupami, ekologiczną, jak zawsze podkreślała starowinka z dumą neofitki nowej wiary, i już po paru minutach siedzieliśmy przy kawie. Oraz papierosach, oczywiście. Kawa i papierosy. Chyba był film o takim tytule. Nie oglądałem.

– Wszystko w porządku? – wołałem się upewnić.

– Jako takim.

Schowała się w chmurze dymu, schyliła głowę.

– Na pewno? Nikt cię nie niepokoił?

Spojrzała na mnie. Zmęczonym wzrokiem.

– Antoni z Sabinką byli przecież ze mną. Dopiero co poszli. Pomogli mi pochować biedne zwierzaki.

Zmęłem w ustach przekleństwo. Nie mogłem denerwować starowinki. Prosiłem wczoraj, żeby niczego nie ruszała w komórce i ogrodzie. Trudno, pewnie Koziej nie znajdzie żadnych śladów.

– Zrobiłeś sobie przerwę w pracy czy wybierasz się na pogrzeb?

Nie zdziwiło mnie, że wie o ostatniej drodze Dudkówny. Przemknęło mi przez myśl, żeby nie mówić Felicji zbyt wiele o mojej pracy i najnowszych pomysłach na życie, ale uznałem, że to marna strategia. A do tego prywatne i nielegalne śledztwo przestało być już tylko i wyłącznie moją sprawą. Postanowiłem, że powiem jej tyle, ile musi wiedzieć. Ile wiedzieć powinna.

– I to, i to. Na zwolnieniu jestem.

Starowinka uważnie zlustrowała mnie wzrokiem.

– Na chorego nie wyglądasz. Chyba.

– Bo dobrze się czuję. W miarę.

Zaciągnęła się mocno i wypuściła wielką chmurę dymu.

– Powiesz mi, co kombinujesz, czy pozwolisz, żebym się martwiła? Chcesz zakończyć sprawę Dudkówny?

– Z Bogiem i choćby mimo Boga – zaintonowałem, fałszując niemiłosierdzie.

– Wiedziałam.

– Bo mnie znasz.

– Czyli jednak trafiłeś na coś podejrzanego?

– Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale pewności nie mam, więc nie będę ci w szczegółach opowiadał.

Zdusiła niedopałek w kryształowej popielnicy.

– Mam tylko nadzieję, chłopczyku, że nie ryzykujesz zbyt wiele.

– Felicja, prawdę powiedziawszy, ryzykuję wszystko.

Powoli wstała z fotela, podeszła do mnie, przytuliła moją głowę. Objąłem starowinkę. Tego właśnie było mi trzeba w tej chwili. Bliskości. I żadnych więcej słów.

Dopiłem kawę i ruszyłem do drzwi. Felicja podreptała za mną. Gdy odwróciłem się, by ją pożegnać, zapytała znienacka:

– Co będzie, jak przegrasz?

– Nie myślałem jeszcze o tym.

Nic więcej nie było do powiedzenia.

Sprawdziłem godzinę w komórce. Miałem jeszcze trochę czasu na złożenie roboczej, niezapowiedzianej wizyty w Nocnym Raju. Chciałem potwierdzić moje podejrzenia. Graniczące z pewnością. Pora była taka sobie, ale liczyłem na to, że Władek, jak na obowiązkowego Ślązaka przystało, tkwił już na posterunku.

Drzwi knajpy były zamknięte. Łomotałem w nie z zaciętym uporem. Pukajcie, a będzie wam otworzone. Stał przede mną ten sam rozdęty od sterydów spaślak co poprzednio. Odziany w białą koszulkę, która niemal pękała na bickach, czarne spodnie od dresu i równie czarne najki, prawdopodobnie z najnowszej kolekcji. Nie ma co, pełna elegancja.

– Zamknięte – warknął.

Albo mnie nie poznał, albo udawał, że widzi mnie po raz pierwszy. Prawdopodobnie nie poznał. Cierpliwie przypominałem, kim jestem. Wyjawiłem też, z czym przychodzę.

– Szefa nie... – zaczął, ale ja już pakowałem się do środka.

Chwycił mnie za ramię i szarpnął. Odruchowo, płynnym wyćwiczonym ruchem posłałem go na stojący obok stolik ze szklanym blatem, który rozpadł się efektownie. Z policyjnych szkoleń zawsze najbardziej lubiłem sztuki walki.

– Co jest, do kurwy nędzy?!

Hałas i pojękiwania pakera wywabiły Władka z zaplecza.

– Co to za demolka?! Miałeś się tu, pojebie, nie pokazywać.

Właściciel knajpy przezornie zachował bezpieczną odległość. Był czujny, raz po raz spoglądał to na mnie, to na próbującego wstać ochroniarza.

– Sugerowałem, żebyś zainwestował w lepszą ochronę. – Władek już otwierał usta, aby uraczyć mnie komentarzem, ale powstrzymałem go ruchem dłoni i wycedziłem: – Każ mu spadać.

Wystarczyło, że Ślązak spojrział złym wzrokiem, a spaślak zebrał się do pionu i zniknął, kurwując z cicha.

– Masz przejebane jak w ruskim czołgu. – W głosie Władka dźwięczała wściekłość.

– Tyle razy już słyszałem podobne teksty, że nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Albo wymyśl coś nowego, albo zamknij jadaczkę i słuchaj. Łziesz jak pies.

– Że co?

– Mówiłem, żebyś wysilił mózgownicę, zanim coś powiesz.

Zrobiłem krok przed siebie. Dla efektu. Władek zaczął się cofać, ale nadział się na kolejny stolik. Jęknął.

– Ostatnio opowiadałeś mi bohaterskie historie o tym, że nie jesteś niczym ucholem. A gdy tylko wyszedłem z twojej speluny, zaraz zadzwoniłeś do Dudka. Tak?! Czy tak?! – wrzasnąłem.

Skulił się, odruchowo chowając głowę w ramiona. Nie musiał odpowiadać, wszystko było jasne jak słońce, które nigdy nie dociera do jego nory. Nawet mu się nie dziwiłem. Bliższa ciału koszula, te sprawy. Lepiej zbierać punkty u prominentnego urzędasza niż podpadniętego gliny. Westchnąłem.

– Pożałujesz tego – rzuciłem, właściwie tak sobie. Nie zamierzałem mścić się na nim, szkoda mi było czasu i energii.

Odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia.

– Zapłacisz mi za to! – krzyknął Władek, nagle odzyskując resztki

odwagi.

Zawróciłem, podszedłem do Ślązaka i powoli, bardzo powoli zacząłem wyciągać portfel z kieszeni marynarki. Znalazłem stówkę, zmiąłem i rzuciłem mu pod nogi.

– Faktycznie, byłbym zapomniał. Napraw sobie stoliczek, ciulu.

Cmentarz na Gostkowie, wielki, jakby na złość ciągnącym na groby żałobnikom ciągle poniewierany przez wiatry, zawsze sprawiał na mnie ponure wrażenie. Stałem zaraz przy głównym wejściu, za krzewami okalającymi zbiorową mogiłę żołnierzy, którzy zginęli w 1939 roku. Pomyślałem, że to jednak kiepski pomysł. Nie wiedziałem, gdzie jest grób, w którym spocznie Dudkówna, a przecież nie mogłem, ot tak sobie, wmieszać się w kondukt. Na bank wpakowałbym się na kogoś z firmy. Byłem pewien, że policyjna delegacja pojawi się na pogrzebie. Poszedłem do administracji, dowiedziałem się, że pochówek odbędzie się w nowej części cmentarza, o której nawet nie wiedziałem, że istnieje. Nekropolia rozrastała się w zastraszającym tempie.

W nowym kwartale nie było choćby jednego drzewa ani większych krzewów. Na szczęście ciechanowianie wciąż inwestowali w solidne, wielkie pomniki, więc z łatwością ukryłem się za jednym z nich, tak aby móc w spokoju przyglądać się ceremonii. Usiadłem na drewnianej ławce przy okazałym pomniku z czarnego marmuru. Nawet ładnym. Zuzannie Sierpińskiej, lat dwadzieścia siedem, która zginęła śmiercią tragiczną, estetyka grobowca była zapewne obojętna. Długo biedaczka nie pożyła. Niczym Maria. Przestań, skarciłem się w duchu. Nie myśl o tym, skup się, zrób, co masz zrobić. Potem sobie pocierpisz. Zapaliłem, żeby skoncentrować się na prostych czynnościach. Potrzebnych do życia. Przeżycia. Przechodząca obok staruszka, która tachała w reklamówce cały zestaw do cmentarnego ogrodnictwa, spojrzała na mnie z wyraźnym wyrzutem.

Nim usłyszałem zawrozczenie żałobnej pieśni i zobaczyłem kondukt, zdążyłem wypalić jeszcze trzy papierosy. Wstałem i przesunąłem się trochę w lewo, za masywną figurę modlącego się anioła, która zdobiła sąsiedni grób. Nikt nie powinien mnie dostrzec. Trumnę niosło czterech mężczyzn. Żaden z nich nie był wiceprezydentem Dudkiem.

Ciekawe dlaczego? Ten kroczył w pierwszym rzędzie, a właściwie próbował kroczyć, bo trudno jest zachować godną postawę, gdy ma się uwieszoną u boku żonę. Dudkowa wyglądała zdecydowanie gorzej niż wtedy, gdy widziałem ją po raz ostatni. Choć prawdę powiedziawszy, nie wyglądała wcale. Ukryta pod czarną zbyt obszerną suknią i kapeluszem z woalką. Podejrzewałem, że nie za bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Za tą dwójką tłoczył się tłumek ciechanowskich notabli i urzędników. Był tam, oczywiście, Gajowniczek z moim komendantem. Moim? Mniejsza o to. Dopiero dalej szli bliscy Dudków. Ludzi była masa. Przyglądałem się im tak uważnie, jak mogłem. Wypatrywałem Patryka. Wcześniej obejrzałem sobie jego zdjęcia na Facebooku. Narzędzie totalnej inwigilacji sprawdziło się jak zawsze.

Wreszcie go dostrzegłem. Jeśli przyjechał na pogrzeb, to albo był zbyt pewny siebie, albo zwyczajnie głupi. Istniała jeszcze jedna możliwość. Niewinny. To zamierzałem sprawdzić.

Nie miałem w sobie dość siły, by patrzeć, jak trumna z Jowitą Dudek trafia do ziemi. Pochylony, klucząc między grobami, wycofałem się do głównej alei. Zastanawiałem się, co dalej. Jak dyskretnie zdjąć Patryka? Jak improwizacja, to improwizacja, zdałem się więc na los szczęścia i zająłem stanowisko przy wyjściu z cmentarza.

Pogrzeb trwał niezwykle długo, widocznie nie obyło się bez licznych pożegnalnych mów. Miałem dość czasu i papierosów, żeby po raz kolejny przemyśleć, co właściwie robię. I co zrobić postanowiłem. Co tu kryć, nie doszedłem do optymistycznych wniosków, ale i tak nie zamierzałem przerywać samotnej misji. Straceńczej, przemknęło mi przez myśl. Trudno i darmo, będzie, co będzie. Pierwsi żałobnicy opuszczali cmentarz. Wyszedłem na zewnątrz, stanąłem za rogiem drewnianej budy ze zniczami i kwiatami. Wreszcie zobaczyłem Patryka. Oczy miał zaczerwienione, opuchnięte od płaczu. Taki z niego świetny aktor? Szedł z kolegą. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Podeszedłem do nich. Wyglądałem na profesjonalnego i zdecydowanego. Przynajmniej tak mi się zdawało.

– Pan Patryk Stawarczyk?

– Tak.

Pokazałem blachę.

– Podkomisarz Konrad Rowicki. Policja – powiedziałem, choć nie musiałem. Jednak wypowiedzenie tego słowa czasami przynosi magiczny efekt. – Mam do pana kilka pytań.

– Ale o co chodzi?

– To nie zajmie wiele czasu.

Pociągnąłem go lekko za ramię w stronę zaparkowanego niedaleko miśka. Na słowo „policja” ludzie zwykle albo dokonują błyskawicznego rachunku sumienia, albo reagują agresją. Patryk wyglądał mi na kogoś od sumienia. Może bawił się w lekkie narkotyki, może miał coś innego za uszami. Na przykład groźby karalne kierowane do Jowity Dudek. I tym razem nie pomyliłem się w ocenie typu psychicznego. Dał się spokojnie poprowadzić do samochodu. Ruchem ręki wskazałem mu miejsce obok kierowcy. Darowałem sobie procedury dotyczące umieszczania zatrzymanych w samochodzie policyjnym. Bo też mój poczciwy misiek na samochód policyjny żadną miarą nie wyglądał.

– Ale, ale... – wybełkotał nieskładnie.

– Proszę się uspokoić. To nie zabierze wiele czasu. Chodzi o zwykłą formalność.

Patryk był zdenerwowany, ja też nie miałem w sobie siły spokoju Gandhiego. O jednego niespokojnego za wiele, musiałem zrobić wszystko, by chłopak się nieco odprężył. Kłamałem więc w żywe oczy. Nie wiem, czy mi się to udało. Ruszyłem powoli. Bardzo.

Plan, co zrobić po zatrzymaniu byłego Jowity, ułożyłem już wcześniej, gdy siedziałem w oczekiwaniu na kondukt, paliłem papierosa za papierosem i próbowałem nie myśleć o jakże krótkich dwudziestu siedmiu latach życia Zuzanny Sierpińskiej. Nie byłem pewien, czy był to plan dobry. Na pewno był szalony.

– W pizdu jebana częstochowska mać. Co ty odpierdalasz? Dzwonisz do mnie i...

Zaskoczył mnie. Nie posądzałem Ładnego o aż taką wyobraźnię językową. Chyba że czytał dramaty Witkacego. Niewykluczone. W końcu, bywa i tak, że nudne życie w prowincjonalnym mieście zmusza ludzi do czytania książek.

Stał przed furtką posesji przy ulicy Witosza, w okolicy ni wiejskich, ni miejskich slumsów, pełnych zaniedbanych, częściowo zdewastowanych od dawien dawna domów. Sprawdziłem go lata temu, mieszkał w starym domu po dziadkach. Na uboczu, a jednak prawie w centrum. O ile Ciechanów ma jakiegokolwiek centrum.

– Co ty za historię nakręcasz? – wciąż się pieklił.

– Nie chcesz wiedzieć – rzuciłem. – I nie musisz.

– Dobra, dobra. A jak się sprawa jebnie, to kto będzie umoczony?

– Tylko ja i nikt więcej. Powiesz, że groziłem ci bronią.

Ładny zgiał się wpół ze śmiechu.

– Przecież ty nigdy nie chodzisz z kławką.

Spostrzegawczy uchol, nie ma co. Ale w końcu żył z tego i dzięki temu, co zobaczył. I usłyszał. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że mój glock od dawna tkwi nieużywany w sejfie w fabryce. Przecież na co dzień nie musiałem go nosić, nie chciałem. Nawet obowiązkowe zajęcia na strzelnicy niezbyt mnie kręciły. Miałem tylko nadzieję, że niechęć do broni palnej nie zemści się na mnie. W najbliższym czasie.

– Powiesz, że groziłem ci wielkim kałachem z jeszcze większym bagnetem na końcu. A ja to potwierdzę.

– Wstawaj, strana ogromnaja, wstawaj na smiertnyj boj – fałszywie zanucił.

Zadziwił mnie po raz kolejny.

– A skąd ty to znasz?

– Nie pamiętasz?

Jednak sobie przypomniałem. Kiedyś piłem z Ładnym. I śpiewałem mój ulubiony repertuar. Niestety. Czasy błędów i wypaczeń.

– Dobrze – przerwałem pogawędkę. – My tu gadu-gadu, a podejrzany stygnie.

– To co robimy?

Dobre pytanie.

– Za chwilę tu podjadę z jednym gościem, z którym chcę spokojnie pogadać na osobności. – Wskazałem głową za siebie, gdzie kilkaset metrów dalej stał zaparkowany mój misiek. Z przykutym do kierownicy Patrykiem w środku. – Mam nadzieję, że jest u ciebie takie miejsce.

– Się znajdzie.

– Potem albo go zawijam do fabryki, albo na chwilę zostanie u ciebie.

– Ale...

– Ale niedługo. A potem będziemy kwita. Nigdy mnie nie usłyszysz ani nie zobaczysz. Chyba że przypadkiem.

Ładny przeczesał sztywną od jakiegoś chemicznego specyfiku grzywkę. Niepotrzebnie. Grzywka jak stała, tak stała.

– I nie pokazuj mu z bliska swojej twarzy.

Nie musiałem tego mówić.

Choć z zewnątrz dom mojego informatora nie prezentował się okazale, to w środku był wycacany. W specyficzny sposób. Niczym Ładny. Wprowadziłem Patryka do jednego z pokoi, kazałem usiąść przy stole. Sam usadowiłem się naprzeciwko niego. Nie miałem czasu na grę wstępną, więc zaatakowałem od razu.

– Czemu groziłeś Jowicie Dudek? Czemu chciałeś zrobić jej krzywdę?

– Ale co pan... – Broda chłopaka wyraźnie zadrżała.

– Zobacz sobie to. – Wyciągnąłem z torby kartkę z wydrukowanym mejlem i podałem mu.

Czytał powoli, jakby dopiero niedawno posiadał tę trudną umiejętność.

– Dlaczego wysłałeś tego mejla? Byłeś na nią wściekły? Chciałeś się zemścić? – naciskałem na niego coraz mocniej.

Teraz drżała też kartka w ręku Patryka, właściwie drżał cały. Jakby w kilka minut zawładnął nim parkinson.

– Ja tego nie wysyłałem – ledwo wydukał.

– Tak, samo się napisało i wysłało – wycodziłem. – Sprawdziliśmy, ten mejl na pewno wyszedł z twojej skrzynki.

– To nie ja.

– Wszyscy tak mówią. Wkoło sami niewinni. Może posłałeś to po pijaku? Nawaliłeś się jak meserszmit i wylałeś z siebie żale do Jowity.

Drzenie przeszło w gwałtowny dygot. Patryk zaczął zawodzić. Coraz głośniej. Tylko tego mi brakowało, żeby chłopak załamał się nerwowo. Podszedłem i uderzyłem go z liścia. Mocno. W razie wpadki, do



zarzutu uprowadzenia dojdzie mi jeszcze pobicie, pomyślałem. Ale w końcu jeden paragraf mniej, jeden więcej, żadna różnica. Wyprostował się nagle, z trudem łapał powietrze.

– Oddychaj – powiedziałem spokojnie.

Trochę to trwało, ale chyba doszedł jako tako do siebie. Przysunąłem krzeselko i usiadłem tuż przed nim. Spojrzałem mu w oczy, z których kapały pojedyncze łzy. Cierpiał. Coś we mnie mówiło, może sławna policyjna intuicja, że nie grał, nie udawał. Że było to absolutnie szczerze. Chyba kolejny raz skręciłem w ślepią uliczkę. A to by oznaczało, że mam nieodwołalnie i na zawsze przechłapano. I jako policjant, i jako człowiek. Nie zamierzałem jednak poddać się bez walki. Nie pozostało mi nic innego jak tylko brnąć dalej. Z nadzieją, coraz bardziej wątplą, na cud.

– Uspokoileś się już? – wolałem się upewnić.

Kiwnął głową. Rękawem czarnej marynarki otarł ciekący nos, zostawiając na materiale ślimacze ślady.

– Teraz powiem po kolei, o co mi chodzi, a ty odpowiesz na wszystkie moje pytania, powiesz wszystko, co wiesz. Zgoda?

Kolejne kiwnięcie.

– Jowita popełniła samobójstwo. – Znowu wstrząsnęło nim drzenie.

– Tak było. Ale mam pewne podejrzenia, że ktoś ją do tego zmusił. Pośrednio. Tak długo i skutecznie dręczył ją, że w końcu pękła. I zrobiła, co zrobiła. Chcę poznać prawdę. Dlatego cię przesłuchuję. Jowita dostała mejla, którego czytałeś. Być może były inne, sprawdzę to. Dostała też bardzo nieprzyjemny filmik. – Uniósł brwi. – Nie chcesz go oglądać. To podpada pod stalking. Wiesz, co to takiego?

– Mniej więcej.

– Dobrze. Jeszcze raz spytam: wysłałeś tego mejla?

– Nie. Ktoś musiał się włamać do mojego kompa.

Nawet bez telefonu do przyjaciela, czyli Kozieja, wiedziałem, że nie trzeba być wielkim informatykiem, żeby przeprowadzić tego rodzaju atak hakerski.

– Nagrywałeś jakieś filmiki z Jowitą?

– Filmiki?

Tym razem też nie kłamał. Tak mi się wydawało.

– Założmy, że ci wierzę. Dlaczego Jowita cię rzuciła?

Spojrzał na mnie niczym basset udreńczony zbyt długą wspinaczką po schodach.

– To ja – wymamrotał.

– Co ty?

– To ja rzuciłem ją. Już dalej nie mogłem.

Próbowałem przypomnieć sobie, kto mówił mi, że świętej pamięci Jowita skończyła związek z Patrykiem. Na pewno była mowa o tym, że się rozstali. Ale kto kogo odstawił? Paulina pewnie by wiedziała, ale wszystko wskazywało na to, że na własne życzenie spaliłem to źródło informacji.

– O co poszło?

– Byliśmy bardzo różni, ale na początku się dogadywaliśmy. Było dobrze, dla mnie nawet super. Wszystko zaczęło się pieprzyć jakiś rok temu.

– Powód?

– No, właściwie nie wiem. Niby żaden konkret. Myślałem o tym długo. To chyba przez te warsztaty teatralne.

Warsztaty teatralne? Kolejny raz wypływał ten wątek. Postanowiłem, że pierwsze, co zrobię po przesłuchaniu Patryka, to pojadę do domu kultury porozmawiać z facetem, który je prowadzi.

– Jakies szczegóły?

– Jowita chciała koniecznie iść do szkoły aktorskiej. Nie rozumiałem tego, mogła przecież spokojnie studiować prawo. Ale trudno, przecież... – zawiesił się na moment – kochałem ją. No i zapisała się na te zajęcia czy tam warsztaty. I zmieniła się. Olewała mnie. Umawiała się, przyjeżdżałem z Gdańska, a ona zniknęła albo wysyłała esa, że przeprasza, ale nie ma czasu, bo coś jej nagle wypadło. Nie tłumaczyła się, potem w ogóle nie chciała ze mną gadać. Była nerwowa. Jak dzwoniłem, rozłączała się w pół słowa. No takie tam. Miałem tego dosyć, powiedziałem sobie: koniec i tyle. Napisałem jeszcze mejla z wytłumaczeniem, że ja tak nie mogę i nie chcę. I tyle.

– A więc jednak mejla?

Znowu dopadły mnie wątpliwości.

– Nie było innej opcji, bo pod koniec już wcale nie odbierała fonów ode mnie.

Jakoś ci wierzę, przemknęło mi przez głowę. Jednak wiara wiara,

a dowody dowodami.

– Ktoś może potwierdzić, że to ty rzuciłeś Jowitę? Opowiadałeś o tej historii komuś?

– No tak, mojemu kumpłowi, takiemu bardziej przyjacielowi, Jankowi o tym mówiłem. Byłem z nim na pogrzebie.

– Nazwisko, telefon.

Podał dane bez mrugnięcia okiem. Janek był zdziwiony moim telefonem i pytaniami o dawno zakończony związek Patryka. Nie musiał ze mną rozmawiać, ale jednak się nie rozłączył. Potwierdził wersję byłego Jowity.

– Co teraz? – spytał Patryk zaniepokojony moim milczeniem.

Wyborne pytanie. Bez dwóch zdań.

– Nie wiesz może, czy Jowita w ostatnich miesiącach czegoś albo kogoś się bała?

– No przecież mówiłem, że nie chciała ze mną gadać. Nie mam pojęcia.

– A czy obiała ci się o uszy ksywa Karaczan? – zapytałem bez przekonania.

– Nie. A kto to?

Darowałem sobie uwagę, że to nie on jest tu od zadawania pytań.

Kazałem mu siedzieć na tyłku, a sam wyszedłem przed dom i zapaliłem. Kiepsko to wyglądało. Bardzo. Na co właściwie liczyłem? Że przytargam tu Patryka, przycisnę, a on mi z miejsca wyśpiewa wszystkie grzechy? Dziecinna naiwność. Tylko niepotrzebnie jeszcze bardziej skomplikowałem swoją sytuację. Ale, jako się rzekło, mogłem teraz jedynie brnąć dalej. Odwrotu nie było.

Zadzwoiłem do Ładnego ze szczęśliwą nowiną, że za piętnaście minut zniknę z jego domu i życia. Był na tyle miły, że nie okazał nadmiernej radości. Wróciłem do Patryka.

– To by było na tyle. Zbieramy się – powiedziałem.

Wciąż tkwił na krześle, jakby moje słowa nie dotarły do niego. Ze wzrokiem wbitym w podłogę wyszeptał:

– Wierzy mi pan?

– W co mam wierzyć?

– Że ja... Jowicie... to nic... nie mógłbym...

– Wierzę – rzuciłem błyskawicznie w obawie, że chłopaczyna zaraz

znowu się rozklei. – Idziemy – powtórzyłem. Tym razem wstał. – Ale pamiętaj, sprawa Jowity jest delikatna, najlepiej, żebyś nikomu nie mówił o naszej rozmowie. Chcesz chyba, żebym dopadł gnoja, który ją dręczył?

Potwierdził skinieniem głowy. Kusilo mnie, żeby na odchodne zapowiedzieć mu, że jeśli się dowiem, że mnie w czymś okłamał, to znajdę go wszędzie i zafunduję mu przesłuchanie bardzo niezgodne z zasadami policyjnego regulaminu. Powstrzymałem się jednak.

– Nie słyszałem!

– Chcę – powiedział wyraźnie, patrząc mi w oczy.

Patryk mógł z miejsca pobiec na komendę i złożyć na mnie skargę. Miałem jednak nadzieję, że tego nie zrobi. Więcej nawet, miałem pewność.

Siedziałem w miśku i tępo gapiłem się przed siebie. Ładny wracał do domu, ale zobaczywszy mój samochód, zrobił zgrabny w tył zwrot i pogalopował w stronę centrum. Włączyłem komórkę. Zabrzęczały powiadomienia o nieodebranych połączeniach i esemesach. Przejrzałem je pobieżnie, większość była z fabryki, otworzyłem wiadomość od Kozieja: „Masz przejebane”. Też mi nowina.

Pustka w głowie. Poranne entuzjazm i determinacja zniknęły. Wsiadłem i poszedłem przed siebie. Nie myślałem, nie chciałem myśleć, skoncentrowałem się na wyrównaniu kroków i oddechu. Po kilkunastu minutach doszedłem do starego cmentarza przy Płońskiej. Skręciłem w bramę. Jak dzień cmentarzy, to dzień cmentarzy. Usiadłem przy zapadniętym zaniedbanym grobie Eleonory Kamykowskiej, staruszki, która zeszła z tego łoża padołu w roku pańskim 1906. Patrzyłem na pokrytą mchem i porostami tablicę nagrobną. Zacząłem z nią rozmawiać, z Eleonorą Kamykowską, która pewnie była już tylko kupką zmurszałych kości. Z nikim innym nie mogłem. Oczywiście, jedynie w myślach. Aż tak szurnięty nie byłem, żeby głośno mówić do zmarłej ponad wiek temu kobiety:

„droga Eleonoro, zamroczyło mnie, zresztą nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni, bo właściwie co ja sobie wyobrażałem?, jak się teraz nad tym spokojnie, w miarę spokojnie, zastanawiam, od samego początku wszystko było zbyt klarowne, logiczne, zwyczajnie za proste, ale jak dostałem do ręki materiały od Kozieja, zamroczyło mnie,

zamrocył mnie gniew i ból, wydawało mi się, że to możliwe, że to historia, jakich wiele, zemsta bliskiej osoby, w końcu jeśli chodzi o sprawy kryminalne, w większości przypadków sprawcami są ludzie z najbliższego otoczenia, jasne i proste, właśnie, za jasne i za proste, miałaś kiedykolwiek z czymś takim do czynienia, Eleonoro?, mam nadzieję, że nie, że zostało ci to w długim życiu oszczędzone, ale gdy tylko zobaczyłem nieszczęsnego Patryka na pogrzebie, powinno było mnie oświecić, wiesz, jeszcze raz powtórzę, to było zdecydowanie za proste jak na tę niejasną, pokomplikowaną sprawę z drugim dnem, do którego nie mogę się przebić, więc zdaję sobie sprawę, droga Eleonoro, że tylko niepotrzebnie sponiewierałem chłopaka, być może zafundowałem mu traumę na całe życie, być może będę miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale to potem, potem, teraz ważniejsze jest co innego, bo muszę zdecydować, co dalej, droga Eleonoro, i tak już mam przechłapane, całkiem być może, że brnę w zawodową autodestrukcję jedynie z powodu moich przeczuć i lęków, o których myślałem, że je oswoiłem, gównu tam oswoiłem, przepraszam cię, droga Eleonoro, nie powinienem kłaść w twojej obecności, i na dodatek w takim miejscu, więc nie widzę innego wyjścia, zrobię w tej sprawie tyle, ile mogę, choćbym nawet miał znaleźć się sam jak palec w środku szczerego pola, ziemi jałowej, a jedyne, co jeszcze zrobić mogę, jedyny trop, jaki pozostał, to warsztaty teatralne, dwie ich uczestniczki w niedługim czasie same wyprawiły się na tamten świat, do twojego świata, droga Eleonoro, Patryk wspominał, że Jowita zmieniła się po tym, jak zaczęła brać lekcje aktorstwa, podejrzane to wszystko, bardzo, choć to może być przypadek, zbieg okoliczności, ponoć za takie artystyczne rzeczy biorą się zwykle osoby wrażliwe... choć nie, jest jeszcze jeden wątek, który wyłazi jak nitka z prującego się szwu, Dudek, pan wiceprezydent, który ewidentnie coś kombinuje, raczej nie zabił córki, nie przyczynił się do śmierci Jowity, ale podejrzanie mocno zależy mu, żeby jak najszybciej ukręcić łeb sprawie, droga Eleonoro, chyba zaczynam bredzić jak potłuczony, sam już nie wiem, co o tej sprawie myśleć, może w tej właśnie chwili powinienem rzucić to wszystko, Jowita została pochowana, kto będzie chciał, odprawi po niej rytuały żałoby, wrócę do fabryki jako ten syn marnotrawny, posypię głowę popiołem i stanę przed srogim obliczem Głównodowodzącego,

słucham, co mówisz Eleonoro?, że byłoby głupotą teraz właśnie się wycofać?, tak?, chyba masz rację, sprawdzę ostatni trop, ale najpierw się do tego przygotuję, świetny pomysł, droga Eleonoro, wrócę do domu, zjem solidny obiad, zbiorę, ile się da informacji na temat tych nieszczęsnych warsztatów i ich prowadzącego, przyjrzę się jutro tematowi, porozmawiam z tym facetem i dopiero wtedy zdecyduję, co dalej z tą sprawą, która może sprawą żadną miarą nie jest, i ze sobą samym, więc dziękuję ci, droga Eleonoro, za cierpliwość i rady, do widzenia”.

Od handlarki stojącej przy bramie cmentarza kupiłem bukiet stokrotek, wróciłem i położyłem kwiaty na grobie Eleonory Kamykowskiej.

Powoli wracałem do samochodu. Czy mi odbiło? A może dopadł mnie rodzaj nietypowego załamania? Wolałem nie zastanawiać się nad tym zbyt długo.

Z solidnego obiadu nic nie wyszło, czemu mnie to nie zdziwiło?, bo w lodówce miałem tylko opakowanie parówek, a nie chciało mi się już wychodzić do sklepu. Swego czasu od właściciela masarni, który przez przypadek został uwikłany w ponurą i skomplikowaną sprawę kradzieży oraz oszustw, dowiedziałem się, że sprytni producenci wędlin potrafią z dziesięciu kilogramów mięsa wyprodukować sto kilogramów parówek. Obficie nakładałem na parówki musztardę, starając się nie myśleć o dziewięćdziesięciu procentach ich składu.

Odruchowo otworzyłem butelkę czerwonego wina, pomedytowałem nad nią przez chwilę, ale na powrót zatkałem korkiem. Nie powinienem na razie popijać, miałem do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Spojrzałem na zegarek – ale za czas jakiś. Zacząłem szperać w internecie. Warsztaty teatralne w nazywającym się dumnie Powiatowym Centrum Kultury i Sztuki prowadził Dariusz Jakubas. Lat trzydzieści sześć. Magister. Nie mogłem znaleźć, z czego zrobił dyplom. Najprawdopodobniej zaliczył kulturoznawstwo albo inny podobnie ambitny i pasjonujący kierunek. Albo był aktorem, który w zawodzie osiągnął jedynie dyplom szkoły teatralnej i rolę czwartego halabardnika w spektaklu granym przez prowincjonalny teatr. Tym

jednak najprawdopodobniej pochwaliliby się w pierwszej kolejności. Poszukałem galerii zdjęć. Jakubas był szczupłym, wysokim mężczyzną, miał pociągłą twarz i półdługie, proste włosy. Wyglądał jak artycha i zapewne jak artycha się zachowywał. Nic to, że prowincjonalny. Oprócz tego, że prowadził warsztaty, był również animatorem kultury. Pomyślałem, że kulturze w tym mieście przydałaby się raczej reanimacja.

Zajmę się panem Jakubasem, sprawdzę go na wszystkie możliwe sposoby, obiecywałem sobie. Ale to jutro. Wszystko ma swój czas, pomyślało mi się. Tyle tylko że mój czas kończył się dramatycznie szybko. I nieodwołalnie.

Mając nadzieję, że Koziej wypełził już z fabryki, wybrałem numer technika. I faktycznie, wypełził. Pomarudził trochę, że odrywam go od rodzinnego obiadu, ale obiecał, że za pół godziny będzie u Felicji.

Kiedy zajechałem na Płońską, Koziej już tam był. Nakryłem go na ploteczkach ze starowinką przy, a jakże, kawie i papierosach. Miałem nadzieję, że nie wypaplał zbyt wiele na temat moich rozpaczliwych akcji samozwańczego ciechanowskiego szeryfa. Jak skończy się afera, którą rozkręciłem, myślałem, opowiem wszystko Felicji, ale teraz to nie był najlepszy moment na całą prawdę i tylko prawdę. Kazałem Leszkowi brać się do roboty, choć babka protestowała, że nie trzeba, po co te ceregiele. Wydawało mi się, że protestuje jedynie dla zasady.

Poszliśmy do komórki, Koziej otworzył swoją magiczną walizeczkę. Zaczął od rytualnych narzekań, że to właściwie robota głupiego, bo z tego, co widzi, wiele tu nie zdziała, że robi to tylko dla Felicji, dla jej spokoju. Przeczekałem słowotok technika. Wreszcie wziął się do roboty, kazał mi spadać i nie plątać się pod nogami. Wyszedłem do ogrodu, rozejrzałem się dookoła. Może to i racja. Jeśli były tu jakiegokolwiek ślady, na pewno Felicja z panem Antonim już je zdeptali podczas pochówku króliczych trucheł. Wzruszyłem ramionami. Pozostało mi do zrobienia tylko jedno. Rozpytanie.

Z odwiedzin u nielicznych sąsiadów starowinki dowiedziałem się przede wszystkim, że po pierwsze, świetnie wyglądam, w podtekście: jak na swoje lata, po drugie, za rzadko pojawiając się na Płońskiej, jak na jedyne gościa rodziny Felicji. Ni jedno, ni drugie nie było prawdą. Przynajmniej wedle mojej najlepszej wiedzy. Jedynie sąsiad,

z którym babka od dawna miała na pieńku, bo przed laty wystawił zbyt blisko jej chatynki ogromny i paskudny bliźniak, miał coś ciekawego do powiedzenia. O tyle, o ile. Dwa dni temu widział łysola w dresie, który wydawał się zbyt długo stać przed posesją starowinki. Tyle tylko że zaraz obok był przystanek, więc gość mógł zwyczajnie czekać na autobus. Poza tym sąsiad miał lekką manię prześladowczą, objawiającą się strachem przed obcymi. Do tego łysol w dresie. Też mi precyzyjne dane.

Wróciłem do komórki. Kozieja już tam nie było. Zawołałem, jego głos dobiegł zza krzaków czarnych porzeczek, zarastających niemal cały kraniec ogrodu.

– Co się urodziło? – spytałem.

– No, szalu nie ma. – Nie poczułem zawodu, bo nie spodziewałem się optymistycznych wieści. – W komórce sporo paluchów, ale pewnie większość Felicji. Pobrałem od niej do sprawdzenia. Coś warte może być tylko to.

Pod zdeptanym rabarbarem był dobrze zachowany odcisk buta, teraz już wypełniony przez technika szybko tężejącą masą.

– Może to też Felicji albo pana Antoniego. – Nie wykazałem entuzjazmu.

– A czy oni chodzą w sportowych butach w rozmiarze małych kajaków?

Koziej delikatnie chwycił odlew i przyjrzał się wzorowi podeszwy.

– Na moje oko najki, ale mogę się mylić.

– Zdaje się, że wiem czyje.

– Prorok czy co? – Leszek roześmiał się, odłożył dowód i zapalił. –

To zdradzisz ciekawskiemu koledze, kto jest psychopatycznym mordercą królików?

– Oczywiście, jak tylko będę miał pewność.

Wracając do domu, zastanawiałem się, czy nie sprawdzić od razu tropu Wielkiej Stopy. Żeby mieć to z głowy. Wóz albo przewóz. Podejrzywałem jednak, że nie uda mi się wieczorem porozmawiać na osobności z tym, którego posądzałem o mordowanie bezbronnych futrzaków. Ale co się odwlecze... Poza tym chciałem już tylko jednego,



zresetować się, nie myśleć o niczym mającym cokolwiek wspólnego ze sprawą Jowity Dudek. Właściwie z jakąkolwiek sprawą. Wróciłem do mojej pustelni, nalałem sobie kieliszek wina, włączyłem telewizor. Na ekranie po zielonej łące hasały ludziki. Szwecja – Anglia. Nim wciągnąłem się w kibicowanie, Szwedom, bo za angolskim futbolem nigdy nie przepadałem, zabuczała komórka, którą zostawiłem w przedpokoju. Nie chciało mi się ruszać z fotela. Pobuczała i przestała. Pewnie dzwonił Koziej, żeby podzielić się ze mną wieczornymi przemyśleniami, albo Głównodowodzący, żeby mi wygarnąć. Za wszystko, a głównie za dzisiejsze zniknięcie. Za chwilę telefon znowu zaczął zawodzić. Westchnąłem i podniosłem się z fotela. Spojrzałem na wyświetlacz. Paulina?

Paulina. Nie powiem, byłem zaskoczony. Nawet bardzo. Odebrałem. Brzmiała dziwnie, jakby była splakana albo pijana. Albo i jedno, i drugie. Być może i trzecie. Dopalacze? Spytała, czy może do mnie przyjść. Nie wnikałem po co, choć pewnie powinienem. Zaproponowałem, że podjadę po nią, ale odpowiedziała, że jest na Sienkiewicza, więc wystarczy, że podam adres. Tak zrobiłem, a gdy się rozłączyła, zacząłem błyskawicznie ogarniać moje zapuszczone lokum, zbierać porozrzucane wszędzie łachy, zastanawiając się przy tym, skąd Paulina wie, gdzie mieszkam. Musiałem chyba coś o tym wspomnieć w czasie któregoś z naszych rozmów. A może i nie.

Po dziesięciu minutach otworzyłem przed nią drzwi. Piła, ale pijana nie była. Raczej.

– Przepraszam, nie powinnam...

– Nie masz za co.

Przeszła do pokoju, rozejrzała się wokoło, jak to kobieta, ale nie skomentowała specyficznego porządku w mieszkaniu kawalera z odzysku. No dobrze, nie do końca kawalera.

Usiadła w fotelu, nerwowym ruchem przeczesła czarne loki. Stałem w drzwiach, oparty o futrynę. Jak zwykle w sytuacji, kiedy nie wiedziałem, co zrobić, jak wybrać, czekałem. Aż się coś wydarzy. Aż ktoś wykona ruch. Aż wypowie słowo, które pociągnie za sobą kolejne. Tym razem padło na Paulinę.

– Właściwie to jestem na ciebie obrażona, ale... – przerwała i wbiła we mnie wzrok. – Masz jakiś alkohol?

– Nie wiem, czy powinnaś teraz pić.

– Tatusiu, mam już osiemnaście lat i mogę robić, co chcę.

Nie skomentowałem, że niekoniecznie powinna robić to, co w danej chwili chce lub wydaje jej się, że chce. Choć miałem na to ochotę. Wielką. Bez słowa przyniosłem z kuchni drugi kieliszek, rozlałem resztę wina.

– Więcej nie ma?

– A czy to lokum wygląda na otwarty non stop sklep z alkoholami świata? – nie mogłem odmówić sobie drobnej złośliwości.

Wzruszyła ramionami. Ja też, symetrycznie, niczym w taniej amerykańskiej komedii romantycznej. Tyle tylko, myślałem, że kroila się raczej tragikomedia. Bez słowa wyciągnąłem z szafki kolejne wino. Ostatnie, naprawdę. Otwieranie szło mi opornie, bo cały czas szarpał mną wewnętrzny niepokój, który odbierał palcom sprawność. Po co Paulina do mnie przyszła? I po jaką jasną cholere zdecydowałem się ją wpuścić do mieszkania? Pewnie jak zwykle moja kochana starowinka miała rację. Tak, to kędzierzawe dziewczę było świadkiem w sprawie. Ale jednak nie tylko świadkiem.

Uniosła w górę kieliszek i przez chwilę wpatrywała się w krwistoczerwone wino. Jak kiper. Albo kiperka. Mniejsza o genderowe zabawy z językiem ojczystym.

– Za Jowitę – wyszeptała.

– Za Jowitę – zabawiłem się w echo.

Pociągnęła solidny łyk. Ja też. Nie odstawiła kieliszka, trzymała go w lekko drżącej dłoni.

– Widziałam cię na cmentarzu, ale szybko mi zniknąłeś.

I tyle w temacie umiejętności tajnego agenta do zadań specjalnych.

– Wiesz – mówiła dalej – nigdy wcześniej nie byłam na pogrzebie.

– Pozazdrościć – wypaliłem.

Wychyliła resztę wina i gestem dłoni wskazała, bym naprawił to, co się zepsuło.

– Wiesz, myślałam, że mnie to już nie ruszy. – Znowu się napiła. Za dużo, za szybko. – Opłakałam Jowitę. Wydawało mi się, że się z tym pogodziłam. Z bezsensowną śmiercią.

– Już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? – Jej wzrok mówił, że nie za bardzo, więc przypomniałem: – O pracy żałoby. Że to trudny i żmudny

proces? I że nie ma jednej recepty, jak przez to przejść.

– Aha.

Wydała mi się odklejona od rzeczywistości. Choć pewnie nie do końca. Dopłała wino i zerwała się z fotela, jakby chciała wybiec z mieszkania, co byłoby zapewne najlepszym z możliwych ruchów. W tej grze, która się toczyła. Jednak nie wyszła, krążyła od ściany do ściany, mówiąc:

– No więc na cmentarzu trzymałam się dobrze. Rzuciłam garść ziemi, położyłam kwiaty. Kondolencji nie składałam, pewnie Dudkom i tak wisiało, czy im coś tam wymamroczę. Ale potem była stypa. To znaczy coś w rodzaju, umówiliśmy się u jednej koleżanki, ludzie z liceum, ale nie tylko, z kilkanaście osób. I na początku faktycznie było jak na stypie, ktoś tam coś próbował mówić, wspominać Jowitę, raczej słabo to wychodziło. No więc zaczęło się picie, najpierw powoli... Właśnie. – Postukała palcem w pusty kieliszek.

Pokręciłem głową.

– Najpierw to, co masz do powiedzenia. Napijesz się później.

Przez jej twarz przemknął cień złości. Nie skomentowała, podjęła nerwową wędrówkę po pokoju. Dzielna dziewczyna.

– Potem to już kolejka za kolejką. Nikt nad tym nie panował. Były wspominki, tak, ale zaraz przeszło to w wyliczankę bzdurnych anegdotek ze szkolnych czasów. Licytacja na głupoty, które się samemu zrobiło albo o których się słyszało. Ktoś zapuścił mużę. I to już nie była stypa, tylko zwykła imprezka. Taka jak zawsze. Taka jak wtedy, gdy jeszcze Jowita nie leżała w grobie. Jak w zwykły piątek czy sobotę, a nie dzień pogrzebu. I ja... i ja... – Myślałem, że zaraz się rozplacze, ale nie, tylko zaszklily się jej oczy. – Nie chciałam tak. Nie mogłam. Poszłam sobie. Wlokłam się do domu. Ale zawróciłam. Nie mogłam być sama. A nie chciałam widzieć żadnej z koleżanek, nikogo, kogo znam. No więc padło na ciebie.

– Znasz mnie przecież.

– Tylko rozmawiałam z tobą – zauważyła całkiem przytomnie.

Nie pytając mnie o pozwolenie, chwyciła za butelkę i pociągnęła solidny łyk. Bardzo. Odwróciła się i podeszła do okna. Odstawiła wino na parapet, skrzyżowała ramiona. Ciągle stałem oparty o framugę drzwi, wiedziałem, że jeśli się od niej oderwę, nastąpi coś, co może

bardzo wiele zmienić. Lub też nie zmieni nic. Pochwaliłem się w duchu za tę błyskotliwie i jasno sformułowaną myśl. Dostrzegłem, że ramiona Pauliny drgają delikatnie. Nie zamierzałem do niej podchodzić, uznałem, że ani jej, ani mnie nie jest to do niczego potrzebne. Jęknęła, krótko i niegłośno. Coś się w niej przełamało. Nagle odwróciła się w moją stronę. Szlochała.

Podszedłem do niej. Wtuliła się we mnie, choć wyglądało to właściwie tak, jakby złapała się mnie, uchwyciła mocno, by nie upaść. Dosłownie. Na podłogę. A i pewnie też w mrok, który próbował ją tego dnia zagarnąć. Jak mnie zagarniał poprzedniego wieczoru. Płakała coraz głośniej, dygotała coraz bardziej. Nie wiem, ile to trwało, jak długo staliśmy objęci. Aż nagle odsunęła się trochę i poszukała moich ust. Zdziwiłem się, a może tylko chciałem się dziwić. Zacząłem oddawać pocałunki.

Nie wiem, jak znaleźliśmy się w łóżku. Za to doskonale pamiętam, co robiliśmy potem.

Ocknąłem się nagle w środku nocy, spojrzałem w bok. Paulina. Niedobrze. Albo dobrze. To się jeszcze okaże. Leżała obok mnie naga, z rozrzuconymi ramionami, jedno przerzuciła przez moją pierś. Poświstywała cicho przez sen. Powoli, tak by jej nie zbudzić, podniosłem się z łóżka i poszedłem do kuchni napić się wody. Kiedy wracałem, w świetle latarni zobaczyłem mój czarny pamiętnik. Nie sięgnąłem po niego. Nie musiałem. Doskonale wiedziałem, co w nim jest. Słowo po słowie, zdanie po zdaniu.

Z trudem stawiając kolejne kroki, szedłem przez pustkę. Nie miałem pojęcia, skąd to wiem, ale byłem pewien, że wokoło mnie nie ma absolutnie nic, że jesteśmy tylko my, ja i pustka. Co dziwne, wcale mnie to nie niepokoiło. Nie czułem lęku. Coś kazało mi iść, więc szedłem. Wędrówka męczyła mnie, jakby pustka była bagienną mazią, zasysającą stopy. Ale przecież nie przemierzałem bagna. Tylko pustkę. Nie wiem, jak długo to trwało, może minuty, może godziny. Zacząłem się zastanawiać, jak w pustce płynie czas. Czy w ogóle w takim

przypadku można mówić o upływie czasu. Aż nagle usłyszałem wyraźny trzask zamykanych drzwi. Jakbym stał tuż obok. Zdążyłem jeszcze pomyśleć: skąd wzięły się drzwi w pustce?

Otworzyłem oczy.

Było jasno. Nie było za to Pauliny. Jeszcze lekko otumaniony dziwnym snem podniosłem się z łóżka. Nie dostrzegłem jej ubrań. Zajrzałem do kuchni, sprawdziłem w łazience. Pusto. Pewnie wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Usiadłem w fotelu, zapaliłem papierosa. Dym nieprzyjemnie drapał w gardle. Wyszła. Nie zostawiła kartki z choćby jednym słowem. Przez krótką chwilę rozważałem, czy nie zadzwonić do niej. Bardzo krótką.

Paulina wyszła. A czegoż się właściwie spodziewałeś?

## Rozdział 16

### Zapiski depresjoholika VII

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Matka Marii przygnała do nich jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, właściwie nocą. Przytuliła córkę. Maria zareagowała jedynie westchnieniem. Potem teściowa urządziła mu furiacką awanturę. Miała do tego prawo. Padły słowa, że zmarnował jej ukochane dziecko, wypieszczoną jedynaczkę. Że to wszystko przez niego. Wszystko. Jakżeby inaczej. Maria nigdy nie zwierzała się matce, opowiadała rodzicom o sobie tylko tyle, ile musiała. Uznał więc, że nie będzie wychodził przed szereg. Kiedy matka Marii wykrzyczała już całą złość, spytała, czy ma jakiś plan, czy wie, co teraz robić. Wiedział.

Jeszcze wieczorem skontaktował się z policyjnym psychologiem, właściwie psycholożką, Dagmarą Kaniecką. Nie poznał jej wcześniej, nie miał takiej potrzeby. W końcu jakich mógł się nabawić traum związanych z pracą? Po słownych utarczkach z niedouczonymi dziennikarzami, którzy gotowi byli zabić za newsa? Śmiech na sali. Kolega z fabryki, który polecił mu psycholożkę, powiedział, że to świetna babka, nie wymądrza się, potrafi słuchać. I że niejednemu już pomogła. Skutecznie. Kaniecka obiecała, że przyjedzie z samego rana.

Maria zalegała w łóżku, jej matka krzątała się w kuchni, przygotowując śniadanie, którego nikt nie zamierzał jeść. Bo śniadanie to podstawa, wiadomo. Odebrał telefon od szefa, który przypominał, że choćby się waliło i paliło, ma być w robocie, bo jeśli nie, to już może sobie zajmować miejsce w kolejce po zasiłek. Niedługo potem zjawiała się Kaniecka. Zwarta, tak pomyślał o niej, gdy ją tylko zobaczył. I konkretna. Przeprowadziła z nim szybki wywiad, zastrzegając, że to jedynie na początek, że będzie chciała jeszcze dłużej porozmawiać o sprawie Marii. Nie miał żadnych oporów, by mówić psycholożce o wszystkim. Zdziwiło go to, ale i uspokoiło. Nigdy nie był przesadnie otwarty wobec innych. Zanudzanie ludzi opowieściami o własnych problemach uważał za niestosowne. Potem zamknęła się z Marią w sypialni.

Mijał czas, już był spóźniony do roboty. Jednak czekał. Na wszelki wypadek wyłączył komórkę. Wreszcie Kaniecka przyszła do salonu. Z kuchni zaraz przydreptała matka Marii z talerzem pełnym naleśników z serem. Psycholożka uśmiechnęła się i poprosiła o jednego. Jedząc, mówiła, że sytuacja jest poważna, nawet bardzo, i skomplikowana, że Maria potrzebuje długiej i gruntownej terapii, ale to później, za jakiś czas, że jest w stanie bardzo głębokiej depresji, tak powiedziała, że teraz Maria potrzebuje leków, które postawią jej rozchwianą psychikę do jako takiego pionu. I że ona, Kaniecka, zaraz je wypisze, bo jest nie tylko psychologiem, ale i psychiatrą, więc nie ma problemu. Powiedziała też, że Maria potrzebuje nowych bodźców, że najlepiej, jeśli na jakiś czas zmieni otoczenie. Spytała ich, czy jest to możliwe. Spojrzał na teściową, ona na niego. Kiwnęli głowami. Zostawiła na stole receptę, zwolnienie dla Marii. I wizytówkę, mówiąc, że może dzwonić do niej o każdej porze dnia i nocy.

Działał. Zrobiło mu to lepiej. Wreszcie przerwał trwający miesiącami stupor. Marii i jego. Ich.

Wypadł z trasy, która prowadziła donikąd. Podzwonił po kumplach, jeden z nich zgodził się pomóc w transporcie Marii do Skarżyska. On miał już gdzieś, czy będą potem gadać za jego plecami, że ma żonę świruskę. Bo że będą, było więcej niż pewne. Gadacz i Świruska. On inny od wszystkich, to znaczy całej ferajny z fabryki. Ona inna i jeszcze bardziej obca. Do tego pewnie groźna, jak to osoba niespełna rozumu, której nie wiadomo, co strzeli do łba. Tak będą gadać, komentować. Trudno. Razem z teściową spakowali rzeczy Marii. Starał się nie słyszeć jej, teściowej, narzekań, że właściwie nie wie, czy dobrze robi, bo jej stary ma problemy z sercem, jak on to zniesie i co ona ewentualnie zrobi, jeśli i on się jeszcze rozłoży. W końcu warknął: „Mamo”, choć warknąć nie chciał. Samo się warknęło. Coś, co nie do końca było nim, w nim warknęło. Podziałało.

Przed wyjściem do fabryki poszedł jeszcze do Marii. Stał przy łóżku, patrzył na jej bladą, zmizerniałą twarz. I znowu to do niego wróciło, niemoc, słabość. Czy to naprawdę ona, czy to moja Maria?, przemknęło mu przez głowę. Odpędził złą myśl. Pogłaskał Marię po policzku. Mruknęła coś niezrozumiale. Miał nadzieję, że nie było to przekleństwo.

Przez kolejne trzy dni znieczulał się pracą. Szef był zachwycony. On mniej. Na początku w każdej wolnej chwili dzwonił do Skarżyska, ale w końcu teściowa zezłościła się, że ona tam nie wie, w co ręce włożyć, a on jej tylko zawraca dupę, że wystarczy, że zadzwoni raz dziennie, bo z Marią jakby lepiej, coś nawet zjadła, choć wciąż niewiele mówi. Kiedy zadzwonił w czwartek wieczorem, teściowa oznajmiła z radością, że chyba leki działają, bo Maria sama z siebie wstała z łóżka, wykąpała się, umyła i ułożyła włosy. To niewiele, ale coś, cokolwiek, tłumaczył sam sobie. Wcześniej wypił trzy solidne drinki, więc zebrał się na odwagę i opowiedział teściowej o wszystkim. O bezpłodności Marii, o dziecku, którego nie będzie. Milczała długo. A potem w swoim stylu naskoczyła na niego, że czemu zrobili z tego taką cholerną tajemnicę, czemu nic nie mówili, przez to ona ciągle pytała Marię o wnuki. Głupota, jedna wielka głupota. Starał się bzdurnie tłumaczyć, że nie wiedzieli, nie mieli pojęcia, że wszystko tak się potoczy. Teściowa rozłączyła się bez słowa. Nawet ją rozumiał.

Do Skarżyska pojechał w sobotę. Otworzył mu teść, wymamrotał: „Się porobiło”, i wrócił przed telewizor. Teściowa nieodmiennie krzątała się po mieszkaniu, zagadywała do niego, lecz nie słyszał jej wcale. Maria leżała w łóżku, ale zobaczywszy go, usiadła. Uklęknął przed nią, objął ją, zaczął kołysać niczym małe dziecko, szepcząc chaotyczne słowa pociechy. Nie wiedział, dlaczego to robi. Po prostu robił. Wreszcie Maria odepchnęła go lekko i powiedziała: „Dobrze już, dobrze”. Chciał myśleć, że właśnie tak jest, że tak będzie.

Po obiedzie, w którym Maria jedynie podłubała, ale jednak siadła razem z nimi przy stole, poszedł z nią na spacer. Szli przed siebie, bez celu. Wydawało mu się, że musi cały czas mówić do Marii, więc omijając rąfy trudnych tematów, opowiadał o ostatnich dniach fabryce, o kantorowcach, którzy mimo zakrojonej na szeroką skalę operacji wciąż się wymykali. Zdawała się nie słuchać. Wzięła go za rękę. Sama, z własnej woli. Tak pomyślał, że wraca jej wola. Zamilkł. Wystarczyło, że Maria była obok niego, że szli za rękę, przed siebie, choć wciąż bez celu.

W niedzielę wieczorem musiał wracać do Krakowa, choć wiele by dał, by zostać z Marią. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że powinna odpocząć. Od Krakowa. I od niego. Tak, od niego, wiedział to, mimo że wiedzieć nie chciał. Żegnał się z nią długo, wpatrywał w jej twarz. Nie wydawała się zmartwiona tym, że wyjeżdża, w ogóle z jej twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje. Miał nadzieję, że emocje wrócą. Kiedyś. Teść odprowadził go do drzwi, na koniec rzucił: „Będzie dobrze”. Ten weekend sponsorowały dwa słowa: będzie dobrze.

Następne dni były do siebie bliźniaczo podobne, praca, wieczorne konferencje telefoniczne z teściową. Maria zdawała się wracać do jako takiego pionu. Odbyła nawet z matką kilka pogaduszek o pogodzie, w których wypowiedziała więcej niż parę słów naraz. Zawsze to coś,

myślał, małymi krokami do przodu.

W piątek wrócił z fabryki umordowany, zirytowany rozdrażnionym szefem i namolnymi dziennikarzami. Miał dzwonić do Skarżyska, ale najpierw chciał się wyciszyć. Nalał sobie kieliszek wina, usiadł w fotelu i starał się zresetować. Zabrzęczała komórka, był pewien, że to teściowa: „Tak, mamó”, odebrał. „To ja”, usłyszał i zerwał się z fotela, strącając kieliszek na podłogę, czerwona plama wykwitła na kremowym dywanie, „Maria”. Nie musiała dodawać imienia, ale ucieszył się, że Maria mówi o sobie Maria. Być może było to całkowicie irracjonalne, ale wypowiedziane przez nią własne imię stało się dla niego czymś w rodzaju powtórnych narodzin Marii. Potem zapadła cisza, przestraszył się, zaczął paplać, że się cieszy, że nie mógł się doczekać telefonu od niej. „Posłuchaj”, przerwała ma, „lepiej się czuję, chcę wrócić do domu”. Do domu, powiedziała, do domu. To też go uradowało. A więc nie była to dla niej źle kojarząca się nora, w której ukrywała się do niedawna jak ranne zwierzę, ale jednak dom. Jej dom. Ich dom.

Jeszcze tego samego dnia pognał do Skarżyska. W sobotę byli już w domu. Ich domu. Marii i jego.



## Rozdział 17

### Gra o wszystko

16 czerwca 2012, sobota

Trzymałem już komórkę, po raz kolejny tego ranka, ale zrezygnowałem. Nie ma co męczyć Pauliny, będzie chciała, sama zadzwoni. Żeby zająć czymś ręce, postanowiłem się ogolić. Z lustra ironicznie zerkał na mnie smętny typ. Były polonista, były rzecznik prasowy komendy w Krakowie, najprawdopodobniej też były śledczy komendy w Ciechanowie. Do tego były... Mniejsza o to.

Zbliżała się dziesiąta i czas, by zamknąć to, co zamknąć mogłem. Wyszedłem przed dom. Na ławce obok schodów siedział Mareczek, konsekwentny bezrobotny. Z czego żył, wolałem nie wnikać.

– Szanowanko policji – zagadał i zasalutował.

– Szanowanko wolnym zawodom.

Zarzęził śmiechem i rozkaszał się, jak na wielbiciela tanich papierosów z przemytu przystało.

– Do roboty? – Słowo „roboty” wypowiedział tak, jakby wypluwał gorzką pestkę.

– Służba nie drużba, sobota nie niedziela.

Byłem w formie, przynajmniej jeśli chodzi o wymyślanie bzdurnych fraz.

– To sąsiad nie będziesz oglądał gry o wszystko?

Moja gra o wszystko toczyła się na innym boisku, ale tego Mareczek nie musiał wiedzieć.

– To raczej będzie mecz tylko o honor.

Machnąłem ręką i wsiadłem do miśka.

Wydawało mi się, że dom kultury powinien w sobotę tętnić życiem.

Myliłem się. Po korytarzu hulał jedynie przeciąg. I dwóch smętnych młodzianków, których strój wskazywał, że zapewne mają coś wspólnego z graniem ciężkiego rocka. Albo przynajmniej namiętnie go słuchają ku utrapieniu rodziców i sąsiadów. Byli na tyle uprzejmi, że wskazali mi pokój, w którym przesiadywała osoba tego dnia opiekująca się przybytkiem muz wszelakich. Kierowniczką, tak o niej mówili. Pewnych słów i fraz chyba nigdy nie da się wyplenić z języka.

Kierowniczką okazała się niebrzydka kobieta w trudnym do określenia, przynajmniej dla mnie, wieku, która po pytaniu, czy może miałem szczęście zastać Dariusza Jakubasa, spojrzała na mnie jak na niepełnosprawnego umysłowo w stopniu znacznym. Potem poinformowała, zbędnie, że jest sobota, a co za tym idzie Dareczka w domu kultury nie ma i być nie miało. Poprosiłem w takim razie kierowniczkę o podanie mi adresu i numeru telefonu Jakubasa. Zapytała, w jakim celu i czy to aby konieczne. Uwielbiałem tego rodzaju przekomarzania. Pouczyłem ją o konieczności współpracy obywateli z organami ścigania, co przyjęła za zrozumieniem. Choć widziałem, że aż płonęła z ciekawości, co też takiego jej kolega zmalował, że szuka go policja. Wyszedłem z domu kultury, mnąc w palcach kartkę z danymi animatora. Usiadłem na ławce stojącej zaraz przy schodach, zapaliłem i wybrałem numer Jakubasa. Odezwał się automat. Jakżeby inaczej. Zapatrzyłem się na naturalnych rozmiarów figurę żubra, uformowaną z kunsztownie połączonych metalowych wstęg. Tak, metaloplastyka. Kiedyś to, panie, była sztuka.

Prowadzący warsztaty teatralne animator kultury Dariusz Jakubas mieszkał przy Zagumiennej, niespecjalnie reprezentacyjnej ulicy w bok od Pułtuskiej. Gdybym nie był polonistą upadłym, powiedziałbym, że ta okolica zachowała rustykalny koloryt, ot, resztki wiejskiego skansenu w środku miasta. Pamiętałem jeszcze czasy, nie tak bardzo odległe, kiedy unosił się tam niedyskretny zapach gnojówki. Po pięciu minutach zaparkowałem przed posesją, na której stał obłożony poszarzałym sidingiem, kryty eternitem niewielki parterowy dom. Eternit? Albo animowanie kultury było zajęciem mało popłatnym, albo Jakubasowi się nie chciało. Z równym prawdopodobieństwem mogłem

obstawiać albo jedno, albo drugie. A właściwie i jedno, i drugie. Pchnąłem furtkę, skrzyp zawiasów wwiercił mi się w uszy. Nacisnąłem dzwonek przy drzwiach wejściowych. Nic się nie stało. Zastukałem więc do bram. Nadal nie działało się nic. I nie stanie się nic aż do końca, pomyślałem i opadły mi ręce. Dosłownie. Dlaczego naiwnie sądziłem, że przyjdę do domu Jakubasa, a Jakubas tam będzie? Byłaby to, oczywiście, miła niespodzianka, jednak mnie takie pomysłyne zrządzienia losu zwykle zdarzały się od wielkiego dzwonu. Pan Dariusz mógł teraz zmierzać na mecz Polska – Czechy do Wrocławia, bawić na przeglądzie teatrów amatorskich w Sieradzu albo zwyczajnie byczyć się nad mazurskim jeziorem, popijając dobrze schłodzone piwo i bałamucąc nastoletnie dziewczęta. Wołałem nie dociekać, czemu w tym momencie do głowy przyszły mi akurat nastoletnie dziewczęta. Rzecz ujmując krótko, Jakubas mógł być wszędzie. Ze złości kopnąłem w drzwi. I zdarzył się cud. Drzwi się otworzyły.

Stała przede mną wysoka, lekko przygarbiona kobieta w szarym powyciąganym dresie drugiej świeżości. Na nogach miała, o dziwo, szpiloty, czerwone, lśniące jakby przed chwilą je wyczyściła. Długie, proste, siwe włosy spływały na jej ramiona. Kiedyś musiała być piękna, ale raczej nie było to w XXI wieku. Zaciągnęła się cienkim papierosem i wypuściła chmurę dymu prosto w moją twarz.

– Masz jakąś sprawę, chłopcze, czy przyszedłeś postać sobie na moim ganku?

Odchrząknąłem. Z niejasnych dla mnie powodów kobieta sprawiała, że czułem się nieswojo.

– Podkomisarz Konrad Rowicki, policja.

– No, proszę.

Nie wiedziałem, jak rozumieć tę uwagę.

– Szukam Dariusza Jakubasa, mieszka tu, tak?

– A gdzie miałyby mieszkać, jak nie u mamusi.

Zdziwiłem się nieco. Jak dla mnie, wyglądała na kobietę, która powinna mieć ustawowy zakaz posiadania potomstwa.

– Halina Jakubas – przedstawiła się i wdzięcznym gestem podała mi dłoń do ucałowania. Byłem tak oszołomiony, że zrobiłem to, choć nie zwykłem całować kobiet po rękach. – Wchodzisz, chłopcze?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i poszła w głąb domu.

Ruszyłem za nią przez zagracony korytarz do niewielkiego salonu. Zatrzymałem się w drzwiach. W porównaniu z tym, co tam zobaczyłem, w moim mieszkaniu panował sterylny porządek. Jakubas usiadła na powycieranej, poplamionej kanapie, zakładając nogę na nogę w sposób, który zawstydziłby Elżbietę Jaworowicz. Mimo że powyciągane spodnie dresowe nieco psuły efekt. Na ławie przed nią stały otwarty laptop, popielniczka, z której wysypywały się niedopałki, butelka czerwonego wina bardziej pusta niż pełna i kieliszek. Zestaw przetrwania kobiety po przejściach.

– Podasz mi wino? – spytała omdlewającym, choć chrapliwym głosem.

Zrobiłem, o co poprosiła, i klapnąłem na fotel. Coś pisnęło pod moim tyłkiem, więc zerwałem się na równe nogi. Jakubas zachichotała niczym gimnazjalistka. Wziąłem do ręki gumową piszczącą kość.

– Ulubiona kość Doris. Kochana psina – wyjaśniła.

Rozejrzałem się wokoło.

– Nie widzę tu żadnego psa.

– Zdechła jakiś rok temu.

Pokiwała głową, co zapewne miało oznaczać zadumę nad nazbyt szybko umykającym czasem, i zapaliła kolejnego papierosa. Odłożyłem kość na ławę i usiadłem. Czułem się, jakbym trafił w sam środek filmu braci Coen. Jednego z tych bardziej zakręconych.

– Rozumiem, że pana Dariusza nie ma?

– A ja ci, chłopcze, nie wystarczam?

Zatkało mnie, nie miałem pojęcia, jak z nią rozmawiać. Na szczęście Halina nie zamierzała ciągnąć dłużej bzdurnej gierki, umoczyła usta w winie i spytała:

– A o co chodzi? Coś się stało?

– Muszę porozmawiać z pani synem.

– Ma kłopoty?

– Niekoniecznie, jednak może mieć ważne dla mnie informacje.

– Aha.

Po raz kolejny najwyraźniej się zawiesiła, całkowicie skupiając uwagę na papierosie. Spróbowałem innej strategii konwersacyjnej. Proste pytania, proste odpowiedzi. Tak. Nie. Ewentualnie – nie wiem.

– Pan Dariusz jest w domu?

Zgasila papierosa i skupila na mnie wzrok. Chyba zadzialalo. Blydy usmiech blakal sie na jej ustach.

– Nie.

– A wie pani, gdzie syn jest?

Zaczela nerwowo przeczesywac dlonia wlosy. Czyzby za trudne pytanie? Jednak nie, bo po chwili odpowiedziala:

– A kto go tam wie.

Nalala sobie do pelna. Zaczela popijac, co chwila podnoszac kieliszek do ust i pociagajac krótkie lyki.

– Ale jest w miescie?

Kiwniecie glową. Kilka kolejnych lyków. Obawialem sie, ze przy takim tempie nie doczeka w przytomnosci umyslu konca tej rozmowy.

– Moze u jakiegoś znajomego, przyjaciółki? – podpowiadalem.

– Przyjaciółki?! – prychnęła i z impetem odstawila kieliszek na lawę, wylewajac odrobinę wina. – Synek nie ma zadnej przyjaciółki. Tylko z tymi siksami na komputerze gada.

Siksami?

– Kogo ma pani na mysli?

– Te różne panienki z domu kultury.

Robilo sie coraz ciekawiej. Matka Halina najwyraźniej zaczęła sie rozkręcać.

– Jakie panienki?

– Młode – syknęła i zapalila papierosa. – A mówiłam mu tyle razy, znajdź sobie jakas poważną kobietę, ustatkuj sie, bo jak mnie zabraknie, to zostaniesz na świecie sam jak palec. Tak, mamula, oczywiście. A swoje robil! Na komputerze z nimi ciągle gadal. Myslal, ze ja nie wiem, ze sie nie znam. Ze tylko pasjansy stawiam. A ja wszystko wiem, wszystko umiem.

– Przeszukiwala pani komputer syna?

Na jej ustach blakal sie niewyraźny usmiech.

– Od razu przeszukiwalam – zachnęła sie, zapalajac papierosa. – Zostawial otwartego laptopa, to zerkalam.

– I co pani zobaczyła?

– Gadal z nimi na czatach, jakies zdjecia w plikach sobie przesyłali. Ale nie otwieralam, bo jeszcze by sie synek zorientowal.

Lampki w mojej glowie zamigotaly na czerwono. Wszystkie.

– Mogę zajrzeć do pokoju syna? – zapytałem obojętnym tonem.  
Spojrzała na mnie ni to z uśmiechem, ni to z grymasem.

– Proszę bardzo. Pierwsze drzwi z korytarza w lewo.

Poszedłem, nacisnąłem klamkę. Zamknięte. W drzwiach zamontowany był solidny zamek. Kto aż tak chroni prywatność? No właśnie.

– Zamknięte – powiedziałem, wróciwszy do salonu.

– Niemożliwe – zaszczębiotała słodko.

– Może ma pani klucz?

– Synek zawsze nosi go przy sobie.

– Nie wydaje się to pani dziwne?

– A niby co takiego, chłopcze?

– Że syn zamyka przed panią swój pokój.

Nie odpowiedziała, znowu popijała wino drobnymi, nerwowymi łykami. Przez moment zastanawiałem się, czy może nie włamać się do pokoju Jakubasa. Uznałem jednak, że to jeszcze nie czas. Znowu się pospieszę i wygłupię. Musiałem mieć pewność. Dobrze, choćby cień pewności.

Rzuciłem „do widzenia” i nim matka Halina zdążyła zareagować, wybiegłem z domu. Już wiedziałem, co robić. Miałem plan. Jak nie ja. Ostatnio ciągle miałem jakieś plany. Żeby jeszcze cokolwiek z nich wychodziło.

Plan był ryzykowny, właściwie absolutnie szalony. Ale mimo to plan.

Szybko przemknąłem przez swoje mieszkanie, wydrukowałem zdjęcie w rozdzielczości najlepszej z możliwych. Jadąc, zbyt szybko, zbyt nerwowo, do Białego Boru, starałem się zapanować nad ekscytacją. Byłem na tropie i tym razem intuicja mówiła mi, że jest to trop właściwy.

Podjeżdżając pod bramę prowadzącą na teren kliniki psychiatrycznej, miałem nadzieję, że spotkam Ryśka, uniknę zaś widzenia się z doktorem Gałązką. To pierwsze nie okazało się nadzieją płonną. Ochroniarz wychynął z budki. Twarz miał obrzmiałą, poczerwieniałą. Najwidoczniej od wczoraj niewiele zmieniło się w jego życiu. Może tylko kaca miał nieco mniejszego. Nie był chyba specjalnie

szczęśliwy, że znowu mnie widzi.

– Ale ja już wszystko powiedziałem – zaczął, nim zdążyłem się odezwać.

– Ja nie do pana, tylko... – Wskazałem dłonią w kierunku budynku.

– Aaa... Umówiony?

Zignorowałem pytanie.

– Ale jeśli już pana spotkałem... – Sięgnąłem po leżące na siedzeniu pasażera zdjęcie. – Może widział pan tego typu?

Rysiek zrobił krok w tył, jakby fotka emitowała szkodliwe promieniowanie. Nachylił się lekko i przyjrzał obrazkowi.

– A w życiu – powiedział z pełnym przekonaniem.

– Przypadkiem nie przypomina panu tego gościa, który się tutaj próbował włamać?

Ochroniarz westchnął ciężko i przecesał dłonią resztki włosów.

– Mówiłem przecież, z tyłu go tylko widziałem, nie z facjaty.

Dotarło do mnie wreszcie, że tracę czas, licząc na to, że Rysiek cokolwiek wygrzebie z przerytej alkoholem pamięci. Zaczął mówić, że musi zgłosić mój przyjazd, ale nie słuchałem go, wrzuciłem bieg i zajechałem pod budynek. Jednoosobowy komitet powitalny znowu składał się z doktora Gałązki. I to by było na tyle, jeśli chodzi o dary losu.

– Miałem nadzieję nie oglądać już tu pana – zagadał przyjaźnie.

– Pan miał nadzieję, ja miałem nadzieję, a życie życiem – wypowiedziałem kolejny z moich błyskotliwych bon motów.

– Zgaduję, że pewnie pan podkomisarz chciał po raz kolejny porozmawiać... – Zaśmiał się w swój niepowtarzalny, gulgoczący sposób. – Z Anią.

– Pan doktor czyta w moich myślach. Uczą tego na studiach czy to talent dany od Boga?

Nie zaśmiał się. Nie skomentował.

– Nie podoba mi się to wszystko coraz bardziej. Chyba powinienem skontaktować się z pana przełożonym.

– Proszę bardzo. Podać panu numer? – zagrałem va banque.

Wbił we mnie pusty wzrok. Kto wie, co widział. Oby szczerego do bólu, prawdomównego funkcjonariusza, który z oddaniem wykonuje obowiązki służbowe. Choćby nawet nieprzyjemne.

- Pięć minut, nie więcej – wycedził.
- To aż nadto.

Znałem drogę, ale szedłem grzecznie za doktorem Gałązką, który i tym razem chciał monitorować spotkanie z Anną Jurkowską. Moje odczucia wobec tego miejsca się nie zmieniły. Hotel i tyle. Nie odmienił się też widok po otwarciu drzwi pokoju dziewczyny, jakby czas zatrzymał się w tym miejscu dwa dni temu, a właściwie dużo wcześniej. Anna siedziała na krześle przy stoliku i wpatrywała się w okno. Brakowało tylko talerza z kanapkami. Znowu powtórzyliśmy powitalny rytuał, na który dziewczyna, oczywiście, nie zareagowała. Dosiadłem się i próbowałem pochwycić jej wzrok. Bezskutecznie.

– Pamiętasz mnie? Jestem z policji, byłem u ciebie niedawno – mówiłem ciepłym, kojącym głosem.

Zero reakcji. Nie było sensu się cackać. Zrobię swoje i zniknę, postanowiłem. Wyjąłem zdjęcie i położyłem na stole przed nią.

– Proszę, spójrz, znasz tego mężczyznę?

Anna wciąż patrzyła przed siebie, wbijała wzrok w rozbuchaną zielenią za oknem, jakby miało się tam zaraz pojawić coś, czego absolutnie nie powinna przeoczyć. Matka Boska o kojącym uśmiechu? Wziąłem fotografię i podsunąłem jej przed twarz. Powolnym, sennym ruchem zaczęła odwracać głowę, ale nagle zamarła w połowie gestu i, jak na nią, szybko zerknęła na zdjęcie. Oczy Anny pociemniały, jakby zasnuł je cień. Opuściła powieki, ale za moment znowu wpatrywała się w fotografię. Łapczywie. Tak, to było właściwe słowo.

– Panie podkomisarzu, co... – pełen niepokoju głos doktora Gałązki dobiegł do mnie przytłumiony, gdzieś z daleka.

Byłem tak skoncentrowany na oczach Anny, że nie zauważyłem, co się z nią dzieje. Wbijając wzrok w zdjęcie, trzęsła się jak w febrze. Jej twarz nadal przypominała maskę, ale ewidentnie coś się z nią działo.

– Poznajesz? Wiesz, kto to?

Anna zaczęła się kiwać, coraz szybciej. W przód i w tył. W przód i w tył.

– Znasz go?

– Co pan jej pokazuje? – wrzasnął doktor Gałązka i podskoczył do



mnie, chcąc mi wyrwać z ręki fotografię.

Dziewczyna zamarła. Medyk zatrzymał się w pół kroku. Z szeroko otwartych ust Anny najpierw wydobył się cichy pisk, który narastał, nabierał mocy. Aż zmienił się w zwierzęce wycie. Przerazające, rozsadzające bębrenki uszu. Nie do wytrzymania.

Pierwszy ze stuporu wyrwał się doktor Gałązka, podbiegł do drzwi i krzyknął: – Siostro!

Zerwałem się z krzesła, potracając lekarza, wybiegłem na korytarz i pomknąłem do wyjścia, słysząc za sobą wrzaski:

– Niech pan się zatrzyma! Co to było?! Co pan...

Trzask zamykanych drzwi odciął mnie od głosu doktora Gałązki. Wycie Anny wciąż wibrowało mi pod czaszką. Wsiadłem do miśka, sięgnąłem do kieszeni po kluczyki i zorientowałem się, że wciąż ściskam w dłoni zdjęcie. Pomięte.

Ściągniętą z internetu fotografię animatora kultury Dariusza Jakubasa.

Przepraszam cię, Anno, szeptałem, kiedy po kilku kilometrach szaleńczej jazdy zjechałem na pobocze. Zrobię wszystko, co mogę, żeby ci pomóc. Jak tylko zamknę tę cholerną sprawę.

Pochyliłem się i oparłem czoło o kierownicę. Wciąż szarpał mną niepokój. Próbowałem się uspokoić, oddychałem głęboko, licząc do dziesięciu i z powrotem. Puściło. Nieco.

Zastanawiałem się, co robić. Przede wszystkim musiałem się dostać do zamkniętego pokoju Jakubasa. Do jamy Sinobrodego. To nie będzie problem, matka Halina raczej mi w tym nie przeszkodzi. Ale czy dzwonić do fabryki? Tylko co mogę w tej chwili powiedzieć Głównodowodzącemu? Że nagłe załamanie niestabilnej psychicznie dziewczyny wskazuje, że Dariusz Jakubas w jakiś, trudny na razie do jasnego ustalenia, sposób przyczynił się do samobójczej śmierci kilku nieszczęśników? Przecież Gajowniczek by mnie wyśmiał, a później opierdolił z góry na dół. Musiałem mieć coś więcej od przeczuć i własnej pewności. Coraz większej. Musiałem mieć dowody twarde jak dębowa klepka.

Na wszelki wypadek powinienem jednak zapewnić sobie wsparcie.

Jakiegokolwiek, choćby symboliczne. Postawiłem na telefon do przyjaciela i wybrałem numer Kozieja. Odebrał po pierwszym sygnale, jakby niecierpliwie czekał na kontakt ze mną.

– No jesteś. – Był mocno zdenerwowany. – Gdzie ty się podziewasz? Co robisz? Gajowniczek znowu wydzwania i próbuje cię namierzyć.

– W razie czego powiedz mu, żeby trzymał nerwy na wodzy, bo mu pikawa wysiądzie.

– Konrad, tu nie ma nic śmiesznego. Boję się, że z tego wszystkiego wyjdzie straszny kwas.

– Mówiłem ci – próbowałem uspokoić technika – w razie czego wszystko biorę na siebie. To już nie potrwa długo.

– Masz coś? – w jego głosie zawibrowało podniecenie.

– Tak, zdaje się, że namierzyłem gościa od amatorskich filmików porno.

– Kto to?

– Jadę zaraz w jedno miejsce. Za godzinę będę miał pewność.

Albo znowu wyjdę na debila, pomyślałem, ale zachowałem to dla siebie.

– Ale, kurde, sam? Bez wsparcia.

– Wystarczy, że ty będziesz moim wsparciem.

Cisza. Po chwili usłyszałem, jak Koziej zapala papierosa i zaciąga się głęboko. Raz, drugi.

– Obiecywałeś, że nie będziesz mnie już w nic wplątywał.

– I nie wplątuje. Proszę tylko, żebyś pojechał do fabryki i był tam na miejscu. Do odwołania.

– Po co?

– Na wszelki wypadek. Gdybym na szybko potrzebował pomocy. Przecież zanim wyjaśnię temu matołowi Szybkiemu Romkowi albo komuś innemu, o co chodzi, może być za późno. A ty doskonale wiesz, o co biega, możesz szybko zareagować – klarowałem.

– No nie wiem.

– Jak tylko znajdę dowody, dzwonię na komendę i przechodzimy na legal. To znaczy przechodzę. Choćbym nawet miał dostać od Gajowniczką po dupie.

– OK, tylko co, tak sobie nagle zjawię się w robocie, mimo że nie mam służby?

- Powiesz, że masz zaległą robotę. Przypadkiem nie jest tak?
- Niech ci będzie. Masz już u mnie taki dług wdzięczności, że do końca życia się nie wypłacisz.
- Jeszcze jedno...
- Weź mnie nie dobijaj!
- Sprawdziłeś numer telefonu, o który cię prosiłem? Ten od wczorajszego esemesa z dobrą radą?
- No tak. Numer na kartę.
- Trudno. – Westchnąłem. – Zmykam, jak będę miał konkrety, zaraz do ciebie dryndnę.
- Dobra – burknął i się rozłączył.
- Dobra. Dopiero się okaże, czy będzie dobrze.

– To znowu ty, chłopcze. Czyżbyś się stęsknił?

Matka Halina powitała mnie tak samo jak poprzednio w powyciąganym dresie, czerwonych szpilotach i z cienkim papierosem przyklepionym do palców. Zmieniło się tylko to, że wzrok miała bardziej rozmyty. Zdaje się, że otworzyła kolejną butelkę wina. Raczej na pewno.

Nim tam wszedłem, wybrałem numer komórki Jakubasa, odezwała się poczta głosowa. Było mi to nawet na rękę, wołałem się jednak upewnić, czy przypadkiem nie sfrunął do rodzinnego gniazda.

– Zastałem syna?

– Dareczka nie ma.

Nie czekając na zaproszenie, wszedłem do środka i stanąłem przed drzwiami pokoju animatora kultury.

– Muszę tam wejść.

– Nie, nie, nie. Dareczek będzie zły. – Gwałtownie zamachała obiema rękami. Z papierosa na prawo i lewo osypywał się popiół.

Ująłem ją pod ramię, poprowadziłem do salonu i posadziłem na usyfionej kanapie. Na ławie oprócz pustej butelki stała druga, mocno już naruszona. Połałem z niej hojnie.

– Pani Halino, to poważna sprawa. Proszę nie utrudniać.

– Ale...

– To nie potrawa długo. Proszę się napić.

Upiła spory łyk. Westchnęła. Ruszyłem do drzwi, ale zatrzymał mnie jej ostry głos:

– Ale przecież...

Odwróciłem się do niej. Szklisty wzrok matki Haliny skupił się na mnie. Sprawiała wrażenie, jakby w sekundę wytrzeźwiała.

– Wy, chłopcy, myślicie, że Halina nic nie rozumie, nic nie wie. A ja oglądam filmy w sieci. Powinieneś mi, chłopczyku, pokazać nakaz.

Pięknie! Zaskoczyła mnie. Nie byłem na to przygotowany.

– Mam nakaz, oczywiście – improwizowałem. – Ale poza tym chodzi o pokój pani syna, więc zgodnie z prawem jestem zobowiązany jemu pokazać nakaz, nie pani.

Większej bzdury chyba nie mogłem wymyślić. Wbiłem w nią wzrok początkującego hipnotyzera. Czekałem, myśląc gorączkowo, co zrobię, jeśli zacznie się stawiać. Przecież nie będę jej wiązał.

– Aha – powiedziała.

I nagle straciła mną zainteresowanie. Zapaliła papierosa, umoczyła usta w winie i zapatrzyła się w ekran laptopa. Matka animatora kultury najwyraźniej nie należała do osób stabilnych psychicznie. Na moje szczęście.

Stałem przed zamkniętymi drzwiami. Mój kumpel, jeszcze w Krakowie, nauczył mnie posługiwania się wytrychami, ale nie miałem czasu ani ochoty na takie zabawy. A i nie zwykłem nosić przy sobie wytrychów. Zrobiłem dwa kroki w tył i kopnąłem w drzwi koło zamka. Zakląłem, z trudem łapiąc równowagę. Zamek wytrzymał, a ja balansowałem na jednej nodze, ze stopą uwięzioną w dziurze w drzwiach. Próbowałem się uwolnić, wyklinając w myślach własną głupotę. Przecież to standard, ludzie montują sobie wymyślne zamki, nie biorąc pod uwagę, że mają drzwi ze sklejk, które można bez trudu rozwalić jednym uderzeniem. W końcu stanąłem jak na homo sapiens przystało.

– Dareczek będzie zły – usłyszałem za sobą.

Kiedy się odwróciłem, już wróciła do salonu. Laptop, łyk wina, papieros. Mały, bezpieczny świat matki Haliny.

Włożyłem rękę w dziurę w drzwiach, otworzyłem zamek. Pokój jak pokój. Podniszczona postpeerelowska meblościanka, trochę nowych

mebli, wielkie biurko pod oknem. A na nim masa sprzętu, dwa laptopy, pecet, ogromny monitor, routery, kable, masa skłębionych kabli. Najwidoczniej animator kultury nie skupiał się tylko i wyłącznie na sztuce aktorskiej. Do ścian przymocowane były taśmą samoprzylepną plakaty spektakli teatralnych. Głównie wystawianych w ciechanowskim domu kultury. Dwa były starsze, profesjonalne, ze stołecznych teatrów. Na jednym z nich widniało nazwisko Dariusza Jakubasa. Małym drukiem. Czyli jednak zdarzyło mu się zagrać czwartego halabardnika albo inne szuwary. Na półkach stało sporo książek, rozmaitych, od Sasa do Lasa, sporo kryminałów. Usiadłem przy biurku, uruchomiłem komputery. Pomyślałem, że przydałby mi się teraz Koziej albo któryś z jego podwładnych. Wiedziałem jednak, że nie mogę go już o nic prosić. Komputery tymczasem grzecznie poprosiły o podanie hasła. Niezbyt grzecznie zakląłem.

Metodycznie przeszukiwałem pokój. W szafie i w zamykanych szafkach było sporo ciuchów. Tylko w ciemnych kolorach: czarne, szare, granatowe. Animator kultury najwyraźniej nie był barwnym ptakiem. W szufladach biurka mnóstwo nieopisanych płyt CD. Musiałbym mieć dzień albo dwa, żeby wszystkie choćby pobieżnie przejrzeć. Powoli traciłem nadzieję, zostały mi tylko jeszcze półki z książkami. Od razu rzuciły mi się w oczy trzy pękate albumy ze zdjęciami. Kto teraz jeszcze robi sobie papierowe wersje fot? Wziąłem pierwszy z brzegu. Scenki z dzieciństwa Dariusza Jakubasa. Milutkie. Dareczek zimą i Dareczek latem. W plenerach i w pomieszczeniach. Dareczek sam, Dareczek z matką Haliną. Ojca brak. Chyba że to szanowny tatuś cykał fotki. Sięgnąłem po następny album. I zdębiałem.

Powoli przekładałem stronę po stronie. Patrzyłem na dziesiątki zdjęć dziewczyn. Niektóre grzeczne. Pozowane portrety, zdjęcia w knajpach, parkach, na ulicach. Zwykła dokumentacja zwykłych chwil. Uśmiechnięte młode kobiety i poważne młode kobiety. Inne mniej lub bardziej niegrzeczne. Nagie dziewczęta, osłaniające rękami, nieco bezradnie, piersi i łono. Dziewczęta wyzywające, z rozsuniętymi udami i wzrokiem, który kusi i zaprasza. Wiele dziewczyn, a wśród nich Anna Jurkowska, Dagmara Sęktas, Agnieszka Lewandowska. A także Jowita Dudek.

Miałem go.

Wystarczyło tylko dopaść Dariusza, przycisnąć i dowiedzieć się, co takiego animator kultury Jakubas robił i w jaki sposób to robił, że dziewczyny, które miały nieszczęście go poznać, stawały nad krawędzią. I skakały. To nie powinno być trudne, tym bardziej że pewnie w jego sprzęcie komputerowym skrywały się dziesiątki dowodów. Niezbitych. Nie sądziłem, żeby posprzątał po sobie. Prawdopodobnie był pewien, że jest bardzo cwany. Że nikt nigdy nie wpadnie na jego ślad, że będzie mógł bez końca igrać z życiem dziewczyn.

Zgarnąłem album, wybudziłem z alkoholowego letargu matkę Halinę, przykazując, żeby nie wchodziła do pokoju syna i żeby zadzwoniła do mnie, gdy tylko Dareczek zjawi się w domu. Wzięła w palce moją wizytówkę, wbiła w nią wzrok. Nie powiedziała nic, nie kiwnęła głową. Nie byłem pewien, czy cokolwiek do niej dotarło. Wybiegłem na zewnątrz, ściskając w dłoni komórkę.

Rzuciłem album ze zdjęciami na tylne siedzenie. Stałem przy miśku i po raz kolejny tego dnia wybrałem numer Jakubasa. Poczta. Nagrałem się, prosząc o jak najszybszy kontakt w bardzo pilnej sprawie. Naiwne, ale być może uda mi się wziąć go z zaskoczenia. Zastanawiałem się, co dalej. Właściwie powinienem wezwać tu kolegów, z Koziejem na czele, by solidnie przetrzepali norę Jakubasa. Nie byłem jednak pewien, jak zareaguje Głównodowodzący, gdy uzyska potwierdzenie, że grzebałem i wciąż grzebię przy solidnie zamkniętej sprawie, ignorując wszelkie zakazy. Na pewno zażąda szczegółowych wyjaśnień, a potem być może zacznie się zastanawiać, co z tym fantem począć. A to potrwa. Długo. Właściwie miałem tylko jedno wyjście. Zdecydowanie najlepsze. Dopaść animatora kultury, przesłuchać, nie przejmując się procedurami, w końcu jedno wykroczenie mniej, jedno więcej nie grało już roli, uzyskać przyznanie się. Albo przynamniej lekko zmiękczonego zawlec do fabryki, zamknąć i spokojnie czekać, co Koziej znajdzie w jego komputerach.

Przeparkowałem samochód tak, by nie stał przed domem Jakubasa, ale żebym miał wszystko na oku. Mogłem tylko jedno – czekać. Prędeż

czy później animator kultury zjawi się w domu. Próbowałem się wyciszyć, zatrzymać gonitwę myśli. Nawet mi się udało. Zapadłem w samochodowy fotel. I w bezwład. Ale nie na długo.

Komórka szalała. Jedno połączenie. Zerknąłem na wyświetlacz. Gajowniczek, niedobrze. Drugie. Trzecie. Nie mogłem unikać rozmowy bez końca. Głównodowodzący wpadłby jeszcze na jakiś absurdalny pomysł, na przykład by wysłać po mnie patrole w miasto. Był do tego zdolny. Zawzięty kurdupel. Odetchnąłem głęboko kilka razy, nakazałem sobie bezwzględny spokój i odebrałem, kiedy zadzwonił po raz czwarty.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?! – usłyszałem, nim zdążyłem się odezwać.

– A o co chodzi? – grałem pierwszego naiwnego.

– Weź mnie nie osłabiaj! Gdzie ty jesteś? Co robisz? Masz tu zaraz do mnie przyjechać!

Nie wiedziałem, na które z pytań Głównodowodzącego odpowiedzieć najpierw, więc zignorowałem wszystkie.

– Chory jestem. Dałem przecież zwolnienie do kadr.

– Tak!? – Gajowniczek ryknął. – Taki jesteś umierający? To czemu jeździsz po psychiatrykach i przesłuchujesz chore dziewczyny? I wymachujesz lewymi kwitami niby od prokuratora. I czemu zdemolowałeś knajpę Władkowi?

– Od razu zdemolowałem...

– Czyli byłeś tam?

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Zamknij się i słuchaj: za chwilę cię u mnie widzę.

Westchnąłem ciężko. Doktor Gałązka jednak nie zdierzył i zadzwonił do fabryki. Mój błąd. Nie pierwszy w ostatnich dniach. Mogłem z konowałem porozmawiać, zanim się zwinąłem z Białego Boru. A że Władek rozpuścił zaraz jezor, nie zdziwiło mnie wcale a wcale. Chcąc zyskać na czasie, zmieniłem temat:

– Tylko z jedną dziewczyną rozmawiałem.

– Co ty mi tu pierdolisz?! Myślisz, że nie wiem, co kombinujesz? Węszysz przy sprawie, która nie powinna cię już interesować. A przecież cię ostrzegałem.

– Mam nowy trop – wypaliłem, zanim się zorientowałem, co mówię.

– To ci rewelacja! Powtarzam: za chwilę cię tu widzę. Rozumiesz? I nie ma, że boli, ma boleć i chuj.

Byłem pod wielkim wrażeniem ostatniej frazy. Oczywiście, mogłem do niego pojechać i opowiedzieć, co udało mi się wywęszyć. Byłem jednak pewien, że Głównodowodzący nic z tym nie zrobi, więc powiedziałem na odczepnego:

– Zaraz będę.

– Ja myślę. Bo inaczej będziesz miał przejebane jak w ruskim czołgu.

Rozłączył się. Czekał tatka latka, pomyślałem. Najpierw Jakubas, potem Gajowniczek. Nie inaczej.

Stałem przy miśku. Palilem. Choć wiedziałem, że policyjna robota głównie polega na czekaniu, wkurzałem się, bo tego czekania było ostatnimi czasy za wiele. Nawet jak dla mnie. Chciałem działać, dopaść wreszcie Jakubasa. Na dobre. A potem niech się dzieje, co chce.

Znowu rozdzwoniła się komórka. Myślałem, że Głównodowodzący dalej chce prostować ścieżki mojego żywota, ale nie. Nieznany numer. Odebrałem.

– Halo?

– Dzień dobry, panie podkomisarzu.

Typ się nie przedstawił. Ciekawe.

– Z kim mam przyjemność? – zapytałem.

– Przyjemności to raczej nie będzie. – Chichot zabrzmiał złowieszczo. – Jakubas z tej strony. Chciał pan ze mną porozmawiać. Ja właściwie z panem też.

Zastanawiałem się, jaką wybrać strategię rozmowy. Nim cokolwiek wymyśliłem, animator kultury przejął inicjatywę:

– Nachodzi pan moją matkę. Nieładnie.

Szybko rozejrzałem się dokoła. Był blisko, tak czułem, gdzieś tutaj musiał się czaić. Może nawet w tej chwili patrzył na mnie z ukrycia. W pojedynkę miałem znikome szanse, żeby go znaleźć.

– Wydaje mi się, że to nie ja jestem temu winny.

– Może tak, może nie. – Znowu się zaśmiał. Chyba był zestresowany. Jednak nieźle panował nad głosem. W końcu był aktorem. Nic to, że pewnie byle jakim. – Prawdę powiedziawszy, nie myślałem, że



dojdiesz aż tak daleko.

Skrócił dystans. Byłem pewien, że za chwilę powie coś istotnego. I że nie będzie to miłe.

– Miałem cię na oku. – Tego akurat już się domyśliłem. – Nie zakładałem tylko, że będzie mi to potrzebne, ale strzeżonego...

– Wiesz, że się nie wywiniesz.

– To akurat nie jest rozstrzygnięte.

W słuchawce zaległa cisza. Myślałem, że połączenie zostało przerwane, ale nie:

– Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Ktoś?

– Konrad, Kooonraaaaad...

Paulina? Poczułem, mimo upału, zimny pot na plecach.

– Jak mi się wydaje, masz problemy z kobietami. – Jakubas znowu paskudnie zachichotał.

Byłem tak wściekły, że nie mogłem wydusić z siebie słowa. Animator kultury najwyraźniej dopiero się rozkręcał:

– I lubisz świeżynki. Powiem, że nawet cię rozumiem. Tylko zupełnie nie czaję, po kiego tak się uparłeś, żeby drażyć sprawę samobójstwa Jowity. Przecież podobno raczej olewasz robotę. Powinieneś dalej konsekwentnie olewać. I wszyscy żyliby długo i szczęśliwie. No, prawie wszyscy. – Znowu się nieprzyjemnie zaśmiał. Najwidoczniej niedaleko padło jabłko od jabłoni. A matka Halina ewidentnie nie była zdrowym drzewem.

Skąd Jakubas mógł o mnie tyle wiedzieć? Nagle pojedyncze puzzle złożyły się w jako tako wyraźny obraz. Gość w bluzie z kapturem pod oknem Anny. Szybki Romek rozmawiający przed komendą ze znajomkiem w bluzie z kapturem. Jakubas jednak był cwany. A przynajmniej bardzo ostrożny. Małochleb kablował? Wołałem myśleć, że jedynie z wrodzonej głupoty głądził o tym, co dzieje się w fabryce. Skąd znał Jakubasa? Mniejsza o to. Tak czy siak, obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji połamię Szybkiemu Romkowi wszystko, co połamać się da.

– Więc to właściwie – ciągnął animator kultury – twoja wina, że musiałem podjąć nadzwyczajne środki ochrony osobistej. I że Paulinka odczuwa pewien dyskomfort.

Usłyszałem w słuchawce stłumiony jęk. Zmodyfikowałem swoje plany. Najpierw połamię wszystko, co się da, Jakubasowi.

– Jak jej coś zrobisz, pojebie...

Od razu mi przerwał:

– Daruj sobie te teksty. Na mnie to nie robi wrażenia.

Wiedziałem, że muszę się opanować, bo inaczej Jakubas będzie się wyżywał na Paulinie. A tego nie chciałem. Bardzo.

– Słuchaj, piesku. Bądź o dziewiątej wieczorem pod wieżą ciśnień. Chyba nie muszę dodawać, że sam. W końcu lubisz solowe występy.

– Będę.

– Ja myślę.

I rozłączył się. O mało nie cisnąłem komórką o asfalt. Była mi jeszcze jednak potrzebna.

Wsiadłem do miśka. Wsiadłem. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się wokoło. Myślałem gorączkowo, co robić. Zostać przed domem matki Haliny? Jeśli jej synek miał mnie na oku, to raczej nie zaryzykuje powrotu tutaj, teraz. Pewnie gdzieś się przyczaił. Miałem nikłe szanse, żeby odkryć gdzie. Prawdę powiedziawszy, żeby znaleźć go w pojedynkę nie miałem szans żadnych. Postanowiłem jednak popробować wszystkiego, co możliwe. Zdeptałem ledwie zapalonego papierosa i pobiegłem do domu Jakubasa. Chciałem zapytać, czy matka może wie coś o jego ulubionych miejscach. Naiwny.

Druga butelka już była pusta. Gracja Elżbiety Jaworowicz zniknęła. Matka Halina tkwiła na kanapie, pół leżąc, pół siedząc. Z rozrzuconymi rękami i nogami. Z rozchylonymi ustami. Pochrapywała. W palcach tkwił zagasty niedopałek. Całe szczęście, że się nie podpaliła. Dopiero byłby dym. Dosłownie i w przenośni. Potrząsnąłem ją za ramię. Zabełkotała i opadła na poduszkę. Słodkich snów, upadła królowo, pomyślałem.

Wróciłem do miśka, odpaliłem silnik. Do dziewiątej było jeszcze ładnych kilka godzin. Chciałem w spokoju pomyśleć, wyciszyć się trochę. Nie wiedziałem, co się wydarzy, jednego tylko byłem pewien. Zrobię wszystko, by Paulinie nie stała się krzywda.

Pojechałem do domu.

Napić się. To pierwsze przyszło mi do głowy, ale szybko przypomniałem sobie, że wczoraj wypiliśmy z Pauliną całe wino, które miałem w domu. Właściwie to Paulina wypła.

Paulina.

To ja wciągnąłem dziewczynę w to wszystko. Nie powinienem z nią rozmawiać. Nie tyle razy. A już na pewno nie powinienem iść z nią do łóżka. Walnąłem pięścią w blat biurka. Podniósł się tuman kurzu. Nie mogłem się rozkleić. Nie teraz. Myśl, przygotuj się, napominałem samego siebie. Na tyle, na ile możesz, zrób wszystko. Tak, jak trzeba. Tak, jak będzie można.

Zaparzyłem gar kawy. Przez chwilę myślałem o jedzeniu. Chyba jednak nie byłbym w stanie przełknąć nic konkretniejszego. Siadłem w fotelu i włączyłem płytę ze ścieżką dźwiękową z *Czasu Apokalipsy*. „Wchodzimy, wychodzimy i po sprawie”, brzęczał mi w myślach głos podpułkownika Kilgore’a. Żeby to było takie łatwe!

Paulinie nie może stać się krzywda. Tak, to wiedziałem. Priorytet. O mnie mniejsza. Pomyślałem o broni. Mój służbowy glock był, oczywiście, w fabryce. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie poprosić Kozieja, żeby mi go przywiózł. Tyle tylko że użycie broni palnej zawsze wiązało się ze sporym ryzykiem. Szarpanina, przypadkowy postrzał. Miałem w domu gaz, na ćwiczeniach z samoobrony zawsze radziłem sobie lepiej niż inni. Uznałem, że jeśli będę miał choćby cień szansy, żeby obezwładnić Jakubasa, to sobie jakoś poradzę. Jakoś... Nie ma co, precyzyjna ocena szans.

Mimo to wybrałem numer Kozieja.

– Zadzwoń za pięć minut – warknął i rozłączył się, nim zdążyłem powiedzieć choćby słowo.

Podejrzewałem, że powiedział tak tylko na odczepnego. Technik jednak zaskoczył mnie i zadzwonił. Musiał iść szybko, bo ledwie dychał:

– Stary, ja to pierdolę.

– A konkretniej?

– Wyszedłem z fabryki i już tam nie wracam. Nie ma bata! Głównodowodzący szaleje. Co ty mu zrobiłeś?

– Wyrwałem ze stanu błogiego nicnierobienia.

– Twoje błyskotliwe zagadki też pierdolę.

Właściwie nawet mu się nie dziwiłem, że reaguje na mnie alergicznie. Jak na faceta, który w życiu chciał mieć tylko święty spokój oraz bez opóźnień spłacane raty kredytu, i tak długo wytrzymywał moje fanaberie.

– Mam do ciebie prośbę. Ostatnią. Naprawdę – powiedziałem cicho.

– Taaa? Ile jeszcze tych ostatnich prośb będzie, co? I co mam zrobić? Może obiad upichcić albo za rączkę potrzymać?

Nie liczyłem na wiele, ale musiałem powiedzieć to, co powiedzieć chciałem:

– Po prostu przejeżdż się pod wieżę ciśnień o północy.

Cisza. Nawet nie słyszałem świstu oddechu nałogowego palacza.

– Ale, kurwa, po... Dobra, nie chcę teraz wiedzieć.

– Po prostu tam bądź. Proszę.

Dotarły do moich uszu dźwięki towarzyszące zapalaniu papierosa.

– I?

– Nie wiem, co będzie, ale gwarantuję ci, że do północy wszystko się skończy.

Albo nic, pomyślałem.

– Zobaczę – wyrzęził i zakaszał.

– Dzięki.

Koniec połączenia. Definitywnie i nieodwołalnie zostałem sam. Ewentualnie Koziej po mnie posprząta. Albo posprząta mnie.

Kolejny łyk kawy o mało nie wywołał u mnie odruchu wymiotnego. Odstawiłem kubek. Skup się, napomniałem samego siebie.

Nie mogłem zlekceważyć Dariusza Jakubasa, nieudanego aktora, prowincjonalnego animatora kultury i dręczyciela nastolatek. Tym bardziej że, wszystko na to wskazywało, wiedział więcej o mnie niż ja o nim. Był sprytny, ostrożny. I choć, być może, bardzo być może, nie wszystko toczyło się po jego myśli, to miał plan B. Którego ja nie

miałem.

Właściwie wykombinował sobie wszystko w najlepszy z możliwych sposobów. Umówił się ze mną o dwudziestą pierwszą. Wtedy będzie już trwał mecz Polska – Czechy. Miasto wymrze. „Poolskaaa, biało-czerwoni, Poolskaaa, biało-czerwoni...” A potem pewnie: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało...”. Do tego jeszcze przy wieży ciśnień w dzielnicy przemysłowej, gdzie nawet za dnia mało kto się kręcił. Ale dlaczego właśnie tam? W okolicy było wiele innych miejsc nadających się na dyskretne spotkanie. Może zwyczajnie lubił tanie filmowe efekty.

Wieża ciśnień, stojąca na najwyższym wzniesieniu w mieście, była metalowym obwarzankiem osadzonym na wysokim, ażurowym stelażu. Skrzyżowaniem statku kosmicznego ze stojakiem na parasole. Albo na gazety. Jedno z architektonicznych kuriozów lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, które od dziesięcioleci stało opuszczone i rozpadało się z cicha, bo nikt nie miał na to cudeńko ani pomysłu, ani kasy. Jakubas jednak pomysł miał.

Jaki? To się okaże, westchnąłem, zapalając kolejnego papierosa. Po trzech głębokich machach zdusiłem go w popielniczce. Zerwałem się z fotela. Krążyłem po mieszkaniu. Od pokoju do kuchni. I z powrotem. Sprawdziłem w komórce godzinę. Było jeszcze dużo czasu. Zdecydowanie za wiele. Nie mogłem się uspokoić, ale mogłem działać, żeby nie spalić się psychicznie, nie zatruć obsesyjnymi myślami. Wybiegłem z mieszkania. Właściwie w tej samej sprawie. Nieodmiennie tej samej.

W knajpie było sporo ludzi. Jak dla mnie zdecydowanie zbyt wiele, aby przeprowadzić dyskretne rozpytanie. Trudno.

Paker siedzący przy barze na wysokim stołku na mój widok w podskokach ruszył na zaplecze. Nie ma co, typ z rodzaju odważnych inaczej. Jeśli jednak myślał, że ukryje się za plecami szefa, mylił się, i to znacznie. Ruszyłem za nim i bez pukania wszedłem do kanciapy Władka. To mnie zgubiło.

Zanim się zorientowałem, co się dzieje, dostałem cios w splot słoneczny. Padłem na kolana i łapałem powietrze szeroko otwartymi ustami niczym święteczny karp przed dekapitacją. Nim doszedłem

jako tako do siebie, ktoś chwycił mnie pod ramiona i postawił do pionu. Chwiejnego. Wreszcie udało mi się złapać na tyle powietrza, by nie skupiać uwagi jedynie na oddychaniu. Dwóch niemałych koleś trzymało mnie w mocnym uścisku, znajomy paker stał z boku, a Władek siedział za biurkiem. Pan na włościach.

– Ostrzegałem, że nie chcę cię tu widzieć, ciulu – wycedził Władek.

Odchrząknąłem.

– Ale na wszelki wypadek się przygotowałeś – odparłem, dziwiąc się w duchu własnej głupocie, która kazała mi swego czasu wspomnieć o wzmocnieniu ochrony Nocnego Raju.

– Spadasz sam czy mam cię wyrzucić na zbity pysk? – Ślżak był łaskaw dać mi wybór.

Nie zanośliło się na długą pogawędkę w atmosferze zrozumienia, więc wypaliłem prosto z mostu:

– To twój chłopak zabił króliki mojej babki.

Wbiłem wzrok w wielkie najki pakera. Fakt, moja kwestia nie zabrzmiała najpoważniej, raczej jak tekst z komedii kryminalnej klasy C, ale to nie dlatego Władek wybuchnął śmiechem.

– Wiesz co – zaczął, gdy się już trochę uspokoił – mam już po gwizdek twoich wizyt i dziwnych pytań, psie. Choć ty nawet nie jesteś psem. A jeśli już, to bezpieczeństwa.

– Kto ci to kazał zrobić?! Dudek?! – wykrzyczałem.

W odpowiedzi dostałem krótki sierpowy w okolice żołądka. Nie złożyłem się jak scyzoryk tylko dlatego, że nie mogłem. Po chwili ktoś szarpnął mnie za czuprynę. Miałem przed sobą twarz Władka. Nie wyglądał na wściekłego.

– Ostatni raz tłumaczę ci jak komu dobru. Nic na mnie nie znajdziesz, a jeśli nawet, to nic się nie stanie, żadni prawi i sprawiedliwi ci nie pomogą. Wbij to sobie do tej zakutej pały. Bo ciebie już nie ma.

Faktycznie, po chwili nie było mnie już w Nocnym Raju. Pomogli mi niemali koleś. Zebrałem się z chodnika, szarpany mdłościami powlokłem się do samochodu i klapnąłem na fotel. Władek nie musiał nic potwierdzać, sprawa była jasna. Szanowny pan wiceprezydent napuścił Władka i jego dziarskich chłopców z siłowni na mnie i Felicję. Jednego tylko jeszcze nie wiedziałem. Dlaczego to zrobił, jaki miał

w tym interes? Przecież nie taki, by osłaniać zabójcę, a właściwie prawie zabójcę, którego miałem na widelcu. Albo który na widelcu miał mnie. Byłem jednak pewien, że prędzej czy później się tego dowiem.

Z letargu wyrwały mnie dochodzące zewsząd, z otwartych okien, dźwięki polskiego hymnu. Nie stanąłem na baczność. Nie tym razem. Odpaliłem silnik miśka.

Przemknąłem szybko przez opustoszałe miasto. Byłem nawet przed czasem. Zaparkowałem przed budynkiem straży pożarnej, żeby mój samochód zbyt nie rzucał się w oczy, wysiadłem i rozejrzałem się po okolicy. Nic specjalnego, nic niepokojącego. Smutek prowincjonalnych tropików. Odnowiona siedziba fojermanów, wylotówka, a dalej chaszczce, ruiny i zgliszcza czegoś, co dzielnicą przemysłową w Ciechanowie było tak naprawdę tylko w czasach nieboszczki Ludowej. Podszedłem do bramy prowadzącej na teren wieży. Przecięty łańcuch zwisał smętnie. W kieszeni kurtki miałem gaz. W sercu niepewność. Pchnąłem ramię bramy.

Zaczęło się.

Zmierzchało. Rozglądając się na prawo i lewo, powoli szedłem chodnikiem, gęsto porośniętym trawą i perzem. Perz? Skąd znałem takie słowo? Pewnie sprzedała mi je kiedyś moja babuleńka. Odgoniłem od siebie myśli o niej. Szedłem. Skupiony. Górował nade mną obwarzankowy statek kosmiczny. Albo metalowy wiecheć. Albo coś, co było czymkolwiek. Albo...

– Kooooonraaaaad! – Krzyk rozsadzał mi bębenki.

Zastygłem. U podnóża wieży ciśnięt, kilkadziesiąt metrów przede mną, szamotała się jakaś postać. Nie jakaś. Paulina! Już chciałem zerwać się do biegu, ale głos, który dobiegł zza mnie, osadził mnie w miejscu:

– Dobry wieczór, panie podkomisarzu.

Odwróciłem się powoli. Bardzo.

Głupi, głupi, głupi, wyklinałem niemo. Wszędzie dookoła były krzaki, nie sprawdziłem, nie zachowałem czujności. Przede mną stał człowiek w szarej bluzie z kapturem, który mierzył do mnie z broni.

Broni? Założyłem przecież, że animator kultury nie ma broni.

– Jakubas – wysapałem.

– A myślałem, że pan policjant z bożej łaski miłszy jest i odpowie na powitanie.

– Jak dla kogo miłszy – wypaliłem.

Animator kultury, nie opuszczając broni, zrobił krok w moją stronę. Znałem te sztuczki. Skracanie dystansu. Bezgłówna agresja. Ale się nie cofnąłem.

– Wydawało mi się, że jesteś bystrzejszy. Ale trudno. To ty masz problem. Klękaj! – rozkazywał Jakubas.

Zdaje się, że lubił rozkazywać. To wynikało z filmu, który widziałem w telefonie. Co innego jednak rozkazywanie facetom. Mogłem coś ugrać. Choćby na chwilę. Proszę o odroczenie wyroku, wysoki sędzie.

– Wiesz co, grożenie gazówką to tani blef.

Podskoczył i przystawił mi kławkę do oka.

– Chcesz się przekonać?

Pomyślałem o Paulinie. Pomyślałem o Marii. I o wszystkich kobietach, które zawiodłem w moim dość długim już życiu. A imię ich było Tłum. Klęknąłem, unosząc wysoko ręce.

– Grzeczny piesek. – Jakubas, wciąż do mnie mierząc, zrobił krok w tył. – A teraz opróżnij kieszenie.

Zrobiłem, co chciał. Na trawie wylądowała komórka, paczka chusteczek, zapalniczka. Kluczyki do miśka i domu. Fajki. Portfel, w którym i tak by nic specjalnego nie znalazł. Przynajmniej żadnej kasy, która by mu pozwoliła na wycieczkę do egzotycznego kraju o przyjaznym prawodawstwie. Pojemnik z gazem. Tak, ni mniej, ni więcej, tylko pojemnik z gazem. W gruncie rzeczy żałosne.

– To wszystko? – Przykładając mi pistolet do czoła, podszedł do mnie i oklepał. – Naprawdę źle jest z naszą policją. Nie masz kławki? Jakoś się czuję niepewnie, więc wziąłem sprawy w swoje ręce. Społeczeństwo obywatelskie, te rzeczy.

– Nie zwykłem nosić broni.

– I, kurwa, bardzo słusznie – usłyszałem, nim zapadłem w ciemność.

Czułem, że coś ciągnie mnie w górę. Maria? To Maria?



A potem mój policzek zapłonął. To ten sam sen?

Zobaczyłem twarz Marii, zapłakaną.

– Ocknij się, drobny chujku.

A jednak to nie była Maria. Paulina. A właściwie jej cień. Chyba jej. Bolała mnie głowa, przed oczami miałem mroczki. Tylko tabun mroczków. Po chwili zniknęły. Mrużąc oczy, rozejrzałem się wokoło. Siedziałem oparty o podporę wieży ciśnień. Tył głowy pulsował bólem. Nieźle musiał mi przyłożyć. On. Jakubas. Który teraz pochyłał się nade mną, machając mi przed oczyma bronią. Gazową. Albo i nie.

– Zapraszamy pana podkomisarza na ostatni akt sztuki w naszym teatrzyku. Prowincjonalnym, jak pan pewnie już wie. Najlepsze miejsca z możliwych, w pierwszym rzędzie.

W głowie ciągle mi pulsowało, ale czułem się trochę pewniej. Przynajmniej tak mi się zdawało. Czy będę mógł już stanąć na nogach?

– Więc w ostatnim akcie sztuki nie jest tak, że wszyscy umierają. To nie Szekspir. To już jest passe. Wszyscy będą żyli. Nie gwarantuję, że bez nocnych koszmarów. Cóż, czasami sztuka musi boleć.

Wyprostował się i odszedł kilka kroków w prawo. Usłyszałem ciche plaśnięcie, a potem jęk. Odwróciłem szybko głowę. Szpila bólu wbiła się w podstawę czaszki. Jakubas stał naprzeciwko Pauliny, przykutej do metalowego słupa. Po jej twarzy płynęły łzy.

– Zostaw ją – warknąłem, ale głos ledwie przecisnął mi się przez krtań. Animator kultury albo nie dosłyszał, albo zignorował moje ostrzeżenie.

Próbowałem wstać, ale świat nagle wokoło mnie zawirował. Najpierw dostałem w bebech, teraz w łeb. Już nie na moje lata takie zabawy. Nie mogłem się jednak poddać. Nie tym razem. Opadłem na czworaka, klnąc. Jakubas spojrzał na mnie i rzucił:

– Leżeć, piesku! Bo tylko krzywdę sobie zrobisz.

Oddychałem ciężko. Starłem się zebrać siły. Zerkałem w stronę Pauliny. Jakubas rozkuł ją, uwalniając z kajdanek z różowym puszkciem, które schował do kieszeni. Zaczęła rozcierać nadgarstki, ale zaraz wykręcił jej ręce za plecy i związał wyjętym z kieszeni sznurem. Skurczybyk był przygotowany. Ja nie. Mogłem tylko liczyć na cud. Kolejny.

Chwycił Paulinę za ramię i poprowadził w moją stronę. Kopnął mnie

w żebra, fakt, niezbyt mocno, ale i tak rozciągnąłem się na ziemi jak długi. Na plecach. Bezradny żuczek.

– Dobrze, nie będziemy się tu, he, he, pieprzyć do nocy – mówił. – Czas na wielki finał. Klękaj, maleńka, i ani drgnij – syknął.

W oczach Pauliny było wszystko naraz: zdziwienie, przerażenie, rozpacz... Zamarła, chyba nawet nie oddychała.

– Klękaj – wyskandował powoli. Nie krzyczał, ale w jego głosie było coś takiego, że nawet ja poczułem ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa.

Paulina wykonała polecenie. Jakubas chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę słupa. Zaboląło, ale nawet nie jęknąłem. Nie chciałem mu dać satysfakcji. Wyjął z kieszeni kajdanki okolone różowym puszkami. Tandetny gadżet z sex shopu. Chociaż nie taki znowu tandetny. Były z metalu, nie z plastyku. Postawił mnie do pionu. Zachwiałem się trochę. Przykuł mnie. Stał z boku i przyjrzał się uważnie, niczym scenograf oceniający, jak wygląda realizacja najnowszego pomysłu.

– Pomyślałem o twoich kolegach – powiedział, trąc kajdanki. –

Będą mieli ubaw, jak cię znajdą. Bo kiedyś pewnie cię znajdą. A najbardziej będzie się brechtł Małochleb.

– Wiem, że z nim gadałeś.

– I co ci po tej wiedzy, piesku? Żadna kawaleria nie pojawi się z odsieczą.

Nawet na to nie liczyłem. Kozieja trudno było nazwać kawalerzystą. I miałem pewność, że nie przybędzie na czas. Tu i teraz byłem zdany tylko na siebie. A jedyne, co mogłem, to odwlekać nieuniknione. Gadać. I jeszcze raz gadać. Wciągnąć go w rozmowę. Nawet gdybym zaraz kolejny raz zarobił po łbie.

– Co chcesz zrobić? Wiesz, że sprawa się rypla. Byłem w twoim pokoju, widziałem dowody. Całą masę. A przecież mnie nie zabijesz. Ani jej. – Wskazałem głową Paulinę. Starąłem się mówić tak, jakby mi na niej nie zależało. Przepraszam, Paulinko. – To nie w twoim stylu.

– Co ty niby wiesz o moim stylu? – zachnął się.

– Trochę wiem. Rozgryzłem cię.

– Gównu rozgryzłeś. A teraz je przełkniesz.

Jak na specja od kultury nie grzeszył finezją. Ale cóż, stres, te sprawy, jak powiedziały Gajowniczek.

– Miesiącami dręczyłeś te dziewczyny, doprowadzałeś do szaleństwa. Po co ci to wszystko było? Chciałeś mieć nad nimi władzę? Poczuc się jak bóg?

Było to psychologizowanie subtelne niczym wbijanie szpilki młotem kowalskim. Jasne. Plotłem, co mi ślina na język przynosiła i co jako tako dotyczyło tematu Dariusza Jakubasa, który uwielbiał doprowadzać dziewczyny do samobójstw.

– I tak nie zrozumiesz, więc nie wnikaj.

Roześmiałem się. I chyba nawet nie była to z mojej strony tania gra.

– Skomplikowana osobowość? Każdy świr tak gada. Ale jak jesteś taki mądry, to czemu marnujesz życie w prowincjonalnym domu kultury?

Zabolało. Chyba, bo podskoczył z bronią wycelowaną mniej więcej w moją twarz.

– Zamknij się! Zamknij!

Gdybym mógł, podniósłbym ręce w górę w uspokajającym geście. Spojrzałem w dół. Jebane różowe puszki, pomyślałem. Moja starowinka na pewno zganiłaby mnie za użycie grubego słowa. Nawet w myślach.

Uchwyciłem jego wzrok. Była w nim wściekłość, ale nie szaleństwo. Niedobrze. Bardzo. Dyszał, jakby przebiegł półmaraton bez wcześniejszego przygotowania. Wiedziałem, że muszę jak najdłużej przeciągać z nim rozmowę, ale jednocześnie nie mogłem go rozwścieczyć. Paulina, myślałem, Paulina jest teraz najważniejsza.

– Nie szczekaj, piesku, bo i tak ci to nic nie da – powiedział, wypluł te słowa prosto w moją twarz. Poczulem oddech pachnący trupem. Albo tylko tak mi się zdawało. Takie myślenie życzeniowe.

Zrobił w tył zwrot i stanął dwa metry przed klęczącą z opuszczoną głową Pauliną. Do kieszeni bluzy schował broń. W jego dłoni pojawił się iPhone.

Zmieniłem strategię, westchnąłem i zacząłem mówić zbolalym głosem. Albo głosem, który tylko mnie wydawał się zbolaly:

– Dobrze, wygrałeś.

Zero reakcji. Jakubas powoli przenosił wzrok z Pauliny na mnie. I w drugą stronę. Jakby wciąż się wahał. Mijały sekundy albo minuty. Kto wie? Ja nie wiedziałem. Czas wydawał mi się spiralną muszlą

ślimaka. Muszlą? Ślimaka? Czyżby udzielało mi się szaleństwo animatora kultury?

Nie mogłem odezwać się pierwszy. To pewne. Teraz był czas na jego kwestię. Opuściłem głowę. Poczulem się bezradny jak noworodek. Słaby i bezradny, jak... Jak wtedy. Czas był spiralną muszlą ślimaka. Albo ślimakiem powoli idącym, czy co tam one robią, po ostrzu brzytwy. Przez nanosekundę błysnęło w mojej głowie, że chcę, bardzo chcę, żeby to już był koniec. Cokolwiek koniec by znaczył.

Usłyszałem, jak Jakubas ze świstem wypuszcza z ust powietrze. Nie najgorzej. Ugrałem kilka minut.

– No więc słuchajcie.

Uniosłem głowę. Tak samo jak Paulina.

– Mam plan, w którym i wy macie do odegrania swoje role.

Jednak trafiłem. Niespełniony aktor i reżyser w jednym zawsze ma plan. Scenariusz. Jakiś. Jakikolwiek. I nie zamierza nas zabić. Ale to już chyba zapowiedział.

Animator kultury podbiegł do mnie i kopnął mnie w okolice nerek. Tym razem nie próbowałem grać gościa twardego jak kaczuszka. Zawylem.

– I po kiego grzebałeś w sprawie Jowity? Było słuchać przełożonych.

– Jakubas krążył nerwowo między mną a Pauliną. – A teraz mamy problem. Ale ja go rozwiążę. Jak zawsze. Jestem w tym dobry.

Nawet mogłem przyznać mu rację. Na pewno był lepszy niż ja. Policjant, który robi wszystko na opak.

– Przez ciebie muszę zniknąć. Fakt, nie planowałem tego, ale w gruncie rzeczy dobrze się stało. Mam już dosyć tego całego syfu.

– Jakiego? – wypaliłem.

– Zamknij się! Nie wciągniesz mnie w żadne gierki. Słuchaj!

Co mogłem innego zrobić. Słuchałem.

– Jak dowiedziałem się od Małochleba, że trochę za bardzo przejmujesz się sprawą Jowity, to miałem cię na oku. Na wszelki wypadek. I jak się okazało, słusznie. Dzięki temu wiem, że ta tutaj coś dla ciebie znaczy. – Wskazał na klęczącą Paulinę. – Słaby punkt. –

Zaśmiał się wrednie. – Dlatego zrobisz wszystko, co ci powiem. Wybiorę się z twoją panną na zagraniczną wycieczkę. Za dwa, może trzy dni ją wypuszczę. Gdzie? To będzie – zwrócił się do Pauliny –

niespodzianka. A ty przez ten czas ani piśniesz komukolwiek o mnie i moich, powiedzmy, eksperymentach psychologicznych. – Wycelował we mnie palec. – Bo inaczej, wiesz, nastolatkom wożącym po obcych krajach przydarzają się nieprzyjemne wypadki. Jasne? – warknął.

Skinąłem głową.

– Powiedz, że rozumiesz.

– Tak, nikomu nic. Tylko co ci to da?

– O mnie się nie martw. Zniknę i nikt mnie nie znajdzie.

Nie zamierzałem wchodzić z nim w polemikę.

– Ale strzeżonego... Jak przez ostatnie dni cię obserwowałem, to doszedłem do wniosku, że nie jesteś zbyt stabilny psychicznie, więc podjąłem dodatkowe środki ostrożności. Po pierwsze, zostawię cię tu przykutego. Może ktoś cię znajdzie szybko, może nie. Jeśli to pierwsze, to masz gadać, że oddawałeś się wyrafinowanym igraszkom w nietypowym miejscu, bo cię to kręci. A gdybyś miał problemy z utrzymaniem języka za zębami... To jeszcze nagramy tutaj mały film, który w razie czego trafi do sieci.

Włączył nagrywanie w iPhone i podszedł do Pauliny. W mojej głowie uformował się czarny wir myśli. Uderzył ją z liścia w twarz. Zajęczała. Rozwiązał jej rękę.

– A teraz mi obciągniesz – mówił, rozpinając rozporek. – Pomyśl, że to taka etiuda filmowa. Właściwie rodzaj sztuki. – Zarechotał. – I grzecznie, bo inaczej nigdy już nie będziesz miała tak ładnej buźki jak teraz.

W bezwarunkowym odruchu szarpałem się z kajdankami, choć wiedziałem, że to bez sensu. Nie!

– Zostaw ją! Weź mnie! Rób, co chcesz ze mną!

– Zapomnij – wycedził przez zęby. – A ty ssij, maleńka – powiedział, zmieniając tembr głosu na grożący.

Paulina powoli, jak na zwolnionym filmie, sięgnęła dłonią po wystawionego fiuta. Zawodziła, łkała i mamrotała niezrozumiałe słowa. I wtedy z wiru w moim łbie wyskoczyło jedno słowo: krew. Jakubas nie zabijał swoich ofiar. Jeśli je bił, to raczej nie do krwi jak Paulinę. Może bał się juchy. Może zemdleje na jej widok. Zdaje się, że jest taki rodzaj defektu psychicznego, gdzieś o tym czytałem. W którymś

z kryminalów. Chociaż raz się do czegoś przydały. Paulina zbliżyła drżące wargi do członka. Odchyliłem głowę i walnąłem czołem w słup. Adrenalina sprawiła, że prawie nie poczułem bólu, tylko tabun mroczków znowu zatańczył mi przed oczami. Osunąłem się na ziemię, ciepła wilgoć zalała mi oko. Na szczęście nie zemdlałem. Nie mogłem zemdleć.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?! – wrzasnął Jakubas.

I tak umiera ostatnia nadzieja białych. Powoli gramoliłem się na nogi, brocząc krwią z rozciętego łuku brwiowego. Animator kultury, z dyndającym fiutem, podskoczył do mnie.

I tu popełnił błąd.

Za bardzo nachylił się nade mną. Nie myślałem, nie kombinowałem. Coś we mnie decydowało za mnie. Skuliłem się, jakbym osłaniał się przed następnym kopniakiem, a potem na tyle szybko, na ile mogłem, wyprostowałem się, zrywając na nogi. Tył mojej głowy trafił Jakubasa od dołu w szczękę. Chrupnęło. Zamiast mroczków pojawiła się absolutna ciemność. I równie głęboka cisza.

Tym razem nie było płynnego przejścia między ciemnością a jasnością. Otworzyłem oczy, od razu wróciły wizja i fonia. I ból. Czułem, że zamiast głowy mam rozbity garnek. Wokół jakby nic się nie zmieniło. Paulina wciąż klęczała dwa metry ode mnie, zawodząc z cicha. Ja leżałem zwalony na bok, przykuty idiotycznymi różowymi kajdankami do słupa. A jednak nastąpiła jakaś zmiana. Jakubas nie krążył nerwowo dookoła, nie głądził, nie wymachiwał iPhone'em albo klamką, która mogła być na tylko na gaz, ale nie musiała. Animator kultury był tuż obok mnie, rozciągnięty na ziemi z rozrzuconymi ramionami jak początkujący Jezus.

Wiedziałem, że muszę działać, póki zbój się nie ocknie. Powoli, opierając się o słup, usiadłem, potem spróbowałem stanąć na nogi. Poczulem mdłości, targnęły mną torsje. Wstrząs mózgu jak dzwon. A dzwony też były, rozkołysane w mojej głowie. Znowu usiadłem, przytrzymałem się metalowej podpory, jakbym się bał, że za chwilę zatonę. Chciałem zawołać Paulinę, ale z gardła wydobył mi się tylko słaby charkot. Przełykałem ślinę.

– Paulina – wycharczałem w bardziej, jak mi się zdawało, zrozumiały sposób.

Nie zwracała na mnie uwagi. Pewnie mnie nie usłyszała. Spróbowałem raz jeszcze, z takim samym skutkiem. Musiałem jak najszybciej wyrwać ją ze stuporu, nim Jakubas się ocknie. Bo kiedyś musi się ocknąć. I będzie wkurwiony.

– Paulina! – Tym razem struny głosowe zadziałały nieco lepiej.

Odwróciła się w moją stronę. Po jej twarzy spływały łzy.

– Musisz wstać. – Dwa słowa to już było za wiele. Rozkaszałem się. Głowa o mało nie pękła mi na pół. – Musisz zabrać mu kluczyk i mnie rozkuć. Musisz!

Zdaje się, że coś do niej dotarło, bo podniosła się z kolan.

– Chodź tu, szybko.

Zrobiła dwa kroki, zatrzymała się, cofnęła o krok.

– Paulina!

– Konrad, Konrad, Konrad... – powtarzała niczym katarynka.

– Cicho – starałem się, by mój głos brzmiał kojąco. – Podejdź tu i weź kluczyk. Nie bój się, on ci już nic nie zrobi. Nie robi.

Udało się. Sztywno, jak marionetka albo mechaniczna lalka z defektem, krok za krokiem, zbliżyła się do leżącego Jakubasa.

– Widzisz – ciągnąłem – nic się nie dzieje. Nic groźnego. Teraz kluczyk. I zaraz będzie koniec. Po sprawie.

Stała wyprostowana, odwracając głowę od animatora kultury.

– Nie mogę, ja nie mogę.

– Pewnie, że możesz. Przecież nic się nie stanie.

– Nie mogę – wyszeptała i odwróciła się.

Niedobrze. Bardzo.

– Paulina, prze... – zacząłem, ale urwałem w pół słowa. Jakubas jęknął przeciągle i wykonał nieskoordynowany ruch, jakby próbował przewrócić się na brzuch. Paulina krzyknęła i odskoczyła w bok. Niedobrze. Po dwakroć. Jeśli się ocknie i stanie na nogi, to nas wykończy. Tak myślałem, więcej, byłem tego pewien. Zebrałem resztkę sił i spróbowałem kopniakiem dosięgnąć jego głowy. Było za daleko. Zyskałem tylko tyle, że kolejny raz o mało się nie porzygałem.

Jakubas, jęcząc non stop, powoli obracał się na bok.

– Paulina – nie miałem siły krzyczeć, ledwie szemrałem. – Spójrz na

mnie. Proszę cię, tylko spójrz.

Odwróciła się ku mnie. W oczach miała pustkę.

– Posłuchaj, on się zaraz ocknie. Musisz go walnąć. Zaraz.

Coś zamigotało w jej źrenicach.

– Ale ja nigdy, nikogo...

– Paulina, to nic takiego, to obrona konieczna – bredziłem. – Po prostu walnij go w głowę.

– Nie, nie, nie.

Skowyt Jakubasa wwiercił mi się w uszy. Twardy sukinsyn. Klęczał, podpierając się rękami.

– Walnij go, Paulina, teraz – krzyknąłem, a przynajmniej próbowałem.

– Ale...

– Żadne „ale”, kopnij go w łeb.

– Nie...

Przemknęło mi przez porozbijaną głowę, że nic z tego nie będzie. Jakubas za chwilę dojdzie do siebie i wstanie. Zrobi krzywdę najpierw jej, a potem mnie. A ja nic nie będę mógł zrobić. Znowu.

I wtedy stał się cud, którego wyglądałem przez cały dzień. Zbój podniósł głowę, spojrzał mętnym wzrokiem na Paulinę i wysyczał:

– Jebana sucz.

Nim zdążyłem choćby pisnąć, Paulina z krótkiego zamachu kopnęła Jakubasa prosto w facjatę. Prostym podbiciem. Czyste i soczyste trafienie jak na treningu. Ewidentnie miała talent do futbolu.

Jakubas stęknął i opadł bezwładnie na trawę, tak jakby ktoś nagle odłączył mu zasilanie.

1:0 dla naszych!



## Epilogi

Jakie tam 1:0 dla naszych! Skończyło się jak zwykle. Skowytem. Franek Smuda, który miał czynić cuda, skrewił, przegraliśmy z Czechami 0:1 i Euro właściwie poszło się bujać. Przynajmniej dla nas. Wszyscy wrócili do swoich zwyczajnych zajęć i rozrywek. Choć właściwie nie do końca wszyscy.

Czekałem. Na telefon i wyrok. Jedno równało się drugiemu. Koziej się spisał, zgodnie z obietnicą przyjechał o północy pod wieżę ciśnień i – jak to on – posprzątał bałagan, którego narobiłem. Jakubas trafił do ancla, na razie z zarzutami uprowadzenia, pozbawienia wolności i pobicia, Paulina – pod opiekę psychologa, a ja – do szpitala z wstrząśnieniem mózgu. Umknąłem konowałom tak szybko, jak się tylko dało, i z kolejnym zwolnieniem w rękę zaszyłem się w domu. Moja starowinka chciała mnie pielęgnować i doglądać, ale wytłumaczyłem jej, że lekarze nakazali mi spokój i odpoczynek. I że odwiedzę ją najszybciej, jak się da, żeby opowiedzieć całą smutną historię ze szczegółami. Wykonałem kilka telefonów do Pauliny. Nie odbierała, co mnie nie dziwiło. Poza tym jadłem, niechętnie, popijałem wino, z chęcią nieco większą, paliłem za dużo papierosów i gapiłem się w telewizor. Czekałem. Po prostu.

Był piątkowy poranek, dość przyjemny, próbowałem zmusić się do zrobienia porządnego śniadania, ale poprzestałem na kawie i papierosach. Głowa niespecjalnie już bolała, czułem się jako tako. Telefon od sekretarki Gajowniczką przyjąłem z ulgą. W końcu, ile można czekać.

Nie zamierzałem stroić się specjalnie na ten dzień. Było nie było, szczególny. Dżinsy, sprany T-shirt i lniana brązowa marynarka. Wsiadłem do miśka i szybko przemieściłem się pod fabrykę.

Kinga na mój widok odwróciła wzrok, jakby się wstydziła. Zupełnie niepotrzebnie. Na pytanie, czy szef jest u siebie, tylko skinęła głową. Wiedziałem, co się stanie, i nawet się z tym pogodziłem. Bez większego

psychicznego znoju. Nie bawiąc się w pukanie, wparowałem do gabinetu.

– Co to, kur... – Głównodowodzący urwał w pół słowa. – A to ty – w jego głosie nie pobrzmiwały żadne gwałtowniejsze emocje. Dobrze, może obędzie się bez spazmów. – Siadaj – rzucił niepotrzebnie, bo już siedziałem na krześle przed zawalonym papierzyskami biurkiem.

– No więc, chyba wiesz, po co cię wezwałem?

– O tyle, o ile.

– Dobrze – skomentował nie wiadomo co. Dla kogo dobrze, dla tego dobrze, pomyślałem, ale zachowałem tę błyskotliwą konstatację dla siebie. Chociaż ten jeden raz, ostatni, postanowiłem konsekwentnie powstrzymać się od zbędnych komentarzy.

– Tu masz pochwałę na piśmie. – Podał mi dokument tkwiący w plastikowej koszulce. Chciałem przeczytać, ale Gajowniczek dalej głądził: – Później sobie w to zerkniesz. Wiesz, zastanawialiśmy się z komendantem, co z tobą zrobić.

Przerwał. Pewnie czekał na moją kwestię, ale się nie doczekał. Chrząknął, łyknął kawy.

– Właściwie powinienem wywalić cię z hukiem. Złamałeś od chuja procedur. I jeszcze ten podrobiony podpis prokuratora. Co ty sobie, kurwa, wyobrażałeś? Że to się nie wyda? Że jesteś samotnym szeryfem na Dzikim Zachodzie? Tu jest państwo prawa... – Zapowietrzył się, a ja nie zdzierżyłem i dorzuciłem:

– I sprawiedliwości!

– Zamknij się!

Skorzystałem ze światłej rady.

– Więc nie wywalimy cię z hukiem. – Uniosłem brew. Czyżby odroczenie egzekucji? – Wywalimy cię po cichu. Niepotrzebne są nam tu żadne kwasy i wewnętrzne dochodzenia. Choć, przyznam, korciło mnie, żeby ci maksymalnie nasrać w papiery.

– Jasne. – Zaśmiałem się nerwowo. – Ciekawi mnie tylko, czemu mnie tak nie lubisz? Możesz mi to na koniec wyjaśnić?

– Lubi, nie lubi. Nie jestem jedną z twoich weekendowych pańienek.

Ciekawostka. Byłem przekonany, że utrzymuję romanse w tajemnicy. Ale cóż, to przecież Ciechanów, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Jak dla mnie – ciągnął Gajowniczek – to ty nie jesteś ani dobrym policjantem, ani dobrym człowiekiem. Te sprawy.

Trudno, będę musiał z tym żyć. Nie zamierzałem drażnić tematu, ale o jedno musiałem spytać. Nie mogłem odmówić sobie tej przyjemności.

– Ale co? Nie przyznasz, że w sprawie samobójstw, rzekomych samobójstw tych biednych dziewczyn to jednak miałem rację? Że gdyby nie ja, to ten popieprzony gnój dalej robiłby swoje? I byłyby następne ciche pogrzeby?

Wbił we mnie wzrok. Milczał. A potem płynnie przeszedł do tego, co interesowało go najbardziej:

– Czyli tak – Głównodowodzący zerknął na zegarek – wysmarujesz podanie o zwolnienie ze służby. Coś tam wymyślisz w ramach uzasadnienia. Wypalenie zawodowe, problemy psychiczne. – Zaśmiał się krótko. – Jak sądzę, doktor Gałązka chętnie weźmie cię na obserwację.

Pomyślałem o Annie, biednej dziewczynie w podwójnym zamknięciu: we własnym wnętrzu i w Białym Borze. Obiecywałem, że pomogę jej, jak tylko będę mógł. Tylko co właściwie byłem w stanie zrobić? Pewnie jednak wizyty u doktora Gałązki nie uniknę. Opowiem mu wszystko, co wiem, na temat Jakubasa i tego, co mógł robić Annie. Może to w czymkolwiek pomoże dziewczynie. Oby.

– ...słyszysz mnie? – zirytowany głos Gajowniczka wyrwał mnie z zamyślenia.

– Tak, pewnie. Nie mam problemów ze słuchem, tylko, jak sugerujesz, z psyche.

– Weź mnie na koniec nie osłabiaj. Dotarło, co masz zrobić?

– Dostaniesz to podanie, jak tylko skończy mi się zwolnienie.

– No i wszyscy będą zadowoleni. A ty pewnie najbardziej. Dobra, dawaj blachę i broń.

Wyjąłem blachę z kieszeni marynarki i rzuciłem na biurko. Głównodowodzący skrzywił się, ale nie skomentował. Wstałem i ruszyłem do wyjścia.

– A klamka?

– Jest w sejfie.

– To przynieś mi tu zaraz.

Też sobie znalazł czas na rozkazywanie.

– Sam sobie przynieś.

Wychodząc z gabinetu, czułem ulgę pomieszaną z lękiem.

Zaszedłem do mojego pokoju. Naszego. Żeby pozbierać osobiste drobiazgi. Żeby nie pozostało po mnie w tej nieszczęsnej komendzie nic. Nawet wspomnienie. Tego akurat mogłem być pewien. Nikt tu raczej nie będzie po mnie płakał. No chyba że Koziej.

Komisarza Jana nie było. Za swoim biurkiem siedział Szybki Romek, z gazetą motoryzacyjną w ręku, pełniąc z oddaniem służbę. Wyraził żal, że nasza niezwykle owocna współpraca właśnie się kończy. Sądząc z uśmiešku, błakającego się po jego ustach, nieszczerzy. Prawdopodobnie wszyscy już od kilku dni wiedzieli, że jestem na wylocie. Nie przeszkadzało mi to wcale a wcale. Niech mają drobną satysfakcję.

Zgarnąłem wszystko, co moje, do reklamówki. Dosłownie wszystko. Nawet dawno wypisany długopis z logo Szkoły Policji w Pile, pamiątkę po szkoleniu, nie pamiętam już jakim. Zbierałem się do wyjścia, ale na szczęście w porę przypomniałem sobie o jeszcze jednej sprawie. Chciałem załatwić wszystko do końca. Bez niedomówień i otwartych rachunków. Podszedłem do biurka Małochleba. Nie raczył wstać.

– Dlaczego nadawałeś Jakubasowi, co tutaj się dzieje?

– Nikomu nie kapowałem – powiedział i wyszczerzył się w uśmiechu. Igrał z ogniem, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Tylko najgorsze gnidy, takie jak ty, gadają ze zbójami.

Powoli wstał i spojrzał mi prosto w oczy. Hardy gnojek.

– To nie żaden zbój. Przynajmniej kiedyś. Kumpel ze szkoły, to i z nim gadałem.

Nie było sensu konwersować z głupkiem, który pewnie nawet niespecjalnie zdawał sobie sprawę, co uczynił. Wyprowadziłem prosty, czysty cios, usłyszałem chrupnięcie i Szybki Romek padł na podłogę. Zakręciło mi się w głowie. Wciąż nie byłem w najlepszej formie.

– Kurwa, złamałeś mi nos – pojękiwał, gramoląc się do pionu. – Masz przejebane, nie wywiniesz się ze sprawy o pobicie. Pójdiesz do pierdła, a tam...

Pchnąłem go na fotel i nachyliłem się nad nim. Poczułem lekko mdlący zapach krwi.

– Jeśli choćby piśniesz o tym, co tu się stało, opowiem o twoich spotkaniach z Jakubasem. Widziałem was, mam świadka. A wtedy twoja wątpliwa kariera w służbach mundurowych skończy się, nim się na dobre zaczęła.

Szybki Romek zastygł w bezruchu. Zapewne myślał, choć nie byłem tego do końca pewien. Krople krwi z rozbitego nosa skapywały mu na koszulkę.

– A teraz ogarnij się i wymyśl sobie bajkę. Że się potknąłeś i uderzyłeś o biurko albo klamkę. Wszyscy mają cię za lebiegę, więc to kupią. Zrozumiałeś, dotarło?

Nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni chusteczki i próbował zatamować krwotok. Na odchodne kazałem mu kłaniać się ode mnie komisarzowi Janowi. Nie musiałem żegnać się z nim osobiście. Zrozumie. A może kiedyś, w innym życiu, spotkamy się i pogadamy jak starzy kumple. Komisarza Jana nawet lubiłem. Trochę.

Chciałem jak najszybciej wrócić do domu. Zaszyć się tam i nic nie robić. Trwać, niezobowiązująco myśląc o niepewnej przyszłości. Na korytarzu zaczepił mnie facet, którego nie znałem. W wieku mocno średnim, o zmęczonej twarzy, ale uważnym, byстрым wzroku.

– Podkomisarz Rowicki? – spytał.

W pierwszej chwili chciałem powiedzieć, że właściwie to już był podkomisarz, ale poprzestałem na zadaniu pytania:

– My się znamy?

– O tyle, o ile. – Wykrzywił usta w grymasie, który mógł być uśmiechem. – Heinz. – Wyciągnął ku mnie dłoń. – Jak keczup.

Heinz. Rudolf. Sława profilowania policyjnego. Podobnie jak Meyer. Koziej wspominał któregoś dnia, że sprowadzili specja od profilowania i przesłuchań, bo nie mogli dostać się do Jakubasa. Ciekawe. Wiele o nim słyszałem, bardzo chciałem go poznać. To znaczy Heinza, nie Jakubasa. Na koniec służby dostałem bonus od losu.

– Rowicki. Miło mi. – Nie było w tym choćby cienia ironii.

– To pan namierzył tego zboka?

– Nie pan. Może raczej Konrad.

– Rudolf. Ale może być Hipis.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. A ja skinąłem głową. Nie musiałem inaczej potwierdzać.

– Chciałbym pogadać – powiedział.

– Chętnie. Mam czas. Dużo czasu.

– Wolałbym nie tu i nie teraz.

Mnie było wszystko jedno. Umówiliśmy się o siedemnastej w knajpie przy rynku. To znaczy przy placu imienia Papieża-Polaka-Męczennika.

W knajpie byłem przed czasem. Zamówiłem zwykle jasne, siadłem przy drewnianej ławie, zapaliłem. Rozejrzałem się dokoła. Było pustawo. Szaleństwo piątkowego wieczoru miało się zacząć dopiero za dwie, trzy godziny. Choć właściwie jakie to szaleństwo w Ciechanowie?! Myślałem o Paulinie, z którą siedziałem tu kilka dni temu. Dokładnie przy tej samej ławie, pod tym samym parasolem. Niby tak niedawno, ale tyle już się podziało. Bez większej wiary wybrałem w komórce jej numer. Dowiedziałem się, że abonent ma wyłączony telefon albo jest chwilowo niedostępny. Też mi nowina!

Heinz się nie spóźnił. Na powitanie tylko skinął głową i poszedł do baru. Nim dobrze zasiadł, pociągnął łyk piwa.

– Dobry ten lager z nalewaka. – Zacmokał. – Lepszy niż butelkowy.

– Jesteś u samego źródła.

Zaśmiał się i zapalił.

– Nieźle poradziłeś sobie z tą popieprzoną sprawą.

Nie skomentowałem, że wyciąga mnie na opowieści o animatorze kultury. O czymże innym mógł chcieć ze mną rozmawiać?

– Tak, a w nagrodę dostałem dyplom i kopa w dupę.

– Życie – podsumował i zdusił niedopałek papierosa, którego spalił w zawrotnym tempie.

Utyskiwania na firmę nie miały większego sensu, więc zapytałem, co chce wiedzieć. Odpowiedział, że wszystko, co wiem o tym kejsie, ze szczegółami, od samego początku. Tak zrobiłem, opowiedziałem mu o całym, pozał się Boże, śledztwie, moich przeczuciach, lękach, działaniach, które w większości miały niewiele wspólnego z regulaminem. Słuchał uważnie, kiwał głową, od czasu do czasu wtrącał pytanie. Trzy pite niespiesznie piwa. Tyle trwała moja relacja.

Heinz przyniósł kolejne dwa browary. Zapaliliśmy. Milczał.

– Przesłuchiwałeś już tego chujka? – zapytałem.

– Tak, ale konsekwentnie odmawia składania wyjaśnień.

– I co zrobisz? Masz pomysł, jak się do niego dobrać?

Skrzywił się, wydmuchał chmurę dymu.

– Jestem tu dopiero od dwóch dni. Najpierw muszę dokładnie przejrzeć to wszystko, co było w jego pokoju. Filmy, zdjęcia... Od cholery tego jest.

– Pamiętaj, że to sprytny koleś. Planujący z wyprzedzeniem. Właściwie dopadłem go tylko przez przypadek.

– Nie przesadzaj.

– Robiłem wszystko na wariackich papierach.

– Nieważne jak, ważne, że go dopadłeś. Co nie zmienia faktu, że ciężko mu będzie przypiąć te samobójstwa.

– Dlaczego? – spytałem, choć prawdę powiedziawszy, znałem odpowiedź. Chciałem się jednak upewnić. Chciałem usłyszeć, jak mówi to ktoś inny.

– Będzie trudno o twarde dowody. Są zdjęcia, filmy, billingi potwierdzające, że kontaktował się z tymi dziewczynami. Ale przecież fizycznie nic im nie robił. U nas sprawy o znęcanie psychiczne, stalking to wciąż jeszcze świeże historie, nieoswojone przez system. Sędziowie nie do końca wiedzą, co z tym zrobić. O tych tępych prokuratorach już nawet nie mówię.

– A właśnie, kto prowadzi sprawę?

– Jakiś fircyk w zalotach, którego motto brzmi: „Ruchy, ruchy, zamykamy sprawę”.

– Jaśnie oświecony prokurator Tadeusz Nowicki?

– No, on.

– To współczuję.

– Ja tam się nim nie przejmuję. Będę robił swoje. Tyle o tym.

Dopijając piwo, gawędziliśmy niespiesznie. Podrzuciłem, że jak na moje oko, kluczem do Jakubasa może być jego matka Halina. O ile Heinzowi uda się ją wydobyć z alkoholowego ciągu i namówić do współpracy. Nie wydawał się przekonany do tego pomysłu. Na pożegnanie wymieniliśmy się numerami telefonów. Heinz obiecał, że będzie mnie informował o dalszym przebiegu sprawy. Nie byłem

pewien, czy koniecznie chcę wiedzieć.

Wróciwszy do domu, rozsiadłem się w fotelu, z piwem i papierosami pod ręką. To był już koniec. Po wielokroć. Koniec mojej kariery w policji. Tego byłem pewien. Nie miałem pojęcia, co będę robił. Także koniec dochodzenia w sprawie samobójstw dziewczyn. Przynajmniej dla mnie. Czy aby na pewno? Wielu rzeczy nie wiedziałem, nie rozumiałem. Co takiego robił Jakubas, że doprowadzał te nieszczęsne dziewczyny do ostateczności? Dlaczego tak łatwo mu się poddawały? Czy Jowita w skrajnej desperacji próbowała zlecić zabójstwo animatora kultury? Być może Heinz dogrzebie się do prawdy, znajdzie odpowiedzi na te pytania. Bardzo być może, w końcu jest ponoć fachowcem, jakich mało. Tylko czy koniecznie muszę tę prawdę poznać? Czy zbawi mnie ona? A w końcu czy nie powinno mi wystarczyć, że przerwałem spiralę niezrozumiałej agresji, że przyskrzypiłem Jakubasa? Już raz kiedyś bardzo pragnąłem zrozumieć, dotrzeć do prawdy. I o mało sam siebie też nie zabiłem.

Pomiędzy kolejnymi łykami piwa uświadomiłem sobie, że muszę przecież zrobić jeszcze jedną rzecz. Choć nie powinienem. Cóż jednak miałem do stracenia?

Nie chciałem robić poruty w mieście, brać go na spytki na oczach innych. Jeszcze wezwałby strażników miejskich albo innych knechtów. Dość już miałem lokalnej sławy. Wątpliwej. I poobijanych gnatów. Przyczałem się na parkingu, mając nadzieję, że nie będę musiał czekać zbyt długo. Nie pomyliłem się. Nim wybiła szesnasta, wiceprezydent Dudek wymaszerował dziarskim krokiem z budynku urzędu, odziany, jak przystoi mężczyźnie w żałobie, w czarny gajer i z równie czarną aktówką w dłoni. Wsiadł do wypasionego SUV-a i ruszył, a ja za nim. Pojechał na szczęście prosto na Krubin. Wyprzedziłem go zaraz przed skrzyżowaniem prowadzącym do jego domu i zajechałem drogę. Dał po hamulcach, aż nim z lekka szarpnęło. Mógł wrzucić wsteczny i zwiać, ale nie zrobił tego. Kolejny hardy gnojek. Wygramoliłem się z miśka. Dudek uważnie śledził każdy mój krok, nie ruszając się z kółka. Podeszedłem do SUV-a i gestem pokazałem, żeby opuścił szybę. Zjechała od razu.



– Nagrywam wszystko – przywitał się, wyciągając z kieszeni iPhone’a.

– Nie podziękujesz mi? – darowałem sobie formy grzecznościowe.

– Za co? Że mnie prześladujesz? – prychnął.

– Że dopadłem gościa, który skrzywdził Jowitę.

Milczał. Prawdę powiedziawszy, wcale nie oczekiwałem wyrazów wdzięczności, odstawiałem ten cyrk w zupełnie innym celu.

– Mniejsza o większość. Napuściłeś Władka na mnie i moich bliskich. Dopóki nie dowiem się dlaczego, nie ruszę się stąd.

Patrzył na mnie jak na robaka, którego należałoby rozdeptać. W końcu pokręcił głową, ponaciskał coś w telefonie i schował go do kieszeni.

– Po pierwsze – zaczął – nic ci nie muszę wyjaśniać, po drugie, nic mi nie zrobisz, nie udowodnisz, bo już nic nie możesz. Jesteś tu definitywnie skończony.

Znowu ta sama śpiewka. Nudna jak klepany w kółko paciorek.

– Ale – kontynuował – możemy pójść na układ. Ty mi coś powiesz, ja ci coś powiem.

Układy, układziki, czegoż innego mogłem się spodziewać?

– Czemu nie, w przeciwieństwie do ciebie nie mam nic do ukrycia – powiedziałem.

Wbił we mnie wzrok i wycedził:

– Po co drążyłeś sprawę? Po co to wszystko było?

– Chciałem poznać prawdę. Musiałem.

Wyraźnie go ubawiłem, może nie aż tak, żeby klepał się z uciechy po udach, ale jednak.

– To powiem ci, jaka jest prawda. – Wysiadł, stanął przede mną, wbijając ręce w kieszenie spodni. – Na dniach zamykamy negocjacje z doktor Kostrzewą. Kojarzysz? – Kiwnąłem głową, cała okolica żyła tą sprawą od jakiegoś czasu. – Niedaleko Opinogóry wybuduje kompleks hotelowy, spa-sra, takie rzeczy. A może i fabryczkę tych swoich specyfików na poprawianie urody. Będzie mnóstwo miejsc pracy, będzie tu zjeżdżać kupa gości. Dlatego że to świetna lokalizacja. Czyste powietrze, cisza, spokój, rekreacja. Takiej inwestycji nie było tu od dziesięcioleci. Nie można było tego spieprzyć, nie mogłem pozwolić, żeby ktoś bruździł, żeby się rozniosło o jakimś wampirze z Ciechanowa,

bo byłaby to wizerunkowa katastrofa.

Nie miałem najlepszego mniemania o szanownym panu wiceprezydencie, ale jednak mnie zdumiał.

– No to nici z planu.

– Chcesz się założyć, że nie będzie specjalnego szumu wokół tego zboka?

Nawet gdybym cierpiał na nadmiar funduszy, znalazłbym ciekawsze pomysły na ich uszczuplenie.

– To aż tak dbasz o dobro miasta. Szacunek. Co nie zmienia faktu, że chujowy z ciebie ojciec.

– Co ty tam wiesz – wymamrotał, opuszczając głowę.

Nie było sensu ciągnąć przyjacielskiej pogawędki o prawdzie i dobru oraz ich odcieniach. Poszedłem do miśka. Po chwili Dudek ruszył z piskiem opon. Na do widzenia pokazał mi faka. Bardzo subtelne.

Leniwie wchodziłem w wolną sobotę. Podobnie wolną jak następne dni, tygodnie, a kto wie – może i miesiące. Nie miałem pojęcia, jak jest teraz z szukaniem roboty. Podobno wciąż trwał kryzys. Ale nie zamierzałem zadręczać się myśleniem o niepewnej przyszłości.

Postanowiłem odwiedzić Felicję. Byłem jej to winien, ale też zwyczajnie stęskniłem się za starowinką. Zamiast jednak zebrać się w drogę, kręciłem się bez sensu po mieszkaniu. Z pokoju do kuchni. Z kuchni do pokoju, aż spojrzałem na leżący na biurku czarny zeszyt mrocznych objawień. Wziąłem go do ręki. Tak, ponownie zacząłem go czytać parę dni temu, więc powinienem skończyć. Zawsze kończę lekturę tekstu, jeśli już zacząłem. Taki rodzaj natręctwa.

Czarny zeszyt... To był pomysł terapeuty. Bardzo kiepsko szły mi rozmowy z nim, więc zaproponował, żebym spisał swoją historię, najlepiej w trzeciej osobie dla złapania dystansu. W pierwszej chwili wydawało mi się to czystej wody kretynizmem, jednym z tych patentów psychologów, które nie mają prawa się sprawdzić. Ale jednak wciągnąłem się, choć z niejakim trudem, w pisanie. Czy mi to pomogło?

Nazywa się Konrad Rowicki i jest depresjoholikiem.

Kolejne tygodnie mijały mu, im, w monotonnej powtarzalności. Ustalił się nowy rytm dni. Maria były na przedłużanym co jakiś czas zwolnieniu. Dorota obiecała, że przynajmniej do końca roku nie będzie szukała nowej nauczycielki na jej etat, tylko na zastępstwo, więc chociaż o to nie musieli się martwić. On robił w fabryce tylko tyle, ile koniecznie musiał. Rozniosło się, że ma chorą na głowę żonę. Koledzy popatrywali na niego z kiepsko skrywanym politowaniem, ale miał to gdzieś. Najważniejsze, że szef stosował wobec niego taryfę ulgową. Dwa razy w tygodniu chodzili razem do terapeuty. Nie był pewien, czy Maria otworzyła się przed lekarzem. Raz mówiła więcej, drugi raz odpowiadała monosylabami. On starał się robić wszystko jak najlepiej, wykonywać wszystkie polecenia psychologa, chociaż nie był do końca przekonany, czy te spotkania robią Marii dobrze. Cieszyło go to, że nie robiły jej gorzej.

Wyglądało na to, że Maria powoli, bo powoli, ale jednak dochodziła do jako takiego pionu. Wprawdzie nadal zdarzały się dni, kiedy godzinami siedziała przed włączonym telewizorem, gapiąc się w ekran niewidzącym wzrokiem, albo długo drzemała, a potem na wpół przytomna snuła się po mieszkaniu, ale w inne funkcjonowała zupełnie normalnie – chodziła na spacer, robiła zakupy, gotowała i sprzątała. Wydawało mu się, że musi dać jej czas, tyle czasu, ile będzie jej potrzeba, że nie może na nią naciskać, popędzać, że musi być cierpliwy. Nieludzko cierpliwy. Że musi czekać. I widział drobne zmiany na lepsze. Maria zagadywała go pierwsza. Maria sama proponowała wyjście do kina czy do kawiarni. Maria sama przytulała się do niego. Choć w łóżku wciąż odwracała się do niego plecami. Bolało, ale wiedział, że musi być silny. I nieodmiennie cierpliwy.

Zbliżały się wakacje. Terapeuta twierdził, że widzi poprawę. Zdecydowaną. Wierzył mu, bo nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć. Co wcale nie znaczyło, że było mu z tą wiarą lepiej, łatwiej. Bywały chwile, kiedy nie miał już sił i wybuchał. Choć potem bardzo żałował. Jak wtedy, tamtego dnia. Otworzył oczy jeszcze przed melodyjką budzika. Słońce wlewało się przez niezastłonięte okna, zapowiadał się piękny dzień. Czuł się nadspodziewanie dobrze, lekko. Nawet

perspektywa ośmiu godzin w fabryce niespecjalnie go odrzucała. Odbębni swoje i wróci. Do Marii. Spojrzał na nią, z niepokojem pomieszczanym z czułością. Spała, cicho pochrapując. Zostawił ją, wziął szybki prysznic i zaczął przygotowywać śniadanie. Pomyślał, że przyjemnie byłoby zjeść je razem z Marią, zafundować sobie piękny początek dnia. Zawołał ją z kuchni. Nie odpowiedziała. Jak zwykle. Poszedł do sypialni, zaczął głaskać ją po twarzy. Zamruczała, spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Zaczął namawiać, by wstała, żartował, że jest kobietą zaklętą w susła. „Daj spokój, zmęczona jestem”, powiedziała. I faktycznie, pomyślał, miała głos niczym staruszka stojąca nad grobem. Zamiast, jak zwykł to robić, odpuścić, namawiał ją jeszcze żarliwiej, że dzień wspaniały, że śniadanie, że potrzeba im drobnych, zwykłych przyjemności niczym powietrza. Gwałtownie odwróciła się od niego plecami, powtarzając: „Daj mi spokój, daj mi spokój”. A w niego coś wstąpiło. Złego i mrocznego. Szarpał ją i krzyczał, że tak dalej nie można, że musi się ogarnąć, że musi zacząć żyć. Przestał dopiero, gdy zobaczył w szeroko otwartych oczach Marii strach. Objął ją delikatnie, szeptał uspokajająco, ale wywinęła się z jego ramion, nadspodziewanie szybko i sprawnie, zwinęła na łóżku niczym embrion i zakryła kołdrą po czubek głowy. Siedział obok Marii, bez słowa, bez jednego choćby gestu. Było mu wstyd. Czuł się małym, słabym człowiekiem. Uciekł.

Był piątek. W ostatnich dniach zbrodnie omijały szerokim łukiem magiczny Kraków, więc nie miał za wiele roboty. Szef wcześniej zwolnił go do domu. Wracając, zastanawiał się, jak wynagrodzić Marii poranny wybuch. Zdawał sobie sprawę, że ona nie oczekuje przeprosin, jakiegokolwiek zadośćuczynienia. Chciał to jednak zrobić dla siebie. I wymyślił, że najwyższy czas, aby zająć się organizowaniem urlopu. W przyjemnym miejscu. Atrakcyjnym i kojącym, tak pomyślał, choć nie był pewien, na czym kojący wpływ miejsca miałyby się zasadzać. Wybrał się do biura podróży, żeby przejrzeć oferty. Porozmawiał z sympatyczną dziewczyną, która nie wciskała mu na siłę rewelacyjnych wycieczek i wczasów. Spakował do torby furę katalogów, żeby przejrzeć je razem z Marią.

Dzień wciąż był przyjemny i nic nie wskazywało, żeby miało się to zmienić, zrezygnował z jazdy tramwajem. Szedł spacerowym tempem,

gdy zadzwonił telefon. Znajomek z pracy zapytał, gdzie jest, i powiedział, że za chwilę po niego podjedzie, bo jest sprawa, nie chciał tłumaczyć, o co chodzi. Zbyt go to nie zdziwiło. Zdarzały się nagłe awarie w robocie, na przykład początek śledztwa, które ściągało dziennikarzy błyskawicznie, jak sępy do padliny. Szef wtedy wolał mieć go przy sobie. Na wszelki wypadek. Podjechał nieoznakowany samochód. Zaniepokoiło go, że w środku siedziała policyjna psycholog, Kaniecka. „Co się urodziło?”, zapytał. Psycholożka rzuciła, że zaraz wszystko powie, ale na razie kazała kierowcy wjechać w boczną uliczkę i zaparkować. „Co jest?!”, krzyknął. „Konrad, spójrz na mnie”, powiedziała. „Mów!” „Maria miała wypadek”. „Jaki, kurwa, wypadek, przecież została w domu?!”, wrzeszczał, plując kropelkami śliny w jej twarz. Nie odsunęła się, chwyciła go za rękę i powiedziała: „Maria wypadła z okna”. „Co ty pierdolisz! Jak to Maria!? Co z Marią!” Złapała drugą rękę: „Uspokój się, oddychaj! Maria nie żyje”, wyszeptała.

Maria nie żyje.

Wyrwał dłoń i walnął z całej siły w szybę. To zapamiętał. I że wrzeszczał. A potem spowiała go mgła, w której błakał się nie wiadomo jak długo, raz gęstsza, raz rzadsza, i tylko na moment odzyskiwał jasność widzenia, myślenia. Widział Marię leżącą na chodniku pod oknem ich mieszkania. Wyglądała tak, jakby spała, padła znużona w tym nieoczywistym miejscu. Wyglądałyby tak, gdyby nie kałuża krwi wokoło jej głowy. Kręcący się technicy, psycholożka, która coś do niego mówi. Zaryczana teściowa, która bije w niego pięściami. Twarze kolegów przesuwające się przed nim, zlewające się ze sobą. Rozmowa z Felicją przez telefon, z której nic nie zapamiętał. A potem od razu cmentarz. Ksiądz. Skąd ksiądz, przecież nie chodzili do kościoła? Tłum ludzi, morze kwiatów. Starowinka przynosząca mu do łóżka kawę. Skąd ona wzięła się w Krakowie?

Aż któregoś dnia, nie wiedział kiedy, trwał poza czasem i kalendarzem, mgła się rozwiła. Dopiero wtedy poczuł ból. Pustkę. „Zginę bez ciebie”, wyszeptał.

Felicja była ciągle obok niego, pilnowała go, próbowała rozmawiać, ale on jakby stracił umiejętność mówienia. Nie potrafił wypowiedzieć choćby słowa. Nieustannie obracał w głowie jedno pytanie: dlaczego? Bezskutecznie. Było jeszcze jedno: czy gdyby tamtego ranka zachował

się inaczej, Maria nie zrobiłaby tego, co zrobiła? Starał się wypchnąć je poza granicę świadomości. Reszta instynktu samozachowawczego podpowiadała mu, że jeśli tego nie zrobi, szczególnie, zginie. Że nieodwołalnie zagarnie go mrok. Wypychał je więc, ze skutkiem nieco większym. Głównie dzięki Felicji. Gdy starowinka spytała, czy pojedzie z nią do Ciechanowa, tylko skinął głową. Było mu właściwie wszystko jedno. Zależało mu jedynie na tym, by znaleźć odpowiedź na pytanie:

Dlaczego?

Dlaczego, Mario, to zrobiłaś? Sobie i mnie.

Nie zrozumiałem tego. Ciągająca się miesiącami terapia dała mi tyle, że zaakceptowałem fakt, iż prawdopodobnie nigdy nie zrozumieć, dlaczego Maria zrobiła to, co zrobiła. Tylko tyle i aż tyle. Jeszcze i to, że wyrwałem się z depresyjnego stuporu. Potrzebowałem zmiany i zacząłem działać, choć na początku szło mi to opornie. Sprzedałem mieszkanie w Krakowie i przenieśliśmy się do Ciechanowa. Najpierw pomieszkiwałem u starowinki, ale szybko kupiłem kłitkę przy Sienkiewicza. Ciasną, ale własną. Złożyłem papiery do szkoły policyjnej i zacząłem służyć. Chciałem działać, działaniem wytłumić gonitwę myśli. Powoli zrealizowałem plan. „No i się nasłużyłeś”, skomentowałem na głos.

Z czarnym zeszytem w ręku zszedłem do miśka.

Felicja zdusiła niedopałek w kryształowej popielnicy, ale zaraz zaczęła gmerać w paczce, próbując wyciągnąć kolejnego papierosa.

– Nie pal tyle – burknąłem dla zasady, wiedząc, że i tak mnie nie posłucha.

Prychnęła. I zapaliła. Jakżeby inaczej.

– I co teraz zrobisz?

Nie spytałem, skąd wie, że moja przygoda z policją właśnie się skończyła. Doskonały wywiad Geriatrycznego Klubu Rozrywki. Te sprawy, jak rzekłby mój szef. Były.

– Nie mam bladego pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Nie chciałem starowince ściemniać.

– Spokojnie. – Uśmiechnęła się blado. – W razie czego mam emeryturę. Jakoś przeżyjemy.

Uwielbiałem jej poczucie humoru.

– Tylko właściwie... – zwiesiła głos. – Jednego nie rozumiem. Czemu to zrobiłeś?

– Niby co takiego?

– Przecież mogłeś odpuścić tę sprawę. Wydawało mi się, że dawno sobie odpuściłeś.

Trafiła celnie. Mogłem coś zmyślić, snuć farmazony, ale wiedziałem, że Felicja mnie wyczuje. Powiedziałem więc prawdę, tę najprawdziwszą, nie tę, którą sprzedałem Dudkowi:

– Zrobiłem to właściwie dla Marii.

– Ciągłe boli?

– Teraz jakby mniej.

Felicja zgasła papierosa.

– My tu gadu-gadu, a nie jemy obiadu. Mogą być mieleńce z mizerią i ziemniakami?

Skinąłem głową. Kochałem ją. Nie tak samo jak Marię, ale równie mocno.

Starowinka krzątała się w kuchni, nucąc z cicha starożytne przeboje. Z czarną księgą objawień wyszedłem do ogrodu. Zasiadłem w altanie i zapaliłem. Na niewiele się to zdało, bo i tak użarł mnie komar. Otworzyłem zeszyt i jeszcze raz przeczytałem ostatnie zdanie. Czy faktycznie ostatnie? Nie pamiętałem, choć przecież czytałem to wiele razy. Nazbyt wiele. Przerzuciłem kilka kartek. Pustych. Białych jak lodowata wściekłość, która narastała we mnie po śmierci Marii. Ale było tam coś jeszcze. Na którejś z kolejnych stron widniały wielkie, koślawe, drukowane litery. ZGINĘ BEZ CIEBIE. Czy to ja napisałem? Nie byłem tego pewien. Nie chciałem wnikać. Może to faktycznie ja, może coś we mnie, co swego czasu było mną, ale już nie jest? A może zwyczajnie byłem pijany, nawalony jak stodoła? Kto wie? Może kiedyś porozmawiam o tym z psychologiem. Szczerze, bez ściemy. Ale pewnie nigdy nie znajdę właściwego psychologa. W końcu czy jest on mi do czegokolwiek potrzebny?

Wesoło zabręczczała komórka. Ironia losu. Tak to się chyba określa.  
Paulina.

Być może zginę bez ciebie, ale jeszcze nie teraz, pomyślałem, nie mając pewności, kogo to dotyczy.

Odebrać?



## Posłowie

Akcja *Zginę bez ciebie* rozgrywa w Ciechanowie nie przez przypadek. W tym mieście się urodziłem i spędziłem ponad osiemnaście lat życia. Powieść jest rodzajem hołdu złożonego rodzinnemu miastu, choć zapewne część osób uzna tę książkę za hołd dosyć specyficzny.

Nie jestem fanem przesadnej dokumentacji w powieściach kryminalnych. Większość opisywanych przeze mnie miejsc faktycznie istnieje, jednak część z nich na potrzeby powieściowej fabuły wymyśliłem lub nieco „przeformatowałem”. Które? Jeśli Czytelnicy będą mieli ochotę na tego rodzaju zabawę, mogą sprawdzić. Poza tym przedstawiana w powieści historia jest fikcyjna, a wszelkie podobieństwo do realnych zdarzeń bądź osób, jeśli występuje, jest absolutnie niezamierzone i przypadkowe.

Chciałbym serdecznie podziękować osobom, które znalazły czas i ochotę na lekturę mojego tekstu przed drukiem. Jestem pewien, że bez uwag, pytań i podpowiedzi Hanny Cygler, Andrzeja Dziurawca, Leszka Koźmińskiego i Filipa Modrzejewskiego moja książka byłaby gorsza. Jeszcze raz dziękuję Wam bardzo! Dziękuję również wszystkim koleżankom i kolegom „kryminalistom”, którzy podczas pisania wspierali mnie dobrym słowem.

Za wszelkie błędy i usterki w tekście powieści, jeśli takie są, odpowiadam ja sam. Choć, zapewniam, robiłem wszystko, aby ich uniknąć.